

SAGA DRENAJÓW TOM I

DAVID GEMMELL

LEGENDNA

WYDAWNICTWO
MYSTERY

SAGA DRENAJÓW TOM I

DAVID GEMMELL
LEGENDA

WYDAWNICTWO
MYSTERY

David Gemmell

LEGENDA

(Legend)

Przełożyli

Barbara Kamińska, Zbigniew A. Królicki

Tę książkę dedykuję trojgu bardzo bliskich mi osób. Mojemu ojcu, Billowi Woodfordowi, bez którego Druss-Legenda nigdy nie stanąłby na murach Dros Delnoch. Mojej matce, Olivii, która wzbudziła we mnie umiłowanie opowieści, w których bohaterowie nigdy nie kłamią zło rzadko triumfuje, a miłość zawsze zwycięża.

Ofiarowuję ją także mojej żonie, Galerii, która udowodniła mi, że w życiu może być tak, jak w tych opowieściach.

Składam również wyrazy wdzięczności Russellowi Claughtonowi, Timowi Lentonowi, Tomowi Taylorowi, Nickowi Hopkinsowi i Stelli Graham za ich pomoc podczas pisania tej książki.

PROLOG

Drenajski herold nerwowo wyczekiwał przy wielkich drzwiach sali tronowej, strzeżonych przez dwóch wartowników z plemienia Nadirów, którzy patrzyli przed siebie, wbijając skośne oczy w herb przedstawiający orła z brązu na tle ciemnego drewna.

Posłaniec oblizwał spierzchnięte wargi suchym językiem i poprawił purpurową pelerynę na kościstych ramionach. W sali obrad w Drenanie, odległym o sześćset mil na południe, był

niezwykle pewny siebie, gdy Abalayn poprosił go, aby podjął się tej delikatnej misji: podróży do odległego Gulgothir w celu ratyfikowania układów zawartych z Ulrykiem, władcą Nadirów.

Bartellus pomagał uprzednio w przygotowywaniu układów oraz dwukrotnie brał udział

w rozmowach prowadzonych w Vagrii, na zachodzie i w Mashrapurze, na południu. Wszyscy rozumieli znaczenie handlu i konieczność uniknięcia przedsięwzięć tak kosztownych jak wojna.

Ulryk nie będzie wyjątkiem. To prawda, że niedawno podbił narody północnej równiny, jednak przez całe wieki gnębiły one jego lud podatkami i najezdami, przyczyniając się w ten sposób do własnej zguby.

Inaczej było z Drenajami. Zawsze traktowali Nadirów taktownie i z kurtuazją. Sam Abalayn dwukrotnie odwiedził Ulryka w jego mieście namiotów na północy, gdzie podejmowano go po królewsku.

Jednakże Bartellus był zdumiony zniszczeniami w Gulgothir. Nie dziwił go fakt zdobycia bram miasta, ale to, że bestialsko okaleczono wielu obrońców. Na głównym dziedzińcu zamku piętrzyła się mała sterta ludzkich rąk. Bartellus wzdrygnął się na to wspomnienie i czym prędzej odsunął je od siebie.

Kazano mu czekać trzy dni, traktowano go jednak uprzejmie – a nawet przyjaźnie.

Znowu poprawił pelerynę, świadomy, że jego szczupła, niezgrabna postać nie pasuje do godności posła. Zza paska wyjął lniany gałganek i otarł nim pot na łysej głowie. Żona wciąż powtarzała mu, że kiedy jest zdenerwowany, błyszczą mu łysina. Wolałby, aby nie mówiła tego głośno.

Powstrzymując dreszcz, obrzucił spojrzeniem wartownika po prawej. Mężczyzna był niższy od niego, a na głowie nosił nabijany kolcami hełm ozdobiony kozłą skórą. Miał napierśnik z lakierowanego drewna, a w rękę dzierżył włócznię z zębatym grotem. Jego twarz była szeroka i okrutna, oczy ciemne i skośne. Gdyby Bartellus kiedykolwiek potrzebował człowieka do ucinania głów...

Spojrzał w lewo – i natychmiast tego pożałował, drugi ze strażników bowiem patrzył wprost na niego. Poczul się jak królik uciekający przed polującym jastrzębiem i pospiesznie wrócił

wzrokiem do brązowego orła na drzwiach.

Na szczęście jego oczekiwanie dobiegło końca i drzwi otworzyły się na oścież.

Biorąc głęboki oddech, Bartellus wmaszerował do środka.

Dwadzieścia marmurowych kolumn podpierało pokryty freskami sufit długiej sali. Na filarach płonęły pochodnie, rzucając posępne, tańczące cienie na ściany. Przy każdej stał

nadiryjski wartownik uzbrojony we włócznię. Nie rozglądając się na boki, Bartellus przeszedł pięćdziesiąt kroków dzielących go od tronu umieszczonego na marmurowym podium.

Na tronie siedział Ulryk, Władca Pomocy.

Nie był wysoki, lecz emanował siłą i energią, która poraziła dochodzącego do środka sali Bartellusa. Miał charakterystyczne dla Nadirów, wysokie kości policzkowe i czarne jak noc włosy, lecz jego skośne oczy były fioletowe i przenikliwe. Śniadą twarz okalała trójkątna broda, nadając jej demoniczny wygląd, ale ciepły uśmiech łagodził to wrażenie.

Najbardziej zaskoczyło Bartellusa to, że władca Nadirów nosił białą szatę Drenajów, ozdobioną herbem rodziny Abalayna: złotym koniem wznoszącym się nad srebrną koroną.

Herold skłonił się nisko.

– Panie mój, przynoszę ci pozdrowienia od Jego Wysokości Abalayna, obranego władcą wolnego narodu Drenajów.

Ulryk skinął głową, gestem nakazując mu kontynuować.

– Mój pan Abalayn gratuluje ci świetnego zwycięstwa nad buntownikami z Gulgothir i ufa, że skoro już masz za sobą okropności wojny, znajdziesz czas, aby pomyśleć o nowych układach i traktatach handlowych, o których rozmawiał z tobą, gdy miał zaszczyt gościć u ciebie minionej wiosny. Oto list od króla Abalayna, jak również proponowane układy i porozumienia.

Bartellus zrobił krok do przodu, prezentując trzy zwoje. Ulryk przyjął je i ostrożnie położył na podłodze obok tronu.

– Dziękuję ci, Bartellusie – powiedział. – Powiedz mi, czy rzeczywiście plemiona Drenai obawiają się, że moja armia pomaszeruje na Dros Delnoch?

– Racysz żartować, panie?

– Wcale nie – stwierdził niewinnie Ulryk, głębokim i dźwięcznym głosem. – Kupcy mówią mi, że w Drenanie toczą się wielkie dyskusje.

– To tylko czeze plotki – odpowiedział Bartellus. Sam pomagałem w przygotowywaniu traktatów i uznałbym to za zaszczyt, gdybym mógł pomóc w wyjaśnieniu bardziej skomplikowanych ustępów.

– Nie, jestem pewien, że są w najlepszym porządku – powiedział Ulryk. – Zdajesz sobie jednak sprawę, że mój szaman, Nosta Klian, musi odprawić wróżby. Wiem, że to prymitywny obyczaj, ale jestem pewien, że to zrozumiesz.

– Oczywiście. Takie rzeczy podtrzymują tradycję.

Ulryk dwukrotnie klasnął w dłonie i z cienia po lewej stronie wychynał pomarszczony, stary człowiek w tunice z kozłej skóry. Pod chudym, prawym ramieniem niósł białego kurczaka, a w lewej ręce szeroką i płytką, drewnianą misę. Ulryk wstał, wyciągnął ręce i wziął od niego kurczaka, chwytając ptaka za szyję i nogi.

Wolnym ruchem uniósł ręce ponad głowę, a następnie – Bartellus szeroko otworzył oczy z przerażenia – opuszczył ptaka i odgryzł głowę od tułowia. Skrzydła zatrzepotały gwałtownie, a krew trysnęła wkoło, mocząc białą szatę. Ulryk trzymał wstrząsaną konwulsjami ofiarę nad misą, patrząc jak reszta życiodajnej krwi spływa na drewno. Nosta Khan odczekał, aż ostatnia kropla wycieknie z ciała, a potem uniósł misę do ust. Podniósł oczy na Ulryka i potrząsnął głową.

Wojownik odrzucił ptaka i powoli zdjął z siebie białą szatę. Pod nią miał czarny napierśnik i zawieszony na pasie miecz. Zza tronu wyjął hełm wojenny z czarnej stali, obszyty futrem srebrnego lisa i włożył go na głowę. Otarł zakrwawione usta szatą Drenajów i niedbale rzucił ją w stronę Bartellusa.

Herold spojrział w dół na pokrytą krwią tkaninę u swoich stóp.

– Obawiam się, że wróżby nie są pomyślne – powiedział Ulryk.

ROZDZIAŁ 1

Rek był pijany. Nie aż tak bardzo, żeby rzucało się to w oczy, ale wystarczająco, aby nie dbać o nic, pomyślał, gapiąc się na rubinowe wino, rzucające krwawe cienie w kielichu z ołowianego szkła. Płonące na palenisku główne grzały mu plecy, dym gryzł w oczy, a jego kwaśny zapach mieszał się z odorem nie mytych ciał, zapomnianych posiłków oraz stęchłej, wilgotnej odzieży. Płomień latarni zatańczył krótko na lodowatym wietrze, gdy podmuch zimnego powietrza omiótł izbę. Zniknął, kiedy nowo przybyły zatrzasnął drzwi, mamrocząc słowa przeprosin do tłumu zapelniającego gospodę.

Rozmowy, które zamarły w nagłym podmuchu mroźnego powietrza, ożyły na nowo, a tuzin głosów z różnych grup zmieszał się w niezrozumiały gwar. Rek popijał wino małymi łykami.

Zadrzał, gdy ktoś wybuchnął śmiechem; ten dźwięk był równie chłodny jak zimowy wiatr bijący o drewniane ściany. Jakby ktoś przeszedł po twoim grobie, pomyślał. Ciaśniej owinął ramiona błękitnym płaszczem. Nie musiał przysłuchiwać się dysputom, aby znać temat wszystkich tych rozmów: od wielu dni wciąż mówiono o tym samym.

O wojnie.

Jedno krótkie słowo, a tyle nieszczęścia. Krew, śmierć, podbój, głód, choroby i przerażenie.

Nowy wybuch śmiechu wstrząsnął izbą. – Barbarzyńcy! – zawył głos ponad szmerem. –

Łatwy cel dla kopii Drenajów. – Znowu śmiech.

Rek patrzył w kryształowy kielich. Taki piękny. Taki kruchy. Wykonany starannie, a nawet z miłością, oszlifowany niczym cenny brylant. Podniósł naczynie i spojrzał nań z bliska, dostrzegając odbity w nim tuzin oczu.

A każde oskarżało. Przez chwilę miał ochotę roztrzaskać puchar na kawałki, zniszczyć te oczy i ich oskarżenia. Nie zrobił tego jednak. Nie jestem głupcem, powiedział sobie. Jeszcze nie.

Horeb, właściciel gospody, wytarł grube palce w ręcznik i obrzucił zmęczonym lecz uważnym spojrzeniem ciżbę, czujny, gotowy wkroczyć ze słowem i uśmiechem, zanim zaczną się obrzucać wyzwiskami i okładać pięściami. Wojna. Cóż mają w sobie takie krwawe przedsięwzięcia, że redukują ludzi do poziomu zwierząt? Niektórzy z pijących – a właściwie, większość z nich – Horeb dobrze znał. Wielu miało rodziny: farmerzy, kupcy, rzemieślnicy.

Wszyscy byli sympatyczni; większość była zdolna do litości, godna zaufania, a nawet dobra.

I oto proszę, rozmawiali o śmierci i chwale, gotowi rozsiekać każdego podejrzanego o pronadiryjskie sympatie. Nadir – już to słowo wyrażało wzdęty.

Nauczą się, pomyślał Horeb ze smutkiem. Ach, jeszcze jak się nauczą! Oczy Horeba omiotły obszerną izbę i złagodniały, gdy dostrzegł córki, zajęte sprzątaniami ze stołów i roznoszeniem kufli. Drobnutką Dori, której piegowata buzia zarumieniła się pod wpływem jakiegoś grubiańskiego dowcipu; Besę, będącą wiernym wizerunkiem swojej matki, wysoką i jasną; Nessę, pulchną i niezbyt urodziwą, ale kochaną przez wszystkich, która wkrótce poślubić miała czeladnika piekarskiego, Norvasa. Dobre dziewczyny. Dary radości. Następnie, spojrzenie jego padło na wysoką postać w błękitnym płaszczu, siedzącą przy oknie.

– Do licha, Rek, otrząśnij się z tego – wymamrotał, dobrze wiedząc, że mężczyzna go nie usłyszy. Horeb odwrócił się, zaklął, a następnie zdjął swój skórzany fartuch i chwycił na pół

opróżniony dzban piwa oraz kufel. Jakby po namyśle, otworzył niewielką szafkę i wyjął z niej butelkę porto, którą przechowywał z myślą o weselu Nessy.

– Kłopot dzielony z kimś to kłopot podwojony – powiedział, wciskając się w siedzenie naprzeciw Ręka.

– Przyjaciel w potrzebie, to przyjaciel, którego należy unikać – odparował Rek, przyjmując oferowaną butelkę i znów napełniając swój kielich. – Kiedyś znałem pewnego generała –

powiedział, przyglądając się trunkowi, długimi palcami obracając powoli kielich. – Nigdy nie przegrał bitwy. I nigdy żadnej nie wygrał.

– Jak to możliwe? – zapytał Horeb.

– Znasz odpowiedź. Już ci to kiedyś mówiłem.

– Mam złą pamięć. A poza tym lubię słuchać twoich historyjek. Jak mógł nigdy nie wygrać i nigdy nie przegrać?

– W obliczu zagrożenia zawsze się poddawał – wyjaśnił Rek. – Sprytnie, co?

– Jak to się działo, że miał zwolenników, jeżeli nigdy nie zwyciężał?

– Ponieważ nigdy nie przegrywał. Oni również nie.

– Czy ty poszedłbyś pod jego rozkazy? – zapytał Horeb.

– Ja nie słucham niczyich rozkazów. A już na pewno nie od generałów. – Rek odwrócił

głowę nasłuchując gwaru rozmów. Zamknął oczy skupiając uwagę. – Posłuchaj ich – powiedział cicho. – Posłuchaj jak mówią o chwale.

– Nie znają niczego lepszego, Rek, przyjacielu. Nie widzieli wojny, nie posmakowali jej.

Kruków jak czarne chmury nad polami bitew, wydziobujących chciwie oczy trupom, lisów szarpiących porozrywane ścięgna, robaków...

– Przestań, do cholery... nie musisz mi przypominać. Niech będę przeklęty, jeżeli pójdę na wojnę. Kiedy Nessa bierze ślub?

– Za trzy dni – odpowiedział Horeb i uśmiechnął się szeroko. Zamilkli, każdy pogrążony we własnym milczeniu, pozwalając, aby hałas przepływał ponad nimi. Popijali i rozmyślali, bezpieczni we wzajemnej bliskości. Po chwili Rek pochylił się do przodu.

– Pierwszym celem ataku będzie Dros Delnoch – powiedział. Czy wiesz, że mają tam tylko dziesięć tysięcy ludzi?

– Słyszałem, że nawet mniej. Abalayn dążył do zmniejszenia liczby regularnych oddziałów i oparł się na milicji. Mimo to, jest tam przecież sześć wysokich murów i silna twierdza.

A Delnar nie jest głupcem – brał udział w Bitwie o Skeln.

– Naprawdę? – powiedział Rek. – Słyszałem, że każdy nasz wojownik walczył tam przeciwko dziesięciu tysiącom i strącał góry na wrogów.

– To z sagi Drussa-Legendy – odparł Horeb głębokim basem. – Opowieści o gigancie, którego oczy siały zgrozę, a topór śmierć. Skupcie się dzieci wokół mnie i trzymajcie się z dala od cienia, na wypadek, gdyby zło czaiło się w ukryciu w czasie, gdy będę opowiadał tę historię.

– Ty draniu! – wykrzyknął Rek. – Kiedyś wprawiało mnie to w przerażenie. Znałeś go, prawda – myślę o Legendzie?

– Dawno temu. Mówią, że umarł. Jeśli nie, musi mieć już ponad sześćdziesiątkę. Byliśmy razem w trzech kampaniach, lecz rozmawiałem z nim tylko dwukrotnie. Jednak raz widziałem go w akcji.

- Czy był dobry? – zapytał Rek.
- Wspaniały. Było to tuż przed Skeln i klęską Nieśmiertelnych. Zaledwie potyczka. Tak, był bardzo dobry.
- Nie jesteś zbyt gadatliwy, Horebie.
- Chcesz, abym, jak tamci głupcy, trąkotał o wojnie, śmierci i zabijaniu?
- Nie – powiedział Rek, cedząc wino. – Nie chcę. Znasz mnie przecież, prawda?
- Wystarczająco, aby cię lubić. Mimo wszystko.
- Co masz na myśli?
- To, że sam nie lubisz siebie.
- Wręcz przeciwnie – powiedział Rek, nalewając sobie kolejny kielich. – Lubię siebie zupełnie wystarczająco. Tyle, że znam siebie lepiej niż większość ludzi.
- Wiesz, Rek, czasami myślę, że wymagasz od siebie zbyt wiele.
- Nie. Wcale nie, wymagam bardzo niewiele. Znam swoje słabości.
- Śmieszna sprawa z tymi słabościami – powiedział Horeb. – Większość ludzi powie, że zna swoje słabe strony. Zapytani o nie odpowiedzą: „Hm, po pierwsze, jestem zbyt hojny”. Dalej więc, wymień swoje, jeśli musisz. Od czego są oberżysty?
- Hm, po pierwsze, jestem zbyt hojny, szczególnie dla oberżystów.

Horeb potrząsnął głową, uśmiechnął się i zamilkł.

Zbyt inteligentny, aby zostać bohaterem, zbyt przerażony, żeby być tchórzem, pomyślał.

Obserwował jak przyjaciel opróżnił kielich, przybliżył go do oczu i patrzył na swoje wielokrotne odbicie. Przez chwilę Horeb sądził, że tamten roztrzaska puchar, takim gniewem płonąła zarumieniona twarz Ręka.

Potem młodszy mężczyzna łagodnie położył kielich na drewnianym stole.

- Nie jestem głupcem – powiedział miękko. Zesztywniał zdając sobie sprawę z tego, że wyrzekł te słowa głośno.
- Do diabła! – powiedział. – Alkohol wreszcie mnie zmógł.
- Pozwól, że zaprowadzę cię do twojego pokoju zaproponował Horeb.

– Czy jest w nim zapalona świeca? – zapytał Rek kołysząc się na ławie. – Nie pozwolisz, aby zgasła, prawda? Niezbyt lubię ciemności. Nie boję się, rozumiesz. Tylko nie lubię ich.

– Nie pozwolę, by zgasła, Rek. Zaufaj mi.

– Ufam ci. Uratowałem cię, czyż nie? Pamiętasz?

– Pamiętam. Podaj mi rękę. Pomogę ci dojść do schodów. Tędy. Dobrze. Jedna stopa za drugą. O tak.

– Nie wahałem się. Wkroczyłem od razu ze wzniesionym mieczem, prawda?

– Tak.

– Nie. Nie prawda. Stałem tam przez dwie minuty, dygocząc. A ciebie zranili.

– A jednak wkroczyłeś, Rek. Nie rozumiesz? Rana nie ma znaczenia – i tak mnie uratowałeś.

– Dla mnie to ma znaczenie. Czy jest świeca w moim pokoju?

Za nim wznosiła się forteca, ponura i szara, owiana dymem i płomieniem. Kiedy biegł, z łomoczącym sercem i urywanym oddechem, miał jeszcze w uszach bitewny zgiełk. Spojrzał za siebie. Twierdza była blisko, bliżej niż przedtem. Przed nim znajdowały się wzgórza otaczające Równinę Sentran. Migotały i cofały się przed nim urągając mu swoim spokojem. Przyspieszył.

Znalazł się w cieniu. Bramy twierdzy otworzyły się. Zmagał się z siłą ciągnącą go w tył.

Krzyczał i błagał. Jednak bramy zamknęły się i znowu znalazł się w ogniu bitwy, a w drżącej dłoni trzymał miecz.

Obudził się; miał szeroko otwarte oczy, rozszerzone nozdrza, a w płucach ciężar rodzącego się krzyku. Czyjaś miękka dłoń pogłaskała jego twarz, łagodne słowa uspokoiły go. Jego oczy odzyskały zdolność widzenia. Nadchodził świt, różowe światło dziewiczego dnia przenikało przez lód powstały na wewnętrznej stronie okna sypialni. Przewrócił się na bok.

– Niespokojnie spałeś – powiedziała do niego Besa, gładząc jego czoło. Uśmiechnął się, naciągnął na ramię kołdrę z gęsiego puchu i pod przykryciem przytulił ją do siebie.

– Teraz nie jestem niespokojny – powiedział Rek. Jak mógłbym być? – Ciepło jej ciała podnieciło go, palcami zaczął pieścić jej plecy.

– Nie dzisiaj – powiedziała, pocałowała go lekko w czoło i odsunęła się. Odrzuciła kołdrę, zadrzała i pobiegła przez pokój, zbierając po drodze ubrania. – Zimno – powiedziała. – Zimniej niż wczoraj.

– Tutaj jest ciepło – zasugerował podnosząc się, aby popatrzeć jak się ubiera. Przesłała mu w powietrzu całusa.

– Świetnie się z tobą baraszkuje, Rek. Jednak nie chcę mieć z tobą dzieci. A teraz wyłaż

z łóżka. Dziś rano przyjeżdża grupa podróżnych i musimy wynająć ten pokój.

– Jesteś piękną kobietą, Besa. Gdybym miał choć trochę rozumu, ożeniłbym się z tobą.

– W takim razie dobrze, że go nie masz, bo odrzuciłabym cię, a twoja duma nigdy by tego nie zniosła. Szukam kogoś solidniejszego. – Jej uśmiech złagodził ostre słowa. Prawie.

Drzwi otworzyły się i wpadł Horeb, niosąc miedzianą tacę z chlebem, serem i dzbanem.

– Jak głowa? – zapytał i postawił śniadanie na drewnianym stole przy łóżku.

– Świetnie – powiedział Rek. – Czy to sok pomarańczowy?

– Tak – i będzie cię drogo kosztował. Nessa wytropiła węgryjskiego kupca, gdy opuszczał statek. Czekala godzinę, ryzykując odmrożenie, tylko po to, aby zdobyć dla ciebie pomarańcze.

Nie sądzę abyś był tego wart.

– Prawda. – Rek uśmiechnął się. – Smutne, ale prawdziwe.

– Czy naprawdę wyruszasz dziś na południe? – zapytała Besa, gdy Rek sączył sok. Skinął głową. – Jesteś głupcem. Myślałam, że masz już dość Reinarda.

– Spróbuję go unikać. Czy oczyszczono moje ubranie?

– Dori poświęciła mu całe godziny – odpowiedziała Besa. – I po co? Po to abyś je ubrudził w lesie Graven.

– Nie o to chodzi. Wyjeżdżając z miasta trzeba zawsze wyglądać jak najlepiej. – Spojrzał na tacę. – Chyba nie tknę sera.

– Nie szkodzi – powiedział Horeb. – I tak dopiszę ci do rachunku!

– W takim razie zmuszę się do zjedzenia go. Są jacyś nowi podróżni?

– Jest karawana wioząca przyprawy, zmierza do Lentrii przez Graven. Dwudziestu ludzi, dobrze uzbrojonych. Pojadą okrężną trasą na południe i zachód. Była też kobieta podróżująca samotnie, ale już wyjechała – powiedział Horeb. – I na koniec mamy także grupę pielgrzymów.

Jednak oni wyruszają dopiero jutro.

– Kobieta?

– Niezupełnie – powiedziała Besa. – Prawie.

– Słuchaj, dziewczyno – dodał Horeb, uśmiechając się szeroko. – Taka złośliwość jest niepodobna do ciebie. Wysoka panna na wspaniałym koniu. Uzbrojona.

– Mógłbym z nią podróżować – powiedział Rek. Uczyniłoby to podróż przyjemniejszą.

– I obroniłaby cię przed Reinardem – wyglądała na taką. No dalej, Regnak, ubieraj się. Nie mam czasu siedzieć tutaj i podziwiać jak jesz śniadanie niczym lord. Narobiłeś już dosyć zamieszania w tym domu.

– Nie mogę się ubrać kiedy tutaj jesteś – zaprotestował Rek. To nie uchodzi.

– Ty wariacie – powiedziała, zbierając tacę. – Ściągnij go z łóżka, ojcze, bo inaczej będzie się wylegiwał cały dzień.

– Ona ma rację, Rek – powiedział Horeb, gdy drzwi się za nią zamknęły. – Czas, abyś się ruszył. Wiem, jak dużo czasu potrzebujesz na przygotowania, zanim pokażesz się publicznie, więc zostawię cię samego, abyś się do tego zabrał.

– Wyjeżdżając z miasta...

– Trzeba wyglądać jak najlepiej. Rozumiem. Zawsze tak mówisz, Rek. Do zobaczenia na dole.

Pozostawiony samemu sobie Rek spoważniał, zmarszczki śmiechu wokół oczu zniknęły i zmieniły się w bruzdy napięcia, prawie smutku. Drenajowie byli skończeni jako światowa siła.

Ulryk ze swymi plemionami rozpoczął już marsz na Drenan i pewnie w strumieniach krwi wkroczy do miast na równinie. Nawet gdyby każdy drenajski wojownik zabił trzydziestu wojowników, nadal pozostaną ich setki tysięcy.

Świat się zmieniał, a Rekowi zaczynało brakować miejsc, w których mógłby się ukryć.

Pomyślał o Horebie i jego córkach. Przez sześćset lat plemię Drenajów narzucało cywilizację światu, który nie był na to przygotowany. Podbijali jak barbarzyńcy, uczyli mądrze i –

przeważnie – rządili dobrze. Jednak ich czas dobiegł kresu, a nowe imperium czekało, gotowe powstać z krwi i popiołów starego. Znów pomyślał o Horebie i zaśmiał się. Cokolwiek by się stało, oto człowiek, który przetrwa, zażartował. Nawet Nadirom potrzebne są dobre gospody.

A córki? Co się z nimi stanie, gdy hordy wyłamią bramy miasta? Przed oczami stanęły mu krwawe obrazy.

– Niech to diabli! – krzyknął i wyskoczył z łóżka, by pchnięciem otworzyć skute lodem okno.

Zimowy wiatr owiał jego wygrzane w pościeli ciało i przywołał do rzeczywistości, przypominając o długiej podróży na południe. Podeszedł do ławy, na której rozłożono jego rzeczy i ubrał się pospiesznie. Biała, wełniana koszula i błękitne trykoty były darami od łagodnej Dori, tunika z haftowanym złotem kołnierzem – pamiątką po lepszych dniach w Vagrii, kaftan z odwróconej skóry

baraniej i złote sznurowadła to prezent od Horeba, a długie, zakrywające uda, irchowe buty niespodziewanym upominkiem od zmęczonego podróżnika w odległej gospodzie.

Musiał być zdumiony, pomyślał Rek, wspominając dreszcz strachu i podniecenia, gdy wśliznął

się do pokoju tego człowieka i ukradł je, zaledwie przed miesiącem. Obok szafy stało wysokie, brązowe lustro, w którym Rek długo przyglądał się swemu odbiciu. Zobaczył wysokiego mężczyznę z długimi do ramion brązowymi włosami i równo przystrzyżonymi wąsami, świetnie prezentującego się w swych kradzionych butach. Przełożył przez głowę medalion i wepchnął

długi miecz do czarnosrebrnej pochwy.

– Co za bohater – powiedział do swego odbicia, z cynicznym uśmiechem na ustach. – Cóż za klejnot wśród bohaterów. – Wyjął miecz, skupił się i pchnął powietrze, jednym okiem obserwując swe odbicie. Nadgarstek wciąż miał giętki, chwyt pewny. Jeżeli nie jesteś nikim innym, powiedział sobie, jesteś szermierzem. Z parapetu podniósł srebrny, okrągły talizman –

swój amulet szczęścia, który służył mu od czasu, gdy go ukradł z domu schadzek w Lentrii –

i umieścił nad czołem, odsuwając ciemne włosy za uszy.

– Może i nie jesteś wspaniały – wygłosił do swego odbicia – ale, na wszystkich bogów Missaela, z pewnością na takiego wyglądasz!

Oczy w lustrze odpowiedziały mu uśmiechem. – Nie naśmiewaj się ze mnie, Regnaku Wędrowcze – powiedział. Zarzuciwszy na ramię płaszcz, zszedł na dół do podłużnej izby, obrzucając spojrzeniem poranny tłum. Horeb pozdrowił go zza baru.

– No, teraz jesteś bardziej podobny do siebie, Rek, mój chłopcze – rzekł, odchylając się do tyłu w udawanym zachwycie. – Jakbyś zszedł wprost z kart jakiegoś poematu Siebena. Napijesz się?

– Nie. Myślę, że zrezygnuję z tego na razie – na jakieś dziesięć lat. Trunek z ubiegłej nocy wciąż fermentuje mi w brzuchu. Czy zapakowałeś dla mnie trochę twego paskudnego jada na drogę?

– Robaczywe herbatniki, spleśniały ser i dwuletni kawałek boczku, który sam przyjdzie, kiedy go zawołasz odpowiedział Horeb. – Oraz butelkę najgorszego...

Rozmowa urwała się, gdy do gospody wszedł jasnowidz w spłowiałym niebieskim habicie, w którym płątały się jego kościste nogi, z laską stukającą o deski podłogi. Rek stłumił odrzę jaką budził w nim widok tego człowieka i starał się nie patrzeć na puste oczodoły, w których kiedyś znajdowały się oczy.

Starzec wyciągnął rękę, w której brakowało trzeciego palca. – Dukata za twoją przyszłość –

powiedział głosem suchym jak wiatr szemrzący wśród zimowych gałęzi.

– Dlaczego oni to robią? – wyszeptał Horeb.

- Mówisz o jego oczach? – odparł Rek.
- Tak. Jak człowiek może wylupić sobie oczy?
- Niech mnie diabli jeśli wiem. Ludzie mówią, że to pomaga ich wizjom.
- Brzmi to równie rozsądnie jak obcięcie sobie członka w celu wzbogacenia życia seksualnego.
- Różnie bywa, Horebie, mój przyjacielu. Zwabiony dźwiękiem ich głosów starzec zbliżył się z wyciągniętą ręką. – Dukata za twoją przyszłość – zaintonował. Rek odwrócił się.
- Zgódź się, Rek – zachęcił Horeb. – Zobacz, czy podróż dobrze się zakończy. Nie ma w tym nic złego.
- Ty płacisz. Ja posłucham – powiedział Rek. Horeb włożył rękę głęboko do kieszeni skórzanego fartucha i rzucił niewielką srebrną monetę na dłoń starca. Powróć mojemu przyjacielowi – rzekł. – Ja znam swoją przyszłość.
- Stary człowiek przysiadł na podłodze i sięgnął do postrzępionego worka, wyjmując garść piasku, którą rozsypał wokół siebie. Następnie wyłożył sześć kości z wyrytymi na nich runami.
- To kości ludzkie, nieprawdaż? – wyszeptał Horeb.
- Tak mówią – odpowiedział Rek. Starzec zaczął nucić w języku Starszego Ludu, a jego drżący głos rozchodził się echem w ciszy. Rzucił kości na posypaną piaskiem podłogę, a potem przesunął dłońmi po wyrzeźbionych napisach.
- Znam prawdę – powiedział wreszcie.
- Zostaw prawdę w spokoju, starcze. Daj mi opowieść pełną złotych kłamstw i wspaniałych dziewcząt.
- Znam prawdę – powtórzył jasno widz, jakby go nie słyszał.
- Do diabła z tym – powiedział Rek. – Niech będzie prawda, starcze.
- Chcesz ją usłyszeć, człowieku?
- Pomiń przeklęty rytuał, po prostu powiedz i odejdz!
- Spokojnie, Rek, spokojnie! On robi swoje – uspokajał go Horeb.
- Być może. Jednak posuwa się za daleko i psuje mi dzień. Poza tym oni nigdy nie przynoszą dobrych wieści. Ten stary drań pewnie powie mi, że dostanę zarazy.
- Chce prawdy – powiedział Horeb, dostosowując się do rytuału – i wykorzysta ją dobrze i mądrze.

– Tak naprawdę to nie chce i nie wykorzysta – powiedział wróżbita. – Jednak musi poznać wyrok losu. Nie chcesz usłyszeć słów o swojej śmierci, Regnaku Wędrowco, synu Argasa, więc powstrzymam je. Jesteś człowiekiem chwiejnego charakteru i rzadkiej odwagi. Jesteś złodziejem i marzycielem, a twoje przeznaczenie będzie cię ścigać i dręczyć. Będziesz uciekał przed nim, lecz nie ujdiesz mu. Jednak ty już to wiesz, Długonogi, bowiem śniłeś o tym ostatniej nocy.

– I to wszystko, starcze? Te brednie bez znaczenia? Czy to warte srebrnego dukata?

– Księżę i legenda spotkają się na murach. A ludzie będą marzyć i będą umierać, czyż jednak twierdza padnie?

Stary człowiek odwrócił się i zniknął.

– Co ci się śniło w nocy, Rek? – zapytał Horeb.

– Chyba nie wierzysz w te bzdury, Horebie?

– Co ci się śniło? – nalegał oberżysta.

– Nic mi się nie śniło. Spałem jak kamień. Przeszkadzała mi tylko ta cholerna świeca.

Zostawiłeś ją zapaloną na całą noc i cuchnęła. Powinieneś być ostrożniejszy. Mogła wywołać pożar. Za każdym razem, gdy się tu zatrzymuję, przestrzegam cię. Nigdy nie słuchasz.

ROZDZIAŁ 2

Rek w milczeniu obserwował, jak stajenny siodłał kasztanowego wałacha. Koń nie podobał

mu się; miał złośliwe spojrzenie, a uszy płasko przylegające do czaszki. Stajenny, młody, smukły chłopak, przemawiał do niego czule, dociągając popręg drżącymi palcami.

– Dlaczego nie zdobyłeś siwka? – zapytał Rek. Horeb roześmiał się.

– Ponieważ w ten sposób za bardzo wyglądałbyś jak karykatura. Sedno tkwi w nieomówieniu, Rek. Już wyglądasz jak paw i każdy marynarz z Lentrii będzie się za tobą uganiał. Nie, kasztan jest najodpowiedniejszy. – A poważnie dodał: – najlepiej gdybyś, będąc w Gracen, nie rzucał się w oczy. Trudno nie zauważyć wysokiego, białego konia.

– Nie wydaje się, żeby mnie lubił. Zauważyłeś, jak na mnie patrzy?

– Jego ojciec był jednym z najszybszych wierzchowców w Drenanie; a matka rumakiem bojowym lansjerów Woundweavera. Nie znajdziesz konia lepszej krwi.

– Jak go zwać? – zapytał Rek, wciąż nieprzekonany.

– Lancer – odparł Horeb.

– Ładnie brzmi. Lancer... No, ujdzie... ale tylko ujdzie.

– Narcyz jest gotowy, panie – powiedział stajenny, odsuwając się od kasztanka. Koń obrócił głowę chwytając zębami cofającego się chłopca, który potknął się i upadł na bruk.

– Narcyz? – powiedział Rek. – Kupiłeś mi konia o imieniu Narcyz?

– A jakie znaczenie ma imię, Rek? – odpowiedział niewinnie Horeb. – Nazwij go jak chcesz; musisz przyznać, że to wspaniałe zwierzę.

– Gdybym nie miał wysoko rozwiniętego poczucia humoru, nałożyłbym mu kaganiec. Gdzie dziewczęta?

– Zbyt zajęte by machać na pożegnanie włóczęgom, którzy rzadko płacą rachunki. No, ruszaj już.

Rek ostrożnie podszedł do wałacha, przemawiając do niego łagodnie. Koń obrzucił go złowrogim spojrzeniem i pozwolił mu wskoczyć na siodło z wysokim łękiem. Rek zebrał cugle, ułożył połę płaszcza dokładnie pod kątem prostym do grzbietu konia i skierował rumaka w stronę bramy.

– Rek, prawie zapomniałem – zawołał Horeb, szybko cofając się do wnętrza domu. –

Poczekaj chwilę! Tęgi oberżysta zniknął na moment z pola widzenia, a po kilku sekundach pojawił się znowu, niosąc krótki łuk z cisu i kości słoniowej oraz kołczan pełen strzał o czarnych grotach. – Masz. Kilka miesięcy temu jakiś klient zostawił go jako część zapłaty. Wygląda na mocną broń.

– Cudownie – powiedział Rek. – Byłem kiedyś świetnym łucznikiem.

– Oczywiście – powiedział Horeb. – Pamiętaj tylko, kiedy go będziesz używał, byś nie kierował ostrego końca na siebie. Teraz jedź – i uważaj.

– Dzięki, Horebie. Ty też. I pamiętaj, co powiedziałem o świecach.

– Będę pamiętał. W drogę, chłopcze. Niech ci szczęście sprzyja.

Rek wyjeżdżał południową bramą, gdzie wartownicy przycinali knoty latarni. Cienie świtu ustępowały na ulicach Drenami, a pod portykiem bawiły się małe dzieci. Wybrał południową trasę z oczywistych powodów. Nadirowie maszerowali z północy, a najlepszy sposób, by uniknąć bitwy, to prosta droga w przeciwnym kierunku.

Bodąc konia obcasami, popędził go na południe. Po lewej stronie wschodzące słońce wspinało się na błękitne wierzchołki gór na wschodzie. Niebo było błękitne, śpiewały ptaki, a z tyłu dobiegały odgłosy budzącego się miasta. Jednak Rek wiedział, że słońce wschodziło dla Nadiarów. Dla Drenajów był to zmierzch długiego dnia.

Osiągnąwszy szczyt wzniesienia, spojrział w dół na las Graven, biały i dziewiczy pod zimowym śniegiem. A przecież było to siedlisko złych legend, które w zwykłych warunkach starały się

omijać. Fakt, że zdecydował się tędy jechać, świadczył o dwóch rzeczach; po pierwsze, wiedział, że legendy tworzą się wokół działalności żywego człowieka, a po drugie, że znał tego człowieka.

Reinard.

On i jego banda, żądnych krwi rzezimieszków, mieli swą kwaterę główną w Graven i stanowili otwartą, jęczącą się ranę w ciele handlu. Napadali na karawany, mordowali pielgrzymów, gwałcili kobiety. Jednak las był tak rozległy, że wojsko nie mogło ich odnaleźć.

Reinard. Spłodzony przez księcia piekieł, zrodzony ze szlachetnie urodzonej mieszkanki Ulalii. Przynajmniej tak o sobie mówił. Rek słyszał, że jego matką była lentryjska prostytutka, a ojcem bezimienny żeglarz. Jednak nigdy nie powtarzał tej informacji; nie miał na to, jak to zwykle się mówi, dość odwagi. A nawet gdyby był tak nierozważny, rozmyślał, wkrótce straciłby swój kontenans, gdyby spróbował rozpowszechnić tę wieść. Jedną z ulubionych rozrywek Reinarda było przypiekanie kawałków ciała więźnia na rozżarzonych węglach i serwowanie ich współwięźniom nieszczęśnika. Jeśliby spotkał Reinarda, najlepsze co mógł zrobić, to zamęczyć go na śmierć pochlebstwami. A gdyby to nie podziałało, powinien przekazać mu najnowsze nowiny, napuścić na najbliższą karawanę i jak najszybciej wynieść się z okolicy.

Rek postarał się dowiedzieć wszystkiego o kawalkadach przejeżdżających przez Graven oraz ich prawdopodobnych trasach. Jedwab, klejnoty, przyprawy, niewolnicy, bydło. Tak naprawdę, wcale nie pragnął rozstawać się z tymi wiadomościami. Nic nie ucieszyłoby go bardziej niż spokojny przejazd przez Graven i świadomość, że los uczestników karawan pozostaje w rękach bogów.

Kopyta kasztana robiły niewiele hałasu na śniegu, a Rek prowadził go łagodnym stępem, tak aby koń nie potknął się na jakimś ukrytym korzeniu. Zimno zaczynało przenikać przez ciepłe ubranie, a stopy wkrótce zmarzły w irchowych butach. Sięgnął do juków i wyjął parę rękawic z owczej skóry.

Koń z trudem posuwał się naprzód. W południe Rek zatrzymał się na krótki posiłek z suchego prowiantu, a konia uwiązał przy zamarznętym strumieniu. Grubym, vagriańskim sztyletem wyciął lód, napił konia i dał mu kilka garści owsa. Pogłaskał długą szyję, a kasztan natychmiast podniósł głowę i odsłonił zęby. Rek odskoczył do tyłu i wpadł w zaspę śnieżną.

Leżał tak przez chwilę, a potem uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że mnie nie lubisz – powiedział. Koń odwrócił się, żeby na niego spojrzeć i parsknął.

Zanim wstał z zasy, Rek popatrzył na zad konia. Przy ogonie dostrzegł cienkie jak nitki blizny. Łagodnie przesunął po nich ręką.

– A więc – powiedział – ktoś potraktował cię batem, co, Narcyzie? Jednak nie złamali twojego ducha, prawda, chłopcze?

Wskoczył na siodło. Przy odrobinie szczęścia, obliczał, powinien za pięć dni wyjechać z lasu.

Karłowate dęby o powykręcanych korzeniach rzucały złowrogie, mroczne cienie na szlak, a nocny wiatr szemrał w gałęziach, gdy Rek powiodł konia głębiej w las. Nad drzewami wstał

księżyc, oświetlając ścieżkę upiorną poświatą. Szczękając z zimna zębami Rek zaczął rozglądać się za odpowiednim miejscem na nocleg i po godzinie znalazł je, w niewielkim zagłębieniu przy zamrzniętym stawie. W krzakach opodał postawił prowizoryczną zagrodę, aby uchronić konia przed najostrejszym wiatrem, a potem rozniecił małe ognisko przy zwałonym dębie i ogromnym głazie. Osłonięty od wiatru, w ciepłe odbijającym się od kamienia, zagotował herbatę, która pomogła mu przełknąć suszoną wołowinę; potem owinął się kocem, oparł o dąb i obserwował

tańczące płomienie.

Chudy lis wytknął mordę spomiędzy krzewów i patrzył na ogień. Pod wpływem impulsu Rek rzucił mu pasek wołowiny. Zwierzę wodziło oczami od człowieka do mięsa, a potem doskoczyło, porwało zdobycz i zniknęło w ciemnościach. Rek wyciągnął dłonie nad ogniem i pomyślał

o Horebie.

Tęgi oberżysta wychowywał Ręka po tym, jak jego ojciec został zabity w północnych wojnach z Sathuli. Uczciwy, lojalny, silny i niezawodny – Horeb miał wszystkie te cechy. I był

dobry, był księciem wśród ludzi.

Rekowi udało się odwdziżyć mu pewnej pamiętnej nocy, kiedy trzech dezertarzy z Vagrii zaatakowali Horeba w alejce przy gospodzie.

Szczęśliwie Rek pił wtedy w oberży i gdy usłyszał szczęk stali, wyskoczył na zewnątrz.

W zaułku Horeb toczył przegraną bitwę, trzymając kuchenny nóż przeciwko ich mieczom.

Jednak starzec był wojownikiem i dobrze się poruszał. Rek zastygł w bezruchu, zapominając o własnym mieczu. Próbował poruszyć się, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wtem, jeden z mieczy ominął osłonę Horeba i otworzył głęboką ranę w jego nodze.

Rek wrzasnął i jego przerażenie zniknęło.

Krwawa potyczka zakończyła się w kilka sekund. Pierwszego z napastników położył cięciem w krtani, odparował cios drugiego i ramieniem pchnął trzeciego na ścianę. Horeb pochwycił tego ostatniego, obalił na ziemię i zadźgał kuchennym nożem. Drugi zbiegł w noc.

– Byłeś wspaniały, Rek – powiedział Horeb. Wierz mi, walczyłeś jak weteran.

Weterani nie drętwieją ze strachu, pomyślał Rek.

Dorzucił gałązki do ognia. Chmura przesłoniła księżyc i zahukała sowa. Rozdygotana dłoń Ręka zacisnęła się na rękojeści sztyletu.

Przeklęte ciemności, pomyślał. I do diabła ze wszystkimi bohaterami!

Przez jakiś czas był żołnierzem, stacjonował w Dros Corteswain i podobało mu się to. Jednak potem potyczki z Sathuli zamieniły się w wojnę graniczną i zabawa straciła urok. Radził sobie nieźle, awansował; starsi stopniem oficerowie mawiali, że ma świetne wyczucie taktyki. Lecz oni nie mogli wiedzieć o jego bezsennych nocach. Podwładni szanowali go, przypominał sobie.

Jednak tylko dlatego, że był przezorny, nawet ostrożny. Odszedł zanim zawiodły go nerwy.

– Czyś ty oszalał, Rek? – pytał go Gan Javi, gdy rezygnował ze służby. – Wojna się rozprzestrzeniła. Przybędą kolejne oddziały, a takiego dobrego oficera jak ty czeka pewny awans.

Po sześciu miesiącach zostaniesz setnikiem, albo lepiej. Może nawet otrzymasz ganowskiego orła.

– Wiem o tym, sir i proszę mi wierzyć, że żałuję, iż nie wezmę udziału w walce. Jednak to sprawa rodzinna. Do licha, pan wie, że dałbym sobie odciąć prawe ramię, żeby móc zostać.

– Wiem, mój chłopcze. I, na Missaela, będzie nam ciebie brakowało. Twoi ludzie będą wstrząśnięci. Jeśli zmienisz zdanie, czeka tu na ciebie miejsce. Zawsze. Jesteś urodzonym żołnierzem.

– Będę o tym pamiętał, sir. Dziękuję za wszelką pomoc i zachętę.

– I jeszcze jedno, Rek – powiedział Gan Javi, odchylając się do tyłu w swoim rzeźbionym krześle. – Czy znasz pogłoski o tym, że Nadirowie szykują marsz na południe?

– Zawsze krążą plotki na ten temat, sir – odpowiedział Rek.

– Wiem; od lat się je słyszy. Jednak Ulryk jest sprytny. Podbił już większość plemion i sędzę, że jest prawie gotowy.

– Przecież Abalayn właśnie podpisał z nim traktat powiedział Rek. – Pokój w zamian za koncesje handlowe i sfinansowanie przedsięwzięć budowlanych.

– Właśnie o tym myślę, chłopcze. Nie mam nic przeciw Abalaynowi; władza Drenajami od dwudziestu lat. Jednak nie powstrzymasz wilka, karmiąc go – wierz mi! Po prostu mówię ci, że niebawem tacy ludzie jak ty będą bardzo potrzebni, zatem nie zardzewiej.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali teraz Drenajowie, był człowiek, który bał się ciemności.

Oni potrzebowali drugiego Jednookiego Karnaka – tuzin takich jak on. Księcia z Brązu. Setkę takich jak Druss-Legenda. A gdyby nawet, jakimś cudem, znaleźli ich, czy nawet oni zdołaliby powstrzymać nadciągającą półmilionową armię?

Kto zdoła sobie choćby wyobrazić tyłu wojowników?

Rek wiedział, że przetoczą się przez Dros Delnoch jak wzburzone morze.

Nawet gdybym wierzył, że jest jakaś szansa i tak nie poszedłbym. Spójrz prawdzie w oczy, pomyślał Rek. Nawet gdyby zwycięstwo było pewne, nadal unikałbyś bitwy.

Za sto lat kogo będzie obchodziło, czy Dros Delnoch oparła się wrogom? Tak jak Skeln Pass, zostanie owiana legendą i sławiona w fantastycznych opowieściach.

Wojna!

Muchy siedzące jak czarna plama na wnętrznościach człowieka, który łka z bólu i zakrwawionymi palcami przytrzymuje jelita, czekając na cud. Głód, zimno, strach, choroba, gangrena, śmierć!

Wojna żołnierzy.

Tego dnia, gdy opuszczał Dros Corteswain, podszedł do niego jeden z szeregowców i nerwowym ruchem podał mu ciasno zapakowane zawiniątko.

– Od oddziału, sir – powiedział.

Rek otworzył je zmieszany, nie mogąc znaleźć właściwych słów i zobaczył błękitny płaszcz z zapięciem w kształcie orła z brązu.

– Nie wiem, jak mam wam wszystkim dziękować.

– Ludzie chcą, abym powiedział... no, przykro nam, że pan odchodzi. To wszystko, sir.

– Mnie też jest przykro, Korvac. Sprawy rodzinne, rozumiecie?

Żołnierz pokiwał głową, prawdopodobnie pragnął także mieć jakieś sprawy rodzinne, które usprawiedliwiłyby jego odejście z Dros. Jednak szeregowcy nie występowali z wojska; tylko członek klasy dunów mógł opuścić fortecę podczas wojny.

– A więc życzymy szczęścia, sir. Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję... wszyscy mamy nadzieję.

– Tak! Wkrótce.

To było przed dwoma laty. Gan Javi umarł na zawał serca, a kilku znajomych oficerów Ręka poległo w bitwach z Sathuli. Nie miał żadnych wieści o szeregowcach.

Dni mijały – zimne, ponure lecz szczęśliwie bez przygód – aż do ranka piątego dnia, gdy na szerokim trakcie, przechodzącym skrajem więzowego lasku, usłyszał najbardziej zniechęcony dźwięk: uderzenie stali o stal. Powinien był pojechać dalej; wiedział, że powinien. Tymczasem z jakiegoś powodu ciekawość przemogła strach. Wstrzymał konia, przesunął kołczan na plecy i napiął kościany łuk. Ostrożnie przeszedł między drzewami, a potem w dół po pokrytym śniegiem zboczach doliny. Posuwając się cicho i ostrożnie jak kot, dotarł do polany. Odgłosy walki niosły się echem po lesie.

Młoda kobieta w zbroi ze srebra i brązu stała oparta plecami o drzewo, rozpaczliwie odpierając połączony atak trzech bandytów – krzepkich, brodatych mężczyzn uzbrojonych w miecze i sztylety. Kobieta trzymała cieńsze ostrze: migoczący i tańczący rapier, którym z zabójczą szybkością zadawała pchnięcia i parowała ciosy.

Tamci trzej, w najlepszym wypadku niezdarni szermierze, przeszkadzali sobie nawzajem.

Jednak dziewczyna szybko opadała z sił.

Rek wiedział, że to ludzie Reinarda i przeklinał swoją ciekawość. Jeden z nich krzyknął, gdy rapier przeszył mu przedramię.

– A masz, podły robaku! – krzyknęła dziewczyna. Rek uśmiechnął się. Niezbyt piękna, ale umie machać mieczem.

Załoczył strzałę i czekał na właściwy moment, aby ją wypuścić. Dziewczyna uchyliła się przed morderczym cię – ciem i wbiła ostrze rapiera w oko przeciwnika. Kiedy krzyknął i upadł, pozostali dwaj odskoczyli, teraz atakowali ostrożniej, rozdzielwszy się, zachodzili z dwóch stron. Napadnięta obawiała się tego momentu, gdyż jedynym sposobem obrony pozostawała jej tylko ucieczka. Wodziła oczami od jednego napastnika do drugiego. Pozostało jej tylko zaatakować tego wysokiego, zapomnieć o tamtym i mieć nadzieję, że jego pierwszy cios nie będzie śmiertelny. Może zdoła zabrać ze sobą obydwu.

Ten wysoki przesunął się na lewo, podczas gdy jego towarzysz przeszedł na prawo. W tym momencie Rek puścił wymierzony w plecy wysokiego grot, który przeszył rzeźmieszkowi lewą łydkę. Szybko nałożył drugą strzałę, gdy zdumiony mężczyzna odwrócił się, zobaczył Ręka i pokuśtykał w jego stronę, wrzeszcząc wściekle.

Rek naciągnął cięciwę, aż dotknęła policzka, zablokował lewe ramię i zwolnił grot.

Tym razem wycelował nieco lepiej. Celował w pierś bo była najszersza – lecz strzała poszła wyżej. Bandyta legł na plecach, czarna strzała sterczała mu z czoła, a pienista krew splamiła biały śnieg.

– Długo trwało, zanim przyłączyłeś się do zabawy powiedziała chłodno dziewczyna, przestępując nad ciałem trzeciego bandyty i wycierając ostrze rapiera o jego koszulę.

Rek oderwał oczy od twarzy człowieka, którego zabił.

– Właśnie ocaliłem ci życie – odrzekł, powstrzymując gniewną ripostę.

Była wysoka i dobrze zbudowana, prawie jak mężczyzna, pomyślał Rek. Miała długie, zaniedbane włosy mysiego koloru. Oczy, niebieskie i głęboko osadzone pod gęstymi, ciemnymi brwiami, świadczyły o porywczym charakterze. Jej figurę skrywała kolczuga z posrebrzanej stali, z brązowymi naramiennikami; nogi okrywały bezkształtne, zielone, wełniane nogawice, przytrzymane na udach skórzanymi paskami.

– No, na co się tak gapisz? – zapytała. – Nigdy nie widziałeś kobiety?

– No cóż, to odpowiedź na pierwsze pytanie – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Jesteś kobietą.

– Ach, jakie to zabawne! – Podniosła leżący pod drzewem kożuszek, otrzepała go ze śniegu i włożyła na ramiona. Wcałe nie poprawił jej wyglądu, pomyślał Rek.

– Napadli mnie – powiedziała. – Ubili mi konia, dranie! Gdzie twój wierzchowiec?

– Twoja wdzięczność mnie rozbraja – powiedział Rek z lekkim gniewem w głosie. – To byli ludzie Reinarda.

– Naprawdę? Czy to twój przyjaciel?

– Niezupełnie. Jednak gdyby wiedział, co zrobiłem, upiekłby moje oczy na ogniu i podał mi je jako przystawkę.

– W porządku, rozumiem twoją postawę. Jestem niezmiernie wdzięczna. A teraz, gdzie twój koń?

Rek zignorował ją, zgrzytając zębami z gniewu. Podeszedł do zabitego bandyty i wyjął

z niego swoje strzały, wycierając je o kaftan tamtego. Potem metodycznie przeszukał kieszenie wszystkich trzech. Bogatszy o siedem srebrnych monet i kilka złotych pierścieni, wrócił do dziewczyny.

– Mój koń ma jedno siodło. Ja na nim jeżdżę – powiedział lodowatym tonem. – Chyba zrobiłem już dla ciebie wszystko, co mogłem. Teraz jesteś zdana na siebie.

– To niezbyt rycerski gest z twojej strony – powiedziała.

– Rycerskość nie jest moją mocną stroną – powiedział i odwrócił się.

– Ani celność strzałów – odparowała. – Co?

– Mierzyłeś w jego plecy z dwudziestu kroków, a trafiłeś w nogę. To dlatego, że zamknąłeś jedno oko, co psuje perspektywę.

– Dzięki za instruktaż łuczniczy. Powodzenia!

– Zaczekaj! – powiedziała. Odwrócił się. – Potrzebuję twojego konia.

– Ja też.

– Zapłacę ci.

– On nie jest na sprzedaż.

– Dobrze. To zapłacę ci, żebyś mnie zabrał do miejsca, gdzie będę mogła kupić konia.

– Ile? – zapytał.

- Jeden złoty Raq.
- Pięć – odrzekł.
- Mogłabym za to kupić trzy konie! – wybuchła.
- Mamy tu handel monopolistyczny – odpowiedział.
- Dwa i koniec.
- Trzy.
- W porządku, trzy. A teraz, gdzie jest twój koń?

– Najpierw pieniądze, moja pani. – Wyciągnął dłoń. Jej niebieskie oczy były lodowate, gdy wyjmowała monety ze skórzanej sakiewki i umieszczała je na jego dłoni. Nazywam się Regnak, dla przyjaciół Rek – powiedział.

– To mnie nie interesuje – zapewniła go.

ROZDZIAŁ 3

Jechali w milczeniu ponurym jak pogoda. Dziewczyna siedziała za nim w siodle. Mimo strachu, skręcającego mu wewnątrz, Rek oparł się pokusie, aby spiąć konia ostrogami i popędzić naprzód. Nie można powiedzieć, że żałował, iż ją uratował; przede wszystkim, to cudownie podnosiło jego poczucie wartości. Jednak lękał się ewentualnego spotkania z Reinardem. Ta dziewczyna na pewno nie usiedzi cicho, – gdy on będzie kłamał i schlebiał.

A nawet, gdyby jakimś szczęśliwym zrzędzeniem losu trzymała buzię na kłódkę, z pewnością doniosłaby, że udzielił informacji o trasach karawan.

Koń potknął się na ukrytym korzeniu i dziewczyna pochyliła się w bok. Ręka błyskawicznie chwyciła ją za ramię i wciągnęła z powrotem na siodło.

– Obejmij mnie w pasie, dobrze? – powiedział.

– Ile to będzie mnie kosztowało?

– Po prostu zrób to. Jest za zimno, aby się kłócić. Jej ręce objęły go, a głowa oparła się o jego plecy. Grube, ciemne chmury zasnuły niebo, a temperatura zaczęła spadać.

– Musimy wcześniej stanąć na nocleg – stwierdził. – Pogoda się psuje.

– Zgoda – powiedziała.

Zaczął padać śnieg, zerwał się wiatr. Rek pochylił głowę na wietrze, mrugając, gdy zimne płatki wpadały mu do oczu. Zjechał z traktu i poszukał schronienia między drzewami, mocno ściskając łęk

siodła, gdy koń wspinał się na strome wzniesienie.

Wiedział, że obozowanie na otwartej przestrzeni w czasie śnieżycy byłoby głupotą.

Potrzebowali jakiejś jaskini, a przynajmniej osłony z litej skały. Przez prawie godzinę parli naprzód, aż wreszcie znaleźli polanę otoczoną dębami i jałowcem. Na niej stała chata jakiegoś biednego chłopa, o ścianach z pni i glinianym dachu. Rek spojrział na kamienny komin: nie było dymu.

Piętami zmusił zmęczonego rumaka do pójścia naprzód. Do boku chaty tuliła się szopa zbudowana z trzech ścian i wiklinowego dachu, ugiętego pod ciężarem śniegu. Wprowadził tam zwierzę.

– Z konia – powiedział do dziewczyny, ale jej ręce nie puściły jego talii. Spojrział w dół. Były sine. Zaczął je energicznie rozcierać. – Obudź się! – krzyknął. – Obudź się, do cholery! –

Uwolnwszy się z jej objęć, ześliznął się z siodła i schwytał ją, zanim spadła. Usta miała sine, a włosy sztywne od lodu. Przerzucił ją przez jedno ramię, zdjął juki, poluzował popręg i zaniósł

dziewczynę do chaty. Drewniane drzwi były otwarte, a gdy wszedł do środka, do zimnego wnętrza wpadł śnieg.

Chata była jednoizbowa. Zobaczył łóżko w rogu pod jedynym oknem, palenisko, kilka prostych szafek i zapas drewna – wystarczający na dwie, może trzy noce – ułożony pod przeciwległą ścianą. Były też trzy krzesła i ława, niezgrabnie wycięta z pnia wiązu. Rek ułożył

nieprzytomną dziewczynę na łóżku, znalazł miotłę i usunął śnieg z pomieszczenia. Pchnął drzwi, żeby je zamknąć, lecz zbutwiały, skórzany zawias puścił i drzwi uchyliły się do środka. Klnąc, przyciągnął stół i podparł nim drzwi.

Szybko otworzył juki, wyjął hubkę i krzesiwo, po czym podszedł do paleniska. Ktokolwiek był właścicielem lub zbudował tę chatę, pozostawił na palenisku stos gotowy do rozpalenia, jak było to w zwyczaju na pustkowiach. Rek otworzył mieszek z hubką, zgarniając suche liście pod gałązki na ruszcie. Polał ten stosik olejem do latarni, który woził w skórzanym bukłaku, a potem uderzył w krzesiwo. Zmarznięte palce zdrętwiały mu i nie mógł skrzesać iskier, więc przerwał na moment i zmusił się, by wziąć kilka głębokich oddechów. Potem znów uderzył w krzesiwo i tym razem niewielki płomyk zamigotał i rozbłysnął. Rek pochylił się i delikatnie dmuchnął; a potem, gdy zajęły się gałązki, odwrócił się, by wybrać drobniejsze gałęzie, które ostrożnie ułożył na tłącym się palenisku. Płomienie podskoczyły wyżej.

Postawił dwa krzesła przy palenisku, umieścił na nich koce i wrócił do dziewczyny. Leżała na topornym łóżku, ledwie oddychając.

– To ta cholerna zbroja – powiedział. Manipulował przy paskach jej kaftana, przewracając dziewczynę na boki, aby go zdjąć. Szybko uwolnił ją od reszty ubrania i zaczął nacierać. Spojrział

na palenisko, dorzucił trzy polana, podsycając płomień, a potem rozłożył koce na podłodze przy ogniu. Podniósł dziewczynę z łóżka, przeniósł ją na legowisko i odwrócił na brzuch, aby rozetrzeć jej plecy.

– Tylko mi tu nie umieraj! – grzmiał, ugniatając mięśnie jej nóg. – Nie waż się, do diabła!

Wytarł jej włosy ręcznikiem i owinał ją kocami. Podłoga była zimna, a spod chaty wiało mrozem, więc przysunął łóżko do paleniska i napiął mięśnie, podnosząc ją z podłogi. Puls miała wolny, lecz miarowy.

Spojrzał na jej twarz. Była piękna. Wiedział, że nie piękna w klasycznym znaczeniu tego słowa, bo brwi miała bardzo gęste i nastroszone, brodę nieco kwadratową, a wargi zbyt pełne.

Jednak była w niej siła, odwaga i determinacja. Ale nie tylko to: we śnie jej twarz przybierała łagodny, dziecinny wyraz.

Pocałował ją delikatnie.

Zapinając guziki swojego kaftana odsunął stół i wyszedł na zewnątrz w zawieruchę. Koń przywitał go parskaniem. W szopie znalazł słomę; zrobił wiecheć i wytarł nim grzbiet konia.

– To będzie zimna noc, koniku. Jednak tutaj powinno ci być dobrze. – Okrył kocem szeroki grzbiet zwierzęcia, nakarmił je owsem i wrócił do chaty.

Dziewczyna odzyskała już rumieńce i spokojnie spała.

Przeszukawszy szafki, Rek znalazł stary żelazny rondel. Ze swoich juków wyjął funt suszonej wołowiny i zabrał się do gotowania zupy. Było mu już cieplej, więc zdjął płaszcz i kaftan. Na zewnątrz wiatr coraz silniej uderzał w ściany, w miarę jak wzmagająca się burza, lecz w chatce płonął ogień, a miękki, czerwony blask wypełniał pomieszczenie. Rek ściągnął buty i roztarł palce u nóg. Czuł się dobrze. Był żywy.

I cholernie głodny!

Z juków wyjął pokrytą skórą, glinianą miskę i spróbował zupy. Dziewczyna poruszyła się, a on przez chwilę rozmyślał, czy ją obudzić, ale zrezygnował. Taka jak teraz, była czarująca.

Obudzona, stawiała się nieznośna. Przewróciła się i jęknęła, wystawiając spod koca długą nogę.

Rek uśmiechnął się na wspomnienie jej ciała. Bynajmniej nie męskie!

Była duża, ale wspaniale zbudowana. Patrzył na jej nogę i uśmiech zniknął mu z twarzy.

Wyobraził sobie siebie nagiego obok niej...

– Nie, nie Rek – powiedział głośno. – Zapomnij o tym. Przykrył ją kocem i znów zajął się zupą. Bądź gotowy, powiedział sobie. Kiedy się zbudzi, oskarży cię, że ją wykorzystałeś i wydrapie ci oczy.

Owinał się płaszczem i wyciągnął przy ogniu. Podłoga była już cieplejsza. Dorzuciwszy polan do ognia, oparł głowę na rękach i patrzył na tancerzy w płomieniach, jak krążą i skaczą, skręcają się i

obracają...

Zasnął.

Obudził go zapach smażonego bekonu. Chata była ciepła, a jego ręka spuchnięta i zdrętwiała.

Wyprostował się, jęknął i usiadł. Dziewczyny nie było w polu widzenia. Nagle drzwi otworzyły się i weszła, strzepując śnieg z kaftana.

– Zajrzałam do twego konia – powiedziała. – Czy jesteś gotowy coś zjeść?

– Tak. Która godzina?

– Słońce weszło już jakieś trzy godziny temu. Śnieżyca ustaje.

Wyprostował obolałe ciało i rozciągnął zeszywniałe mięśnie pleców.

– Za długo wylegiwałem się w miękkich łóżkach Drenami – skomentował.

– To prawdopodobnie tłumaczy ten wydatny brzuch – zauważyła.

– Brzuch? Mam krzywy kręgosłup. A poza tym, to rozciągnięty mięsień. Spojrzał w dół. –

W porządku, to brzuch. Jeszcze kilka takich dni jak ten i zrzucę go.

– Nie wątpię – powiedziała. – Mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy to miejsce.

– Tak, mieliśmy. – Rozmowa urwała się, a dziewczyna przewróciła w naczyniu bekon. Rek czuł się nieswojo w tej ciszy, aż zaczęli mówić jednocześnie.

– To śmieszne – stwierdziła w końcu.

– Tak – zgodził się. – Ładnie pachnie ten bekon.

– Słuchaj... chcę ci podziękować. No właśnie... – jak powiedziałam.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A może zaczęlibyśmy wszystko od nowa, jakbyśmy dopiero co się spotkali? Mam na imię Rek. – Wyciągnął rękę.

– Virae – powiedziała, po żołniersku ściskając mu dłoń.

– Miło mi – przyznał. – A co cię sprowadza do lasu Graven, Virae?

– Nie twój przeklęty interes – warknęła.

– Myślałem, że zaczynamy na nowo.

– Przepraszam. Naprawdę! Słuchaj, niełatwo być miłą – ja niezbyt cię lubię.

– Skąd możesz to wiedzieć? Zamieniliśmy nie więcej niż dziesięć słów. Chyba trochę za wcześnie na ocenę charakteru, nieprawdaż?

– Znam takich jak ty – powiedziała. Biorąc dwa drewniane talerze, zwinnie wysypała na nie bekon z rondla i podała jeden Reкови. – Aroganckich. Uważających, że są istnym darem bożym dla świata. Obiboki.

– A co w tym złego? – odrzekł. – Nikt nie jest doskonały. Cieszę się życiem; mam je tylko jedno.

– Ludzie tacy jak ty zrujnowali ten kraj – oznajmiła mu. – Ludzie, którym na niczym nie zależy, żyjący dniem dzisiejszym. Chciwi i samolubni. Kiedyś byliśmy potęgą.

– Bzdury. Kiedyś byliśmy wojownikami, którzy narzucali światu zasady Drenajów. Niech to zaraza!

– Nie było w tym nic złego! Podbitym ludom świetnie się powodziło, czyż nie?

Budowaliśmy szkoły, szpitale, drogi. Wspieraliśmy handel i dawaliśmy światu prawa Drenajów.

– Więc nie powinnaś się zbytnio gniewać – zauważył – że świat się zmienia. Teraz będziemy mieli prawo Nadirów. Jedynym powodem tego, że Drenajom udało się podbić tyle ludów był

fakt, że one przeżyły już swój dzień.

Były grube i leniwe, pełne samolubnych, chciwych ludzi, których nic nie obchodziło.

Wszystkie narody upadają w ten sposób.

– Ach, więc jesteś również filozofem, tak? – powiedziała. – No cóż, uważam, że twoje opinie są równie bezwartościowe, jak ty sam.

– Och, teraz jestem bezwartościowy? Cóż ty wiesz o „bezwartościowości”, włączając się w męskim przebraniu? Jesteś imitacją wojownika. Jeśli tak ci zależy na utrzymaniu drenajskich wartości, to dlaczego nie wybierzesz się wraz z innymi głupcami do Dros Delnoch i nie pomachasz Nadirom swoim ślicznym, małym mieczykiem?

– Właśnie stamtąd jadę i wracam tam, jak tylko dokonam tego, po co wyruszyłam –

oświadczyła lodowato.

– W takim razie jesteś idiotką – zakończył kulawo.

– Byłeś kiedyś żołnierzem, prawda? – zapytała.

– A cóż cię to obchodzi?

– Dlaczego opuściłeś armię?

– Nie twój przeklęty interes. – Przerwał, a potem, by przełamać dziwną ciszę, kontynuował:

– Przed wieczorem powinniśmy być w Glen Frenae; to tylko mała wioska, ale sprzedają tam konie.

W milczeniu dokończyli posiłek. Rek czuł się nieswojo i był zły, lecz nie potrafił pokonać dzielącej ich przepaści. Dziewczyna oczyściła talerze i umyła rondel; wyglądała dziwnie w swej kolczudze.

Virae była wściekła na siebie. Nie chciała się z nim kłócić. Kiedy spał, przez całe godziny chodziła na palcach, aby go nie zbudzić. W pierwszej chwili po przebudzeniu była zła i skępowana tym, co zrobił, ale wiedziała dostatecznie dużo o odmrożeniach, aby zdawać sobie sprawę z tego, iż ocalił jej życie. I nie wykorzystał jej. Gdyby to zrobił, zabiłaby go bez żalu czy wahania. Przypatrywała mu się, gdy spał. Jest na swój sposób przystojny, pomyślała, a potem zdecydowała, że choć spełniał kanony męskiej urody, to interesującym czyniła go pewna, trudna do zdefiniowania cecha – może łagodność? Wrażliwość? Trudno to było określić.

Dlaczego wydawał się jej taki atrakcyjny? Irytowało ją to; nie miała teraz czasu na romans.

Nagle uderzyła ją gorzka myśl: nigdy dotąd nie miała czasu na romanse. A może to romans nie miał nigdy czasu dla niej? Jako kobieta była niezdarna, niepewna siebie w towarzystwie mężczyzn, chyba że chodziło o walkę lub braterstwo broni. Powróciły do niej jego słowa: „Cóż ty wiesz o bezwartościowości, włączając się w męskim przebraniu”?

Dwukrotnie ocalił jej życie. Dlaczego powiedziała, że go nie lubi? Ze strachu?

Słyszała jak wychodzi z chaty i nagle dobiegł ją obcy głos.

– Regnak, mój miły! Czy to prawda, że masz tam w środku kobietę?

Sięgnęła po miecz.

ROZDZIAŁ 4

Opat położył ręce na głowie klęczącego przed nim młodego albinosa i zamknął oczy.

Zgodnie z regułą zakonu, przemówił do niego językiem myśli.

– Czy jesteś gotowy?

– Skąd mogę wiedzieć? – odpowiedział albinos.

– Oddaj mi swój umysł – powiedział opat. Młodzieniec odprężył się i jego wyobraźnię wypełnił obraz łagodnej twarzy opata. Myśli zawirowały, splatając się ze wspomnieniami starca.

Mocna osobowość opata spowiła jego własną jak przytulny pled i zapadł w sen.

Uwolnienie było bolesne i jego obawy powróciły, gdy opat zbudził go. Znowu był

Serbitarem, znów odzyskał władzę nad swoimi myślami.

– Czy jestem gotów? – zapytał.

– Będiesz. Przybywa posłaniec.

– Czy jest godny?

– Oceń sam. Podążaj za mną do Graven.

Ich duchy wzbily się w powietrze, splotły się, wysoko ponad klasztorem, swobodne jak zimowy wiatr. Pod nimi leżały pokryte śniegiem pola na granicy lasów. Opat prowadził ich naprzód, nad drzewami. Na polance obok chaty stała grupa mężczyzn przed wejściem, w którym widać było wysokiego młodzieńca, a za nim kobietę z mieczem w dłoni.

– Który z nich jest posłańcem? – zapytał albinos.

– Patrz – odpowiedział opat.

Ostatnio nic nie działo się po myśli Reinarda. Karawana odparła atak, zadając im ciężkie straty, a o świcie znaleziono zwłoki trzech kolejnych ludzi z bandy, wśród nich jego brata Erlika.

Jeniec, którego pojmał przed dwoma dniami, umarł ze strachu, zanim zaczęła się prawdziwa zabawa, a pogoda bardzo się pogorszyła. Prześladował go pech i Reinard zachodził w głowę, aby znaleźć przyczynę.

– Przeklęty jasnowidz – pomyślał z goryczą, wiodąc swych ludzi w stronę chaty. Gdyby nie zapadł w jedną ze swych trzydniowych drzemek, można byłoby uniknąć ataku na karawanę.

Reinard igrał przez chwilę z myślą, aby obciąć mu stopy w czasie snu, lecz zdrowy rozsądek oraz chciwość powstrzymały go od tego kroku. Jasnowidz był bezcenny. Właśnie budził się z transu, gdy Reinard przyniósł do obozowiska ciało Erlika.

– Widzisz, co się stało, kiedy spałeś? – zagrzemiał Reinard, – Straciłeś ośmiu ludzi w nieudanym napadzie, a kobieta usiekła Erlika i tego drugiego, po tym jak zabili jej konia –

odparł Jasnowidz. Reinard spojrzał ostro na starca, wbijając wzrok w jego puste oczodoły.

– Kobieta, mówisz?

– Tak.

– Zabito trzech ludzi. Co z trzecim?

– Dostał strzałę w czoło.

– Kto ją wystrzelił?

– Człowiek zwany Regnakiem-Wędrowcem, który bywa tutaj czasami.

Reinard potrząsnął głową. Służąca przyniosła mu kielich korzennego wina, a on zasiadł na kamieniu przy płonącym ogniu.

– To niemożliwe; nie ośmieliłby się! Jesteś pewien, że to był on?

– To był on – powiedział Jasnowidz. – A teraz muszę odpocząć.

– Zaczekaj! Gdzie oni teraz są?

– Dowiem się – odrzekł starzec, wracając do swej chaty. Reinard zażądał jedzenia i przywołał Grussina. Rębacz przykucnął na ziemi przed nim.

– Słyszałeś? – zapytał.

– Tak. Wierzysz w to? – odpowiedział Grussin.

– To niedorzeczne. Jednak czy ten starzec kiedykolwiek się pomylił? Czyżbym się starzał?

Jeśli taki tchórz jak Rek atakuje moich ludzi, to muszę coś zrobić źle. Upiekę go za to na wolnym ogniu.

– Zaczyna, nam brakować żywności – powiedział Grussin.

– Słucham?

– Brakuje żywności. To była długa zima i potrzebowaliśmy tej cholерnej karawany.

– Będą następne. Najpierw musimy znaleźć Ręka.

– Czy warto? – spytał Grussin.

– Warto? Pomógł jakiejś kobiecie zabić mojego brata. Chcę ją schwytać i oddać na uciechę moim ludziom. Chcę ją obdzierać ze skóry małymi kawałeczkami od stóp aż po szyję. A potem niech się nią zajmą psy.

– Czegokolwiek sobie życzysz.

– W twoim głosie nie słyszę entuzjazmu – powiedział Reinard, ciskając opróżnioną miską w ognisko.

– Nie? No cóż, może to ja się starzeję. Kiedy tu przybyliśmy, wszystko wydawało się mieć sens. Teraz przestaję go widzieć.

– Przyszliśmy tutaj, bo Abalayn i jego hołota odebrała mi farmę i wymordowała rodzinę. Ja o tym nie zapomniałem. Czyżbyś mięknął?

Grussin dostrzegł błysk w oczach Reinarda.

– Nie, oczywiście, że nie. Ty jesteś przywódcą i zgadzam się ze wszystkim, co powiesz.

Znajdziemy Ręka i tę kobietę. Odpocznij trochę.

– Do diabła z odpoczynkiem – wymamrotał Reinard. – Śpij, jeśli musisz. Wyruszamy, jak tylko starzec wskaże nam drogę.

Grussin poszedł do swojej chaty i rzucił się na posłanie z paproci.

– Martwisz się? – zaniepokoiła się jego kobieta, Mella, po czym uklękła przy nim, podając mu wino.

– Co byś powiedziała, gdybyśmy odeszli – zapytał, kładąc ciężką rękę na jej ramieniu.

Pochyliła się i pocałowała go. – Dokądkolwiek pójdziesz, będę z tobą – powiedziała.

– Jestem tym zmęczony – rzekł. – Zmęczony zabijaniem. Z każdym dniem staje się to bardziej bezsensowne. On chyba oszalał.

– Ciii! – szepnęła przezornie. Nachyliła się do jego brodatej twarzy i szepnęła mu do ucha. –

Nie mów głośno o swych obawach. Możemy odejść w tajemnicy wiosną. Do tego czasu zachowaj spokój i słuchaj jego rozkazów.

Przytaknął z uśmiechem i ucałował jej włosy. – Masz rację – powiedział. – Pośpijmy.

Zwinęła się w kłębek u jego boku, a on okrył ją kocem.

– Nie zasługuję na ciebie – powiedział, gdy zamykała oczy.

Kiedy popełnił błąd? Gdy byli młodzi i pełni zapału, okrucieństwo Reinarda objawiało się rzadko, było środkiem do stworzenia legendy. Przynajmniej tak to tłumaczył. Mieli być cierniem w boku Abalayna, walczyli o sprawiedliwość. Minęło już dziesięć lat. Dziesięć nieszczęsnych, krwawych lat.

Czy ich sprawa była kiedykolwiek słuszna?

Grussin miał taką nadzieję.

– To co, idziesz? – Reinard zapytał od drzwi. – Są w starej chacie.

Maszerowali długo i w dokuczliwym zimnie, lecz Reinard prawie tego nie odczuwał. Gniew zagrzewał go, a perspektywa zemsty dodawała sił, więc szybko pokonywali kolejne mile.

Jego umysł wypełniły obrazy słodkich tortur i odgłosy jęków. Najpierw weźmie kobietę i potnie jej skórę gorącym nożem. Podniecenie rozgrzało mu lędźwia.

A jeśli chodzi o Ręka... Wiedział, co zobaczy na twarzy Ręka, kiedy się spotkają.

Strach! Paraliżujący myśli, otępiający strach!

Jednak pomylił się.

Rek wyszedł z chaty, trzęsąc się z wściekłości. Pogarda na twarzy Virae była trudna do zniesienia. Tylko gniew pozwalał o tym zapomnieć. I to z trudem. Przecież nic nie poradzi na to, że jest właśnie taki. Niektórzy ludzie urodzili się bohaterami. Inni tchórzami. Jakie miała prawo, aby go osądzać?

– Regnak, mój miły! Czy to prawda, że masz tam w środku kobietę?

Rek obrzucił ich szybkim spojrzeniem. Ponad dwudziestu bandytów stało półkolem za swym wysokim, barczystym przywódcą. Obok niego był Grussin – rębacz, ogromny i mocarny, z obosiecznym toporem w garści.

– Witaj, Rein – powiedział Rek. – Co cię tu sprowadza?

– Słyszałem, że masz ciepłutką towarzyszkę i pomyślałem: „Dobry, stary Rek, na pewno się ze mną podzieli”. Postanowiłem zaprosić cię do mojego obozu. Gdzie ona jest?

– Ona nie jest dla ciebie, Rein. Jednak dobijmy targu. Nadjeżdża karawana...

– Do diabła z karawaną! – wrzasnął Reinard. – Przyprowadź mi tę kobietę!

– Przyprawy korzenne, klejnoty, futra. To duża karawana – powiedział Rek.

– Opowiesz nam o tym podczas marszu. Teraz tracę cierpliwość. Przyprowadź ją!

Rek wpadł w gniew i błyskawicznie wyrwał miecz z pochwy.

– Zatem chodźcie i weźcie ją sobie, dranie!

Virae wyszła z sieni i stanęła obok niego z rapierem w ręku, zaś bandyci sięgnęli po broń i ruszyli ławą.

– Stójcie! – rozkazał Reinard, podnosząc rękę. Z wymuszonym uśmiechem, podszedł bliżej.

– Posłuchaj, Rek. To nie ma sensu. Nie mamy o nic do ciebie pretensji. Jesteś przyjacielem.

A cóż znaczy dla ciebie ta kobieta? Zabiła mojego brata, więc widzisz, że to sprawa honoru.

Schowaj miecz i będziesz mógł odjechać. Jednak ją chcę mieć żywą.

– I ciebie też, pomyślał.

– Chcesz, to ją bierz! – rzekł Rek. – I mnie także. No, chodź, Rein. Pamiętasz jeszcze, do czego służy miecz? A może zrobisz to, co zwykle i schowasz się między drzewa, pozwalając by twoi ludzie umierali za ciebie? No, zmykaj, ty gnido! – Rek skoczył do przodu, a Reinard umknął

w tył i zderzył się z Grussinem.

– Zabij jego, ale nie kobietę – powiedział. – Chcę ją mieć żywą.

Grussin ruszył naprzód, kołysząc toporem. Virae przysunęła się i stanęła u boku Ręka.

Rębacz przystanął dziesięć kroków przed nimi i jego oczy napotkały spojrzenie Regnaka: nie było w nim uległości. Zmierzył wzrokiem kobietę. Młoda, śmiała – nie piękna, ale przystojna dziewczka.

– Na co czekasz, ośle! – ryknął Reinard. – Bierz ją! Grussin odwrócił się i podszedł do grupy. Ogarnęło go poczucie nierealności. Nagle ujrzał siebie jako młodzieńca oszczędzającego na swe pierwsze gospodarstwo; miał pług, który był własnością ojca oraz sąsiadów, gotowych pomóc mu postawić dom pod wiązowym lasem. Co zrobił z tymi latami?

– Ty zdrajco! – krzyknął Reinard, wyciągając miecz.

Grussin z łatwością odparował cios.

– Zapomnij o tym, Rein. Chodźmy do domu.

– Zabić go! – rozkazał Reinard. Mężczyźni spojrzeli po sobie, niektórzy gotowi natrzeć, inni z wahaniem. – Ty draniu! Zdradziecki pomociu! – wrzasnął Reinard, ponownie zamierzając się mieczem. Grussin nabrał tchu w płuca, oburącz podniósł topór i roztrzaskał miecz na kawałki.

Ostrze ześliznęło się po strzaskanej rękojeści i uderzyło w bok zbójckiego wodza. Ten ukląkł, a potem zgiął się wpół. Grussin zrobił krok do przodu, topór uniósł się i opadł, a głowa Reinarda potoczyła się po śniegu. Grussin rzucił broń i podszedł do Ręka.

– Nie zawsze był taki, jakim go znałeś – powiedział.

– Dlaczego? – zapytał Rek, opuszczając miecz. Dlaczego to zrobiłeś?

– Kto wie? Wcale nie dla ciebie – czy dla niej. Może po prostu miałem już dość. Co z tą karawaną?

– To nie była prawda. – skłamał Rek.

– Dobrze. Nie spotkamy się więcej. Opuszczam Graven. Czy to twoja kobieta?

– Nie.

– Mogłeś trafić gorzej.

– Oczywiście.

Grussin odwrócił się, podszedł do ciała i podniósł topór.

– Bardzo długo byliśmy przyjaciółmi – rzekł. – Zbyt długo.

Nie oglądając się, poprowadził grupę z powrotem w las.

– Wprost nie mogę w to uwierzyć – powiedział Rek. – To istny cud.

– Dokończmy śniadanie – zaproponowała Virae. Zagotuję herbatę.

Wewnątrz chaty Rek zaczął dygotać. Usiadł, a jego miecz klekotał o podłogę.

– Co z tobą? – zapytała Virae.

– To z zimna – odparł szcękając zębami. Uklękła przy nim i nic nie mówiąc masowała mu ręce.

– Herbata pomoże – orzekła. – Czy masz cukier?

– Jest w moich jukach, zawinięty w czerwony papier. Horeb wie, że lubię słodczyce.

Zazwyczaj zimno nie wpływa na mnie w ten sposób – przepraszam!

– Nic nie szkodzi. Mój ojciec zawsze mówi, że nie ma to jak słodka herbata... na zimno.

– Zastanawiam się, jak nas znaleźli – powiedział. – Przecież wczorajsza śnieżycyca musiała zasypać ślady. To dziwne.

– Nie wiem. Masz, wypij.

Powoli pił herbatę, trzymając oprawiony w skórę kubek w obu dłoniach. Gorąca ciecz oblewała mu palce. Virae zajęła się sprzątaniem i pakowaniem jego juków. Potem zmiotła popioły z paleniska i ułożyła stos drew dla następnego podróżnego, który zechce skorzystać z chaty.

– Co robisz w Dros Delnoch? – zapytał Rek, gdy gorący słodki napój złagodził napięcie.

– Jestem córką księcia Delnara – powiedziała. – Mieszkam tam.

– Czy wyprawił cię z domu z powodu nadchodzącej wojny?

– Nie. Zawiozłam wieści do Abalayna, a teraz mam wiadomość dla kogoś innego. Kiedy ją przekażę, wracam do domu. Czujesz się już lepiej?

– Tak – powiedział Rek. – O wiele lepiej. – Zawahał się, wytrzymując jej spojrzenie. – To nie tylko z zimna – powiedział.

– Wiem: to bez znaczenia. Każdy drży po walce. Ważne jest to, co robi w jej trakcie. Ojciec opowiadał mi, że po Skeln Pass przez miesiąc miał nocne koszmary.

– Ty nie drzysz – zauważył.

– To dlatego, że się krzątam. Chcesz jeszcze herbaty?

– Tak. Dziękuję. Myślałem, że umrzemy. I przez jedną chwilę nie dbałem o to – to było cudowne uczucie.

Chciał jej powiedzieć jak dobrze było mieć ją obok siebie, ale nie potrafił. Miał ochotę przejść przez izbę i objąć – Jestem tego świadom. Czy ty wiesz dlaczego?

– Nie.

– A mężczyzna?

– Nie wchodziłem do jego umysłu.

– Nie. Ale co z nim?

– On się lęka. Boi się umrzeć.

– Czy to słabość? – zapytał opat.

– Stanie się słabością w Dros Delnoch. Śmierć tam jest prawie pewna.

– Tak. Czy może to być jego siłą?

– Nie wiem w jaki sposób – przyznał Serbitar.

– A co mówi filozof o tchórzach i bohaterach?

– Prorok mówi: „Z samej definicji tylko tchórza stać na najwyższy heroizm.” – Musisz zebrać Trzydziestu, Serbitarze.

– Czy ja mam przewodzić?

– Tak. Ty będziesz głosem Trzydziestu.

– A kim będą moi bracia? Opat wyprostował się na krześle.

– Arbedark będzie sercem. Jest silny, nieulekły i prawdomówny, nikt nie będzie lepszy.

Menahem będzie oczyma, bowiem natura obdarzyła go szczodrą. Ja będę duszą.

– Nie! – zaprotestował albinos. – Tak nie może być, mistrzu. Ja nie mogę być twoim przywódcą.

– Jednak musisz. Ty zdecydujesz o innych liczbach. Czekam na twą decyzję.

– Dlaczego ja? Dlaczego ja muszę przewodzić? Powinienem być oczami. To Arbedark powinien przewodzić.

– Zaufaj mi. Wszystko zostanie objawione.

– Wychowano mnie w Dros Delnoch – opowiadała Virae Reкови, gdy leżeli przed płonącym paleniskiem. Jego głowa spoczywała na zwiniętym płaszczu, a jej na piersi mężczyzny.

W milczeniu gładził jej włosy. – To wspaniałe miejsce. Czy byłeś tam kiedyś?

– Nie. Opowiedz mi o nim. – Tak naprawdę nie chciał słuchać, ale nie śmiał jej tego powiedzieć.

– Ma sześć zewnętrznych murów, każdy o grubości dwudziestu stóp. Pierwsze trzy zbudował

Egel, Książę z Brązu. Później miasto rozrosło się i stopniowo dobudowano pozostałe trzy. Cała forteca zajmuje przełęcz Delnoch. Z wyjątkiem Dros Purdol na zachodzie i Corteswain na wschodzie, to jedyna droga, jaką armia może przejść przez góry. Mój ojciec przebudował stary kasztel i zmienił go w swój dom. Z górnych wieżyczek rozciąga się przepiękny widok. Latem, na południu, cała równina Sentran złoci się zbożem. Na północ nie widać horyzontu. Czy mnie słuchasz?

– Tak. Złote widoki. Nie widać horyzontu – powiedział miękko.

– Jesteś pewien, że chcesz tego słuchać?

– Tak. Opowiedz mi jeszcze raz o murach.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jakie są grube?

– Są również wysokie na sześćdziesiąt stóp, a co pięćdziesiąt kroków wystają z nich wieżyczki. Każda armia, która zaatakuje Dros, poniesie przerażające straty.

– A bramy? – zapytał. – Mur jest tak mocny jak brama, którą osłania.

– Książę z Brązu pomyślał o tym. Każda z bram osadzona jest za żelaznym portykiem i wykonana z warstw brązu, żelaza i dębu. Za bramami znajdują się tunele, które zwężają się pośrodku i zanim wyprowadzą na dziedziniec między murami. Taki tunel można utrzymać przeciwko ogromnej liczbie ludzi. Cała twierdza jest pięknie zaprojektowana; psuje ją jedynie miasto.

– W jaki sposób? – powiedział.

– Pierwotnie Egel zaplanował przestrzeń między murami w taki sposób, aby mieć tam otwarte pole rażenia. Podłoże wznosi się stromo do następnego muru, co opóźnia ruchy przeciwnika. Mając odpowiednią liczbę łuczników, można tam zrobić prawdziwe piekło napastnikowi. Ma to swoje znaczenie z psychologicznego punktu widzenia. Nim zdobędą następny mur – jeśli w ogóle – wiedzą, że za nim będzie następne pole rażenia.

– W jaki sposób szkodzi temu miasto?

– Rozrosło się. Teraz zabudowania ciągną się aż do szóstego muru. Pole rażenia przepadło.

Obecnie jest wprost przeciwnie – na całej długości powstały dodatkowe osłony.

Przewrócił się i pocałował jej brew.

– A to za co? – zapytała.

– A czy musi być za coś?

– Wszystko ma swoją przyczynę – powiedziała. Znow ją pocałował.

– To za Księcia z Brązu – powiedział. – Albo za nadejście wiosny. Albo za płatek śniegu, który się roztopił.

– To nie ma żadnego sensu – odpowiedziała mu.

– Dlaczego pozwoliłaś, abym się z tobą kochał? zapytał.

– Cóż to za pytanie?

– Dlaczego?

– Nie twój cholerny interes! – powiedziała. Roześmiał się i znow ją pocałował.

– To prawda, moja pani. Masz zupełną rację. To nie mój interes.

– Kpisz ze mnie – powiedziała, próbując się podnieść.

– Nonsens – odpowiedział i udaremnił ten zamiar. – Jesteś piękna.

– Nie, nie jestem. Nigdy nie byłam. Ty naprawdę ze mnie drwisz.

– Nigdy nie będę z ciebie drwił. I jesteś piękna. Im dłużej na ciebie patrzę, tym stajesz się piękniejsza.

– Jesteś głupcem. Pozwól mi wstać.

Pocałował ją znowu i przysunął się do niej blisko. Pocałunek przedłużył się, oddany przez nią.

– Opowiedz mi jeszcze o Dros – powiedział w końcu.

– Nie chcę o tym teraz mówić. Droczysz się ze mną, Rek; nie zgadzam się. Nie chcę o tym myśleć dziś wieczorem, już nie. Czy wierzysz w przeznaczenie?

– Teraz wierzę. Prawie.

– Mówię poważnie. Wczoraj nie przeszkadzało mi to, że mam wrócić do domu i stawić czoło Nadirom. Wczoraj wierzyłam w sprawę Drenajów i chciałam za nią umrzeć. Wczoraj nie bałam się.

– A dziś? – zapytał.

– Dziś, gdybyś mnie poprosił nie wróciłabym do domu. – Kłamała, choć nie wiedziała dlaczego. Poczwała nagły strach, gdy Rek zamknął oczy i położył się na plecach.

– Tak. Wróciłabyś – powiedział. – Musisz.

– A ty?

– To nie ma sensu – odrzekł.

– Co nie ma sensu?

– Nie wierzę w to, co czuję. Zawsze tak było. Mam prawie trzydzieści lat i znam świat.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o losie. Przeznaczeniu. O starym człowieku w poszarpanych, błękitnych szatach, bez oczu. Mówię o miłości.

– Miłości?

Otworzył oczy, wyciągnął rękę i pogłaskał jej policzek.

– Nie potrafię powiedzieć ci, ile to dla mnie znaczyło, gdy stanęłaś obok mnie dzisiejszego ranka. To była najwspanialsza chwila w moim życiu. Nic innego nie miało znaczenia. Widziałem niebo – było bardziej błękitne niż zwykle. Wszystko było nadzwyczaj ważne. Bardziej niż kiedykolwiek byłem świadomy tego, że żyję. Czy to ma jakiś sens?

– Nie – przyznała łagodnie. – Raczej nie. Czy naprawdę myślisz, że jestem piękna.?

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek nosiła zbroję – powiedział, uśmiechając się.

– To nie jest odpowiedź. Dlaczego jestem piękna?

– Bo cię kocham – oznajmił, zdumiony łatwością, z jaką wypowiedział te słowa.

– Czy to oznacza, że jedziesz ze mną do Dros Delnoch?

– Opowiedz mi jeszcze o tych pięknych, wysokich murach – poprosił.

ROZDZIAŁ 5

Teren klasztoru był podzielony na pola ćwiczebne, jedne z kamienia, inne trawiaste, a jeszcze inne piaszczyste lub pokryte zdradziecko śliskim łupkiem. Sama kaplica stała pośrodku tego terenu i była przystosowanym do tego celu stołpem z szarego kamienia, z widocznymi resztkami dawnych umocnień. Otaczały ją poczwórne mury i fosa, obwarowania dobudowano później ze złotego

piaskowca. Przy zachodniej ścianie, osłonięte szkłem i kwitnące poza sezonem, rosły kwiaty w trzydziestu różnych odcieniach. Wyłącznie róże.

Albinos Serbitar klęczał przy swoim krzewie, jednocząc umysł z rośliną. Po trzynastu latach walki z różą zrozumiał ją. Osiągnął empatię. Osiągnął harmonię.

Wydzielała zapach przeznaczony wyłącznie dla Serbitara. Mszyce na róży kurczyły się i ginęły pod spojrzeniem albinosa, a delikatne, aksamitne piękno kwiatów wypełniało jego zmysły jak narkotyk.

Była to biała róża.

Serbitar usiadł na piętach, zamknął oczy i podążył myślą za falą nowego życia wewnątrz krzaka. Miał na sobie pełen rynsztunek, składający się ze srebrnej kolczugi, miecza i pochwy oraz skórzanych nogawic ozdobionych srebrnymi pierścieniami; obok leżał nowy, srebrny hełm z napisem „I” w dawnych runach. Jego białe włosy lekko się kręciły, oczy miał zielone, koloru różanych liści. Szczupła twarz o wydatnych kościach policzkowych, opiętych przezroczystą skórą, tchnęła mistycznym pięknem oblicza suchotnika.

Żegnał się, łagodnie pokonując strach, który wyczuwał w roślinie. Znała go od chwili, gdy rozwinął się jej pierwszy liść.

A teraz miał umrzeć.

W jego wyobraźni pojawiła się uśmiechnięta twarz, w której Serbitar raczej wyczuł niż rozpoznał Arbedarka. Czekamy na ciebie, usłyszał niemy rozkaz.

Idę, odparł.

Wewnątrz wielkiej sali ustawiono stół, a przed każdym z trzydziestu miejsc postawiono dzban wody i jęczmienny placek. Trzydziestu mężczyzn siedziało w milczeniu, gdy wszedł

Serbitar i zajął miejsce u szczytu stołu, skłoniwszy się opatowi Vintarowi, który siedział teraz po jego prawicy.

Jedli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, analizując swoje emocje w tym kulminacyjnym momencie ich trzynastoletniego szkolenia.

Na koniec przemówił Serbitar, dopełniając rytuału nakazywanego przez regułę zakonu.

– Bracia, czeka nas próba. My, którzy poszukiwaliśmy, musimy odebrać to, co jest naszym celem. Z Dros Delnoch przybywa posłaniec, aby zażądać naszej śmierci. Co czuje w tej chwili serce Trzydziestu?

Wszystkie oczy zwróciły się ku czarnobrodemu Arbedarkowi. Ten oswobodził swój umysł, pozwalając uczuciom płynąć falą, dobierając myśli, rozważał je i stapiał w jedną, unifikującą ideę akceptowaną przez wszystkich.

Potem przemówił, głębokim i dźwięcznym głosem.

– Rzecz w tym, że dzieciom Drenajów grozi zagłada. Ulryk zebrał pod swym sztandarem liczne plemiona Nadirów. Pierwszy atak na imperium Drenajów nastąpi pod Dros Delnoch, którą księżę Delnar musi, zgodnie z rozkazem, utrzymać do jesieni. Abalayn potrzebuje czasu, by zgromadzić i wyszkolić armię.

– Nadchodzi zwrotny punkt w dziejach kontynentu. Serce mi podpowiada, że powinniśmy poszukiwać naszej prawdy w Dros Delnoch.

Serbitar zwrócił się do Menahema, młodzieńca z orlim nosem, ciemnowłosego i smagłego, który nosił włosy upięte w kucyk, przeplecione srebrną nicią. – A jak widzą tę sprawę oczy Trzydziestu?

– Jeśli pójdziemy do Dros, twierdza upadnie – powiedział Menahem. – Jeżeli odmówimy, także upadnie. Nasza obecność opóźni jedynie to, co nieuniknione. Jeżeli posłaniec okaże się godzien tego, by żądać naszej śmierci, powinniśmy pójść.

Albinos zwrócił się do opata.

– Vintarze, co mówi dusza Trzydziestu?

Starszy mężczyzna przesunął smukłą dłońią po rzednących włosach, potem wstał i uklonił się Serbitarowi. W zbroi ze srebra i brązu wyglądał jak przypadkowy gość.

– Będziemy musieli zabijać ludzi innej rasy – powiedział łagodnym, a nawet smutnym głosem. – Będziemy musieli zabijać ich nie dlatego, że są źli, ale ponieważ ich wodzowie zechcą zrobić to, co sami Drenajowie zrobili sześć wieków temu.

– Znajdujemy się między morzem i górami. Morze rozgniecie nas na skałach gór i zginiemy.

Góra przytrzyma nas przeciw morzu, pozwalając, aby nas zgmiotło. I tak zginiemy.

– Jesteśmy tu wszyscy mistrzami broni. Poszukujemy doskonałej śmierci dla zrównoważenia nieskazitelnego życia. To prawda, że najazd Nadirów nie jest niczym nowym w historii świata.

Jednak ich działania przyniosą niewyobrażalne nieszczęścia Drenajom. Możemy powiedzieć, że dla obrony tych ludzi zawieszamy reguły naszego zakonu. Fakt, że przełamią naszą obronę to nie powód, aby unikać bitwy. Ważne są motywy, a nie rezultaty.

– Ze smutkiem, lecz dusza każe nam iść do Dros Delnoch.

– A więc tak – powiedział Serbitar. – Zgadzą się. Ja również jestem o tym głęboko przekonany. Przybyliśmy do tej świątyni jako wygnańcy ze świata. Wystrzegał się nas i obawiał, zebraliśmy się więc tutaj, aby zmienić to wyobrażenie o nas. Nasze ciała staną się żywą bronią, a nasze umysły przełamią barierę pacyfizmu. Jesteśmy wojownikami-mnichami, jakimi nigdy nie byli Starsi. W naszych sercach nie będzie radości, gdy będziemy zabijać wrogów, bowiem miłujemy wszelkie życie.

– Kiedy umrzemy, nasze dusze uwolnią się z pęt, rozrywając okowy świata. Wszystkie drobne zazdrości, intrygi i nienawiści zostaną za nami w naszej podróży do Źródła.

– Głos każe nam jechać.

Księżyc trzeciej kwadry wisiał na bezchmurnym niebie, rzucając blade cienie drzew na ognisko Ręka. Pechowy królik, wypatroszony i oblepiony gliną, leżał na węglach, gdy Virae powróciła ze strumienia, wycierając nagą, górną połowę swojego ciała jedną z zapasowych koszul Ręka.

– Gdybyś tylko wiedziała, ile ona kosztowała! – powiedział, gdy usiadła na skale przy ognisku, a jej ciało zalśniło złotem w blasku tańczących płomieni.

– Nigdy nie posłużyła lepszemu celowi – odparowała. – Kiedy ten królik będzie gotowy?

– Niedługo. Przeżybisz się na śmierć, siedząc tak przy tej pogodzie. Gdy patrzę na ciebie, krew mi krzepnie w żyłach.

– To dziwne! – powiedziała. – Jeszcze dziś rano mówiłeś, że twoja krew rozgrzewa się, gdy tylko na mnie spojrzysz.

– To było w ciepłej kabinie, z wygodnym łóżkiem. Nigdy nie lubiłem kochać się na śniegu.

Proszę, zagrzałem koc.

– Kiedy byłam dzieckiem – odrzekła, biorąc od niego koc i owijając nim ramiona –

musieliśmy biegać po trzy mile przez doliny, w środku zimy, ubrani jedynie w tuniki i sandały.

To hartowało. I było okrutnie zimno.

– Jeśli jesteś taka zahartowana, to dlaczego zsiniałaś nim dotarliśmy do chaty? – zapytał, a szeroki uśmiech pozbawił to pytanie jadu.

– Zbroja – odpowiedziała. – Za dużo stali, a za mało wełny pod nią. Zauważ, że gdybym jechała z przodu, nie znudziłabym się i nie zasnęła. Kiedy, powiedziałeś, ten królik będzie gotowy? Umieram z głodu.

– Wkrótce. Tak myślę...

– Czy kiedykolwiek przyrządzałeś w ten sposób królika?

– Niezupełnie. Jednak to dobry sposób; widziałem jak to robiono. Cała skóra z futrem odchodzi wraz z gliną. To łatwe.

Virae nie była przekonana.

– Podchodziłam to zwierzę całe wieki – powiedziała, wspominając z przyjemnością jak położyła je

jedną strzałą wypuszczoną z czterdziestu kroków. – Niezły łuk, chociaż trochę za lekki. To stary łuk kawaleryjski, prawda? Mamy kilka takich w Delnoch. Teraz są robione ze srebrnej stali, mają lepszy zasięg i wyważenie. Jestem głodna.

– Cierpliwość dodaje apetytu – oznajmił.

– Lepiej nie zmarnuj tego królika. Nie lubię zabijać zwierząt. Jednak jeśli człowiek robi to, żeby je zjeść, przynajmniej ma to jakiś sens.

– Nie wiem, co powiedziała by królik na takie argumenty – zażartował Rek.

– Czy one myślą? – zapytała Virae.

– Nie wiem. Nie mówiłem tego dosłownie.

– A więc dlaczego to powiedziałaś? Jesteś dziwnym człowiekiem.

– To była tylko abstrakcyjna myśl. Czy ty nigdy nie masz abstrakcyjnych myśli? Czy nigdy nie zastanawiasz się, jak to się dzieje, że kwiat wie, kiedy ma rosnąć? Albo jak łosoś odnajduje powrotną drogę na tarlisko?

– Nie – powiedziała. – Czy królik już gotowy?

– O czym więc myślisz, gdy nie planujesz jak zabijać ludzi?

– O jedzeniu – odparła. – Co z królikiem?

Rek zepchnął glinianą kulę z ogniska końcem kija i patrzył jak skwierczy na śniegu.

– No tak, i co teraz? – zapytała. Zignorował ją i podniósłszy głaz wielkości pięści, uderzył nim mocno w glinę, która pękła ukazując na pół ugotowanego i na pół obranego ze skóry królika.

– Wygląda dobrze – przyznała. – Co teraz? Szturchnął parujące mięso kijem.

– Czy odważysz się to zjeść? – powiedział.

– Oczywiście. Mogę pożyczyć twój nóż? Który chcesz kawałek?

– Mam jeszcze w jukach placek owsiany. Myślę, że to mi wystarczy. Włóż coś na siebie, proszę!

Obozowali w płytkim zagłębieniu pod ścianą skalną, zbyt niską jak na jaskinię, lecz dostatecznie głęboką, by odbijać ciepło ogniska i osłaniać ich przed najgorszym wiatrem. Rek żuł

swój placek i obserwował dziewczynę pochłaniającą królika. Nie był to budujący widok. Resztki tułowia rzuciła między drzewa.

– Borsuki będą miały uciechę – powiedziała. – Wcale niezgorszy sposób przyrządzania królika.

- Cieszę się, że ci smakowało.
- Nie jest z ciebie wielki myśliwy, co? – zagaiła.
- Daję sobie radę.
- Nie umiałeś nawet wypatroszyć królika. Zzieleniałeś, gdy pokazały się wnętrzności.

Rek rzucił resztki placka w ślad za pozostałościami królika.

- Borsukom pewnie przyda się deser – spuentował. Virae zachichotała radośnie.
- Jesteś cudowny, Rek. Jesteś niepodobny do żadnego mężczyzny, którego spotkałam.
- Chyba nie spodoba mi się to, co teraz nastąpi stwierdził. – Może po prostu poszlibyśmy spać.
- Nie. Posłuchaj mnie. Mówię poważnie. Całe życie marzyłam, żeby znaleźć właściwego mężczyznę: wysokiego, dobrego, silnego, wyrozumiałego. Kochającego. Nie sądziłam, że taki istnieje. Większość z tych, których znałam, była żołnierzami – gburowaci, prości jak kopie i romantyczni jak byki w rui. Spotykałam też poetów, o mowie miękkiej i łagodnej. Gdy przebywałam z żołnierzami, tęskniłam do poetów, a kiedy z poetami, do żołnierzy. Zaczynałam już sądzić, że mężczyzna jakiego chciałam, nie istnieje. Czy mnie rozumiesz?
- Przez całe życie szukałaś mężczyzny, który nie urnie przyrządzić królika? Oczywiście, że cię rozumiem.
- Czy naprawdę? – spytała miękko.
- Tak. Ale mimo wszystko możesz mi to wyjaśnić.
- Jesteś tym, czego zawsze chciałam – wyrzekła, rumieniąc się. – Jesteś moim bohaterem-tchórzem – moją miłością.
- Wiedziałem, że to będzie coś, co mi się nie spodoba – mruknął.

Gdy dorzuciła drew do ognia, wyciągnął do niej rękę i powiedział: – Siądź przy mnie. Będzie ci cieplej.

- Możesz dzielić ze mną koc – zaproponowała, obchodząc ognisko. Wpadła mu w ramiona i położyła głowę na jego ramieniu. – Nie gniewasz się, że nazwałam cię moim bohaterem-tchórzem?
- Możesz mnie nazywać, jak chcesz – powiedział jeżeli tylko zawsze będziesz przy mnie, aby móc mnie nazywać.
- Zawsze?

Wiatr pochylał płomienie i Rek zadrżał.

– „Zawsze” to dla nas nie tak długo, prawda? Mamy tylko tyle czasu, ile utrzyma się Dros Delnoch. Pomimo to możesz się mną zmęczyć i kazać mi iść precz.

– Nigdy! – zapewniła go.

– „Nigdy” i „zawsze”. Do tej pory nie myślałem o tych słowach zbyt wiele. Dlaczego nie spotkałem cię dziesięć lat temu? Wtedy te słowa mogły coś znaczyć.

– Wątpię. Miałabym tylko dziewięć lat.

– Nie mówiłem tego dosłownie. To przenośnia.

– Mój ojciec napisał do Drussa – powiedziała. – Ten list i ta misja to wszystko, co trzyma go przy życiu.

– Druss? Nawet jeśli jeszcze żyje, to musi być wiekowy; to będzie nieprzyzwoite. Bitwa na Przełęczy Skeln miała miejsce piętnaście lat temu, a i wtedy był już stary będzie go trzeba wnosić do Dros.

– Możliwe. Jednak mój ojciec przywiązuje wielką wagę do jego osoby. Jest nim oczarowany.

Uważa go za niezwyciężonego. Nieśmiertelnego. Kiedyś powiedział mi, że to największy wojownik naszej ery. Twierdził, że zwycięstwo pod Skeln Pass to zwycięstwo Drussa, a pozostali tylko tworzyli tło. Często opowiadał mi tę historię, kiedy byłam mała. Siadywaliśmy przy ognisku podobnym do tego i piekliśmy chleb w płomieniach. Potem opowiadał mi o Skeln.

Cudowne dni. – Umilkła, zapatrzona w ogień.

– Opowiedz mi tę historię – poprosił, przysuwając ją bliżej do siebie, a jego prawa ręka poprawiała kosmyk włosów, który opadł jej na twarz.

– Na pewno ją znasz. Każdy wie o Skeln.

– To prawda. Jednak nigdy nie słyszałem tej historii z ust kogoś, kto tam był. Widziałem jedynie sztuki i słuchałem sag poetów.

– Powiedz mi, co wiesz, a ja uzupełnię szczegóły.

– Dobrze. Tylko kilkuset drenajskich wojowników broniło przełęczy Skeln, podczas gdy reszta armii Drenajów znajdowała się gdzie indziej. Król Ventrii, Gorben, był tym, którego się obawiali. Wiedzieli, że posuwa się w ich kierunku, lecz nie wiedzieli, gdzie uderzy. Uderzył pod Skeln. Przewaga Ventrian wynosiła pięćdziesiąt do jednego, a mimo to utrzymali się do czasu nadejścia posiłków. To wszystko.

– Niezupełnie – dodała Virae. – Gorben miał specjalny oddział, złożony z dziesięciu tysięcy ludzi i nazywany Nieśmiertelnymi. Nigdy przedtem ich nie pobito, ale Druss dokonał tego.

– Nie przesadzaj – powiedział Rek. – Jeden człowiek nie jest w stanie pokonać armii. To bajania wyjęte z poetyckiej sagi.

– Nie. Posłuchaj. Mój ojciec powiedział mi, że ostatniego dnia, kiedy do boju weszli Nieśmiertelni, linie Drenajow zaczęły się załamywać. Mój ojciec był żołnierzem przez całe swoje życie. Zna bitwę i rozumie, że granica między odwagą a paniką jest płynna. Drenajowie zaczęli się wycofywać. I właśnie wtedy, gdy linia zaczynała ustępować, Druss z wojennym okrzykiem na ustach wysunął się do przodu, tnąc i siekąc swoim toporem. Ventrianie cofnęli się przed nim.

Aż nagle najbliższy stojący Nieśmiertelny odwrócił się i zaczął uciekać. Panika rozprzestrzeniła się jak pożar, a cała linia Ventrian poszła w rozsypkę. Druss odwrócił falę. Mój ojciec mówił, że tego dnia był jak olbrzym. Nadczyłowiek. Jak bóg wojny.

– To było dawno – powiedział Rek. – Nie wyobrażam sobie, aby bezzębny starzec mógł się na wiele przydać. Nikt nie oprze się starości.

– Zgadzasz się. Czy wiesz jednak, jak podniósłby morale sam fakt jego obecności? Ludzie zbiegaliby się pod nasze sztandary. Wziąć udział w bitwie u boku Drussa-Legendy – jest w tym zapowiedź nieśmiertelności.

– Spotkałaś go kiedyś? – zapytał Rek.

– Nie. Mój ojciec nigdy o tym nie mówił, ale było coś między nimi. Druss nigdy nie przyjeżdżał do Dros Delnoch. Miało to coś wspólnego z moją matką, jak sądzę.

– Nie lubiła go?

– Nie. To dotyczyło przyjaciela Drussa. Nazywał się chyba Sieben.

– Co się z nim stało?

– Został zabity pod Skeln. Był najstarszym przyjacielem Drussa. To wszystko, co wiem na ten temat.

Rek domyślił się, że kłamała, ale dał spokój. Tak czy inaczej, to stara historia.

Podobnie jak Druss-Legenda...

Stary człowiek zmiął list i rzucił go na podłogę.

To nie wiek przygnębiał Drussa. Cieszył się mądrością swych sześćdziesięciu lat, nagromadzoną przez ten czas wiedzą i zasłużonym szacunkiem. Jednak fizyczne spustoszenia wywołane przez czas to zupełnie inna sprawa. Ramiona wciąż miał mocarne, a pierś masywną, ale mięśnie już zwiotczały – barki pokryła siatka niebieskich żył. Talia również wyraźnie poszerzyła się przez ostatnią zimę. I niemal z dnia na dzień, jak zdał sobie nagle sprawę, jego czarna broda, przyprószona siwizną stała się śnieżnobiała z pojedynczymi czarnymi pasemkami.

Jedynie przenikliwe oczy, patrzące na niego ze srebrnego lustra, nie straciły blasku. Ich spojrzenie

powstrzymywało armie; powodowało, że dzielni oponenti cofali się z rumieńcem wstydu; pobudzało to wyobraźnię ludzi, którzy potrzebowali bohaterów.

Był Drussem-Legendą. Niezwyciężonym Drussem, Kapitanem Topora. Wszędzie opowiadano dzieciom legendy o jego życiu i większość z nich była legendami. Druss bohater, nieśmiertelny, boski.

Jego dawne zwycięstwa mogły mu zapewnić pałace pełne bogactw, tuziny konkubin. Przed piętnastu laty Abalayn obsypał go klejnotami po jego sukcesach pod Skeln Pass.

Jednak następnego ranka Druss powrócił w góry Skoda, do wysoko położonej, pustej krainy, sięgającej chmur. Wśród sosen i irbisów, posiwiały, stary wojownik ukrył się w swym mateczniku, aby znów zaznać samotności. Tam pochowana była jego żona, z którą przeżył

trzydzieści lat. Tam postanowił umrzeć, choć wiedział, że nie będzie nikogo, kto by go pochował.

Minionych piętnastu lat Druss nie spędził beczynn timer. Przewędrował wiele krain, wiódł do boju oddziały dla rozmaitych pomniejszych książąt. Ostatniej zimy wycofał się do swego zacisza, aby tu rozmyślać i umrzeć. Od dawna wiedział, że umrze w sześćdziesiątym roku życia, jeszcze zanim – kilkadziesiąt lat temu – przepowiedział mu to jasnowiedz. Potrafił wyobrazić sobie siebie w wieku sześćdziesięciu lat – lecz nigdy starszego. Ilekroć próbował myśleć o sobie, jako o człowieku mającym sześćdziesiąt jeden lat, zawsze napotykał tylko ciemność.

Sękatymi rękami objął drewniany kielich i uniósł go do okolonych siwą brodą ust. Wino było mocne, sam je warzył przed pięcioma laty; dobrze dojrzało – lepiej niż on. Jednak skończyło się, a on pozostał... jeszcze przez chwilę.

Upał w jego ubogo umeblowanej chacie stawał się uciążliwy, w miarę jak młode, wiosenne słońce nagrzewało drewniany dach. Powoli zdjął baranicę, którą nosił w zimie oraz kamizelę z końskiej skóry. Jego masywne ciało, poznaczone bliznami, świadczyło o podeszłym wieku.

Oglądał blizny, wspominając ludzi, których ostrza je zadały: ludzi, którzy nigdy się nie zestarzeją jak on, ludzi, którzy zmarli w kwiecie wieku pod jego śpiewającym toporem. Jego oczy pomknęły w kierunku ściany przy małych, drewnianych drzwiach. Tam wisiał on, Snaga, co w starym języku znaczyło „Posłaniec”. Smukły trzonek z czarnej stali, opleciony srebrnymi runami w mowie Starszych i obosieczne ostrze, tak ukształtowane, że śpiewało tnąc.

Nawet teraz słyszał tę słodką pieśń. Jeszcze ten jeden raz, bracie mej duszy, wołała do niego.

Jeden, ostatni, krwawy dzień, nim zajdzie słońce. Wrócił myślą do listu Delnara. Napisało go do pomnika, a nie do żywego człowieka.

Druss podniósł się z drewnianego krzesła, klnąc, gdy zatrzeszczały mu stawy. – Słońce zaszło – wyszeptał stary wojownik, zwracając się do topora. – Teraz śmierć tylko czeka, a to cierpliwy drań. – Wyszedł z chaty i zwrócił oczy ku odległym góróm. Jego masywna postać i siwo-czarne włosy odzwierciedlały w miniaturze góry, na które spoglądał. Dumne, potężne, ponadczasowe, teraz

przyprószone śniegiem, ignorowały wiosenne słońce, usiłujące pozbawić je zimowych wierzchołków dziewiczego lodu.

Druss chłonał ich dzikie bogactwo, wdychając głęboko chłodny wiatr i smakując życie, jakby po raz ostatni.

– Gdzie jesteś, śmierci? – zawołał. – Gdzie się skrywasz w taki piękny dzień? – echo zagrzmiało po dolinach... ŚMIERĆ, ŚMIERĆ, Śmierć, śmierć... DZIEN, DZIEN, Dzień, dzień...

– Jestem Druss! I wyzywam cię!

Cień padł na oczy Drussa, słońce zamarło w niebiosach, a góry cofnęły się we mgłę.

Mocarną pierś Drussa skuł ból, aż do głębin duszy, tak że prawie upadł.

– Dumny śmiertelniku! – zasyczał głos poprzez zasłony bólu. – Ja ciebie nigdy nie szukałam.

To ty ścigałeś mnie przez te wszystkie długie, samotne lata. Zostań na tej górze, a gwarantuję ci jeszcze dwa tuziny lat życia. Twoje mięśnie zanikną; mózg popadnie w dzieciństwo.

Zwiędniez, starcze, a ja przyjdę dopiero wtedy, kiedy będziesz mnie o to błagał.

– A może myśliwy zapoluje raz jeszcze?

– Szukaj mnie jeśli chcesz, stary wojowniku. Czekam na murach Dros Delnoch.

Ból opuścił serce starego człowieka. Zatoczył się, wciągnął zimne powietrze w rozpalone płuca i rozejrzał się wokół. Ptaki wciąż śpiewały w gąszczu sosen, żadna chmura nie przesłaniała słońca, a góry stały wysokie i dumne, tak jak zawsze.

Druss powrócił do chaty i podszedł do dębowej komody, zamkniętej na kłódkę z początkiem zimy. Klucz do niej leżał daleko w dolinie. Położył swe olbrzymie dłonie na zamku i zaczął go naciskać. Muskuly na jego ramionach naprężyły się, żyły na szyi i karku napęczniały, a metal jęknął, odkształcił się i – pękł! Druss odrzucił kłódkę i otworzył komodę. W środku leżał kaftan z czarnej skóry powleczonej na ramionach warstwą lśniącej stali oraz skórzany hełm, którego czerń zdobił jedynie srebrny emblemat, przedstawiający topór z dwoma hełmami po bokach. Po nich ukazały się drugie, czarne, skórzane rękawice, wzmocnione na kostkach palców płytkami srebra. Ubrał się szybko, zakładając na koniec długie, skórzane buty, prezent od samego Abalayna sprzed wielu lat.

Wreszcie sięgnął po Snagę, która jakby zeskoczyła ze ściany w jego oczekującą dłoń.

– Jeszcze ostatni raz, bracie – powiedział jej. – Zanim zajdzie słońce.

ROZDZIAŁ 6

Stojąc obok Vintara, Serbitar obserwował z wysokiego balkonu, jak dwóch jeźdźców zbliża się do klasztoru, kierując cwałujące konie do północnej bramy. Pod tchnieniem ciepłego, wiosennego

wiatru wiejącego z zachodu, na pokrytych śniegiem polach pokazały się kępki trawy.

– Zły czas dla zakochanych – powiedział głośno Serbitar.

– Dla zakochanych zawsze jest dobry czas, mój synu. A najlepszy w czasie wojny – dodał

Vintar. – Czy badałeś umysł tego człowieka?

– Tak. Jest dziwny. Cynik z doświadczenia, romantyk z upodobania, a teraz bohater z konieczności.

– Jak Menahem ma zamiar wypróbować posłańca? zapytał Vintar.

– Poprzez strach – odpowiedział albinos.

Rek czuł się doskonale. Powietrze, które wdychał, było rześkie i czyste, a ciepła, zachodnia bryza obiecywała koniec tej najsurowszej od lat zimy. Kobieta, którą kochał, jechała obok, a niebo było niebieskie i bezchmurne.

– Co za wspaniały dzień na życie! – zawołał.

– Cóż w nim takiego szczególnego? – zdziwiła się Virae.

Jest piękny. Nie czujesz tego? Niebo, bryza, topniejący śnieg?

– Ktoś wyjeżdża nam na spotkanie. Wygląda na wojownika – powiedziała.

Jeździec zbliżył się i zsiadł z konia. Twarz zakrywał mu czarno-srebrny hełm zwieńczony pióropuszem z końskiego włosia. Rek i Virae również zsiadli z koni i podeszli do niego.

– Dzień dobry – powiedział Rek. Mężczyzna zignorował go; ciemne oczy, widoczne poprzez szczeliny hełmu, wpatrywały się w Virae.

– Ty jesteś posłańcem? – zapytał ją.

– Ja. Pragnę widzieć się z opatem Vintarem.

– Najpierw musisz przejść przeze mnie – powiedział i cofnął się krok, wyciągając długi miecz ze srebrnej stali.

– Poczekaj – powiedział Rek. – Co to znaczy? Zazwyczaj nie trzeba walczyć o wejście do klasztoru.

I znowu tamten nie zwrócił na niego uwagi, a Virae dobyła swojego rapiera.

– Zatrzymaj się! – rozkazał Rek. – To szaleństwo.

– Trzymaj się od tego z daleka, Rek – ostrzegła go Virae. – Rozsiekam tego srebrnego karalucha na kawałki.

– Nie, nie rozsiekasz – rzekł, przytrzymując jej ramię. – Ten rapier nic nie zdziała przeciw zakutemu w zbroję rycerzowi. Tak czy inaczej, to nie ma sensu. Nie przyjechałaś tutaj, aby walczyć. Masz do przekazania wiadomość, to wszystko. To chyba jakaś pomyłka. Poczekaj chwilę.

Rek podszedł do wojownika; gorączkowo usiłował zebrać myśli, jednocześnie szukając słabych punktów przeciwnika. Tamten miał na sobie odlewany napierśnik, nałożony na kolczugę ze srebrnej stali. Jego kark zabezpieczała srebrna obręcz. Nogi aż do ud były zakryte przez skórzane spodnie, pospinane srebrnymi pierścieniami, a na goleniach chronione skórzanymi nakolannikami. Jedyne kolana, ręce i broda mężczyzny pozostały odkryte.

– Czy powiesz mi, o co chodzi? – zapytał go Rek. – Myślę, że pomyliłeś posłańca.

Przybyliśmy do opata.

– Czy jesteś gotowa kobieto? – spytał Menahem.

– Tak – zdecydowała Virae, a jej rapier wykonał ósemkę w porannym powietrzu, gdy rozluźniła nadgarstek.

W ręku Ręka błysnął miecz.

– Broń się! – krzyknął.

– Nie, Rek, on jest mój! – zawołała Virae. – Nie potrzebuję abyś walczył za mnie. Odstąp!

– Możesz go mieć po mnie – rzucił Rek. Ponownie odwrócił się do Menahema. – No, chodź.

Zobaczmy, czy umiesz walczyć tak ładnie, jak wyglądasz.

Menahem zwrócił swe czarne oczy na wysoką postać, stojącą przed nim. Rek natychmiast poczuł bolesny skurcz żołądka: to śmierć! Zimna, ostateczna, śmierć z oczodołami pełnymi robaków. W tym starciu nie miał żadnych szans. Przerazenie ścisnęło mu serce, i osłabiło ramiona. Znowu był dzieckiem zamkniętym w ciemnym pokoju, pewnym, że w czarnym cieniu kryją się demony. Strach napłynął mu żółcią do krtani, a żołądkiem wstrząsnęły mdłości. Chciał

uciekać... musiał uciec.

Zamiast tego Rek krzyknął głośno i przypuścił atak; ostrze świsnęło w kierunku czarnosrebrnego hełmu. Zaskoczony Menahem pospiesznie odparował cięcie, ale drugi cios prawie go dosięgnął. Wojownik cofnął się, rozpaczliwie próbując odzyskać inicjatywę, lecz wściekły napad Ręka wytrącił go z równowagi. Menahem parował ciosy i robił uniki, starając się krążyć.

Virae obserwowała w zdumionym milczeniu błyskawiczny atak Ręka. Miecze obu mężczyzn migotały w porannym słońcu, tworząc oślepiającą pajęczynę białego światła i dając zdumiewający pokaz zręczności. Virae poczuła przyływ dumy. Chciała okrzykiem dodać odwagi Reкови, ale powstrzymała ten odruch wiedząc, że najmniejsze odwrócenie uwagi może przechylić szalę zwycięstwa.

– Pomóż mi – Menahem skierował myśl do Serbitara – bo będę go musiał zabić.

Powstrzymał cios zaledwie kilka cali od swojej krtani. – Jeżeli potrafię.

– Jak możemy to powstrzymać? – Serbitar zapytał Vintara. – Ten człowiek to berserker. Nie mogę do niego dotrzeć. Zaraz zabije Menahema.

– Dziewczyna! – powiedział Vintar. – Przyłącz się do mnie.

Virae zadrżała, patrząc na rosnącą siłę Ręka. Berserker! Ojciec opowiadał jej o takich ludziach, ale nigdy nie zaliczyłaby do nich Ręka. Byli szalonymi zabójcami, którzy w walce zatracają wszelkie poczucie strachu i rozsądku, stając się najzjadlejszymi z przeciwników.

Każdy szermierz nieustannie przechodzi od obrony do ataku, ponieważ oprócz woli zwycięstwa kieruje nim równie silny instynkt samozachowawczy. Jednak berserker nie zna strachu; nieustannie atakuje i zawsze zabija przeciwnika, nawet jeśli sam padnie. Nagle uderzyła ją pewna myśl i rozumiała, że wojownik nie chce zabić Ręka – ta walka była jedynie sprawdzianem.

– Opuśćcie miecze – krzyknęła przeraźliwie. – Przestańcie!

Mężczyźni walczyli dalej.

– Rek, posłuchaj mnie! – zawołała. – To tylko próba. On nie chce cię zabić.

Jej głos dotarł do Ręka jak z niezmiernej odległości, przebijając czerwoną mgłę przed jego oczami. Cofając się, raczej wyczuł niż zobaczył ulgę na twarzy drugiego mężczyzny; wziął

głęboki oddech i rozluźnił mięśnie, nogi ugiwały się pod nim, a ręce dygotały.

– Wtargnąłeś do mojego umysłu – oskarżył wojownika, wbijając zimne spojrzenie w ciemne oczy mężczyzny.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale jeśli zrobisz to jeszcze raz, zabiję cię. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział Menahem łagodnie, głosem stłumionym wewnątrz hełmu. Za drugim razem udało się Reкови schować miecz do pochwy. Odwrócił się do Virae, która patrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

– To nie byłem naprawdę ja – tłumaczył się. – Nie patrz tak na mnie, Virae.

– Ach, Rek, przepraszam – zaczęła ze łzami w oczach.

– Naprawdę mi przykro.

Kiedy odwróciła twarz, znowu targnął nim niepokój.

– Nie zostawiaj mnie – powiedział. – To się rzadko zdarza i nigdy nie zwróciłbym się przeciw tobie.

Nigdy! Wierz mi.

Podskoczyła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Zostawić ciebie? O czym ty mówisz? To dla mnie nie ma znaczenia, ty głupcze. Jest mi tylko ciebie żal. Ach, Rek, jaki z ciebie idiota. Nie jestem jakąś tam dziewczką z gospody, która piszczy na widok myszy. Jestem kobietą, która wychowała się wśród mężczyzn. Żołnierzy.

Walczących wojowników. Myślisz, że zostawiłabym cię dlatego, że jesteś berserkerem?

– Umiem nad tym panować – powiedział, przyciskając ją mocno do siebie.

– Tam, dokąd idziesz, Rek, nie będziesz musiał – rzekła. Serbitar opuścił balkon klasztoru i nalał sobie kielich źródlanej wody z kamiennego dzbana.

– Jak on to zrobił?

Vintar usiadł w skórzanym krześle.

– Jest w nim studnia odwagi, zasilana wieloma źródłami, których możemy się tylko domyślać. Jednak gdy Menahem nakarmił go strachem, on zareagował przemocą. Ponieważ, czego Menahem nie mógł wiedzieć, ten człowiek boi się samego strachu. Pochwyciłeś to wspomnienie z dzieciństwa, kiedy stał się z Menahemem?

– Masz na myśli te tunele?

– Tak. Co powiesz o dziecku, które boi się ciemności, a jednak szuka ciemnych korytarzy i podąża nimi?

– Próbował pozbyć się lęku, stawiając mu czoło wyjaśnił albinos.

– I nadal tak robi. Dlatego Menahem nieomal zginął.

– On się przyda w Dros Delnoch – zauważył Serbitar, uśmiechając się.

– Bardziej niż myślisz – przyznał Vintar. – Bardziej niż myślisz.

– Tak – odpowiedział Reкови Serbitar, gdy siedzieli w wyłożonym dębem pokoju z widokiem na dziedziniec.

– Tak, umiemy czytać w myślach. Jednak zapewniam cię, że nie będziemy już więcej próbować czytać myśli twoich ani twojej towarzyski.

– Dlaczego on mi to zrobił? – zapytał Rek.

– Menahem jest oczami Trzydziestu. Musiał sprawdzić czy jesteście godni, aby żądać od nas... służby. Oczekujecie od nas abyśmy walczyli razem z waszymi wojskami, analizowali taktykę

nieprzyjaciela i użyli naszej wiedzy dla obrony twierdzy, która nie ma dla nas znaczenia.

Posłaniec musi być godny.

– Ja nie jestem posłańcem; jestem tylko towarzyszem.

– Zobaczymy... Od jak dawna wiesz o tej... przypadłości? Rek odwrócił wzrok w stronę okna z balkonem. Na balustradzie usiadł strzyżyk, zaostrzył dziób o kamień i odleciał. Zbierały się lekkie chmury, barankowe wyspy na czystym błękitnie nieba.

– Zdarzyło mi się to tylko dwukrotnie. Za każdym razem podczas wojen z Sathuli. Raz, kiedy otoczono nas po porannym napadzie na wioskę i drugi, gdy byłem w eskorcie karawany z przyprawami.

– To często spotykane u wojowników – powiedział Serbitar. – To dar strachu.

– W obu wypadkach ocalił mi życie, ale przeraża mnie – odrzekł Rek. – To tak jakby ktoś inny przejmował moje ciało i umysł.

– Wcale nie tak, zapewniam cię. To wciąż ty. Czy obawiasz się tego, czym jesteś, Rek – mogę cię nazywać Rek?

– Oczywiście.

– Nie chciałem abyś uznał, że zbyt się spoufalam. To przezwisko, prawda?

– Skrót od Regnak. Mój przybrany ojciec, Horeb, skrócił je kiedy byłem dzieckiem. To był

taki żart. Nie lubiłem rubasznych zabaw i nigdy nie chciałem przetrząsać zakamarków czy wspinać się na wysokie drzewa. Nie byłem zuchwały, więc opuścił końcówkę i nazwał mnie Rek od słowa „mędrek”. Jak powiedziałem, niezbyt zabawny żart, jednak to imię przylgnęło do mnie.

– Czy myślisz – zapytał Serbitar – że będzie ci dobrze w Dros Delnoch?

Rek uśmiechnął się.

– Pytasz mnie, czy wystarczy mi odwagi?

– Mówiąc wprost? Tak, chyba tak.

– Nie wiem. A tobie wystarczy?

Cień uśmiechu przebiegł przez bladą, pozbawioną ciała twarz albinosa, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią. Jego smukłe palce zastukały delikatnie o blat stołu.

– To dobre pytanie. Tak, starczy mi odwagi. Moje obawy nie są związane ze śmiercią.

– Czytałeś moje myśli – zauważył Rek. – Powiedz mi, czy będę miał dość odwagi. Mówię poważnie. Nie wiem, czy wytrwam długo i trwale oblężenie; mówi się, że ludzie załamują się w takich sytuacjach.

– Nie wiem powiedzieć – odrzekł Serbitar – czy wytrzymasz, czy się załamiesz. Jesteś zdolny zarówno do jednego jak i drugiego. Nie potrafię zanalizować wszystkich wariantów przebiegu oblężenia. Zadać sobie pytanie: co będzie, jeżeli Virae zginie? Czy zostaniesz?

– Nie – odparł natychmiast Rek. – Osiodłam szybkiego konia i odjadę. Nie dbam o Dros Delnoch. Ani o imperium Drenajów.

– Drenajowie są skończeni – powiedział Serbitar. Ich gwiazda zgasła.

– Sądziś więc, że Dros padnie?

– Ostatecznie, musi paść. Na razie jednak nie potrafię wybiec tak daleko w przyszłość.

Dziwna jest Droga Mgły. Często ukazuje wydarzenia, które będą miały miejsce, lecz jeszcze częściej pokazuje coś, co się nigdy nie zdarzy. To niebezpieczna ścieżka, po której tylko prawdziwy mistyk porusza się pewnie.

– Droga Mgły? – zapytał Rek.

– Przepraszam, skąd możesz wiedzieć? To droga na innej płaszczyźnie... jak czwarty wymiar? Jakby podróż ducha we śnie. Tylko, że sterujesz tym snem i widzisz to, co chcesz zobaczyć. To pojęcie trudne do wyjaśnienia komuś, kto nie jest jasnowidzem.

– Czy chcesz powiedzieć, że twoja dusza może się przemieszczać poza ciało? – zapytał Rek.

– O tak, to jest najłatwiejsze. Widzieliśmy ciebie w lesie Graven. Pomogliśmy wam poprzez oddziaływanie na rębacza Grussina.

– Spowodowaliście, że zabił Reinarda?

– Nie. Nasza moc nie jest tak wielka. My tylko pchnęliśmy go w kierunku, nad którym już wcześniej rozmyślał.

– Nie jestem pewien, czy dobrze się czuję, wiedząc, że posiadacie taką moc – powiedział

Rek, unikając wzroku albinosa.

Serbitar roześmiał się, jego oczy zabłyśły, a blada twarz zajaśniała radością.

– Rek, przyjacielu, ja dotrzymuję danego słowa. Obiecałem, że nigdy nie użyję mego daru dla czytania twoich myśli i nie zrobię tego. Ani żaden z Trzydziestu. Czy sądzisz, że bylibyśmy duchownymi, którzy odsunęli się od tego świata, gdybyśmy źle życzyli innym? Jestem synem księcia, lecz – gdybym chciał – mógłbym być królem, imperatorem potężniejszym od Ulryka.

Nie czuj się zagrożony. Musimy sobie ufać. Więcej, musimy być przyjaciółmi.

– Dlaczego? – zapytał Rek.

– Ponieważ już wkrótce razem przeżyjemy moment, który zdarza się tylko raz w życiu – rzekł albinos. – Niebawem umrzemy.

– Mów za siebie – odrzekł Rek. – Ja nie uważam, że pójście do Dros Delnoch jest jeszcze jednym sposobem popełnienia samobójstwa. To bitwa i tyle. Nie mniej i nie więcej. Mury można obronić. Słabsza siła może powstrzymać większą. Historia zna mnóstwo takich przykładów: patrz Skeln Pass.

– To prawda – przyznał Serbitar. – Jednak pamięta się o nich ponieważ są wyjątkami.

Zajmijmy się faktami. Dros ma poniżej jednej trzeciej pełnej załogi. Morale jest niskie, szerzy się strach. Armia Ulryka to ponad pół miliona żołnierzy, wszyscy gotowi – wręcz pragnący – oddać za niego życie w walce. Nawet nie myśl o innym zakończeniu.

– Więc dlaczego z nami idziecie? Co przez to zyskacie?

– Umrzemy – powiedział Serbitar – i będziemy nadal żyć. Nie powiem jednak teraz nic więcej na ten temat. Nie chcę cię przygnębiać, Rek. Gdyby to miało służyć sprawie, obudziłbym w tobie nadzieję. Jednak moja strategia będzie oparta na odwlekaniu nieuchronnego. Tylko tak mogę działać – i służyć waszej sprawie.

– Mam nadzieję, że zachowasz tę opinię dla siebie powiedział Rek. – Virae wierzy, że możemy się utrzymać. Wiem na tyle dużo o wojnie i o morale żołnierzy, aby ci powiedzieć wprost, że jeśli twoja teoria miałyby się rozprzestrzenić wśród ludzi, doszłoby do masowych dezercji; przegralibyśmy pierwszego dnia.

– Nie jestem głupcem, Rek. Mówię to tobie, ponieważ trzeba to powiedzieć. W Delnoch będę twoim doradcą i będziesz wymagał ode mnie prawdy. Nie będę miał rzeczywistych kontaktów z żołnierzami, ani ja, ani żaden z Trzydziestu. Ponadto, ludzie będą nas unikać, gdy dowiedzą się, kim jesteśmy.

– Być może. Dlaczego mówisz, że będziesz moim doradcą? Dowodzi księżę Delnar; nie będę tam nawet oficerem.

– Powiedzmy – rzekł Serbitar – że będę doradcą waszej sprawy. Czas wyjaśni wszystko lepiej ode mnie. Czy zmartwiłem cię?

– Wcale nie. Powiedziałeś mi, że nie ma żadnej nadziei, my jesteśmy trupami, a Drenajowie są skończeni. Czy jestem zmartwiony? Wcale!

– Serbitar roześmiał się i klasnął w dłoń.

– Podobasz mi się, Rek. Myślę, że będziesz się mocno trzymał.

– Będę się trzymał mocno, to pewne – powtórzył Rek z uśmiechem. – Ponieważ będę wiedział, że za ostatnim murem będą na mnie czekać dwa osiodłane konie, gotowe do drogi.

A przy okazji, nie macie do picia czegoś mocniejszego niż woda?

– Niestety nie – odparł Serbitar. – Alkohol osłabia naszą siłę. Jeżeli jednak potrzebujesz mocniejszego trunku, to w pobliżu jest wioska i mogę posłać kogoś, aby coś kupił.

– Nie pijecie. Nie ma tu kobiet. Nie jecie mięsa. Jak odpoczywacie?

– Studiujemy – powiedział Serbitar. – Ćwiczymy, hodujemy kwiaty i konie. Czas mamy dobrze wypełniony, zapewniam cię.

– Nic dziwnego, że chcecie stąd uciec i umrzeć stwierdził Rek z przekonaniem.

Virae siedziała z Vintarem w skąpo umeblowanym gabinecie, wypełnionym rękopisami i oprawnymi w skórę księgami. Niewielki stół był zasypany połamanymi piórami i zwojami pergaminu. Powstrzymała uśmiech, widząc jak stary człowiek niezdarnie zapina pasek napierśnika. Żaden wojownik nie mógłby wyglądać gorzej.

– Czy mogę ci pomóc? – zapytała, wstając i przechylając się przez stół.

– Dziękuję, moja droga – powiedział. – To bardzo ciężkie. – Oparł zbroję o stół i nalał sobie wody, oferując dzban Virae, która przecząco potrząsnęła głową. – Przepraszam za bałagan w pokoju, ale spieszylem się, aby skończyć mój pamiętnik. Tak wiele do powiedzenia, a tak mało czasu.

– Zabierz go ze sobą – odrzekła.

– Lepiej nie. Kiedy wyruszymy, będziemy mieć zbyt wiele innych problemów. Zmieniłaś się od czasu, gdy widziałem cię ostatnio, Virae.

– Dwa lata to bardzo długo, opacie – powiedziała ostrożnie.

– Myślę, że powodem jest ten młody człowiek, który przybył z tobą – stwierdził, uśmiechając się. – Ma na ciebie duży wpływ.

– Nonsens, jestem wciąż ta sama.

– Stąpasz pewniej. Jesteś mniej niezdarna niż pamiętam. Myślę, że on dał ci coś.

– Nie mówmy o tym. Co z Dros? – burknęła, rumieniąc się.

– Wybacz mi, moja droga. Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie.

– Nie wprawiłeś mnie w zakłopotanie – skłamała. A wracając do Dros Delnoch. Czy możecie nam pomóc?

- Jak powiedziałem twojemu ojcu, dwa lata temu, nasza pomoc będzie polegała na organizacji i planowaniu. Poznamy plany wroga. Możemy wam pomóc je udaremnić. Taktycznie, możemy zorganizować obronę, a militarnie możemy walczyć za stu ludzi. Jednak nasza cena jest wysoka.
- Mój ojciec zdeponował dziesięć tysięcy złotych Raq w Ventrii – oświadczyła. – U kupca Asbidara.
- Dobrze. To wszystko załatwione. Wyruszamy rano.
- Czy mogę cię o coś zapytać? – powiedziała Virae. Rozłożył ręce i czekał. – Na co potrzebujecie pieniędzy?
- Na następną świątynię Trzydziestu. Każda następna jest finansowana przez śmierć poprzedniej.
- Och. A co się stanie, jeżeli nie zginiecie? To znaczy, zakładając, że zwyciężymy? – Przez chwilę jego oczy badały jej twarz.
- Wtedy zwrócimy pieniądze – odparł.
- Rozumiem.
- Nie jesteś przekonana?
- To nie ma znaczenia. Co sądzisz o Ręku?
- W jakim sensie? – zapytał Vintar.
- Nie bawmy się w chowanego, ojczy opacie. Wiem, że umiesz czytać w myślach. Chcę wiedzieć, co sądzisz o Ręku.
- Pytanie nie jest wystarczająco precyzyjne... nie, pozwól mi skończyć – dodał, widząc rosnący w niej gniew.
- Czy chodzi ci o to, co o nim myślę jako o człowieku, o wojowniku, czy przyszłym mężu dla córki księcia?
- Pod każdym względem, jeśli sobie życzysz. Nie wiem. Po prostu powiedz mi.
- Bardzo dobrze. Czy wierzysz w przeznaczenie?
- Tak – wyznała, przypominając sobie, jak zadała to samo pytanie Reкови. – Tak, wierzę.
- Uwierz więc w to. Waszym przeznaczeniem było spot – kac się. Jesteście doskonałą parą.

Ty stymulujesz jego siły i przeciwważysz słabości. Co on robi dla ciebie, sama wiesz. Jako człowiek nie jest wyjątkowy, ani nawet szczególny. Nie jest specjalnie utalentowany, nie jest poetą, pisarzem, filozofem. Jako wojownik – cóż, jego porywy odwagi kryją ogromny strach.

Jednak jest zakochany. A to zwiększa jego siłę i zdolność pokonania strachu. Jako mąż?

W czasach pokoju i obfitości, myślę, że byłby krnąbrny. Ale teraz... Kocha cię i jest gotów umrzeć dla ciebie. Od nikogo nie można żądać więcej.

– Dlaczego spotkałam go teraz, ze wszystkich możliwych czasów? – zapytała, a w oczach zapiekły łzy. Nie chcę, aby zginął. Zabiłabym się chyba.

– Nie, moja droga. Nie sędzę, żebyś to zrobiła, chociaż zgodzę się, że na pewno miałabyś na to ochotę. Dlaczego teraz? Dlaczego nie? Przeżyjecie czy nie, mężczyzna i kobieta potrzebują miłości. Ta potrzeba jest cechą naszego gatunku. Musimy dzielić się. Należać. Może zginiesz przed upływem tego roku. Lecz zapamiętaj jedno: to co masz, może ci zostać zabrane; to co miałaś, nigdy. Daleko lepiej jest zakosztować miłości przed śmiercią, niż umierać samotnie.

– Zgadzam się. Chciałabym jednak mieć dzieci i spokojny dom. Chciałabym zabrać Ręka do Drenanu i trochę się nim pochwalić. Chciałabym, aby te jędze na dworze zobaczyły, że mężczyzna może mnie pokochać. – Zagryzła wargę, walcząc ze łzami.

– Ich opinia nie ma znaczenia. To, czy zobaczą cię czy nie, nie zmieni faktu, że się myliły.

Ponadto, trochę za wcześnie na rozpacz. Mamy wiosnę, a nim dotrzemy do Dros, upłynie wiele tygodni. W tym czasie wszystko może się zdarzyć. Ulryk może dostać ataku serca albo spaść z konia i rozbić sobie czaszkę. Abalayn może podpisać kolejny traktat. Atak może nastąpić w innym miejscu. Kto wie?

– Wiem. Masz rację. Nie rozumiem, dlaczego nagle zaczęłam się tak nad sobą litować.

Spotkanie Ręka było dla mnie cudownym darem losu. Szkoda, że go nie widziałeś, gdy przeciwstawił się bandytom Reinarda. Znasz Reinarda?

– Tak.

– Więc nie musisz się już więcej nim przejmować. Nie żyje. Tak czy inaczej, Rek rzucił

wyzwanie dwudziestu bandytom, którzy chcieli mnie wziąć. Dwudziestu! Pokonałby ich wszystkich. Do licha, chyba się rozplączę!

– A dlaczego nie miałabyś płakać? Jesteś zakochana w mężczyźnie, który cię uwielbia, a przyszłość wydaje się smutna i pozbawiona nadziei. – Podszedł do niej, ujął za rękę i pomógł

jej wstać. – Virae, młodym jest zawsze trudniej.

Gdy popłynęły łzy, położyła głowę na jego piersi. Objął ją i poklepał łagodnie po plecach.

– Czy Dros Delnoch utrzyma się? – zapytała.

– Wszystko może się zdarzyć. Czy wiedziałaś, że Druss jest w drodze do Dros Delnoch?

– Zgodził się? To dobra wiadomość. – Pociągnęła nosem i otarła oczy rękawem koszuli.

Wtem przypomniała sobie słowa Ręka. – Nie jest zgrzybiały, prawda?

Vintar ryknął śmiechem.

– Druss! Zgrzybiały? Z pewnością nie. Co za pomysł! On jest jednym z tych starców, którzy nigdy nie zgrzybieją. To oznaczałoby poddanie się. Zawsze myślałem, że jeśli Druss zechce, żeby noc trwała dłużej, to sięgnie w górę i wepchnie słońce z powrotem za horyzont.

– Znałeś go?

– Tak. I jego żonę, Rowenę. Piękne dziecko. Jasnowidz rzadkiego daru. Utalentowana nawet bardziej niż Serbitar.

– Myślałam zawsze, że Rowena jest tylko częścią legendy – przyznała Virae. – Czy naprawdę przemierzył świat, aby ją odnaleźć?

– Tak – odrzekł Vintar, uwalniając Virae z objęć i wracając do stołu. – Wzięto ją do niewoli wkrótce po ich ślubie, kiedy wioskę napadli handlarze niewolników. Szukał jej przez lata. Byli naprawdę szczęśliwą parą. Tak jak ty i Rek, gdyby ktoś mnie pytał.

– Co się z nią stało?

– Umarła. Tuż po Skeln Pass. Słabe serce.

– Biedny Druss – powiedziała. – Jednak jest wciąż silny, jak mówisz?

– „Kiedy spogląda, drżą doliny” – zacytował Vintar. – „Kędy stanie, cichną potwory; gdy mówi, trzęsą się góry; kiedy walczy, idą w rozsypkę armie”.

– A czy może jeszcze walczyć? – naciskała.

– Myślę, że może jeszcze stoczyć potyczkę lub dwie – odparł Vintar, wybuchając głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ 7

Dwa dni i dwadzieścia siedem mil od Skody, Druss, posuwając się pozostawiającym za sobą mile drogi krokiem żołnierza, dochodził do soczystych dolin na krawędzi lasów Skultik. Od Dros Delnoch dzieliło go trzy dni marszu i wszędzie dostrzegał oznaki nadchodzącej wojny.

Opuszczone domy, leżące odłogiem pola, zmartwieni i nieufni wobec obcych ludzie. Noszą porażkę jak płaszcz, myślał Druss. Dochodząc do szczytu niewielkiego wzniesienia, zobaczył

w dole wioskę, składającą się z trzydziestu może domów, z których część wykonana była dość starannie, a część tylko w stanie surowym. W środku osady znajdował się plac, gospoda i stajnia.

Druss ugniatał udo, próbując rozmasować reumatyczny ból w opuchniętym prawym kolanie.

Prawe ramię bolało go także, ale było to tępe pulsowanie, z którym mógł żyć, wspomnienie dawnych bitew, gdy wentryjska kopia wbiła mu się pod łopatkę. Ale kolano! Nie wytrzyma z nim zbyt długo bez odpoczynku i okładu z lodu.

Chrząknął i splunął, ocierając brodate usta wierzchem ogromnej dłoni. Jesteś starym człowiekiem, powiedział sobie. Nie ma co udawać, że jest inaczej. Pokuśtykał w dół zbocza, w stronę gospody, zastanawiając się jeszcze raz, czy nie powinien kupić wierzchowca. Rozum mówił, że tak; serce odpowiadało nie. Był Drussem-Legendą, który nigdy nie jeździ konno.

Niezmordowany, mógł walczyć cały dzień i iść całą noc. Dobrze to wpłynie na morale, jeśli Druss wejdzie pieszo do Dros Delnoch. Ludzie powiedzą: „Wielkie nieba, staruszek przyszedł aż ze Skody”. A inni dodadzą: „Oczywiście, że przyszedł. To Druss. On nigdy nie dosiada konia”.

Rozum jednak nakazywał kupić konia i zostawić go na skraju lasu, jakieś dziesięć mil od Dros. I kto był mądrzejszy?

Gospoda była zatłoczona, lecz oberżysta miał wolne pokoje. Większość klientów przejeżdżała tylko, w drodze na południe albo na zachód, do neutralnej Vagrii. Druss zapłacił, zabrał płócienny worek z lodem do swojego pokoju i usiadł na łóżku przyciskając okład do spuchniętego kolana. Krótco przebywał w głównej izbie, ale wystarczająco długo, aby usłyszeć niektóre z rozmów i zorientować się, że wielu spośród przebywających tam ludzi to żołnierze.

Dezerterzy.

W wojenny czas, wiedział o tym, niektórzy ludzie woleli uciec niż umrzeć. Jednak ci młodzi ludzie na dole wydawali się bardziej zdemoralizowani niż tchórzliwi.

Czy w Dros Delnoch sprawy stały aż tak źle?

Zdjął lód i rozmasowywał płyn ze stawu, uciskając i macając grubymi paluchami, zgrzytał

zębami z bólu. W końcu, zadowolony, otworzył swój niewielki bagaż i wyjął kawałek mocnego, bawełnianego bandaża, którym ciasno owinał kolano, wtykając końcówkę pod zawój. Następnie opuścił w dół nogawkę wełnianych legginsów i naciągnął na stopę czarny but, sycząc, gdy uraził

obolałe kolano. Wstał, podszedł do okna i otworzył je. Kolano dokuczało mu trochę mniej, niewiele – ale to wystarczało. Niebo było bezchmurne i błękitne, a łagodny wiatr zwichrzył mu brodę. Wysoko nad głową krążył orzeł.

Druss powtórnie zajął się swoim bagażem i wyjął zmięty list od Delnara. Szukając lepszego światła podszedł do okna i wygładził pergamin.

Litery było duże i Druss znów zachichotał. Nie był biegłym czytelnikiem i Delnar wiedział o tym.

Mój Najdroższy Towarzyszu, W chwili, gdy piszę ten list, otrzymują wiadomości o gromadzeniu się armii Nadirów pod Gulgothir. Jasne jest, że Ulryk jest gotowy ruszyć na południe. Pisałem do Abalayna, prosząc o posiłki. Nie otrzymam żadnych. Wysłałem Virae do Vintara – pamiętasz Opata Mieczy? – z prośbą do Trzydziestu. Chwytam się brzytwy, mój przyjacielu.

Nie wiem, w jakim zdrowiu ten list cię zastanie, lecz jest pisany w rozpacz. Potrzebuję cudu, aby utrzymać Dros. Wiem, że przysięgłeś nigdy więcej nie przekroczyć tych bram, stare rany goją się jednak z czasem, a moja żona już nie żyje. Podobnie jak twój przyjaciel, Sieben.

Tylko ty i ja żyjemy z tych, którzy znają prawdę. A ja nigdy o niej nie mówiłem.

Samo twoje imię powstrzyma dezercję i podniesie morale. Mam nieustannie problemy z kiepskimi oficerami, mianowanymi ze względów politycznych, a moim największym ciężarem jest Gan Orrin, komendant. Jest siostrzeńcem Abalayna i służbistą. Nienawidzą go, a mimo to nie mogę go usunąć. Tak naprawdę, to ja już nie dowodzę.

Mam raka, który zżera mnie dzień po dniu.

Nie jest to w porządku z mojej strony opowiadać ci o tym, ponieważ wiem, że wykorzystuję swą własną bliską śmierć, jako argument, aby prosić cię o przysługę.

Przybywaj i walcz z nami. Potrzebujemy ciebie, Druss. Bez ciebie jesteśmy zgubieni. Jak pod Skeln. Przybywaj najszybciej, jak możesz.

Twój wojenny towarzysz. Książę Delnar Druss zwinął list i wcisnął go głęboko w kieszeń skózanego kaftana.

– Starzec ze spuchniętym kolaniem i artretycznym kręgosłupem. Jeżeli uwierzyłeś w cud, mój przyjacielu, to będziesz go musiał szukać gdzie indziej.

Obok umywalki stało na dębowym stole srebrne lustro, w którym Druss uważnie przyjrzał

się swojemu odbiciu. Przenikliwe niebieskie oczy, przystrzyżona w kwadrat broda, a pod nią mocna szczęka. Ściągnął z głowy skórzany hełm i podrapał gęstą grzywę siwych włosów.

W ponurym nastroju nałożył na głowę hełm i zszedł na dół.

Przy długim barze zamówił piwo i słuchał toczących się wokół rozmów.

– Mówią, że Ulryk ma milion ludzi – powiedział jeden wysoki młodzieniec. – A słyszeliście co zrobił w Gulgothir? Gdy miasto odmówiło poddania się, po jego zdobyciu kazał powiesić i poćwiartować co drugiego z obrońców. Sześć tysięcy ludzi. Mówią, że niebo było czarne od kruków. Możecie to sobie wyobrazić! Sześć tysięcy!

– Czy wiesz, dlaczego to zrobił? – zapytał Druss, włączając się do rozmowy. Mężczyźni spojrzeli po sobie, a potem znów na Drussa.

– Oczywiście, że wiem. Jest żądnym krwi dzikusiem. Oto dlaczego.

– Wcale nie – odparł Druss. – Napijcie się ze mną? – Zawołał oberżystę i zamówił więcej piwa. – Zrobił to, żeby ludzie tacy jak ty opowiadali o tym w innych miastach. Poczekaj! Nie zrozum mnie źle! – powiedział Druss, gdy mężczyzna poczerwieniał z gniewu. – Nie krytykuję cię za jej opowiadanie. To naturalne, że tego typu historie są przekazywane. Ulryk to chytry żołnierz. Załóżmy, że zdobyłby miasto i potraktował obrońców z wszelkimi honorami. Inne miasta broniłyby się równie mocno. A w ten sposób wysyła przed sobą strach. Strach, który jest wielkim sprzymierzeńcem.

– Mówisz jak jego wielbiciel – dodał inny mężczyzna, niższy, o kręconych blond węsach.

– Bo nim jestem – przyznał Druss, uśmiechając się. – Ulryk jest jednym z największych generałów naszego wieku. Czy ktoś inny w minionym tysiącleciu zdołał zjednoczyć Nadirów?

A ponadto w taki prosty sposób. W naturze Nadirów leży, aby zwalczać każdego spoza swojego plemienia. Przy tysiącu plemion myślących w ten sposób, nigdy nie stworzyliby narodu. Ulryk zaczął od swego własnego plemienia, Wolfsheadów, i zmienił ich sposób prowadzenia wojny.

Kolejno podbijał pozostałe plemiona, każdemu proponując wybór: przyłączą się do niego, albo zginą. Wielu wybierało śmierć, lecz jeszcze więcej wybrało życie. A jego armia rosła w siłę.

Każde z plemion zachowuje swoje zwyczaje i są one honorowane. Nie można lekceważyć takiego człowieka.

– Ten człowiek to zdradziecki kundel – wtrącił się ktoś z innej grupy rozmawiających. –

Podpisał z nami traktat, a teraz go zrywa.

– Nie bronię jego moralności – wyjaśnił Druss pojednawczo. – Chciałem tylko zauważyć, że jest dobrym generałem. Jego wojska uwielbiają go.

– Nie podoba mi się twoja mowa, starcze – powiedział najwyższy ze słuchających.

– Nie? – spytał Druss. – Jesteś więc żołnierzem, tak? Mężczyzna zawahał się, popatrzył po towarzyszach i wzruszył ramionami. – Nieważne – odparł. – Zapomnij o tym.

– Jesteś dezertorem, prawda?

– Powiedziałem zapomnij o tym, starcze – zagrzmiął chłopak.

– Czy wszyscy jesteście dezertarami? – zapytał Druss i opierając się o kontuar bacznie przyjrzał się około trzydziestu zgromadzonym tam mężczyznom.

– Nie, wcale nie – powiedział jeden z młodych ludzi, wychylając się z tłumu. Był wysoki i smukły, a spod brązowego hełmu wystawały ciemne, splecione włosy. – Nie możesz jednak winić tych, którzy nimi są.

- Nie zawracaj sobie głowy, Pinar – rzucił ktoś. Rozmawialiśmy już o tym.
- Wiem. W nieskończoność – rzekł Pinar. – Jednak to w niczym nie zmienia sytuacji. Gan to świnia. Co gorsze, jest niekompetentny. Jednak dezercerując, pozbawiacie jakichkolwiek szans tych, którzy zostają.
- I tak nie mieli żadnych szans – stwierdził ten niski, z blond wąsami. – Gdyby mieli rozum, odeszliby razem z nami.
- Dorian, jesteś samolubny – zauważył łagodnie Pinar. – Kiedy rozpocznie się walka, Gan Orrin będzie musiał zapomnieć o swych idiotycznych przepisach. Będziemy zbyt zajęci, aby się nimi przejmować.
- No, ja już mam ich dość – przyznał Dorian. Lśniące zbroje. Poranne parady. Forsowne marsze. Inspekcje o północy. Kary za niedbałe salutowanie, nieuczესane końskie grzywy, rozmowy po capstrzyku. Ten człowiek to wariat.
- Jeśli was złapią, zostaniecie powieszani – oznajmił Pinar.
- Nie odważy się nikogo wysłać za nami. Będzie się bał kolejnych dezercji. Poszedłem do Dros Delnoch, żeby walczyć z Nadirami. Zostawiłem farmę, żonę i dwie córki. Niepotrzebne mi takie bzdury z polerowaniem zbroi.
- Więc idź, mój przyjacielu – powiedział Pinar. Mam nadzieję, że nie będziesz kiedyś żałował.
- Ja już żałuję. Jednak moja decyzja jest ostateczna oświadczył Dorian. – Udam się na południe i przyłączę do Woundweavera. To jest dopiero żołnierz!
- Czy księżę Delnar jeszcze żyje? – zapytał Druss. Młody wojownik machinalnie skinął głową. – Ilu ludzi pozostało jeszcze na służbie?
- Co? – powiedział Pinar zdając sobie sprawę, że Druss mówi do niego.
- Ilu ludzi macie w Delnoch?
- A co to ciebie obchodzi?
- Tam się udaję. – Dlaczego?
- Ponieważ mnie o to poproszono, młodzieńcze – odrzekł Druss. – A przez więcej lat niż chciałbym pamiętać, nigdy nie odrzuciłem prośby przyjaciela.
- Ten przyjaciel poprosił cię, żebyś dołączył do nas w Dros Delnoch? Czy on zwariował?

Potrzebujemy żołnierzy, łuczników, kopiarzy, wojowników. Nie mam czasu, aby traktować cię z należyty szacunkiem, starcze. Powinieneś jednak wracać do domu; nie potrzebujemy siwobrodych.

Druss uśmiechnął się ponuro.

– Śmiało mówisz, chłopcze. Jednak rozum masz w spodniach. Dzierżyłem topór przez czas dwakroć dłuższy niż ty chodzisz po świecie. Wszyscy moi wrogowie albo są martwi, albo żałują, że żyją. – Jego oczy rozbłyły i zbliżył się do młodszego mężczyzny. – Jeśli ktoś spędzi w nieustających wojnach czterdzieści pięć lat, to musi być dość zręczny, żeby przetrwać. A ty, chłoptasiu – z wargami ledwie obeschłymi od matczynego mleka – jesteś dla mnie zaledwie gołowąsem. Twój mieczyk wygląda ładnie u twego boku. Jednak gdybym chciał, zabiłbym cię, nawet się przy tym nie pocąc.

Cisza zapadła w pomieszczeniu, a na skroni Pinara obserwujący zajście zauważyli wyraźne lśnienie potu.

– Kto zaprosił cię do Dros Delnoch? – rzucił w końcu.

– Książę Delnar.

– Rozumiem. Książę jest chory, panie. Ponadto, możesz być wciąż potężnym wojownikiem lub nim nie być. A ja z pewnością jestem dla ciebie gołowąsem. Pozwól jednak powiedzieć sobie jedno: Gan Orrin dowodzi w Dros Delnoch, a on nie pozwoli ci zostać, niezależnie od zdania księcia Delnara. Jestem pewien, że czujesz właściwie i wybac, że nie okazałem ci szacunku.

Jesteś jednak za stary na wojnę.

– Sądy młodych! – powiedział Druss. – Rzadko mają jakąś wartość. Chociaż nie jest mi to miłe, widzę, że muszę udowodnić swoją wartość. Wyznacz mi jakieś zadanie, chłopcze.

– Nie rozumiem – rzekł Pinar.

– Wyznacz mi zadanie. Coś, czego nie może zrobić nikt z was. I zobaczymy jak się ma „starzec”.

– Nie mam czasu na takie zabawy. Muszę wracać do Dros. – Odwrócił się, chcąc odejść, lecz słowa Drussa dosięgły go jak cios, mroząc krew w żyłach.

– Nie rozumiesz mnie, chłopcze. Jeśli nie wyznaczysz mi tego zadania, będę musiał cię zabić. Ponieważ nie pozwolę się ośmieszać.

Młody człowiek zawrócił.

– Jak sobie życzysz. Bardzo dobrze. Czy wyjdziemy na rynek?

Gospoda opustoszała i tłum gości utworzył krąg wokół obu mężczyzn na opustoszałym, wiejskim placu. Słońce zniżyło się i Druss wciągnął głęboko powietrze, ciesząc się ciepłem wiosny.

– Próba siły nie miałaby sensu – przyznał Pinar bo jesteś zbudowany jak bawół. Jednak wojna, jak wiesz, to próba wytrzymałości. Czy znasz zapasy?

– Tak mówiono – powiedział Druss, zdejmując kaftan.

– Dobrze! W takim razie możesz wypróbować swoją zręczność w walce z trzema po kolei, wybranymi przeze mnie zawodnikami. Zgadzasz się?

– To zbyt proste walczyć z tymi delikatnymi, tłustymi mięczakami – prowokował Druss.

W tłumie rozległy się gniewne pomruki, ale Pinar uciszył je gestem uniesionej dłoni.

– Dorian. Hagir. Somin. Zmierzycie się z ojczulkiem? To byli ci trzej mężczyźni, których Druss spotkał przy barze jako pierwszych. Dorian zdjął płaszcz i związał rzemykiem sięgające ramion włosy. Druss ukradkiem sprawdził swoje kolano: nie było mocne.

– Gotowi? – zapytał Pinar.

Obaj skinęli głowami i Dorian natychmiast zaatakował Drussa. Ten błyskawicznie chwycił

przeciwnika za gardło, potem pochylił się, wcisnął mu prawą rękę między nogi i podniósł go w górę. Sapnął, zamachnął się i cisnął młodzieńcem, który przeleciał prawie dziesięć stóp w powietrzu i runął jak wór na twardo ubitą ziemię. Dorian podniósł się, ale zaraz znów usiadł, potrząsając głową. Tłum zawył ze śmiechu.

– Kto następny? – rzucił pytanie Druss.

Pinar kiwnął w stronę kolejnego młodzieńca, lecz widząc przestach na jego twarzy, zrobił krok do przodu.

– Dowiodłeś swego, siwobrody. Jesteś silny, a ja się myliłem. Jednak Gan Orrin i tak nie pozwoli ci walczyć.

– Młodzieńcze, on mnie nie powstrzyma. Jeśli spróbuje, przywiążę go do szybkiego konia i wyślę z powrotem do wujka. – Wszystkie oczy odwróciły się, gdy powietrze przeciął ostry krzyk.

– Ty stary draniu! – Dorian wyjął swój miecz i zbliżał się do Drussa, który stał ze skrzyżowanymi ramionami i czekał.

– Nie – powiedział Pinar. – Odłóż broń, Dorian.

– Cofnij się, albo wyjmuj miecz – rozkazał mu Dorian. – Mam dość tych gier. Uważasz się za wojownika, starcze? To zobaczymy jak władasz tym toporem. Bo jeśli nie, to wpuszczę nieco powietrza do twego brzucha.

– Chłopcze – rzekł Druss, rzucając mu zimne spojrzenie – dobrze przemyśl ten krok.

Ponieważ, wierz mi, nie możesz stanąć przeciw mnie i przeżyć. Nikomu się to jeszcze nie udało.

Te słowa zostały wypowiedziane cichym głosem, jednak nikt nie ośmielił się mu nie uwierzyć. Z wyjątkiem Doriana.

– No cóż, zobaczymy. Dobądź broni!

Druss wyjął Snagę z pochwy, a jego szeroka dłoń zacisnęła się na czarnym trzonku. Dorian zaatakował i zginął.

Leżał na ziemi z głową na pół odrąbaną od szyi. Druss wbił Snagę głęboko w ziemię, oczyszczając ją z krwi, podczas gdy Pinar stał otępiały ze zdumienia. Dorian nie był może wielkim, ale na pewno doświadczonym szermierzem. Tymczasem ten stary człowiek odbił cięcie i jednym płynnym ruchem oddał cios – nawet nie ruszając się z miejsca. Pinar spojrzał w dół, na ciało towarzysza. Powinieneś zostać w Dros, pomyślał.

– Nie chciałem, aby to się stało – oświadczył Druss – i ostrzegałem go. Wybór należał do niego.

– Tak – przyznał Pinar. – Przyjmij moje przeprosiny za sposób, w jaki z tobą rozmawiałem.

Myślę, że będziesz dla nas wielką pomocą. Wybacz. Muszę pomóc im usunąć ciało. Napijesz się ze mną?

– Zobaczymy się przy barze – zaproponował Druss. Wysoki, ciemnowłosy młodzieniec, z którym Druss miał mocować się jako drugim, podszedł do niego, gdy ten przedzierał się przez tłum.

– Przepraszam, panie – powiedział. – Przykro mi z powodu Doriana. To chłopak w gorącej wodzie kąpany. Zawsze taki był.

– Już nie – rzucił Druss.

– Nie będzie krwawej waśni – dodał młody człowiek.

– To dobrze. Żonaty mężczyzna, ojciec dwóch córek nie ma prawa ulegać złości. Ten człowiek był głupcem. Jesteś przyjacielem rodziny?

– Tak. Nazywam się Hagir. Nasze farmy są blisko siebie. Jesteśmy... byliśmy... sąsiadami.

– A więc, Hagirze, kiedy wrócisz do domu, mam nadzieję, że dopilnujesz, aby zatroszczono się o jego żonę.

– Nie wracam do domu. Wracam do Dros.

– Co spowodowało tę zmianę?

– Z szacunkiem, ty, panie. Myślę, że wiem, kim jesteś.

– Sam podejmuj swoje decyzje; nie zrzucaj odpowiedzialności na moje barki. Potrzebuję w Dros Delnoch dobrych żołnierzy, ale takich, którzy wytrwają.

– Nie uciekłem ze strachu. Miałem tylko dosyć tych głupich zarządzeń. Jeśli jednak ludzie tacy jak ty są gotowi tam iść, to jakoś to zniosę.

– Dobrze. Dołącz do mnie później na drinka. Teraz muszę wziąć gorącą kąpiel.

Druss przepchnął się do wejścia i zniknął w środku.

– Naprawdę masz zamiar wrócić, Hagir? – zapytał ktoś.

– Tak. Tak, naprawdę.

– Ale dlaczego? – dociekał inny. – Nic się nie zmieniło. Oprócz tego, że prawdopodobnie podadzą nas do raportu i dostaniemy chłostę.

– To on – on tam idzie. Kapitan Topora.

– Druss! To był Druss?

– Tak. Jestem tego pewien.

– Jakie to okropne! – powiedział inny.

– O co ci chodzi, Somin? – zapytał Hagir.

– O Doriana – Druss był jego bohaterem. Nie pamiętasz, jak ciągle o nim gadał? Druss to, Druss tamto. Dlatego poszedł na wojnę – aby być takim jak Druss i może nawet spotkać go.

– No cóż, spotkał go – zauważył Hagir ponuro.

Druss, ciemnowłosy Pinar, wysoki Hagir i Somin o szczerzej twarzy siedzieli przy narożnym stole w głównej izbie gospody. Dokoła nich zgromadził się tłum przyciągnięty legendą o siwowłosym mężczyźnie.

– Nieco ponad dziewięć tysięcy, mówicie. Ilu łuczników? Dun Pinar machnął ręką.

– Nie więcej niż sześciuset, Druss. Pozostali to resztki kawalerzystów-lansjerów, trochę piechoty, kopijników i saperów. Główną część kontyngentu stanowią ochotnicy, farmerzy z równiny Sentran. Są dość odważni.

– O ile dobrze pamiętam – rzekł Druss – Pierwszy mur ma czterysta kroków długości i dwadzieścia szerokości. Potrzeba na nim tysiąca łuczników. I nie chodzi mi o tysiąc łuków.

Potrzebujemy ludzi, którzy osiągną celu z odległości stu kroków.

– Po prostu, nie mamy ich – przyznał Pinar. – Do plusów możemy zaliczyć fakt, że mamy około tysięczny legion jazdy.

- Nareszcie jakaś dobra wiadomość. Kto nimi dowodzi?
- Gan Hogun.
- Ten sam Hogun, który rozgromił Sathuli pod Corteswain?
- Tak – potwierdził Pinar z dumą w głosie. Zdolny żołnierz, wymagający żelaznej dyscypliny, ale uwielbiany przez żołnierzy. Niezbyt jednak lubiany przez Gan Orrina.
- Nie dziwię się – powiedział Druss. – Jednak tę sprawę załatwimy w Dros Delnoch. Co z zaopatrzeniem?
- Jest trochę problemów. Żywności wystarczy na rok i znaleźliśmy trzy studnie, w tym jedną tuż pod kasztem. Mamy prawie sześćset tysięcy strzał, mnóstwo oszczepów i kilkaset zapasowych kolczug.
- Ale największy problem stanowi miasto. Rozrosło się od trzeciego do szóstego muru, od ściany do ściany rozciągają się setki budynków. Nie ma pola rażenia, Druss. Gdy nieprzyjaciel raz zdobędzie szósty mur, ma osłonę na całej drodze do stołpu.
- Zajmiemy się tym także. A czy w Skultik nadal są banici?
- Oczywiście. Kiedy ich nie było? – odparł Pinar.
- Ilu?
- Nie sposób oszacować. Przepuszczalnie pięciuset lub sześciuset.
- Czy mają jakiegoś przywódcę?
- Nie wiadomo – powiedział Pinar. – Pogłoski mówią, że największą bandą dowodzi ktoś szlachetnie urodzony. Jednak wiesz jak powstają takie plotki. Każdy przywódca banitów jest byłym magnatem lub księciem. O czym myślisz?
- Myślę, że oni są łucznikami – rzekł Druss.
- Nie możesz teraz pójść do Skultik, Druss. Wszystko się może wydarzyć. Mogą cię zabić.
- To prawda. Moje serce może odmówić posłuszeństwa albo wątroba. Może mnie zwalić choroba. Mężczyzna nie może spędzić życia, martwiąc się tym, na co nie ma wpływu. Potrzebuję łuczników. W Skultik są łucznicy. To proste, chłopcze.
- Nie takie proste. Wyślij kogoś innego. Ty jesteś zbyt cenny, aby ryzykować w ten sposób – powiedział do niego Pinar, chwytając go za ramię.
- Jestem już zbyt stary, aby zmieniać swe przyzwyczajenia. Bezpośrednie działanie popłaca, Pinar. Wierz mi. Jest w tym jeszcze coś, o czym opowiem ci innym razem.

– A teraz – przemówił, prostując się i kierując w stronę tłumu – wiecie, kim jestem i dokąd zmierzam. Powiem otwarcie; wielu spośród was zdezerterowało: jedni są wystraszeni, inni zdemoralizowani. Zrozumcie jedno: kiedy Ulryk zdobędzie Dros Delnoch, ziemie Drenajów staną się ziemiami Nadirów. Gospodarstwa, do których uciekacie, gospodarstwami Nadirów.

Wasze żony zostaną kobietami Nadirów. Są pewne rzeczy, od których nie można uciec. Wiem o tym.

– W Dros Delnoch ryzykujecie śmierć. Jednak wszyscy kiedyś umrzemy.

– Nawet Druss. Nawet Karnak Jednooki. Nawet Brązowy Książę.

– Mężczyzna potrzebuje w życiu wielu rzeczy, aby uczynić je znośnym. Dobrej kobiety.

Synów i córek. Braterstwa. Ciepła. Żywności i schronienia. Jednak przede wszystkim potrzebuje pewności, że jest mężczyzną.

– A kimże jest prawdziwy mężczyzna? To ktoś, kto podnosi się, gdy życie przygniata go do ziemi. To ktoś, kto grozi niebu pięścią, gdy burza niszczy jego zbiory – a potem znowu sieje.

I znowu. Mężczyzna pozostaje nieugięty pod okrutnymi ciosami losu.

– Może nigdy nie zdoła zwyciężyć, jednak patrząc na swe odbicie w lustrze, może być dumny z tego, co zobaczy. Ponieważ niezależnie od tego, jak nisko znajduje się na drabinie życia: czy jest wieśniakiem, niewolnikiem czy wywłaszczonym, pozostaje niezwyciężony.

– A czym jest śmierć? Końcem kłopotów. Końcem walki i strachu.

– Walczyłem w wielu bitwach. Widziałem wielu umierających mężów. I kobiety, także. Na ogół umierali dumnie.

– Miejcie to w pamięci, gdy będziecie decydować o swojej przyszłości.

Rozpalone, błękitne oczy starego człowieka przyglądały się twarzom w tłumie, badając ich reakcję. Wiedział, że już ich miał. Czas w drogę.

Pożegnał się z Pinarem i resztą, uregulował rachunek pomimo protestów oberżysty i wyruszył w kierunku Skultik.

Idąc złościł się, czując na swych plecach spojrzenia ludzi, którzy wyszli z gospody, aby za nim popatrzeć. Gniewało go, bo miłował prawdę, a wiedział, że mowa, którą właśnie wygłosił

była kłamstwem. Wiedział, że życie zламаło wielu ludzi. Niektórzy, mocni jak dęby, podupadali, gdy umierały lub opuszczały ich żony, gdy cierpiały i głodowały dzieci. Inni twardzi, załamywali się, gdy tracili kończynę lub, co gorsza, władzę w nogach lub rękach albo wzrok. Każdy człowiek ma granicę wytrzymałości, niezależnie od tego jak silny jest duchem. Gdzieś głęboko tkwiła w nim skaza, którą odsłonić mógł tylko okrutny kaprys losu. Druss zdawał sobie sprawę z tego, że siła człowieka płynęła przede wszystkim ze zrozumienia własnych słabości.

Jego ułomnością był strach przed starczym uwiązaniem i zdziecinnieniem. Myśl o tym przyprawiała go o drżenie. Czy tam, w Skodzie, naprawdę słyszał głos, czy też huczało w nim jego własne przerażenie?

Druss-Legenda. Najpotężniejszy mąż swych czasów. Maszyna do zabijania, wojownik.

Dlaczego?

Ponieważ nigdy nie miałem odwagi być rolnikiem, powiedział sobie Druss.

Potem roześmiał się i odegnał od siebie wszystkie ponure myśli i wątpliwości. To był talent, który posiadał.

Dzisiaj był w wyjątkowo dobrym nastroju. Był szczęśliwy. Jeśli będzie się trzymał

uczęszczanych szlaków, wkrótce z pewnością napotka banitów. Samotny, stary człowiek był

gratką, której nie można przegapić. Byłaby to banda nieudaczników, gdyby udało mu się przejść przez las, a oni nie zauważyliby go i nie zajęli się nim.

Gdy dotarł na skraj Skultik, las stał się gęściejszy. Ogromne, powykrzywiane dęby, pełne wdzięku wierzby i smukłe wiązy łączyły się konarami tak daleko jak okiem sięgnąć – i jeszcze dalej, o czym Druss wiedział.

Południowe słońce przebijało gałęzie promieniami migotliwego światła, a łagodny wiatr przynosił dźwięki miniaturowych wodospadów i ukrytych strumieni. Było to miejsce pełne piękna i czaru.

Wiewiórka porzuciła swą pogoń za jedzeniem i czujnie przyjrzała się idącemu człowiekowi.

Lis przycupnął w poszyciu, a wąż prześliznął się pod przewróconym pniem, kiedy przechodził

Druss. Nad jego głową śpiewały ptaki, tworząc chór pełen życia.

Druss maszerował całe długie popołudnie, od czasu do czasu podśpiewując mocne i pełne wigoru pieśni wojenne rozmaitych narodów.

Pod wieczór zorientował się, że jest obserwowany.

Nie umiałby wytłumaczyć, skąd o tym wiedział. Napięcie skóry na karku, rosnąca świadomość tego, że jego plecy stanowią szeroki cel. Cokolwiek to było, nauczył się ufać swoim zmysłom w takich sprawach. Poluzował Snagę w pochwie.

Kilka chwil później wyszedł na niewielką przecinkę w lasku buków, smukłych i wiotkich na tle dębów.

Pośrodku polanki, na przewróconym pniu, siedział młody człowiek, ubrany w ręcznie tkany strój, składający się z zielonej tuniki i brązowych, skórzanych nogawic. Na jego kolanach leżał

długi miecz, a obok niego łuk i kołczan strzał, z lotkami z gęsich piór.

– Dzień dobry, starcze – powiedział do Drussa. Gibki i silny, pomyślał Druss, okiem żołnierza oceniając kocia zwinność mężczyzny, który wstał z mieczem w ręku.

– Dzień dobry, chłopcze – odparł Druss, a po swojej lewej stronie dostrzegł ruch w poszyciu.

Z prawej doszedł go szmer gałęzi, o którą ocierała się odzież.

– I cóż cię sprowadza do naszego czarującego lasu? – zapytał młody człowiek. Druss beztrudno podszedł do pobliskiego buka i usiadł, opierając się plecami o pień.

– Pragnienie samotności – rzekł.

– Ach, tak. Samotność! A jednak masz towarzystwo. Być może nie jest to dla ciebie szczęśliwy czas.

– Czas równie dobry jak każdy inny – stwierdził Druss, odpowiadając uśmiechem na uśmiech tamtego. – Czemu nie poprosisz przyjaciół, aby się do nas przyłączyli? Tam, w krzakach musi być dość wilgotno.

– Jak to niegrzecznie z mojej strony, prawda? Eldred, Ring, wyjdźcie i przywitajcie naszego gościa.

– Dwaj młodzi ludzie z zakłopotaniem przedostali się przez zieleń i stanęli obok pierwszego. Obaj nosili na sobie ten sam, składający się z zielonej tuniki i skórzanych spodni, strój. – Jesteśmy więc wszyscy razem – powiedział pierwszy.

– Wszyscy, oprócz tego brodatego z łukiem – powiedział Druss. Młody człowiek roześmiał

się. – Wychodź, Jorak. Wygląda na to, że ojczulek niczego nie przegapią.

Czwarty wyszedł na polanę. Był ogromny – o głowę wyższy od Drussa i zbudowany jak wół; w jego wielkich dłoniach łuk sprawiał wrażenie zabawki.

– Teraz, drogi panie, jesteśmy tu wszyscy. Bądź łaskaw oddać nam wszystkie kosztowności, ponieważ spieszymy się. W obozowisku piecze się jeleń i słodkie, młode ziemniaczki w miętowym sosie. Nie chcemy się spóźnić.

– Uśmiechnął się prawie przepaszająco.

Druss ściągnął razem nogi i wstał, a jego niebieskie oczy zabłyśły radością na myśl o nadchodzącej walce.

– Jeśli chcecie mojej sakiewki, musicie na nią zapracować – powiedział.

– Och, do licha! – krzyknął młody człowiek, uśmiechnął się i ponownie usiadł. – Mówiłem ci, Jorak, że ten starzec wygląda na wojownika.

– A ja ci mówiłem, że powinniśmy go zastrzelić i dopiero potem zabrać mu sakiewkę –

odparł Jorak.

– Nierycersko – powiedział pierwszy. Zwrócił się do Drussa: – Słuchaj, starcze, byłoby grubiaństwem z naszej strony, gdybyśmy zastrzelili cię z daleka, co stawia nas w dość trudnej sytuacji. Widzisz, my musimy dostać twoją sakiewkę, rozumiesz? Inaczej jaki to miałoby sens być rabusiem?

– Przerwał, zamyślił się i przemówił znowu. – Nie wyglądasz na bogatego, cokolwiek więc zyskamy, nie jest warte wielkiego wysiłku. A co powiedziałabyś na rzucanie monety? Jeśli ty wygrasz, zatrzymujesz swoje pieniądze; jeśli my, zabieramy je. Dorzucę bezpłatny posiłek.

Pieczony jeleń! Jak to brzmi?

– A może tak: jeśli ja wygram, biorę wasze sakiewki i posiłek? – zapytał Druss.

– Hola, hola, stary! Nie trzeba się spoufalać, gdy próbujemy być mili. W porządku! Jak ci się podoba to? Trzeba rozwiązać sprawę honorowo. Co powiesz na małą potyczkę z tym oto Jorakiem? Wyglądasz na silnego, a on jest mistrzem w walce na pięści.

– Zrobione! – zgodził się Druss. – Jakie są zasady?

– Zasady? Zwycięża ten, kto zostanie na nogach. Niezależnie od tego, czy wygrasz, czy przegrasz, stawiamy ci kolację. Podobasz mi się; przypominasz mojego dziadka.

Druss uśmiechnął się szeroko, sięgnął do bagażu i nałożył swe czarne rękawice. – Chyba ci to nie przeszkadza, Jorak? – zapytał. – To ta stara skóra na moich kostkach – lubi pękać.

– Skończmy z tym – rzucił Jorak, podchodząc. Druss zrobił krok w jego stronę, mierząc okiem zatrważająco szerokie ramiona przeciwnika. Jorak zrobił wypad i wypuścił prawy sierpowy. Druss przysiadł, wbijając swoją prawą pięść w brzuch tamtego. Powietrze uszło ze świstem z ust olbrzyma. Odskakując, Druss grzmotnął prawym hakiem w szczękę Joraka, a ten padł na ziemię, twarzą w dół. Drgnął raz i znieruchomiał.

– Ta dzisiejsza młodzież – powiedział ze smutkiem Druss. – Brak jej wytrwałości.

Młody przywódca zaśmiał się.

– Wygrałeś, Ojciec Czasie. Ze względu jednak na mój szybko podupadający prestiż, pozwól, abym w czymś cię przewyższył. Zrobimy zakład: stawiam moją sakiewkę przeciw twojej, że jestem lepszym łucznikiem.

– To nie jest sprawiedliwy zakład, chłopcze. W tej kwestii uznaję twoje pierwszeństwo.

Jednak założę się z tobą: zapłacę, jeśli dosięgniesz strzałą pnia tego drzewa za moimi plecami.

– Ależ, drogi panie, gdzie w tym tkwi trudność? Mniej niż piętnaście kroków, a pień jest szeroki na trzy dłonie.

- Spróbuj i zobacz – zaproponował Druss. Młody banita wzruszył ramionami, podniósł łuk i wyciągnął długą strzałę z irchowego kołczana. Płynnym ruchem mocnych palców napiął cięciwę i zwolnił strzałę. Gdy jego łuk pochylił się, Druss wyjął Snagę i ciął szybkim ruchem w prawo, a topór zaśpiewał, przecinając powietrze migotliwym łukiem białego światła.
- Uderzenie ostrza rozszczępiło strzałę na pół. Młodzieniec zamrugnął i przełknął ślinę.
- Chętnie zapłaciłbym, żeby to zobaczyć – powiedział.
- Tak też zrobiłeś! – powiedział Druss. – Gdzie twoja sakiewka?
- Przykro mi – powiedział młody człowiek, wyciągając zza pasa mieszek – jest pusta. Jednak sakiewka jest twoja, jak uzgodniliśmy. Gdzie nauczyłeś się tej sztuczki?
- W Ventrii, wiele lat temu.
- W przeszłości widziałem kilka toporów przy pracy, ale to graniczyło z cudem. Nazywam się Bowman.
- Ja jestem Druss.
- Wiem, stary. Czyny przemawiają głośniejszą niż słowa.

ROZDZIAŁ 8

Hogun oddalił rozpacz, a jego mózg gorączkowo pracował. Wraz z dwoma setkami jazdy stał naprzeciw około tysiąca nadiryjskich dzikusów, kawaleryjskiego skrzydła sił Ulryka.

Wysłany, aby zbadać siłę i stan hordy Nadirów, znajdował się ponad 150 mil od Dros Delnoch. Prawie błagał Orrina, aby zaniechał tego planu, lecz najwyższy rangą gan nie dał się przekonać.

– Odmowa wykonania bezpośredniego rozkazu jest karana natychmiastową degradacją z rangi gana. Czy tego pragniesz, Hogunie?

– Wiesz, że nie o to mi chodzi. Staram się wytłumaczyć ci, że ta misja jest daremna. Od naszych szpiegów oraz niezliczonych uciekinierów wiemy wszystko o sile armii Ulryka.

Wysyłanie dwustu ludzi na to pustkowie jest bezsensowne.

Brązowe oczy Orrina zapłonęły gniewem, a jego tłusty podbródek drżał od powstrzymanej furii.

– Bezsensowne, mówisz? Ciekawe. Czy to tylko plan ci się nie podoba, czy też słynny spod Corteswain wojownik boi się spotkania z Nadirami?

– Czarni jeźdźcy są jedynym wyćwiczonym i sprawdzonym w boju oddziałem, jaki posiadasz,

Orrinie – powiedział, najbardziej przekonująco jak umiał. – Wskutek tego planu możesz stracić dwustu ludzi i nie dowiedzieć się więcej niż już wiesz. Ulryk posiada pięćset tysięcy ludzi i prawie dwa razy tyle w taborze, kucharzy, saperów i kurtyzan. Będzie tutaj za sześć tygodni.

– Pogłoski – wymamrotał Orrin. – Ruszacie o brzasku. Hogun poczuł wtedy, że mógłby go zabić. Orrin wyczuł niebezpieczeństwo.

– Jestem twoim zwierzchnikiem – powiedział głosem bardzo podobnym do skowytu. –

Wykonaj rozkaz.

I Hogun posłuchał. Z dwoma setkami swoich najlepszych ludzi, dosiadającymi czarnych koni

– hodowanych przez pokolenia jako najświetniejsze rumaki bojowe na kontynencie –

pocwałował na północ, gdy tylko świt rozjaśnił szczyty gór Delnoch.

Znalazłszy się poza polem widzenia obserwatorów z Dros, zwolnił tempo i dał rozkaz jazdy w luźnym szyku, pozwalając rozmawiać z towarzyszami. Młody Elicas przycwałował do niego, cugłami zmuszając konia do stępa.

– Kiepska sprawa, panie.

Hogun uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Lubił młodego Elicasa. Ten człowiek był

urodzonym wojownikiem i świetnym porucznikiem. Na koniu siedział jakby się na nim urodził, prawdziwy centaur. A w walce wcielony diabeł, szalał uzbrojony w swą szablę ze srebrnej stali, wykonaną na zamówienie i o dwa cale krótszą niż zwykłe miecze.

– Czego mamy się dowiedzieć? – zapytał.

– Wielkości i stanu armii Nadirów – odpowiedział Hogun.

– Wiemy to już – stwierdził Elicas. – O co chodzi temu tłustemu durniowi?

– Dość już, Elicasio – przerwał surowo. – Chce, abyśmy się dowiedzieli czy szpieczy nie...

wyolbrzymiali.

– Jest o ciebie zazdrosny, Hogunie; chce, żebyś zginął. Taka jest prawda, człowieku. Nikt nas nie słyszy. Wiesz kim on jest – dworakiem. Brakuje mu też odwagi. Dros nie utrzyma się ani dnia; on z pewnością otworzy bramy.

– Żyje w wielkim napięciu. Odpowiedzialność za cały los Drenajów spoczywa na jego barkach – odrzekł Hogun. – Daj mu trochę czasu.

– Nie mamy czasu. Hogunie, proszę, wyślij mnie do Woundweavera. Pozwól, abym wyjaśnił

naszą sytuację. Można go zmienić.

– Nie. Wierz mi, Elicasie, to nic nie da. On jest siostrzeńcem Abalayna.

– Ten staruch odpowiada za wiele rzeczy – warknął Elicas. – Jeżeli jakoś wyjdziemy z tego cało, będzie musiał odejść.

– Rządzi już od trzydziestu lat. To zbyt długo. Jeśli jednak, jak mówisz, wyjdziemy z tego cało, będzie to dzięki Woundweaverowi. I na pewno to on obejmie rządy.

– Pozwól mi więc pojechać do niego teraz! – zachęcał Elicas.

– To nie jest odpowiednia chwila. Woundweaver nie może działać. Zostawmy to tak, jak jest.

Przy odrobinie szczęścia wykonamy nasze zadanie i wymkniemy się niezauważeni.

Los się jednak do nich nie uśmiechał. W pięć dni po opuszczeniu Delnoch natknęli się na trzech nadiryjskich maruderów. Zabili tylko dwóch, trzeci przywarł do szyi swego stepowego konika i pognał jak wiatr do najbliższego lasku. Hogun zarządził natychmiastowy odwrót i powiodłoby mu się, gdyby miał choć trochę szczęścia. Elicas pierwszy zauważył sygnały, przekazywane lusterkami ze szczytu na szczyt wzgórz.

– Co o tym myślisz, panie? – zapytał, gdy Hogun ściągnął cugle swojego konia.

– Możemy tylko liczyć na przychylność losu. Wszystko zależy od tego, ile jazdy mają w pobliżu.

Odpowiedź nadeszła wkrótce. Późnym popołudniem zobaczyli na południu tumany kurzu.

Hogun spojrzał za siebie.

– Lebus! – zawołał, a młody wojownik przycwalał obok.

– Masz wzrok jak jastrzęb. Obejrzyj się. Co tam widzisz?

Młody żołnierz osłonił oczy dłonią i mrużąc je, spojrzał w dal.

– Kurz, panie. Jakieś dwa tysiące koni.

– A z przodu?

– Może z tysiąc.

– Dziękuję. Dołącz do oddziału. Elicas!

– Tak, panie?

– Zwinąć płaszcze. Weźmiemy ich na lance i szable.

– Rozkaz, sir. – Pocwałował z powrotem w dół kolumny. Czarne płaszcze zostały odpięte, zwinięte i przytroczone do siodeł. Czamosrebrne zbroje zabłyśły w słońcu, gdy jeden po drugim żołnierze przygotowywali się do wykonania zadania. Każdy jeździec wyjął z juków przy siodle czarnosrebrną osłonę przedramienia i przyczepił ją na miejscu. Potem zdjęto z rogów siodeł

małe, okrągłe puklerze i przymocowano je do lewego ramienia. Dopasowano pasy i dopięto zbroje. W hordzie zbliżających się Nadirów można już było rozróżnić poszczególnych ludzi, lecz ich wojenne okrzyki tłumilo dudnienie końskich kopyt.

– Opuścić przyłbice! – zawołał Hogun. – Klinem! Hogun i Elicas tworzyli wierzchołek klina, a pozostali w wyćwiczony sposób zajęli swoje miejsca w liczącym po stu jeźdźców z każdej strony trójkącie.

– Do ataku! – zakomenderował Elicas. Oddział puścił się cwałem; a następnie, w pełnym galopie, pochylił kopie. W miarę jak odległość zmniejszała się, Hogun czuł ja krew dudni mu w skroniach, a serce łomocze w rytm ogłuszającego łoskotu okutych kopyt czarnych koni.

Już rozróżniał pojedyncze twarze nadiryjskich jeźdźców i słyszał ich wrzaski.

Klin wbił się w szeregi Nadirów, a wyższe, czarne wierzchowce przebiły się przez masę górskich koników. Kopia Hoguna trafiła jakiegoś Nadira i trzasnęła, gdy zraniony wyleciał

z siodła. Szabla Hoguna zatoczyła łśniący krąg w powietrzu; ściał drugiego napastnika, odparował atak z lewej i cięciem w tył rozciął szyję kolejnego przeciwnika. Po jego prawej Elicas wydał okrzyk wojenny Drenajów, jego koń stanął dęba i przednimi kopytami wgniótł

sroką pierś konika, który stracił swego jeźdźca pod przetaczającą się masę czarnych jeźdźców.

W następnej chwili przebili się i gnali ku odległemu, zapewniającemu kruche poczucie bezpieczeństwa Dros Delnoch.

Spoglądając za siebie, Hogun zobaczył, że Nadirowie przeformowali się i pocwałowali na północ. Pościgu nie było.

– Ilu ludzi straciliśmy? – zapytał Elicasa, gdy oddział zwolnił do stępa.

– Jedenastu.

– Mogło być gorzej. Którzy to?

Elicas podał nazwiska. Wszyscy byli dobrymi wojownikami, zwycięzcami wielu bitew.

– Ten drań Orrin zapłaci za to – powiedział Elicas ze złością.

– Zapomnij o tym! Miał rację. Bardziej dzięki szczęściu niż rozsądkowi, ale miał rację.

– Co rozumiesz przez „rację”? Nie dowiedzieliśmy się niczego, a straciliśmy jedenastu ludzi

– odparł Elicas.

– Dowiedzieliśmy się, że Nadirowie są bliżej niż sądziliśmy. Ci jeźdźcy należą do plemienia Wolfsheadów. To współplemieńcy Ulryka; jego straż przyboczna. Nie wysłałby ich zbyt daleko przed główne siły. Można rzec, że mamy jakiś miesiąc czasu – jeśli dopisze nam fortuna.

– Do licha! Miałem zamiar wypatroszyć tego wieprza choćbym miał ponieść najwyższe konsekwencje.

– Powiedz ludziom, że dziś nie ma palenia ognisk rozkazał Hogun.

No, grubasie, pomyślał, to twoja pierwsza dobra decyzja. Oby nie ostatnia.

ROZDZIAŁ 9

Nieśmiertelne piękno puszczy urzekło żołnierską duszę Drussa. Emanowała czarem.

Poskręcane dęby wyglądały w srebrnym świetle księżyca jak milczący wartownicy: majestatyczne, wieczne, nieugięte. Cóż obchodziły ich ludzkie wojny? Łagodny wietrzyk szemrał

w splątanych gałęziach nad głową starca. Słup księżycowego światła skąpał powalony pień,

użyczając mu chwilowo nieziemskiego blasku. Samotny borsuk, schwytany przez smugę światła, umknął w poszycie.

Wśród otaczających płonące ognisko mężczyzn podniosła się ochrypla pieśń i Druss zaklął

cicho. Las znowu był tylko lasem, a dęby przerośniętymi roślinami. Bowman podszedł do Drussa, niosąc dwa skórzane kubki i bukłak wina.

– Najlepsze w Ventrii – powiedział. – Zmieni kolor twych włosów na czarny.

– Jestem za tym – odrzekł Druss. Młody człowiek napełnił kielich Drussa, a potem swój.

– Wyglądasz na zasmuconego, Druss. Myślałem, że perspektywa kolejnej chwalebnej bitwy rozraduje twoje serce.

– Twoi ludzie to najgorsi śpiewacy, jakich słyszałem w ciągu ostatnich dwudziestu lat –

odpowiedział Druss, opierając się o dąb i czując jak napięcie ustępuje pod wpływem wina.

– Dlaczego idziesz do Dros Delnoch? – zapytał Bowman.

– Okropni byli pojmani Sathuli. Monotonnie powtarzali tę samą cholerną zwrotkę, w kółko i w kółko. Puściliśmy ich w końcu – pomyśleliśmy, że jeśli będą tak śpiewać po powrocie do domu, to w ciągu tygodnia złamią ducha walki swojego plemienia.

– Posłuchaj, stary – powiedział Bowman. – Niełatwo mnie zbyć. Daj mi odpowiedź –

jakąkolwiek! Kłam, jeśli chcesz. Powiedz mi jednak, czemu podróżujesz do Dros Delnoch.

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– To mnie fascynuje. Człowiek widzący tylko na pół oka zauważy, że Delnoch padnie, a ty masz dość doświadczenia, by poznać prawdę, kiedy ją zobaczysz. Więc dlaczego tam idziesz?

– Czy możesz sobie wyobrazić, chłopcze, ilu takich przegranych spraw broniłem przez ostatnie czterdzieści lub więcej lat?

– Bardzo niewiele – powiedział Bowman. – Inaczej nie byłoby cię tutaj, aby o nich mówić.

– Nic podobnego. Skąd wiesz, że bitwa jest przegrana? Liczebność, przewaga strategiczna, rozmieszczenie? To wszystko mniej warte od wróblego łajna. Wszystko zależy od ludzi. Nawet największa armia poniesie klęskę, gdy ludzie są mniej gotowi umrzeć niż zwyciężyć.

– Retoryka – parsknął Bowman. – Użyj jej w Dros. Tamci głupcy przyjmą ją za dobrą monetę.

– Jeden na pięciu i ten jeden ułomny – stwierdził Druss, powstrzymując gniew. – Na kogo postawisz?

– Wiem, o co ci chodzi, stary. A co będzie, jeśli tym ułomnym jest Karnak Jednooki. O to chodzi? No cóż, wtedy postawię na niego. Tylko ilu Karnaków jest w Dros Delnoch?

– Kto wie? Nawet Karnak był kiedyś nieznanym. Zdobył sławę na krwawym polu bitwy. Pod Dros Delnoch wielu herosów wystąpi po raz ostatni.

– Więc potwierdzasz to? Dros jest skazana – wyraził przekonanie Bowman, uśmiechając się triumfalnie. – Powiedziałeś: po raz ostatni.

– Do diabła, chłopcze! Nie wkładaj mi słów w usta warknął Druss, przeklinając siebie. Gdzie teraz jesteś Siebenie, pomyślał. Teraz, kiedy cię potrzebuję, razem z twoimi gładkimi słówkami i giętym dowcipem.

– A więc nie próbuj traktować mnie jak głupca. Przyznaj, że los Dros jest przesądzony.

– Jak powiedziałeś – przyznał Druss – nawet ktoś z połówką oka może to zobaczyć. A ja gwizdę na to, chłopcze. Aż do momentu, kiedy faktycznie mnie zabiją, będę wciąż wyglądał

zwycięstwa. A bogowie wojny są w najlepszym razie zmienni. Jakie jest twoje zdanie na ten temat? Bowman uśmiechnął się i ponownie napełnił kielichy. Przez moment milczał, smakując wino i napawając się zmieszaniem starego.

– No więc? – powiedział Druss.

– Dochodzimy teraz do tego – odpowiedział Bowman.

– Dochodzimy do czego? – powiedział Druss, tracąc pewność siebie pod cynicznym wzrokiem młodego łucznika.

– Do przyczyny twojego przybycia do mojej puszczy – odparł Bowman, rozkładając ręce, a jego uśmiech stał się nagle otwarty i przyjazny. – Daj spokój, Druss. Mam dla ciebie zbyt wiele szacunku, aby się dłużej droczyć. Chcesz aby moi ludzie wzięli udział w twojej szaleńczej bitwie.

Odpowiedź brzmi, nie. Pomimo to, napij się wina.

– Czy tak łatwo mnie przejrzeć? – zapytał stary wojownik.

– No cóż, skoro Druss-Legenda spaceruje po Skultik w przeddzień klęski, musi szukać czegoś więcej niż żołądki.

– Czy to wszystko, czego żądasz od życia? – zapytał Druss. – Śpisz w lepiance i jesz, kiedy znajdujesz zwierzynę. Kiedy jej nie ma, głodujesz. Marzniesz w zimie. W lecie mrówki włożą ci w ubranie i mnożą się wszy. Nie zostałeś stworzony do takiego życia.

– Nie jesteśmy stworzeni do życia w ogóle, stary. Ono zostało stworzone dla nas. Myje przeżywamy. My z niego odchodzimy. Nie porzucę mojego życia dla twego krwawego szaleństwa. Takie bohaterstwo zostawiam ludziom takim jak ty. Spędziłeś całe życie biorąc udział w takiej czy innej,

nędznej wojence. I co się zmieniło? Czy pomyślałeś o tym, że gdybyś piętnaście lat temu, pod Skeln nie pokonał Ventrian, bylibyśmy teraz częścią potężnego imperium i to oni musieliby się martwić Nadirami?

– Wolność jest warta walki – powiedział Druss.

– Dlaczego? Nikt nie może odebrać człowiekowi wolności duszy.

– A więc swoboda? – zaoferował Druss.

– Swoboda jest ceniona tylko wtedy, gdy coś jej zagraża; tak więc to zagrożenie podnosi jej wartość. Dlatego powinniśmy być wdzięczni Nadirom, gdyż podwyższają wartość naszej wolności.

– Niech cię лихо, zagadałeś mnie swoimi pięknymi słówkami. Jesteś jak ci politycy w Drenanie, nadęci jak chora krowa. Nie mów mi, że zmarnowałem swoje życie, tego nie zniosę!

Kochałem dobrą kobietę, zawsze żyłem w zgodzie ze swoimi zasadami. Nigdy nie popełniłem niegodnego ani, jak dotąd, okrutnego czynu.

– Ach, Druss, nie każdy jest taki jak ty. Nie zamierzam krytykować twoich zasad, jeżeli tylko nie będziesz próbował zaszczepić ich mnie. Nie mam na to czasu. Jako rabuś-banita z zasadami byłbym nędznym hipokrytą.

– Dlaczego więc nie pozwoliłeś Jorakowi mnie zastrzelić?

– Jak powiedziałem, to nierycerskie. Bez klasy. Jednak innym razem, kiedy byłoby mi zimniej albo byłbym w złym humorze...

– Jesteś szlachetnie urodzony, prawda? – powiedział Druss. – Bogaty chłopiec, który bawi się w rabusia. Po co ja tutaj siedzę i spieram się z tobą?

– Ponieważ potrzebujesz moich łuczników.

– Nie. Zrezygnowałem z tego pomysłu – rzucił Druss, podsuwając swój kielich odzianemu w zieleń banicie. Bowman napełnił go, a na jego ustach znowu pojawił się cyniczny uśmiech.

– Zrezygnowałeś? Nonsens. Powiem ci, o czym teraz myślisz. Pokłócisz się jeszcze trochę, a potem zaoferujesz mi zapłatę i ułaskawienie. Jeśli odmówię, zabijesz mnie i spróbujesz swoich szans z moimi ludźmi.

Wstrząsnęło to Drusem, lecz jego twarz nie zdradzała niczego.

– Czy umiesz także czytać z dłoni? – zapytał, upijając łyk wina.

– Jesteś zbyt uczciwy, Druss. Lubię cię. Dlatego chciałbym zaznaczyć, że Jorak siedzi za tymi krzakami z łukiem gotowym do strzału.

– Przegrałem więc – stwierdził Druss. – Zatrzymaj swoich łuczników.

– No, no, mój kochany, nie spodziewałem się takiego pesymizmu ze strony Drussa-Legendy.

Złóż ofertę.

– Nie mam czasu na twoje gierki. Miałem przyjaciela podobnego do ciebie. Nazywał się Sieben, był królem gawędziarzy. Mógł mówić przez cały dzień i przekonałby cię, że morze jest z piasku. Nigdy nie wygrałem z nim żadnej kłótni. Też opowiadał o swoim braku zasad –

i podobnie jak ty, kłamał.

– Był poetą, który stworzył legendę. Uczynił cię nieśmiertelnym – dodał cicho Bowman.

– Tak – powiedział Druss, wracając myślą do tamtych dawnych lat.

– Czy naprawdę ścigałeś swoją kobietę po świecie?

– Przynajmniej to jest prawdą. Pobraliśmy się, gdy byliśmy bardzo młodzi. Potem na moją wieś napadł handlarz niewolników o imieniu Harib Ka, który sprzedał ją wschodniemu kupcowi.

Nie było mnie podczas napadu, ponieważ pracowałem w lesie. Podążyłem za nimi. Zabrało mi to siedem lat, a kiedy ją znalazłem, była z innym mężczyzną.

– Co się z nim stało? – zapytał Bowman miękko.

– Umarł.

– A ona wróciła z tobą do Skody.

– Ach. Kochała mnie. Naprawdę.

– Interesujący dodatek do twojej sagi – przyznał Bowman.

Druss zachichotał.

– Na stare lata robię się melancholijny. Zazwyczaj nie gadam o przeszłości.

– Co się stało z Siebenem? – zapytał banita.

– Zginął pod Skeln.

– Byliście sobie bliscy?

– Jak bracia.

– Nie wiem, w czym ci go mogę przypominać – powiedział Bowman.

- Może dlatego, że obaj skrywacie mroczny sekret powiedział Druss.
 - Być może – wyznał banita. – Jednak złóż swoją ofertę.
 - Ułaskawienie dla każdego człowieka i pięć złotych Raq na głowę.
 - Mało.
 - To najlepsze, co mogę dać.
 - Twoja oferta musi być taka: ułaskawienie, pięć złotych Raq na głowę dla wszystkich 620 ludzi i umowa, że kiedy upadnie trzeci mur, odejdziemy wraz z pieniędzmi i ułaskawieniami podbitymi książeczą pieczęcią.
 - Dlaczego trzeci mur?
 - Ponieważ to będzie początek końca.
 - Jesteś czymś w rodzaju stratega, co, chłopcze?
 - To można przewidzieć. Przy okazji, co myślisz o żołnierzach-kobietach?
 - Znałem kilka. Dlaczego pytasz?
 - Jedna przyjdzie ze mną.
 - Więc? Co to za różnica, jeśli umie celować z łuku.
 - Nie powiedziałem, że to jakaś różnica. Sądziłem tylko, że powinienem o tym wspomnieć.
 - Czy jest coś, co powinienem wiedzieć o tej kobiecie? – zapytał Druss.
 - Tylko tyle, że umie zabijać – powiedział Bowman.
 - Więc jest doskonała i powitam ją z otwartymi ramionami.
- Tego nie radziłbym robić – zaznaczył cicho Bowman.
- Bądźcie w Delnoch za czternaście dni, a powitam was wszystkich z otwartymi ramionami.

Rek obudził się i ujrzał młode słońce, oświetlające odległe góry. Jego ciało szybko otrząsnęło się z pozbawionego marzeń snu. Przeciągnął się i wygramolił z pościeli, a potem podszedł do okna sypialni w wieży. Na dziedzińcu poniżej Trzydziestu przygotowywało swoje wierzchowce, rumaki o szerokich piersiach, krótko przyciętych grzywach i zaplecionych ogonach. Oprócz odgłosu stalowych podków na bruku, dziwna cisza okrywała tę scenę. Żaden z mężczyzn nie odezwał się słowem. Rek zadrżał.

Virae jęknęła przez sen, wyciągając rękę w poprzek łóżka.

Rek obserwował jak mężczyźni na dole sprawdzali zbroje i dociągali poprzęgi siodeł. Dziwne, pomyślał. Gdzie żarty, śmiech, wszystkie dźwięki towarzyszące zazwyczaj żołnierzom gotującym się na wojnę? Dowcipy łagodzące strach, przekleństwa rozładowujące napięcie?

Pojawił się Serbitar, na srebrną zbroję narzucił biały płaszcz, a zaplecione, białe włosy przykrył srebrnym hełmem. Trzydziestu zaszalowało mu. Rek potrząsnął głową. To wprost niesamowite. Idealnie zgrany ruch: jak ten sam salut odbity w trzydziestu lustrach.

Virae otworzyła oczy i ziewnęła. Przewróciła się na drugi bok i zobaczyła postać Ręka oświetloną porannym słońcem. Uśmiechnęła się.

– Twój brzuch odchodzi w zapomnienie – zauważyła.

– Nie drwij – powiedział, uśmiechając się. – Jeżeli nie chcesz wystąpić nago przed trzydziestoma wojownikami, musisz się pośpieszyć. Są już na dziedzińcu.

– W ten sposób można by sprawdzić, czy oni mają jakieś ludzkie cechy – odrzekła siadając.

Rek oderwał oczy od jej ciała.

– Masz na mnie przedziwny wpływ – przyznał, zaglądając jej w oczy. – Zawsze, w najmniej odpowiednich momentach, myślę o kochaniu się z tobą. Ubierz się.

Na dziedzińcu Serbitar poprowadził modlitwę, milczące zjednoczenie dusz. Vintar z rozczeniem obserwował młodego albinosa, zadowolony z tego, że ów szybko przystosował

się do odpowiedzialnej funkcji wodza.

Albinos zakończył modlitwę i powrócił do wieży. Czuł się niepewnie, wyrwany z transu.

Wspiął się na spiralne, kamienne schody, prowadzące do sypialni, uśmiechając się na wspomnienie obietnicy danej wysokiemu Drenajowi i jego kobiecie. O ileż łatwiej byłoby przemówić do nich niż wchodzić po schodach, aby sprawdzić, czy są gotowi.

Zapukał w nabijane ćwiekami drzwi. Otworzył Rek i zaprosił go do środka.

– Widzę, że jesteście gotowi – powiedział. – Zaraz schodzimy.

Serbitar skinął głową.

– Drenajowie spotkali Nadirów – poinformował ich.

– Są już pod Delnoch? – zapytał Rek, zaniepokojony.

– Nie, nie – odpowiedział Serbitar. – Legion napotkał ich na pustkowiu. Nieźle się spisali.

Ich przywódca nazywa się Hogun. Dobrze, że chociaż on zna się na tym, co robi.

– Kiedy to było?

– Wczoraj.

– Znowu ta twoja moc?

– Tak. Czy to cię niepokoi?

– Czuję się trochę skrępowany. Jednak tylko dlatego, że nie posiadam tego talentu.

– Mądra uwaga, Rek. Z czasem łatwiej to zaakceptujesz, uwierz mi. – Serbitar uklonił się, widząc Virae, wychodzącą z położonej głębiej umywalni.

– Przepraszam, że musicie na mnie czekać – powiedziała. Na zbroję, składającą się ze srebrnej kolczugi z brązowymi naramiennikami, teraz założyła srebrny hełm z brązowymi skrzydłami i biały płaszcz – dary od Vintara. Swe jasne włosy spłótła po obu stronach twarzy.

– Wyglądasz jak bogini – dodał Rek.

Dołączyli do Trzydziestu na dziedzińcu, dosiedli koni, po czym pojechali u boku Serbitara i Menahema, kierując się do ujścia rzeki Drinn.

– Kiedy tam dotrzemy – powiedział im Menahem zaokrętuujemy się na lentryjski statek do Dros Purdol. Zaoszczędzi to nam dwa tygodnie podróży. Z Purdol pojedziemy rzeką i drogą, tak że powinniśmy dotrzeć do Delnoch przed upływem czterech tygodni. Obawiam się, że bitwa rozpocznie się zanim tam przybędziemy.

W miarę upływu godzin jazda stała się dla Ręka koszmarem. Zanim zarządzono południową przerwę, plecy miał obtłuczone, a pośladki zdrętwiałe. Popas był krótki i do zmierzchu ból jeszcze się wzmógł.

Obozowali w małym zagajniku nad strumieniem. Virae prawie spadła z siodła, zmęczenie –

głębokie i odrętwiające – widać było w każdym jej ruchu. Jednak była dostatecznie doświadczonej jeźdźcem, żeby zadbać o konia zanim osunęła się na ziemię i oparła plecy o drzewo. Rek poświęcił dość dużo czasu na otarcie piany z grzbietu i boków zwierzęcia. On bynajmniej nie chciał siadać! Przykrył konia derką i pospacerował nad strumień. Lancer spisał

się równie dzielnie jak wierzchowce mnichów, pomyślał z dumą.

Jednak wciąż zachowywał ostrożność wobec konia. Ogier nawet teraz próbował go ugryźć.

Rek uśmiechnął się, wspominając niedawne zdarzenie.

– Świetny wierzchowiec – przyznał Serbitar tego ranka i zrobił krok do przodu, żeby pogłaskać

grzywę konia. Lancer kłapnął zębami i Serbitar odskoczył. – Mogę z nim porozmawiać? – zapytał.

– Z koniem?

– Jest to raczej więź empatyczna. Powiem mu, że nie miałem złych zamiarów.

– Zgoda.

Po chwili Serbitar uśmiechnął się.

– Jest bardzo przyjacielski, ale tylko czeka, aby mnie znowu capnąć. To swarliwe zwierzę, przyjacielu.

Rek wrócił do obozowiska, gdzie zobaczył cztery wesoło płonące ogniska i jeźdźców, zjadających owsiane placki. Virae spała pod drzewem, owinięta kocem, a jej głowa spoczywała na białym płaszczu. Rek dołączył do Serbitara, Vintara i Menahema przy ich ognisku. Arberdark przemawiał cicho do pobliskiej grupy.

– Gnamy za szybko – powiedział Rek. – Konie nie wytrzymają.

– Odpoczniemy na statku – odrzekł Serbitar. – A jutro rano będziemy na pokładzie lentryjskiego okrętu „Wastrel”. Wyrusza z porannym odpływem, stąd ten pośpiech.

– Bolą mnie wszystkie kości – przyznał Rek. – Czy są jakieś wieści z Delnoch?

– Zobaczymy później – odparł Menahem, uśmiechając się. – Rek, przyjacielu, przepraszam za to, że cię testowałem. To był błąd.

– Zapomnij o tym, proszę – i o tym, co powiedziałem. Mówiłem w gniewie.

– To wspaniałomyślne. Zanim do nas dołączyłeś rozmawialiśmy o Dros. Jesteśmy przekonani, że pod obecnym dowództwem nie utrzyma się przez tydzień. Morale jest niskie, a ich wodza, Orrina przytłacza stanowisko i odpowiedzialność. Potrzeba nam pomyślnego wiatru i żadnych opóźnień.

– Myślisz, że może być po wszystkim zanim tam dotrzemy? – zapytał Rek, a serce podeszło mu do gardła.

– Nie sędzę – powiedział Vintar. – Jednak koniec może być bliski. Powiedz mi, Regnak, dlaczego jedziesz do Delnoch?

– Nie można wykluczyć, że z głupoty – odpowiedział mu Rek bez cienia żartu. – A poza tym, być może nie przegramy. Z pewnością mamy chociaż cień szansy.

– Druss będzie tam wkrótce – zaznaczył Vintar. Wiele zależy od tego, jak go przyjmą. Jeżeli dobrze, a my przybędziemy zanim upadnie pierwszy mur, zapewne zdołamy skupić siły obrońców i zagwarantować opór na około miesiąc. Nie widzę możliwości, aby z zaledwie dziesięcioma tysiącami załogi mogli utrzymać się dłużej.

– Woundweaver może nadesłać posiłki – zauważył Menahem.

– Możliwe – dodał Serbitar. – Jednak mało prawdopodobne.. Jego werbownicy już przeczesują imperium. Faktycznie, cała armia jest zgromadzona pod Delnoch, z wyjątkiem trzech tysięcy w Dros Purdol i kolejnego tysiąca w Corteswain.

– Abalayn postępował głupio przez ostatnie lata, zmniejszając ilość wojska i zawierając układy handlowe z Ulrykiem. To było szaleństwo. Gdyby nie zaatakowali nas Nadirowie, wkrótce zrobiłaby to Vagria.

– Mój ojciec z przyjemnością poniżyłby Drenajów. Od dawna już o tym marzy.

– Twój ojciec? – zaciekawiał się Rek.

– Księżę Drada z Dros Segril. Nie wiedziałeś?

– Nie. Nie wiedziałem. Jednak Segril leży zaledwie osiemdziesiąt mil na zachód od Delnoch.

Na pewno przyśle ludzi, jeśli dowie się, że ty tam będziesz.

– Nie. Mój ojciec i ja nie jesteśmy przyjaciółmi; mój talent go drażni. Jeśli jednak zginę, on ślubuje krwawą zemstę Ulrykowi. A to oznacza, że przeczuci swe siły do Woundweavera. To może pomóc Drenajom – ale nie Dros Delnoch.

Menahem dorzucił gałązek do ognia i wyciągnął swe smagłe dłonie nad płomieniem.

– Abalayn przynajmniej w jednym miał rację. Ten Woundweaver z Lentrii to osobistość.

Żołnierz ze starej szkoły, twardy, zdecydowany i praktyczny.

– Są chwile, Menahemie – powiedział Vintar, uśmiechając się łagodnie, a jego podeszły wiek uwidocznił się wyraźnie po ciężkiej jeździe – kiedy wątpię, czy osiągniesz cel. Wojownicy ze starej szkoły, rzeczywiście!

Menahem uśmiechnął się szeroko.

– Mogę podziwiać człowieka za jego zalety, nie uznając jednocześnie jego zasad – rzucił.

– To prawda, że możesz, mój chłopcze. Czyżbym jednak dostrzegał maleńki cień zrozumienia?

– Zauważyłeś, Ojczy Opacie. Jednak to tylko cień, zapewniam cię.

– Mam taką nadzieję, Menahemie. Nie chciałbym cię stracić przed podróżą. Twoja dusza musi być pewna.

Rek zadrżał. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali. Po namyśle stwierdził, że wcale nie chce wiedzieć.

Pierwszą linią obrony Dros Delnoch był mur Eldibar, wijący się jak prawie ćwierćmilowy wąż w poprzek przełęczy Delnoch. Mierząca czterdzieści osiem stóp od strony północnej, a tylko pięć od południa ściana, wyglądała jak gigantyczny stopień wykuty z litego granitu w samym sercu góry.

Szeregowy Gilad siedział na blankach, spoglądając posepnie ponad nielicznymi drzewami, ku północnym równinom. Jego oczy obserwowały drgający, odległy horyzont szukając zdradliwych tumanów kurzu, zapowiadających najeźdźców. Nic nie było widać. Zmrużył ciemne oczy, dostrzegając orła, krążącego wysoko na porannym niebie. Gilad uśmiechnął się.

– Leć, wielki, złoty ptaku. Żyj! – krzyknął. Szybko wstał i przeciągnął się, prostując plecy.

Miał drugie i smukłe nogi, a ruchy płynne i pełne wdzięku. Nowe, wojskowe buty były o pół

numeru za duże i wypchane papierem. Hełm, cudowny przedmiot z brązu i srebra, zsunął mu się na jedno oko. Klnąc rzucił go na ziemię. Pewnego dnia napiszę hymn o sprawności armii, pomyślał. Zaburczało mu w brzuchu, rozejrzał się więc za swoim przyjacielem, Breganem, który poszedł przynieść ich przedpołudniowy posiłek. Czarny chleb i ser – na pewno. Niezliczone wozy z zaopatrzeniem przybywały codziennie do Delnoch, jednak przedpołudniowy posiłek nieodmiennie składał się z czarnego chleba i sera. Oslaniając oczy, ledwie rozróżnił baryłkowatą postać Bregana, spokojnym krokiem wychodzącą z mesy, z dwoma talerzami i dzbanem w rękach. Gilad uśmiechnął się. Dobroduszny Bregan. Rolnik, mąż, ojciec. Wszystkie te role wypełniał dobrze, na swój cichy, dobry, swobodny sposób. Ale żołnierz?

– Czarny chleb i topiony ser – powiedział Bregan, uśmiechając się. – Jedliśmy go zaledwie trzy razy, a już mi się przejadł.

– Czy wozy wciąż wjeżdżają? – zapytał Gilad.

– Tuzinami. Jednak nadal uważam, że oni lepiej wiedzą, czego potrzeba żołnierzowi – odrzekł Bregan. – Ciekawe jak sobie radzą Lotis i chłopcy.

– Nowiny powinny nadejść później. Sybad zawsze dostaje listy.

– Tak. Jestem tutaj dopiero od dwóch tygodni, a jednak okropnie tęsknię za rodziną –

przyznał Bregan. – Zaciągnąłem się pod wpływem chwilowego porywu, Gil. Chyba jakoś ujęły mnie słowa tego oficera.

Gilad już to słyszał – prawie codziennie przez dwa tygodnie, od czasu gdy wydano im broń.

Wiedział, że Bregan nie powinien być w Delnoch; był wystarczająco twardy, ale w pewien sposób brakowało mu ducha. Był chłopem, człowiekiem, który kochał tworzenie. Niszczenie było przeciwne jego naturze.

– A przy okazji – dodał nagle Bregan, z twarzą zdradzającą podniecenie – nie zgadniesz, kto właśnie przybył!

- Kto?
- Druss-Legenda. Możesz w to uwierzyć?
- Jesteś pewien, Bregan? Myślałem, że nie żyje.
- Tak. Przybył przed godziną. W kantynie aż kipi. Mówią, że przyprowadził pięć tysięcy łuczników i legion rębaczy.
- Nie licz na to, przyjacielu – powiedział Gilad. Nie jestem tu długo, ale chciałbym dostać miedziaka za każdą historyjkę, jaką słyszałem o posiłkach, planach pokojowych, układach i pokoju.
- No cóż, nawet jeśli nie przyprowadzi nikogo, to nadal dobra wiadomość, czyż nie? To znaczy, jest bohaterem, prawda?
- Z pewnością. O bogowie, on musi już mieć siódmy krzyżyk na karku. Trochę za stary, nie sądzisz?
- Ale to bohater. – Bregan położył nacisk na to słowo i oczy mu zabłysły. – Przez całe życie słuchałem opowiadań o nim. Był synem chłopca. Nigdy nie poniósł porażki, Gil. Nigdy. I będzie z nami. Z nami! Następna pieśń o Drussie będzie również pieśnią o nas. Ach, wiem, że nie będzie w niej naszych imion – ale my będziemy wiedzieli, prawda? Będę mógł powiedzieć małemu Leganowi, że walczyłem u boku Drussa-Legendy. To różnica, zgodzisz się?
- Oczywiście, że tak – przytaknął Gilad, zanurzając kawałek czarnego chleba w serze i spoglądając na horyzont. Wciąż pusty. – Czy twój hełm jest dopasowany? – zapytał.
- Nie, za mały. Dlaczego?
- Spróbuj mój.
- Już to przerabialiśmy, Gil. Bar Kistrid mówi, że przepisy zabraniają zamieniać się.
- Do diabła z Bar Kistridem i jego głupimi przepisami. Przymierz.
- Mają wewnątrz wybite numery.
- Kogo to obchodzi? Przymierzaj, na Missaela. Bregan rozejrzał się ostrożnie, sięgnął po hełm Gilada i przymierzył go.
- No i co? – zaczął Gilad.
- Lepiej. Wciąż trochę za ciasny, ale dużo lepszy.
- Daj mi swój – Gilad nałożył hełm Bregana na swoją głowę; był prawie idealny. –
Cudownie! – powiedział. Ten ujdzie.

– Ale przepisy...

– Nie ma przepisu, który mówi, że hełm nie może być dopasowany – przerwał mu Gilad. –

Jak ci idzie szermierka?

– Nie najgorzej – przyznał Bregan. – Tylko kiedy szabla jest w pochwie, czuję się głupio.

Ciągle płacze mi się między nogami i potykam się o nią. – Gilad wybuchnął śmiechem, którego wspaniały, wesoły dźwięk rozległ się echem wysoko w górach.

– Ej, Breg, co my tutaj robimy?

– Walczymy za nasz kraj. Nie ma się z czego śmiać, Gil.

– Ja się nie śmieję z ciebie – skłamał. – Śmieję się z tej całej głupoty. Stawiamy czoła największemu w naszym stuleciu zagrożeniu, a oni mi dają za duży hełm, tobie za mały i nie pozwalają się nam zamienić. Tego już naprawdę za wiele. Popatrz na nas. Dwaj chłopcy na wysokim murze, potykający się o własne szable. – Zachichotał, a potem znowu roześmiał się w głos.

– Prawdopodobnie nie zauważają, że się zamieniliśmy – powiedział Bregan.

– Nie zauważają. Wszystko, czego teraz potrzebuję, to znaleźć kogoś z szeroką klatką piersiową, kto nosi mój rozmiar napierśnika. – Gilad przechylił się do przodu, bo ze śmiechu kłuło go w boku.

– To dobra wiadomość o Drussie, prawda? – zaczął Bregan, zdziwiony nagłym przyływem dobrego humoru Gilada.

– Co? A, tak. – Gilad nabrał głęboko powietrza, a potem uśmiechnął się do przyjaciela. Tak, to była dobra wiadomość jeśli potrafiła tak pokrzepić człowieka takiego jak Bregan, pomyślał.

Bohater, akurat. Żaden bohater, Bregan, ty głupcze. Po prostu wojownik. Ty jesteś bohaterem.

Opuściłeś rodzinę i gospodarstwo, które kochasz, aby przyjść tutaj i umrzeć w ich obronie. I kto zaśpiewa o tobie pieśń – albo o mnie? Jeżeli w ogóle będą pamiętać w przyszłości o Dros Delnoch, to dlatego, że umrze tutaj siwobrody starzec. Już słyszał psalmistów i autorów sag, składających swe rymy. I nauczycieli opowiadających dzieciom – dzieciom Nadirów i Drenajów

– historię Drussa: „A na koniec długiego, chwalebego życia Druss-Legenda przybył do Dros Delnoch, gdzie walczył mężnie i padł”.

– W kantynie mówią – powiedział Bregan – że po miesiącu ten chleb jest pełen toczących go robaków.

– Czy wierzysz we wszystko, co ci mówią? – warknął Gilad, z nagłą złością. – Gdybym miał

pewność, że za miesiąc będę jeszcze żył, byłbym szczęśliwy jedząc chleb z robactwem.

– Ja nie – odparł Bregan. – Powiadają, że można się nim otruć.

Gilada opanował gniew.

– Wiesz – powiedział w zadumie Bregan – nie rozumiem dlaczego tak wielu ludzi uważa, że nasz los jest przesądzony. Spójrz na wysokość tego muru. A jest ich sześć. A poza tym jest jeszcze sama twierdza. Nie sądzisz?

– Tak.

– Co z tobą, Gil? Zachowujesz się dziwnie. To śmiejesz się, to złościsz. To do ciebie niepodobne; zawsze byłeś taki... zrównoważony, jak sądzę.

– Nie przejmuj się mną, Breg. Po prostu boję się.

– Ja też. Ciekaw jestem czy Sybad dostał list. To nie to samo, wiem – co zobaczyć ich, rozumiesz. Jednak lepiej się czuję słysząc, że u nich wszystko dobrze. Założę się, że Legan nie sypia zbyt dobrze, kiedy mnie tam nie ma.

– Nie myśl o tym – powiedział Gilad, wyczuwając zmianę nastroju u przyjaciela i wiedząc, że ten jest bliski łez. Człowiek o tak miękkim sercu. Nie słaby. Nigdy słaby. Miękki, łagodny i czuły. Nie taki jak on. On nie przyszedł do Delnoch, aby bronić rodziny i Drenajów; przyszedł, ponieważ był znudzony. Znudzony swym życiem wieśniaka, oziębły w stosunku do żony i nie dbający o swą ziemię. Wstawać o brzasku, aby doglądać zwierzęta i przygotowywać pola. Orać i siać całe popołudnie. Naprawiać płoty, skórzane zawiasy lub ciekące wiadra jeszcze długo po zmierzchu. Potem wśliznąć się do łóżka z materacem z sitowia, obok tłustej, złośliwej kobiety, której narzekania będą się ciągnąć monotonnym szeptem jeszcze długo po tym, jak sen uniesie go w zbyt krótką podróż do nowego wschodu słońca.

Wydawało mu się, że nie może być nic gorszego, mylił się jednak i to bardzo.

Wspomniał słowa Bregana o wytrzymałości Dros Delnoch. Oczami duszy ujrzał setki tysięcy barbarzyńskich wojowników, rojących się jak mrówki i przelewających przez cienką linię obrońców. To zabawne, pomyślał, jak różni ludzie inaczej widzą to samo. Ragan nie wyobraża sobie, w jaki sposób oni mogą zdobyć Delnoch.

Ja nie wyobrażam sobie, jak może się im to nie udać.

Wziąwszy wszystko razem, pomyślał uśmiechając się, sądzę, że wolałbym raczej być Breganem.

– Założę się, że w Dros Purdol jest chłodniej – zaczął znów Bregan. – Podmuchy morskiego powietrza i tak dalej. Na tej przełęczy nawet wiosenne słońce wydaje się przypiekać.

– Przełęcz osłania od wschodnich wiatrów – wytłumaczył mu Gilad – a szary marmur odbija ciepło w dół, na nas. Myślę, że w zimie jest to przyjemne.

– Cóż, nie zostanę tak długo, aby to zobaczyć – powiedział Bregan. – Zaciągnąłem się tylko na lato i

mam nadzieję być z powrotem w domu na dożynki. Tak obiecałem Lotis.

Gilad zaśmiał się, a napięcie nerwów ustąpiło.

– Co tam Druss – odrzekł. – Cieszę się, że ty jesteś tu ze mną, Breg, naprawdę się cieszę.

Brązowe oczy Bregana spojrzały uważnie na twarz Gilada, wypatrując oznak sarkazmu. Po chwili chłop uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Dzięki, że to powiedziałaś. Nigdy nie mieliśmy wiele wspólnego w domu i zawsze myślałem, że uważasz mnie za nudziarza.

– Myliłem się. Proszę, uściśnij mi dłoń. Będziemy się trzymać razem, ty i ja, wypędzimy Nadirów i pojedziemy z powrotem do domu na dożynki, opowiadając niestworzone historie.

Bregan ujął jego rękę, uśmiechając się i nagle rzekł: – Nie tak. To musi być uścisk wojownika, nadgarstek do nadgarstka.

Obaj roześmiali się.

– Nie przejmujmy się poetami – dodał Gilad. – Ułożymy naszą własną pieśń. O Breganie od pałasza i Giladzie, demonie Dros Delnoch. Jak ci się podoba?

– Myślę, że musisz znaleźć dla siebie inne imię. Mój Legan zawsze bał się demonów.

Śmiech Gilada dosięgnął orła, szybującego wysoko nad przełęczą. Drapieznik zatoczył krąg i poszybował na południe.

ROZDZIAŁ 10

Druss nerwowo przemierzał wielką salę kasztelu, niewidzącym spojrzeniem omiatając marmurowe posągi dawnych bohaterów, które stały pod wysokimi ścianami. Nikt nie sprawdził

go u bram Dros i wszędzie widział żołnierzy wysiadujących w wiosennym słońcu. Jedni przegrywali w kości swoje nędzne zarobki, inni spali w cieniu. Mieszczanie jak zwykle krzątali się wokół swoich spraw, a nad twierdzą unosiła się ciężka, apatyczna atmosfera. Oczy starego płonęły zimną wściekłością. Wśród poborowych krążyły plotki o oficerach; stary wojownik nie mógł tego dłużej znieść. Bezgranicznie rozzłoszczony wkroczył do stołu i przywołał młodego oficera w czerwonym płaszczu, stojącego w cieniu portykowej bramy.

– Hej, ty! Gdzie mogę znaleźć księcia?

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedział tamten, mijając odzianego w czerń rębacza. Potężna dłoń zacisnęła się na fałdach czerwonego płaszcza i szarpnęła wzgardliwie. Oficer zatrzymał się, stracił równowagę i zderzył się ze starym człowiekiem, który złapał go za pas i uniósł

w powietrze. Napierśnik żołnierza z brzękiem uderzył o bramę.

– Może mnie nie dosłyszałeś, ty synu wycierucha! – zasyczał Druss. Młody człowiek głośno przełknął ślinę.

– Myślę, że jest w wielkiej sali – powiedział. – Sir! – dodał pośpiesznie. Nigdy nie brał

udziału w bitwie ani żadnym akcie przemocy, jednak instynktownie rozpoznał groźbę w lodowato zimnych oczach. To szalenie, pomyślał, gdy stary powoli opuścił go na ziemię.

– Zaprowadź mnie do niego i zapowiedz. Zwiąż mnie Druss. Czy sądzisz, że zdołasz to zapamiętać?

Młody człowiek przytaknął z takim wigorem, że ozdobiony końskim włosiem hełm opadł mu na oczy.

Kilka minut później Druss szedł przez wielką salę, ledwie hamując gniew. Czy tak padają imperia?

– Druss, stary przyjacielu, twój widok cieszy moje oczy! – Jeżeli zdziwił Drussa stan fortecy, to dwakroć bardziej zdumiał go widok księcia Delnara, Lorda Strażnika Północy.

Podtrzymywany przez młodego oficera, człowiek był jedynie cieniem tamtego zwycięzcy spod Skeln, zaledwie piętnaście lat temu. Wysuszona i żółta jak pergamin skóra powlekała podobną do czaszki fizjonomię, oczy płonęły jasno – gorączkowo – w zapadniętych oczodołach. Młody oficer podprowadził go blisko do starego wojownika, a księżę wyciągnął szponiastą rękę.

Bogowie Missaela, pomyślał Druss. On jest pięć lat młodszy ode mnie!

– Nie znajduję cię w dobrym zdrowiu, mój panie przyznał Druss.

– Widzę, że wciąż rąbiesz prosto z mostu! Nie, nie znajdujesz. Umieram, Druss. – Poklepał

młodego żołnierza po ramieniu. – Posadź mnie na tym krześle w słońcu, Mendarze. – Młody człowiek przysunął krzesło na miejsce. Usiadłszy, księżę uśmiechnął się w podziękowaniu i kazał mu przynieść wina. – Przestraszyłeś tego chłopca, Druss. Trząsał się bardziej niż ja – a ja mam powody. – Zamilkł i zaczął ciężko dyszeć. Drżał. Druss pochylił się i położył rękę na kruchym ramieniu żałując, że nie może użyczyć sił temu człowiekowi. – Nie przeżyję następnego tygodnia. Jednak wczoraj przyszedł do mnie we śnie Vintar. Jedzie tutaj z Trzydziestoma i moją Virae. Przybędą w ciągu miesiąca.

– Nadirowie także – powiedział Druss i przyciągnął krzesło z wysokim oparciem, aby usiąść naprzeciw umierającego księcia.

– Prawda. Zanim to nastąpi, chciałbym, abyś przejął dowództwo. Przygotuj ludzi. Mamy dużo dezercji. Morale jest niskie. Musisz... przejąć dowodzenie. – Ponownie przerwał, aby nabrać tchu.

– Nie mogę tego zrobić – nawet dla ciebie. Nie jestem generałem, Delnarze. Mężczyzna musi znać granicę swoich możliwości. Jestem wojownikiem – czasami mistrzem, ale nigdy ganem. Nie znam się na pracy urzędnika zarządzającego miastem. Nie, nie mogę tego zrobić. Jednak zostanę i będę walczyć – to musi wystarczyć.

Rozgorączkowane oczy księcia skupiły się na lodowato-błękitnych źrenicach rębacza.

– Znam granicę twoich możliwości, Druss i rozumiem twoje obawy. Jednak nie ma nikogo innego. Kiedy przyjdzie Trzydziestu, oni będą planować i organizować. Do tego czasu będziesz potrzebny jako wojownik. Nie aby walczyć, chociaż bogowie wiedzą, jak dobrze to robisz, lecz aby szkolić: przekazywać wieloletnie doświadczenia. Myśl o tych ludziach jak o zardzewiałej broni, która potrzebuje twardej ręki wojownika. Trzeba ją naprawić, naostrzyć, przygotować.

Inaczej jest bezużyteczna.

– Być może będę musiał zabić Gan Orrina – powiedział Druss.

– Nie! Musisz zrozumieć, że on nie jest zły, ani nawet niechętny. Jest człowiekiem wyrwanym ze swego środowiska, który z trudem usiłuje przystosować się do nowej sytuacji. Nie wydaje mi się, żeby mu brakowało odwagi. Zobacz się z nim i sam osądź.

Okropny kaszel wyrwał się z ust starego człowieka, a jego ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze. Krwawa piana pojawiła się na jego ustach, gdy Druss doskoczył do jego boku. Ręka księcia zatrzepotała w kierunku rękawa i trzymanej tam chustki. Druss wyjął ją i osuszył usta księcia, pochylając się nad nim i delikatnie klepiąc po plecach. Wreszcie atak ustał.

– Nie ma sprawiedliwości, jeżeli ktoś taki jak ty musi umierać w ten sposób – wyznał Druss i poczuł nagle tak zniechęconą bezradność.

– Nikt z nas... nie może wybrać... sposobu przejścia na tamten świat. Nie, to nieprawda...

Przecież jesteś tu, stary koniu bojowy. Widzę, że chociaż ty wybrałeś mądrze.

Druss roześmiał się głośno i serdecznie. Młody oficer, Mendar, wrócił z dzbanem wina i dwoma kryształowymi kielichami. Nalał księciu, który wyjął małą buteleczkę z kieszeni fioletowej tuniki; odkorkował ją i wlał kilka kropel ciemnego płynu do wina. Gdy upił trochę na jego policzki powróciło coś na kształt rumieńca.

– Czarne ziele – powiedział. – Pomaga mi.

– Może wejść w nawyk – zażartował Druss, a księżę zachichotał.

– Powiedz mi, Druss – zapytał – dlaczego śmiałeś się kiedy powiedziałem, że sam wybrałeś swoją śmierć?

– Ponieważ nie jestem jeszcze gotowy, żeby się poddać tej starej ladacznicy. Chce mnie dostać, ale ja jej to piekielnie utrudnię.

– Zawsze widziałeś śmierć jako osobistego wroga. Czy ona istnieje, jak sądzisz?

– Kto wie? Lubię myśleć, że tak. Lubię myśleć, że to wszystko gra. Całe życie jest próbą sił między nią, a mną.

– A czy tak jest?

– Nie. Jednak to daje mi przewagę. Mam sześciuset łuczników, którzy dołączą do nas w ciągu czternastu dni.

– To cudowna wiadomość. Jak, na nieba, zdołałeś tego dokonać? Woundweaver zawiadomił, że nie ma ani jednego zbędnego człowieka.

– To banici, a ja obiecałem im ułaskawienie – i pięć złotych Raq na głowę.

– Nie podoba mi się to, Druss. To najemnicy i nie można im ufać.

– Prosiłeś abym przejął dowództwo – powiedział Druss. – Zaufaj mi więc; nie zawiodę cię.

Zarządził, żeby wystawiono ułaskawienia oraz weksle na skarbiec w Drenan. – Zwrócił się do młodego oficera, stojącego cierpliwie przy oknie. – Ty, młody Mendarze!

– Sir?

– Idź i powiedz... zapytaj... Gan Orrina czy zobaczy się ze mną za godzinę. Mój przyjaciel i ja mamy wiele spraw do omówienia, ale powiedz mu, że będę wdzięczny za chwilę rozmowy.

Rozumiesz?

– Tak jest, sir.

– Wykonać.

Oficer zasalutował i wyszedł.

– A teraz, zanim się zmęczysz, mój przyjacielu, zabierzmy się do pracy. Ilu masz ludzi zdolnych do walki?

– Nieco ponad dziewięć tysięcy. Jednak sześć tysięcy z nich to rekruci, a tylko tysiąc – legion – zahartowani w bitwach wojowniczy.

– Lekarze?

– Dziesięciu pod dowództwem Calvar Syna. Pamiętasz go?

– Aha. Jeden plus więcej dla nas.

Przez godzinę Druss przepytывał księcia, który wyraźnie słabł z każdą chwilą. Znowu kaszlał krwią i zaciskał oczy z bólu, który go trawił. Druss podniósł go z krzesła.

– Gdzie twoja komnata? – zaniepokoił się. Jednak księżę stracił już przytomność.

Druss wybiegł z holu niosąc bezwładne ciało Strażnika Północy. Zatrzymał przechodzącego żołnierza, zapytał o drogę i zarządził, aby wezwano Calvar Syna.

Druss siedział u stóp łoża księcia, gdy stary lekarz zajmował się chorym. Calvar Syn niewiele się zmienił; jego ogolona głowa wciąż lśniła jak polerowany marmur, a czarna przepaska na oku była jeszcze bardziej obszarpana niż Druss pamiętał.

– Jak on się czuje? – zapytał Druss.

– A jak myślisz, ty stary głupcze? – odpowiedział lekarz. – On umiera. Nie przeżyje następnych dwóch dni.

– Widzę że zachowałeś swoje poczucie humoru, doktorze – odparł wojownik.

– A cóż w tym zabawnego? – zainteresował się chirurg. – Stary przyjaciel umiera, a w ciągu kilku następnych tygodni pójdą za nim tysiące młodych ludzi.

– Możliwe. W każdym razie, miło cię widzieć – dodał Druss, wstając.

– No cóż, nie jest mi miło zobaczyć ciebie – odrzekł Calvar Syn z błyskiem w oku i cieniem uśmiechu na ustach.

– Tam gdzie ty, gromadzą się kruki. Poza tym, jak to się dzieje, że wyglądasz tak nieprawdopodobnie zdrowo?

– Ty jesteś lekarzem. Ty mi powiedz.

– Ponieważ nie jesteś człowiekiem! Wykuto cię z kamienia w zimową noc, a demon dał ci życie. A teraz wynoś się! Mam tu coś do zrobienia.

– Gdzie znajdę Gan Orrina?

– W koszarach. Teraz idź już! Druss uśmiechnął się i opuścił pokój. Dun Mendar wziął głęboki oddech.

– Nie lubisz go, panie?

– Lubić go? Oczywiście, że go lubię! – warknął chirurg. – Zabija ludzi dokładnie, chłopcze.

Oszczędzaj mi pracy. A teraz, ty też wyjdź.

Gdy Druss maszerował poprzez plac apelowy przed głównymi barakami, zdał sobie sprawę, że towarzyszą mu spojrzenia i ciche szepty żołnierzy. Uśmiechnął się do siebie. Zaczęło się! Od teraz nie będzie mógł odpocząć nawet przez chwilę. Nigdy nie może pokazać tym ludziom Drussa człowieka. Był Legendą. Niezwyciężonym Kapitanem Topora. Niezniszczalnym Drussem.

Ignorował saluty, aż doszedł do głównego wejścia, gdzie dwóch wartowników wyprężyło się na jego widok.

Gdzie znajdę Gan Orrina? – zapytał pierwszego.

– Trzecie drzwi piątego korytarza na prawo – odpowiedział żołnierz, stojąc prosto z oczami wbitymi w dal. Druss wszedł do środka, znalazł pokój i zapukał do drzwi.

– Wejść! – dobiegł głos ze środka i Druss wszedł. Biurko było nieskazitelnie czyste, pomieszczenie urządzone po spartańsku, lecz ze smakiem. Za biurkiem siedział tęgi mężczyzna o ciemnych, sarnich oczach. Wydawał się nie na swoim miejscu w złotych epoletach gana Drenajów.

– Ty jesteś Gan Orrin? – zapytał Druss.

– To ja. A ty musisz być Druss. Wejdz, przyjacielu i usiądź. Widziałeś się z księciem?

Z pewnością tak. Zakładam, że opowiedział ci o naszych problemach. Niełatwe. Wcale niełatwe.

Czy jadłeś coś?

Mężczyzna pocił się i był nieswój. Drussowi było go żal. W swoim życiu służył pod różnymi dowódcami. Wielu było wspaniałych, lecz równie wielu niekompetentnych, głupich, próżnych lub tchórzliwych. Nie wiedział jeszcze, do której kategorii należy Orrin, ale współczuł mu.

Na półce przy oknie stał drewniany talerz z czarnym chlebem i serem. – Zjem trochę tego, jeżeli można – powiedział Druss.

– Ależ oczywiście. – Orrin podsunął mu talerz. Jak się ma książę? Kiepska sprawa. Taki wspaniały człowiek. Byłeś jego przyjacielem, prawda? Razem pod Skeln. Cudowna historia.

Inspirująca.

Druss jadł powoli, z przyjemnością smakując gruboziarnisty chleb. Ser był również dobry, łagodny i pachnący. Druss zarzucił pierwotny zamiar skrytykowania bałaganu panującego w Dros, apatii i opłakanej organizacji. Człowiek musi znać granice swych możliwości, pomyślał.

Jeżeli je przekroczy, natura lubi płać okrutne figle. Orrin nigdy nie powinien przyjmować rangi gana, ale w czasach pokoju mógłby sobie poradzić. Teraz jednak rzucał się w oczy jak drewniany koń podczas szarży.

– Musisz być wyczerpany – zagaił w końcu.

– Co takiego?

– Wyczerpany. Masz tu tyle pracy, że mogłoby to załamać słabszego człowieka. Organizacja dostaw, szkolenie, patrole, strategia, planowanie. Musisz być kompletnie wykończony.

– Tak, to męczące – przyznał Orrin z widoczną ulgą, ocierając pot ze skroni. – Niewielu ludzi rozumie problemy związane z dowodzeniem. To koszmar. Czy mogę ci zaproponować drinka?

– Nie, dziękuję. Czy pomogłoby, gdybym zdjął trochę ciężaru z twoich barków?

– W jaki sposób? Nie prosisz mnie chyba, abym się wycofał?

– Na Missaela, nie – powiedział Druss z uczuciem.

– Byłbym zgubiony. Nie, nie miałem nic takiego na myśli. Jednak mamy mało czasu i nikt nie oczekuje od ciebie, że będziesz dźwigał ten ciężar samotnie. Proponuję, żebyś zostawił mi szkolenie i wszystkie problemy związane z przygotowaniem obrony. Trzeba zablokować te tunele za bramami i uruchomić grupy robocze do wyburzania budynków między murami czwartym i szóstym.

– Zablokować tunele? Wyburzyć budynki? Nie rozumiem cię, Druss – odparł Orrin. –

Przecież to własność prywatna. Podniesie się krzyk.

– Właśnie! – potwierdził spokojnie stary wojownik.

– I dlatego musisz wyznaczyć kogoś z zewnątrz, aby wziął za to odpowiedzialność. Te tunele za bramami zostały pomyślane tak, aby niewielka liczebnie tylna straż mogła powstrzymać siły przeciwnika tak długo, aby dać czas obrońcom na wycofanie się za następny mur. Proponuję wyburzyć budynki między murem czwartym oraz szóstym i użyć gruzu do zablokowania tuneli.

Ulryk straci wielu ludzi zanim wyłamią bramy. I nic mu to nie da.

– Tylko po co niszczyć budynki? – zapytał Orrin. Możemy sprowadzić gruz z południowej przełęczy.

– Zasłaniają pole rażenia – wytłumaczył mu stary wojownik. – Musimy odtworzyć pierwotną zabudowę Dros. Kiedy ludzie Ulryka pokonają pierwszy mur, chcę aby wszyscy łucznicy Dros zasypali ich gradem pocisków. Każdy jard otwartej przestrzeni będzie usłany trupami Nadirów.

Ich przewaga liczebna wynosi pięciuset do jednego i musimy w jakiś sposób wyrównać szansę.

Orrin przygryzł wargę i potarł brodę, bijąc się z myślami. Spojrzał na siedzącego spokojnie przed nim siwobrodego wojownika. Gdy tylko usłyszał o przybyciu Drussa, przygotował się na to, że zostanie zdjęty z dowodzenia i odesłany z powrotem do Drenanu, okryty niesławą. Teraz zaoferowano mu ratunek. Wiedział, że powinien sam pomyśleć o wyburzeniu budynków i zablokowaniu tuneli. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie nadaje się do sprawowania funkcji gana. Ciężko było pogodzić się z tym faktem.

Przez ostatnie pięć lat, od czasu awansu, unikał samooceny. Jednakże, zaledwie dwa dni wcześniej wysłał Hoguna i jego dwustuosobowy legion lansjerów na pustkowie. Z początku był

przekonany, że było to rozsądne posunięcie. Jednak, w miarę jak mijały dni bez żadnych wieści od Hoguna, zaczął mieć poważne wątpliwości. Ten rozkaz nie miał znaczenia strategicznego, a wynikał

głównie z zazdrości. Hogun, co Orrin stwierdził z przerażeniem, był najlepszym żołnierzem w Dros. Kiedy powrócił, przyznał, że jego decyzja okazała się rozsądna. Gan wiedział, że Hogun nie chce mu schlebiać i nagle zrozumiał własną niekompetencję. Rozwazał

podanie się do dymisji, nie byłby jednak w stanie znieść niesławy. Myślał nawet o samobójstwie, lecz na przeszkodzie stała mu myśl, że okryłby hańbą wuja, Abalayna. Jedyne, co mógł zrobić, to zginać na pierwszym murze. I był na to przygotowany. Bał się, że Druss pozbawi go nawet tego.

– Byłem głupcem, Druss – oświadczył w końcu.

– Nie chcę tego słuchać! – warknął starzec. – Posłuchaj. Ty jesteś ganem. Począwszy od dzisiaj nikt nie będzie mówił o tobie źle. To czego się obawiasz, zatrzymaj dla siebie i wierz we mnie. Każdy popełnia błędy. Każdy ma jakieś braki. Dros utrzyma się, bo niech mnie лихо, jeżeli pozwolę jej paść. Gdybym uznał, że jesteś tchórzem, Orrin, przywiązałbym cię do konia i przepędził stąd. Nigdy nie byłeś oblegany, ani nie dowodziłeś w bitwie. Teraz zrobisz jedno i drugie, w dodatku zrobisz to dobrze, ponieważ będę przy tobie.

– Pozbądź się wątpliwości. To co było wczoraj, umarło. Dawne błędy są jak dym na wietrze.

Liczy się tylko jutro i każde następne jutro, dopóki Woundweaver nie przyśle nam posiłków. Nie popełnij błędu, Orrin. Jeśli przeżyjemy i będą układać o nas pieśni, zajmiesz w nich zasłużone miejsce i nikt nie będzie z ciebie szydził. Żaden żywy człowiek. Wierz mi!

– Dobrze. Dość już powiedziałem. Daj mi swoją pieczęć na pergaminie i od dziś obejmę moje obowiązki.

– Chcesz, żebym ci towarzyszył?

– Lepiej nie – powiedział Druss. – Muszę rozbić kilka głów.

W chwilę później Druss maszerował w stronę kantyny oficerskiej, w asyście dwóch legionistów, roślących i zdyscyplinowanych. Oczy starca gorzały gniewem i strażnicy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Słyszeli, dochodzące z kantyny śpiewy i cieszyli się na myśl, że zobaczą Drussa-Legendę w akcji.

Otworzył drzwi i wszedł do bogato urządzonego wnętrza. Od przeciwległej ściany aż do połowy sali ciągnął się bar na wysokich kozłach. Druss, nie zważając na skargi, przepchnął się przez tłum biesiadników, chwycił jedną ręką za kontuar, a potem cisnął nim w powietrze zrzucając deszcz butelek, kielichów i żywności na oficerów. Zapadła pełna zdumienia cisza, a po niej gniewny chór gróźb i przekleństw. Jakiś młody oficer wysunął się przed tłum; ciemnowłosy, posępnooki i hardy, stanął naprzeciw siwobrodego wojownika.

– Za kogo ty się uważasz, starcze? – zapytał. Druss zignorował go, mierząc wzrokiem trzydziestu lub więcej obecnych w izbie ludzi. Czyjaś ręka pociągnęła go za kaftan.

– Powiedziałem: za kogo...

Druss pchnął mężczyznę tak, że przeleciał przez izbę, uderzył o ścianę i nieprzytomny osunął się na podłogę.

– Jestem Druss. Czasami nazywają mnie Kapitanem Topora. W Ventrii wołają na mnie Druss-Posłaniec. W Vagrii jestem tylko Rębaczem. Dla Nadirów – Krocząca Śmierć. W Lentrii mówią na mnie Srebrny Siepacz.

– A kim wy jesteście? Wy tchórze! Kim wy, do diabła, jesteście? – Starzec wyjął Snagę z pochwy u boku. Mam zamiar dać dzisiaj przykład. Mam zamiar uwolnić tę nieszczęsną fortecę od zbytecznego tłuszczu. Gdzie jest Dun Pinar?

Młody człowiek przepchnął się przez tłum, z uśmiechem na ustach i chłodem w ciemnych oczach.

– Jestem tutaj, Druss.

– Gan Orrin polecił mi zająć się szkoleniem i przygotowaniem obrony. Za godzinę chcę się spotkać ze wszystkimi oficerami na placu ćwiczeń. Pinar, ty to zorganizujesz. Reszta posprząta ten bałagan i przygotuje rynsztunek. Wakacje się skończyły. Każdy, kto mnie zawiedzie, będzie przeklinał dzień, w którym się urodził. – Skinąwszy na Pinara, aby szedł za nim, wyszedł na zewnątrz. – Znajdź Hoguna – powiedział – i przyprowadź go do mnie natychmiast, do głównej sali kasztelu.

– Tak, sir! I...

– No, wykrztuś wreszcie.

– Witamy w Dros Delnoch.

Nowiny rozeszły się po mieście Delnoch jak letnia burza, od tawerny do sklepu i straganu na rynku. Druss był tutaj! Kobiety przekazywały tę wiadomość swoim mężom; dzieci skandowały jego imię w zaułkach. Opowieści o jego wyczynach odżyły na nowo, wyolbrzymiane z każdą chwilą. Przed koszarami zebrał się tłum i obserwował oficerów, drepczących po placu ćwiczeń.

Dzieci podnoszono wysoko i sadzano na ramionach mężczyzn, aby choć przelotnie zobaczyły największego z drenajskich bohaterów.

Kiedy się pojawił, ciżba wzniosła głośny okrzyk, a starzec przystanął i pomachał im ręką.

Nie słyszeli, co powiedział oficerom, ale gdy ich odprawił, widać było, że otrzymali wyraźne rozkazy. Potem pożegnał się z gawiedzią i wrócił do twierdzy.

Gdy znalazł się znów w głównej sali, zdjął kaftan i usiadł na krześle z wysokim oparciem.

Kolano pulsowało mu boleśnie, a plecy bolały jak diabli. A Hoguna wciąż nie było.

Kazał służbie przygotować posiłek i spytał o księcia. Służący odpowiedział, że księżę śpi spokojnie. Powrócił z ogromnym stekiem, słabo wysmażonym, a Druss połknął go jak wilk, zapijając butelką

najlepszego, czerwonego wina z Lentrii. Otarł tłuszcz z brody i rozmasował

kolano. Po spotkaniu z Hogunem zażąda gorącej kąpieli, co mu pozwoli nabrać sił na jutrzejszy dzień. Druss wiedział, że ten pierwszy dzień będzie bardzo męczący – i nie wolno mu zawieść oczekiwanych nadziei.

– Gan Hogun, sir – zaanonsował służący. – I Dun Elicas.

Dwaj mężczyźni, którzy weszli, uradowali serce Drussa. Pierwszy – to musiał być Hogun – wysoki i barczysty, o jasnym spojrzeniu i kwadratowej szczęce.

A Elicas, chociaż szczuplejszy i niższy, przypominał orła. Obaj nosili na sobie Czamosrebrne kolory legionistów bez epoletów. Był to dawno ustanowiony zwyczaj, jeszcze z czasów, kiedy Księżę z Brązu sformował legion na wojnę z Vagrią.

– Usiądźcie, panowie – powiedział Druss.

Hogun wyciągnął krzesło i odwrócił je tak, aby móc się wesprzeć na oparciu. Elicas przysiadł na krawędzi stołu z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Elicas obserwował pilnie obu mężczyzn. Nie wiedział, czego się spodziewać po Drussie, ale ubłagał Hoguna, żeby zezwolił mu wziąć udział w spotkaniu. Uwielbiał Hoguna, ale ten ponury, siedzący przed nim starzec, zawsze był jego idolem.

– Witaj w Delnoch, Druss – zaczął Hogun. – Dzięki tobie morale już się podniosło. Ludzie nie mówią o niczym innym. Przepraszam, że nie zjawiłem się wcześniej. Byłem na pierwszym murze, gdzie nadzorowałem turniej łuczniczy.

– Jak rozumiem, spotkałeś się już z Nadirami – napomknął Druss.

– Tak. Dotrą tutaj nim upłynie miesiąc.

– Będziemy gotowi. Jednak czeka nas ciężka praca. Ludzie są źle – jeśli w ogóle –

wyszkoleni. To się musi zmienić. Mamy tylko dziesięciu lekarzy, żadnych sanitariuszy ani noszowych i tylko jeden szpital – i to na pierwszym murze, co nam niewiele daje. Co wy na to?

– Właściwa uwaga. Mogę jedynie dodać, że oprócz moich ludzi, mamy tylko około tuzina wartościowych oficerów.

– Nie oceniałem jeszcze wartości jakichkolwiek ludzi tutaj. Na razie zostawmy tę sprawę.

Potrzebuję człowieka ze zdolnościami matematycznymi, aby przejął kontrolę nad zapasami żywności i przygotował plan racjonowania. Będzie musiał dostosowywać swoje równania do strat w ludziach. Musi być również odpowiedzialny za łączność z Gan Orrinem. – Druss widział

jak mężczyźni wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedział.

– Dun Pinar jest twoim człowiekiem – powiedział Hogun. – On praktycznie rządzi teraz w Dros.

Oczy Drussa były zimne, gdy pochylił się w stronę młodego generała.

– Nie chcę więcej takich komentarzy, Hogun. Nie przystoją zawodowemu żołnierzowi.

Każdy zaczyna dziś z czystą kartą. To, co było wczoraj, nie liczy się. Sformułuję swoje własne sądy i nie życzę sobie, aby moi oficerowie robili złośliwe uwagi o sobie.

– Sądziłem, że zechcesz usłyszeć prawdę – odparował Elicas zanim Hogun zareagował.

– Prawda to dziwne zwierzę – chłopcze. Każdy człowiek widzi ją inaczej. A teraz milcz.

Zrozum mnie, Hogun, cenię cię. Masz dobrą opinię. Jednak od dziś nikt nie wyraża się źle o pierwszym ganię. To źle wpływa na morale, a co źle wpływa na morale, dobrze rokuje Nadirom. Mamy dość problemów. – Druss rozwinął kawałek pergaminu i pchnął go w stronę Elicasa, razem z piórem i atramentem.

– Popracuj trochę, chłopcze, rób notatki. U góry umieść Pinara; on będzie naszym kwatermistrzem. Dalej, będziemy potrzebować pięćdziesięciu sanitariuszy i dwustu noszowych.

Tych pierwszych Calvar Syn może wybrać spośród ochotników, ale noszowych musi ktoś przeszkolić. Chcę, aby mieli dość siły by biegać cały dzień. Missael wie, że będą musieli, gdy zrobi się gorąco. Ci ludzie muszą mieć zdrowe serca. Nie jest łatwo biegać po polu bitwy w lekkiej zbroi. Nie będą przecież mogli nosić jednocześnie mieczy i noszy.

– Kogo proponujesz na tę funkcję?

Hogun zwrócił się do Elicasa, który wzruszył ramionami.

– Na pewno możesz kogoś zaproponować – zachęcił go Druss.

– Nie znam tak dobrze ludzi w Dros Delnoch, sir odparł Hogun – a żaden z legionistów nie będzie odpowiedni.

– Dlaczego nie?

– To wojownicy. Będą potrzebni na murach.

– Kto jest twoim najlepszym oficerem?

– Bar Britan. Ale on jest znamienitym wojownikiem, sir.

– Z tego powodu jest właściwą osobą. Posłuchaj uważnie: noszowi będą uzbrojeni jedynie w sztylety i ich życie będzie wystawione na niebezpieczeństwo tak samo, jak ludzi walczących na murach. Nie

jest to jednak wdzięczne zadanie, należy więc podnieść jego znaczenie. Jeżeli do szkolenia noszowych i pracy z nimi podczas bitwy wyznaczysz swojego najlepszego oficera, to zrozumieją twoje intencje. Bar Britan musi również otrzymać oddział, składający się z pięćdziesięciu ludzi, których sam wybierze, aby jak najskuteczniej chronić noszowych.

– Składam pokłon twojej logice, Druss – przyznał Hogun.

– Nie kłaniaj się niczemu, synu. Popełniam błędy jak każdy człowiek. Jeśli uważasz, że nie mam racji, bądź łaskaw powiedzieć mi to, do diabła!

– Spokojna głowa, rębacz! – warknął Hogun.

– Dobrze! A teraz, co do szkolenia. Chcę, aby ludzie ćwiczyli w pięćdziesięcioosobowych grupach. Każda grupa ma mieć nazwę; wybierz je spośród legend, imion herosów, pól bitewnych, lub innych, pod warunkiem, że będą burzyły krew.

– Należy wyznaczyć jednego oficera i pięciu podoficerów dla każdej grupy – jeden podoficer na dziesięciu ludzi. Tych należy wybrać po pierwszych pięciu dniach szkolenia. Po tym czasie powinniśmy ocenić ich wartość. Zrozumiano?

– Po co te nazwy? – zapytał Hogun. – Czy nie byłoby prościej oznaczyć każdą grupę numerem? Bogowie, przecież to sto osiemdziesiąt imion!

– Rzemiosło wojenne, Hogunie, to więcej niż taktyka i szkolenie. Chcę mieć na tych murach ludzi dumnych z siebie. Ludzi, którzy znają swych towarzyszy i mogą się z nimi identyfikować.

Grupa „Karnak” będzie reprezentować Karnaka Jednookiego, podczas gdy „grupa szósta” to tylko identyfikator.

– Przez kilka najbliższych tygodni grupy będą rywalizować w pracy, zabawie i pozorowanej walce. Stworzymy z nich oddziały, dumne oddziały. Będziemy z nich żartować i kpić, a nawet szydzić. Potem, powoli, gdy zaczną nas nienawidzić bardziej niż Nadirów, zaczniemy ich nagradzać. W najkrótszym możliwym czasie musimy sprawić, aby zaczęli myśleć o sobie jako o elitarnym wojsku. To połowa wygranej. Idą krwawe, pełne rozpaczny dni, dni śmierci. Chcę mieć na tych murach mężczyzn, silnych, sprawnych – ale przede wszystkim dumnych.

– Jutro wybierzesz oficerów i przydzielisz im grupy. Chcę, aby oddziały ćwiczyły aż do utraty tchu, a potem biegały dalej. Chcę ćwiczeń w szermierce i zdobywaniu murów. Chcę, aby prace rozbiórkowe prowadzono dzień i noc. Po dziesięciu dniach rozpoczniemy manewry. Chcę, aby noszowi biegali z ładunkami kamieni, aż ręce im omdleją, a nogi odmówią posłuszeństwa.

– Wszystkie budynki między murem czwartym a szóstym mają być wyburzone do ziemi, a tunele zabarykadowane.

– Chcę, aby przy rozbiórce pracowało po tysiąc ludzi w trzygodzinnych zmianach. To powinno wyprostować plecy i wzmocnić ramiona żołnierzy.

– Są jakieś pytania? Hogun rzekł: – Nie. Wszystko, czego sobie życzysz zostanie wykonane.

Chcę jednak wiedzieć jedno: czy wierzysz, że Dros może się utrzymać do jesieni?

– Oczywiście, że wierzę, chłopcze – skłamał gładko Druss. – Inaczej po co zadawałbym sobie tyle trudu? Pytanie, czy ty w to wierzysz?

– Ach, tak – także skłamał Hogun lekko. – Bez wątpienia.

Obaj uśmiechnęli się szeroko.

– Przyłączcie się do mnie na szklaneczkę wina – zaprosił Druss. – Strasznie wysusza organizm to całe planowanie.

ROZDZIAŁ 11

W drewnianym gołębniku z oknem skrytym w cieniu wielkiego kasztelu, siedział mężczyzna, bębniąc palcami po szerokim stole. Za jego plecami gołębie wicherzyły sobie pióra w wiklinowym kojcu. Mężczyzna był zdenerwowany. Rozdrażniony.

Kroki na schodach sprawiły, że sięgnął po cienki sztylet. Zaklął i otarł spotniałą dłoń o wełniane spodnie.

Wszedł drugi mężczyzna, pchnięciem zamknął drzwi i usiadł naprzeciw pierwszego.

– A więc? Jakie masz rozkazy? – spytał nowo przybyły.

– Czekamy. Jednak to może się zmienić, kiedy otrzymają wiadomość, że jest tu Druss.

– Jeden człowiek nie robi różnicy – powiedział nowo przybyły.

– Może nie. Zobaczymy. Plemiona będą tutaj za pięć tygodni.

– Pięć? Myślałem...

– Wiem – wtrącił pierwszy mężczyzna. – Jednak zginął pierworodny Ulryka. Przygniótł go koń. Obrzędy pogrzebowe zajmą pięć dni i jest to zły omen dla Ulryka.

– Zły omen nie powstrzyma hordy od napadu na tę rozpadającą się fortecę.

– Co planuje Druss?

– Zamierza zatarasować tunele. Jak dotąd, to wszystko, co wiem.

– Przyjdź znowu za trzy dni – rozkazał pierwszy mężczyzna. Wziął niewielki kawałek papieru i zaczął na nim pisać drobnymi literami. Posypał atrament piaskiem, a następnie przeczytał to, co zanotował: Krocząca Śmierć tutaj. Tunele zamknięte. Morale wyższe.

– Może powinniśmy zabić Drussa – powiedział nowo przybyły, wstając.

– Jeżeli dostaniemy taki rozkaz – odparł pierwszy. – Nie wcześniej.

– Więc do zobaczenia za trzy dni.

Przy drzwiach poprawił hełm i narzucił płaszcz na naramiennik.

Był dunem Drenajów.

Szeregowy Gilad osunął się na krótko przyciętą trawę obok kuchni przy Eldibar, spazmatycznie łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Jego ciemne włosy zwisały jak cienkie mysie ogonki, po których pot spływał mu na plecy. Przewrócił się na bok, jęcząc z wysiłku. Wydawało się, że każdy mięsień w ciele krzyczy z bólu. On, Bregan oraz czterdziestu ośmiu innych z Grupy Karnak trzykrotnie ścigali się z pięcioma innymi grupami od muru pierwszego do drugiego, pięli po powiązanych w supły linach, biegli do trzeciego muru, znów wspinali się po linach, biegli do czwartego muru... Nie kończący się, bezsensowny wysiłek.

Tylko gniew utrzymywał go na nogach, szczególnie po przebyciu pierwszego muru. Ten siwobrody, stary drań widział jak Gilad pokonał sześciuset ludzi w wyścigu do drugiego muru, ciężko pracując zmęczonymi rękami i nogami, w pełnej zbroi. Był pierwszy! A co usłyszał?

– Kulawy chłop, a za nim kulejące baby. No, nie wylegaj się, chłopcze. Dalej, na trzeci mur!

Potem roześmiał się. To ten śmiech przebrał miarę.

Gilad mógłby go wtedy zabić – powoli. Przez pięć okropnych, nie kończących się dni żołnierze z Dros Delnoch biegali, wspinali się, rozszarpywali budynki przy histerycznych wrzaskach eksmitowanych właścicieli i zwozili, wózek po wózku, gruz do tuneli pod pierwszym i drugim murem. Pracując dzień i noc byli zmęczeni do upadłego. A mimo to ten gruby starzec wciąż ich poganiał.

Turnieje łucznicze, zawody w rzutach oszczepem, szermierka, walka na sztylety i zapasy w przerwach między ciężką pracą powodowały, że niewielu szeregowcom chciało się odwiedzać tawerny w pobliżu twierdzy.

Przeciwnie do tych cholernych legionistów. Ci wykonywali ćwiczenia z ponurymi uśmiechami na ustach i kpili z chłopów, którzy usiłowali im dorównać. Spróbowaliby popracować osiemnaście godzin na polu, pomyślał Gilad. Dranie!

Zgrzytając zębami z bólu, usiadł i przycisnął plecy do ściany, aby popatrzeć jak ćwiczą inni.

Miał jeszcze dziesięć minut zanim, jako jeden z następnej zmiany, rozpocznie pracę przy tunelach. Noszowi biegali po otwartym polu dźwigając skały dwukrotnie cięższe niż ranny człowiek. Wielu miało obandażowane ręce. Czarnobrody Bar Britan biegał wraz z nimi, dopingując ich krzykiem.

Bregan podszedł do niego na chwiejnych nogach i osunął się na trawę. Jego twarz miała kolor wiśni.

Milcząc podał Giladowi połówkę pomarańczy; była świeża i słodka.

– Dzięki, Breg. – Spojrzenie Gilada powędrowało do pozostałych ośmiu ludzi z jego grupy.

Większość leżała cicho, tylko Midras zaczął wymiotować. Ten idiota miał w mieście dziewczynę, którą odwiedził poprzedniej nocy i zakradł się z powrotem do baraków na godzinę przed świtem.

Teraz płacił za to. Bregan dobrze się trzymał: był trochę szybszy i lepiej zbudowany. I nigdy nie narzekał, co zakrawało na cud.

– Już prawie czas, Gil – powiedział. Gilad zerknął w stronę tunelu, gdzie tempo pracy słabło.

Pozostali członkowie Grupy Karnak ruszali w stronę częściowo rozebranych budynków.

– Chodźcie, chłopcy – zaproponował Gilad. – Usiądźmy. Zaczniemy robić głębokie oddechy.

– Polecenie wywołało jęki i prawie nikt się nie poruszył. – No, dalej. Grupa Kestrian już się rusza. Dranie! Gilad podniósł się, pociągając za sobą Bregana. Potem podchodził do każdego człowieka. Powoli wszyscy wstali i zaczęli iść w stronę tunelu.

– Chyba umieram – rzucił Midras.

– Umrzesz, jeśli nas dzisiaj zawiedziesz – wymamrotał Gilad. – Jeśli ten stary wieprz jeszcze raz będzie się z nas śmiał...

– Do diabła z nim – zaklął Midras. – Nie widać, żeby on się pocił, prawda?

O zmierzchu zmęczeni ludzie pomaszrowali oddziałami z tuneli do spokoju i względnego komfortu baraków. Rzucili się na wąskie łóżka i zaczęli odpinać napierśniki.

– Nie chodzi mi o pracę – zagaił Baile, krępy gospodarz z wioski sąsiadującej z wioską Gilada – ale nie rozumiem dlaczego musimy ją wykonywać w zbrojach.

Nikt mu nie odpowiedział.

Gilad spał już prawie, gdy jakiś głos zawołał: – Grupa Karnak na plac apelowy!

Na kwadratowym placu parad czekał Druss, trzymając ręce na biodrach i uważnym spojrzeniem mierzył wyczerpanych mężczyzn, którzy, słaniając się na nogach, wychodzili z baraków, mrużąc oczy w świetle pochodni. Stojąc w towarzystwie Hoguna i Orrina, uśmiechnął

się ponuro, widząc jak niezdarnie formują szeregi.

Do pięćdziesięciu ludzi z grupy Karnak dołączyły grupy: Kestrian i Miecz.

W milczeniu oczekiwali na nowy paskudny pomysł Drussa.

– Wasze trzy grupy – powiedział Druss – mają przebiec długość muru tam i z powrotem.

Grupa ostatniego pobiegnie jeszcze raz. Start!

Gdy ludzie ruszyli do męczącego, półmilowego biegu, ktoś z tłumu wrzasnął: A co z tobą, grubasie? Biegniesz?

– Nie tym razem – odkrzyknął Druss. – Nie bądź ostatni.

– Są wyczerpani – zauważył Orrin. – Czy to rozsądne, Druss?

– Zaufaj mi. Kiedy rozpoczną się ataki, ludzie będą szybko wyciągani z łóżek. Chcę, aby znali granicę swych możliwości.

Minęły kolejne trzy dni. Prawie skończono wypełnianie pierwszego tunelu, rozpoczęły się prace nad następnym. Nikt już nie wiwatował na widok Drussa, nawet mieszkańcy miasta. Wielu straciło swe domy; inni dochody. Orrin przyjął delegację proszącą o zaprzestanie wyburzania.

Innym wydawało się, że oczyszczenie gruntu między murami oznacza, że Druss spodziewa się zdobycia twierdzy przez Nadirów. Oburzenie rosło, ale stary wojownik przełykał gniew i realizował swój plan.

Dziewiątego dnia wydarzyło się coś, co dało ludziom nowy temat do rozmów.

Gdy grupa Kamak zebrała się do biegu, do oficera dowodzącego, Duna Mendara, podszedł

Gan Orrin.

– Będę dzisiaj biegał z twoją grupą – powiedział.

– Przejmuje pan dowodzenie, sir? – zapytał Mendar.

– Nie, nie. Biegam tylko. Gan również musi być sprawny, Mendarze.

Orrina powitała posępna cisza, gdy dołączył do szeregów, a jego brązowo-złota zbroja wyróżniała go spośród czekających żołnierzy. Przez cały ranek męczył się razem z nimi, wspinając się na linie i ścigając między murami. Był zawsze ostatni. Kiedy biegał, niektórzy śmiali się z niego, a inni drwili. Mendar był wściekły. Ten człowiek robi z siebie jeszcze większego głupca, pomyślał. A i nas wystawia na pośmiewisko. Gilad ignorował gana, tylko raz przeciągnął go przez blanki, gdy wydawało się, że spadnie.

– Niech spada – krzyknął jakiś człowiek z dalszej części muru.

Orrin zacisnął zęby i ćwiczył dalej, pozostając z oddziałem przez cały dzień, a nawet pracując przy rozbiórce. Po południu poruszał się już dwa razy wolniej niż inni. Nikt jeszcze z nim nie rozmawiał. Jadł oddzielnie, nie z własnego wyboru: tam gdzie się zatrzymał, nikt nie siadał.

O zmroku poszedł do swojej kwatery; drżący, z obolałymi mięśniami, zasnął w zbroi.

O świcie rozebrał się, wykąpał, nałożył znowu zbroję i dołączył do grupy Karnak. Tylko w szermierce przewyższał innych, a i tak myślał czasami, że przeciwnicy pozwalają mu wygrać.

Któżby ich za to winił?

Na godzinę przed zmrokiem pojawił się Druss z Hogunem i zarządził aby przy bramie drugiego muru zgromadziły się cztery grupy: Karnak, Miecz, Egel i Ogień.

Ze szczytu muru Druss krzyknął do dwustu ludzi na dole: – Mały wyścig dla rozciągnięcia mięśni, chłopcy! Od tej bramy, dookoła i z powrotem, to mila. Przebiegniecie ją dwukrotnie.

Grupa ostatniego na mecie biegnie jeszcze raz.

Start!

Gdy wyruszyli, tłocząc się i przepychając, Hogun wychylił się naprzód.

– Do licha! – zaklął.

– O co chodzi? – zapytał Druss.

– Orrin. Biegnie razem z nimi. Myślałem, że miał dosyć wczoraj. Co się dzieje z tym człowiekiem? Oszalał?

– Ty biegasz ze swoimi ludźmi – powiedział Druss. – Dlaczego nie on?

– Daj spokój, Druss, cóż to za pytanie? Jestem żołnierzem i przez całe życie ćwiczyłem codziennie, ale on! Spójrz na niego – już jest ostatni. Będziesz musiał wybrać ostatniego oprócz Orrina.

– Nie mogę tego zrobić, chłopcze. Okryłbym go wstydem. Dokonał wyboru i sądzę, że ma swoje powody.

Po pierwszej mili Orrin znajdował się trzydzieści jardów za ostatnim biegaczem i walczył

z trudem. Wbił wzrok w tylną część jego napierśnika i biegł, nie zwracając uwagi na klucie w boku. Pot zalewał mu oczy, a biały hełm ozdobiony końskim włosiem spadł mu z głowy.

Przyniosło to niejaką ulgę.

Po półtorej mili miał czterdzieści jardów straty.

Ze środka prowadzącej grupy Gilad spojrział w tył, zwolnił a potem zawrócił i zrównał się ze zdyszany ganem. Dostosował swoje tempo biegu do kroków tamtego.

– Posłuchaj – rzucił oddychając lekko. – Nie zaciskaj pięści; to ci pomoże przy oddychaniu.

Nie myśl o niczym oprócz tego, że masz się mnie trzymać. Nie, nie próbuj mi odpowiadać. Licz oddechy. Nabierz głęboko powietrza i wypuść je najszybciej jak potrafisz. O tak. Głęboki oddech co dwa kroki. Licz cały czas. Nie myśl o niczym innym. Teraz trzymaj się mnie.

Wysunął się przed generała, utrzymując to samo wolne tempo, a potem łagodnie przyśpieszając.

Druss siedział na blankach, kiedy wyścig zbliżał się do końca. Młody podoficer ciągnął za sobą Orrina. Większość ludzi ukończyła już wyścig, a teraz siedziała, obserwując kilku ostatnich biegaczy. Orrin wciąż był ostatni, ale tylko dziesięć jardów dzieliło go od szybko męczącego się szeregowca z Grupy Ogień. Mężczyźni dopingowali szeregowca krzykiem. Wszystkie grupy oprócz Karnak chciały, żeby to on wygrał. Zostało trzydzieści jardów. Gilad zrównał się z Orrinem.

– Daj z siebie wszystko – powiedział. – Biegnij, ty tłusty gamoni!

Gilad zwiększył tempo i minął żołnierza. Orrin zacisnął zęby i pobiegł za nim. Gniew dodał mu sił. Do zmęczonych mięśni dopłynęła świeża adrenalina.

Jeszcze dziesięć jardów, a był tuż za ramieniem tamtego. Słyszał okrzyki zachęty z tłumu.

Mężczyzna obok niego przyśpieszył ostatnim wysiłkiem z twarzą wykrzywioną bólem.

Orrin zrównał się z nim w cieniu bramy i pochylił do przodu. Jeszcze jeden krok i uderzył

o ziemię, a potem potoczył się w tłum. Nie mógł wstać lecz jakieś ręce chwyciły go, postawiły na nogi i poklepały po plecach. Chwytał oddech. Jakiś głos powiedział. – Nie przestawaj chodzić.

To pomoże. No, ruszaj nogami.

Podtrzymywany z obu stron zaczął iść. Ze szczytu muru dobiegł go głos Drussa: – Grupa tego żołnierza, jeszcze jedno okrążenie. Grupa Ogień wyruszyła, tym razem powolnym truchtem.

Gilad i Bregan pomogli Orrinowi dojść do murowanego schodka i posadzili go na nim. Nogi mu drżały, ale oddech był już nieco spokojniejszy.

– Przepraszam, że cię obraziłem – powiedział Gilad. – Chciałem cię rozzłościć. Mój ojciec mówił zawsze, że gniew dodaje sił.

– Nie musisz się usprawiedliwiać – odparł Orrin. Nie podejmę żadnych kroków.

– To nie usprawiedliwienie. Mógłbym przebiec ten dystans dziesięć razy; podobnie większość z moich ludzi. Myślałem tylko, że to pomoże.

– I pomogło. Dzięki, że zwolniłeś.

– Uważam, że świetnie dawałeś sobie radę – rzekł Bregan. – Wiem jak się czuleś. My robimy to prawie przez dwa tygodnie. Dla ciebie to dopiero drugi dzień.

– Czy przyłączysz się do nas znowu jutro? – zapytał Gilad.

– Nie. Chciałbym, ale mam coś innego do zrobienia.

– Nagle uśmiechnął się. – A z drugiej strony – powiedział – Pinar jest bardzo dobry w papierkowej robocie, a ja jestem taki zmęczony, przyjmowaniem co pięć minut narzekających delegacji. Tak, przyjdę.

– Czy mogę coś zaproponować? – powiedział Gilad.

– Oczywiście.

– Postaraj się o jakąś zwyczajną zbroję. Będziesz się mniej wyróżniał.

– Ale ja powinienem się odróżniać – stwierdził Orrin, uśmiechając się. – Jestem ganem.

Wysoko nad nimi Druss i Hogun pociągali z butelki czerwone, lentryjskie wino.

– Wymagało odwagi z jego strony, aby wyjść dzisiaj po wczorajszych drwinach – przyznał

Druss.

– Tak, myślę że tak – potwierdził Hogun. – Nie, do licha, w pełni zgadzam się z tobą i muszę pochwalić tego człowieka. Chociaż robię to wbrew sobie. To ty dałeś mu kręgosłup.

– Nie można dać człowiekowi niczego, czego w nim nie ma – odrzekł Druss. – On po prostu nigdy tego nie szukał. – Uśmiechnął się szeroko, pociągnął długi łyk z butelki i oddał ją Hoganowi na pół opróżnioną.

– Lubię tego małego człowieczka – powiedział Druss.

– Ma charakter!

Orrin leżał na wąskim łóżku, plecy miał podparte miękkimi poduszkami, a w dłoni trzymał

fajansowy kubek. Próbował sobie wytłumaczyć, że nie ma nic zaszczytnego w przyjściu na metę jako drugi od końca. Na szczęście udało mu się to. Nigdy nie był atletą, nawet jako dziecko.

Jednak pochodził z rodziny wojowników i wodzów, a ojciec nalegał, aby uczestniczył we wszystkich ćwiczeniach żołnierskich. Zawsze był dobry w szermierce, co w oczach ojca kompensowało inne poważniejsze braki. Jak na przykład brak wytrzymałości na ból. Albo niemożność zrozumienia, nawet po długich wyjaśnieniach, na czym polegał błąd, popełniony przez Nadirów w bitwie pod Plettii. Zastanawiał się, czy ojciec byłby zadowolony widząc jak rzuca się na ziemię, aby wyprzedzić szeregowca na mecie. Uśmiechnął się: pomyślałby, że oszalałem.

Stukanie do drzwi sprowadziło go na ziemię.

– Wejść!

To był Druss, bez swego czarnosrebrnego kaftana. Dziwne, jak staro wygląda, zauważył

Orrin, bez swojego legendarnego stroju. Wojownik miał starannie wyczesaną brodę, a na sobie zwiewną, białą tunikę z szerokimi, marszczonymi rękawami, zebranymi w nadgarstkach. Szeroki czarny pas łączyła srebrna klamra. W rękach niósł wielką butlę czerwonego wina z Lentrii.

– Pomyślałem, że jeśli nie śpisz, to mógłbyś wypić ze mną kielich wina – zaczął Druss i wyciągnął krzesło, odwracając je w sposób, jaki Orrin często widywał u Hoguna.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Orrin.

– Co? – zapytał Druss.

– Odwracasz krzesło.

– Ciężko pozbyć się starych nawyków, nawet wśród przyjaciół. To zwyczaj wojowników.

Kiedy masz nogi rozstawione po bokach krzesła, łatwiej wstać. Ponadto, w ten sposób masz grubą warstwę drzewa między twoim brzuchem, a człowiekiem, z którym rozmawiasz lub siedzisz.

– Rozumiem – odrzekł Orrin. – Zawsze chciałem spytać o to Hoguna, ale jakoś nie było okazji. Co sprawia, że ludzie nabierają takich nawyków?

– Widok przyjaciela z nożem w brzuchu! – odparł Druss.

– Tak, rozumiem, że to może być powód. Czy nauczysz mnie swoich sztuczek, zanim nadejdą Nadirowie?

– Nie. Będziesz się musiał nauczyć ich sam. We właściwym czasie pomogę ci w drobiazgach

– co może okazać się bardzo przydatne.

– Drobiazgach? Intrygujesz mnie, Druss. Powiedz mi coś teraz. – Orrin przyjął kubek wina i znów opadł na poduszki. Druss pił z butelki.

– W porządku – rzekł rębacz, opróżniwszy pół butelki. – Odpowiedz na takie pytanie: dlaczego każdego ranka wydajemy ludziom pomarańcze?

– Podnosi to ich sprawność i zapobiega dyzenterii. Są odświeżające i tanie. Czy tak? –

zapytał zaciekawiony Orrin.

– Częściowo – powiedział Druss. – Książę z Brązu wprowadził pomarańcze do armii częściowo z wymienionych przez ciebie powodów, ale głównie dlatego, że jeśli natrzesz dłoń sokiem pomarańczowym, to miecz nie wyśliznie ci się z niej, gdy spoci się ręka. Podobnie, jeśli rozetrzesz

go na brwiach, pot nie będzie zalewał ci oczu.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Myślę, że powinienem, ale nie słyszałem. Jakie to proste! Nalej mi jeszcze.

– Nie – zaprotestował Druss. – Innym razem. Powiedz, dlaczego włączyłeś się do szkolenia poborowych?

Orrin wyprostował się na łóżku, a ciemne oczy utkwiał w twarzy Drussa.

– Uważasz, że to nie był dobry pomysł?

– To zależy, co starasz się osiągnąć. Czy chodzi ci o szacunek?

– Wielkie nieba, nie! – powiedział Orrin. – Zbyt długo z tym zwlekałem, Druss. Nie, chodzi o coś, co powiedziałaś tamtej nocy, kiedy ludzie zostali wyciągnięci z łóżek na nocne biegi.

Zapytałem cię, czy to rozsądne, a ty powiedziałaś „Muszą znać granice swoich możliwości”. I ja też. Nigdy nie byłem w bitwie. Chcę wiedzieć jak to jest, kiedy cię budzą po całym dniu ćwiczeń i każą znowu walczyć.

– Zawiodłem wielu tutejszych ludzi. Może znowu ich zawiodę, gdy Nadirowie ruszą na mury, choć mam nadzieję, że nie. Jednak powinienem być szybszy i sprawniejszy. I będę. Czy to taki zły pomysł?

Druss przechylił butelkę, oblizał wargi i uśmiechnął się.

– Nie. To dobry pomysł. Jednak kiedy będziesz trochę sprawniejszy, częściej przebywaj z żołnierzami. To popłaca.

– Popłaca?

– Zobaczysz.

– Czy widziałeś księcia? – zmienił nagle temat Orrin. – Syn mówi, że źle z nim. Naprawdę bardzo źle.

– Chyba nie może już być gorzej. Jest wciąż nieprzytomny. Nie wiem, co go trzyma przy życiu.

I tak rozmawiali przez około godzinę, a Orrin wypytywał starego o jego życie i niezliczone bitwy, raz po raz wracając do nieśmiertelnej historii Skeln i upadku króla Gorbena.

Kiedy dzwon uderzył na alarm, obaj zareagowali natychmiast. Druss zaklął, odrzucił butelkę i popędził do drzwi. Orrin dźwignął się z łóżka i podążył za nim. Druss pognął przez plac apelowy na niewielkim zboczu, przebiegł przez portyk bramy, a potem w górę, po spiralnych, kamiennych schodach do pokoju księcia. W komnacie znalazł Calvar Syna, Dun Mendara, Pinara i Hoguna. Przy oknie łkał stary służący.

– Nie żyje? – zapytał Druss.

– Nie, wkrótce – odpowiedział Calvar Syn.

Druss przysunął się do łóżka i usiadł obok leżącej tam kruchej postaci. Oczy księcia otworzyły się i zamrugały dwukrotnie.

– Druss? – zawołał słabym głosem. – Jesteś tam?

– Jestem.

– Ona nadchodzi. Widzę ją. Jest czarna i zakapturzona.

– Pluń jej w oczy ode mnie – odparł Druss, a jego wielka dłoń pogładziła rozgorączkowaną skroń księcia.

– Myślałem... że po Skeln... będę żył wiecznie.

– Uspokój się, mój przyjacielu. Jedną rzeczą, jakiej się o niej dowiedziałem jest to, że szczeka groźniej niż gryzie.

– Widzę ich, Druss. Nieśmiertelnych. Przysyłają Nieśmiertelnych! – Umierający chwycił ramię Drussa, próbując się podnieść. – Oto nadchodzą! O bogowie, spójrz na nich, Druss!

– To tylko ludzie. Przepędzimy ich.

– Usiądź przy ogniu, dziecko, a ja ci o tym opowiem. Tylko nie mów mamie – wiesz jak nie lubi krwawych opowieści. Ach Virae, moje małe kochanie! Nigdy nie zrozumiesz, ile znaczyło dla mnie być twoim ojcem... – Druss schylił głowę gdyż głos księcia cichł i rwał się. Hogun zacisnął zęby i zamknął oczy, Calvar Syn usiadł bezwładnie w fotelu, a Orrin stanął przy drzwiach, wspominając śmierć własnego ojca sprzed wielu lat.

– Staliśmy na przełęczy przez wiele dni, odpierając ataki wszystkich sił, jakie na nas rzucali.

Wojowników, rydwany, piechotę, kawalerię. Jednak cały czas wisiała nad nami groźba Nieśmiertelnych. Niezwyciężeni! Stary Druss stał na środku pierwszej linii, a gdy Nieśmiertelni maszerowali na nas, zamarliśmy. Strach wisiał w powietrzu. Chciałem uciekać i to samo uczucie widziałem na twarzach wokół mnie. Wtedy Druss podniósł swój topór i krzyknął do atakujących.

To było cudowne. Prawie magiczne. Czar prysł. Minął strach. On uniósł topór i krzyknął. Do dziś słyszę jego słowa: „Chodźcie, diabelskie pomioty! Jestem Druss, a to jest śmierć!” – Virae?

Virae? Czekałem na ciebie... tylko jeszcze jeden raz. Zobaczyć cię. Tak bardzo... Tak bardzo chciałem... – wątle ciało zadrżało i znieruchomiało. Druss zamknął oczy zmarłego i przesunął

dłonią po czole.

– Nigdy nie powinien być jej odsyłać – powiedział Calvar Syn. – Kochał tę dziewczynę; żył tylko dla niej.

– Może właśnie dlatego ją odesłał – powiedział Hogun. Druss naciągnął jedwabne prześcieradło na twarz księcia i podszedł do okna. Teraz został sam, ostatni z tych, którzy przeżyli Skeln. Wychylił się przez parapet i głęboko odetchnął nocnym powietrzem.

Na zewnątrz księżyc skąpał Dros w niesamowitym świetle, szarym i zimnym, a stary człowiek spojrział na północ. W górze zatrzepotał gołąb i okrążył gołębnik pod wieżą. Nadleciał z północy.

Druss odwrócił się plecami do okna.

– Pochowajcie go jutro po cichu – oznajmił. – Nie będziemy przerywać szkolenia na pełne uroczystości pogrzebowe.

– Ależ Druss, to przecież księżę Delnar! – krzyknął Hogun z roziskrzonym wzrokiem.

To – rzekł Druss, wskazując na łóżko – tylko stoczone przez raka zwłoki... To nikt. Zróbcie, co mówię.

– Jesteś draniem z kamiennym sercem – powiedział Dun Mendar.

Druss obrzucił oficera lodowatym spojrzeniem.

– I pamiętaj o tym, chłopcze, kiedy ty – czy ktokolwiek inny – zwróci się przeciwko mnie.

ROZDZIAŁ 12

Rek oparł się o prawe nadburcie, jedną ręką obejmując ramiona Virae, i patrzył na morze.

Dziwne, pomyślał, jak noc zmienia wygląd oceanu. Jest jak rozległe, wodne, odbijające gwiazdy lustro, w którym niecałą milę dalej pływa bliźniak księżyca, niedoskonały i ulotny. Zawsze kawałek dalej. Łagodna bryza fałdowała trójkątny żagiel „Wastrela”, pozostawiającego biały ślad na falach, gdy lekko zanurzał i unosił na ich grzbiecie. Na rufie stał mat, przy kole sterowym ze szczeblami, a opaska na jego oku lśniła w świetle księżyca. Młody marynarz na dziobie rzucił

w morze ołowiankę i okrzykiwał wszelkie zmiany głębokości, kiedy przepływali nad ukrytą rafą.

Wszędzie panował spokój, cisza i harmonia. Monotonne uderzenia wody jeszcze pogłębiały uczucie samotności, które ogarnęło Ręką, gdy spoglądał na morze. Mając gwiazdy nad głową i pod nogami unosili się jakby na falach galaktyki, z dala od czekającej ich okropnej rzeczywistości.

Oto zaspokojenie, pomyślał Rek.

– O czym myślisz? – zapytała Virae, obejmując go w pasie.

– Kocham cię – powiedział. Delfin wychylił się na powierzchnię, pozdrowił ich melodyjnym okrzykiem i ponownie skrył się w głębinach. Rek obserwował jego gibki kształt płynący między gwiazdami.

– Wiem, że mnie kochasz – odparła Virae, ale pytałam cię, o czym myślisz.

– Właśnie o tym. Jestem zadowolony. Spokojny.

– Oczywiście. Jesteśmy na statku i mamy piękną noc.

– Kobieto, jesteś bez duszy – zażartował, całując jej skroń.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Jeżeli tak myślisz, to jesteś głupcem! Ja po prostu nie mam takiej wprawy jak ty w mówieniu pięknych słówek.

– Ostre słowa, moja pani. Czy ja mógłbym ci kłamać? Poderżnęłabyś mi za to gardło.

– Z pewnością. Ile kobiet usłyszało z twoich ust, że je kochasz?

– Setki – powiedział Rek obserwując jej oczy i widząc jak znika z nich radość.

– A więc dlaczego mam ci wierzyć?

– Ponieważ wierzysz.

– To nie jest odpowiedź.

– Ależ tak. Nie jesteś przecież jakąś nierozumną pasterką, którą można omamić szerokim uśmiechem. Rozpoznasz prawdę, kiedy ją usłyszysz. Czemu nagle w to wątpisz?

– Nie wątpię w ciebie, ty ośle! Chciałam tylko wiedzieć, ile kobiet kochałeś?

– To znaczy, z iloma spałem?

– Jeżeli chcesz być niedelikatny.

– Nie pamiętam – skłamał. – Nie leży w moim zwyczaju prowadzić statystykę. A jeśli twoje następne pytanie będzie brzmiało: „Jaka jestem w porównaniu z nimi?”, to zostaniesz sama, bo ja zejdem pod pokład.

Dokładnie tak brzmiało kolejne pytanie, a on nie zszedł na dół.

Marynarz przy rumplu obserwował ich, słuchał ich beztroskiego śmiechu i uśmiechał się wraz z nimi, chociaż nie słyszał ich rozmowy. W domu miał żonę oraz siedmioro dzieci i dobrze się czuł, patrząc

na młodego mężczyznę i jego kobietę. Pomachał im ręką, gdy schodzili pod pokład, ale oni go nie zauważyli.

– Miło być młodym i zakochanym – powiedział kapitan, wynurzając się z cienia przy drzwiach swojej kabiny i przystając obok maty.

– Miło być starym i zakochanym – odparł mat, uśmiechając się szeroko.

– Noc jest spokojna, ale zrywa się wiatr. Nie podobają mi się te chmury na zachodzie.

– Przejdą bokiem – wyraził nadzieję mat. – Jednak pogoda na pewno zmieni się na gorsze.

Będziemy mieć wiatr z tyłu, który nas popchnie. Może nadrobimy kilka dni. Czy wiedziałeś, że oni udają się do Delnoch?

– Tak – odrzekł kapitan i drapiąc się po rudej brodzie, sprawdził kurs według gwiazd.

– To smutne – przyznał mat z nieudawanym żalem. – Mówią, że Ulryk poprzysiągł zrównać je z ziemią. Słyszałeś, co zrobił w Gulgothir? Zabił co drugiego obrońcę i co trzecią kobietę lub dziecko. Po prostu ustawił ich w szeregu i kazał ściąć swoim wojownikom.

– Słyszałem. To nie nasza sprawa. Od lat handlujemy z Nadirami; to dobrzy ludzie, tak samo jak wszyscy inni.

– Zgadza się. Miałem raz kobietę z tego plemienia. Prawdziwa diablica – uciekła z druciarzem. Słyszałem później, że poderznęła mu gardło i ukradła wóz.

– Prawdopodobnie chodziło jej tylko o konia – zażartował kapitan. – Za dobrego konia mogła sobie kupić prawdziwego Nadira na męża. – Obaj mężczyźni zarechotali. Potem zamilkli na chwilę, smakując nocne powietrze.

– Dlaczego jadą do Delnoch? – zapytał mat.

– Ona jest córką księcia. Jego nie znam. Gdyby była moją córką, upewniłbym się, że nie wróci. Wysłałbym ją w najdalszy koniec imperium.

– Tam również dotrą Nadirowie – tam i dalej – i to niedługo.

– Cóż, do tego czasu wiele się może zdarzyć. Drenajowie na pewno się poddadzą. Spójrz!

Ten przeklęty albinos i jego przyjaciel. Na ich widok dostaję gęziej skórki.

Mat spojrzał na lewą burzę, gdzie stali Serbitar i Vintar.

– Rozumiem cię – oni nigdy nic nie mówią. Ucieszę się, gdy zobaczymy ich plecy –

powiedział mat i uczynił znak trójzęba nad sercem.

– To nie odstraszy takich demonów jak oni – zauważył kapitan.

Serbitar uśmiechnął się, gdy Vintar zakomunikował mu telepatycznie: – Nie jesteśmy tu popularni, mój chłopcze.

– Tak. Jak zawsze. Trudno wytrzymać pogardę.

– Mimo to musisz.

– Powiedziałem trudno, a nie niemożliwe.

– Gra słów. Nawet uwaga, że to trudne, jest przyznaniem się do porażki – dodał Vintar.

– Zawsze przemawia przez ciebie uczony, Ojczy Opacie.

– Jak długo świat ma uczniów, Mistrzu Kapłanie. Serbitar uśmiechnął się szeroko, co rzadko mu się zdarzało. Nad statkiem zataczała kręgi mewa; albinos przypadkowo dotknął jej myślą w chwili, gdy zataczała krąg nad masztem.

W jej umyśle nie było ani radości, ani smutku czy nadziei. Tylko głód i pragnienie.

I rozczarowanie, bo statek nie oferował żadnego pożywienia.

Umysł młodego mnicha nagle ogarnęło niezwykle uniesienie, wywołane niewiarygodnie silnym impulsem, a jego ciało zalała fala ekstazy i spełnienia. Mocno uchwycił się balustrady i podążył tą ścieżką, szybko porzucając trop, gdy zaprowadził go pod drzwi kabiny Ręka.

– Ich emocje są bardzo silne – nadał impuls Vintar.

– Nie przystoi rozwodzić się nad tym – odpowiedział Serbitar sztywno, a rumieniec na jego twarzy było widać nawet w blasku księżyca.

– To nie tak, Serbitarze, mój przyjacielu. Ten świat zapewnia niewiele dróg odkupienia, a jedną z nich jest zdolność żyjących na nim ludzi do kochania się nawzajem z wielką i trwałą namiętnością. Cieszę się ich miłością. Dla nich to jest piękne.

– Jesteś podglądaczem, Ojczy Opacie – przyznał Serbitar z uśmiechem. Vintar roześmiał się głośno.

– To prawda. Oni mają tyle energii, ci młodzi. Nagle w umysłach obu mężczyzn pojawiła się szczupła, poważna twarz Arbedarka.

– Przepraszam – przekazał myślą. – Są smutne wieści z Dros Delnoch.

– Mów – rozkazał albinos.

– Księżę nie żyje. A w Dros są zdrajcy. Ulryk kazał zabić Drussa.

– Utwórzcie wokół mnie krąg – krzyknął Druss, gdy wyczerpani ludzie ślaniając przybliżali się spod ścian. A teraz usiądźcie zanim upadniecie.

Niebieskimi oczami zmierzył krąg, a potem prychnął pogardliwie.

– Banda wyrzutków! I wy nazywacie się żołnierzami! Wykończeni po kilku biegach. Jak, do diabła wydaje się wam, będziecie się czuli po trzech dobach walki, dzień i noc, przeciw Nadirom, którzy mają pięćdziesięciokrotną przewagę? He?

Nikt mu nie odpowiedział. Pytanie było retoryczne. W rzeczywistości większość ludzi cieszyła się z tego, że tak na nich krzyczy; oznaczało to przerwę w nie kończących się ćwiczeniach.

Druss wskazał na Gilada.

– Ty! Jak nazywają się te cztery siedzące tu grupy?

Gilad odwrócił się i popatrzył po twarzach. – Karnak, Bild, Gorbadać... i... nie znam ostatniej.

– No! – wrzasnął stary. – Czy żaden z was, łachmaniarze, nie chce się przyznać? Jak nazywa się ta cholerna grupa?

– Sokół – pisnął głos z tyłu.

– Dobra! Dowódcy grup wystap – powiedział Druss.

– Reszta ma przerwę na oddech. – Odszedł kawałek i skinął na oficerów, aby poszli za nim.

– W porządku, zanim powiem wam czego chcę, czy oficer grupy Sokół może się ujawnić?

– To ja jestem tym oficerem, sir. Dun Hedes – odparł młody człowiek, niski, ale dobrze zbudowany.

– Więc dlaczego nie odkrzyknąłeś swojej grupy, kiedy pytałem? Dlaczego musiał to zrobić jakiś pryszczaty parobek?

– Jestem częściowo głuchy, sir, a kiedy jestem zmęczony i krew dudni mi w skroniach, prawie nie słyszę.

– W takim razie uważaj się za zwolnionego z dowodzenia.

– Nie możesz mi tego zrobić! Zawsze dobrze służyłem. Nie możesz mnie okryć niesławą! –

zaprotestował młody człowiek podnosząc głos.

– Posłuchaj mnie, młody głupcze. Być głuchym to żaden wstyd. Możesz stanąć ze mną na murach, jeśli chcesz, kiedy nadejdą Nadirowie. Tylko jak dobrze możesz mi służyć jako dowódca, jeśli nie słyszysz moich cholernych rozkazów?

– Poradzę sobie – rzekł Dun Hedes.

– A jak poradzą sobie twoi ludzie, gdy zechcą spytać cię o radę? Co będzie, jeśli odtrąbimy odwrót, a ty nie usłyszysz? Nie! Podjąłem decyzję. Wycofaj się.

– Żądam widzenia z Gan Orrinem!

– Jak sobie życzysz. Jednak przed końcem dzisiejszego dnia powołam nowego duna dla grupy Sokół. A teraz do rzeczy. Chcę aby każdy z was – z tobą włącznie, Hedesie – wybrał

dwóch najsilniejszych ludzi. Najlepszych jakich macie w mocowaniu się na rękę, zapasach lub czymkolwiek innym. Będą mieli szansę powalić mnie na ziemię. To powinno poprawić nastroje.

Wykonać!

Dun Mendar, powróciwszy do grupy, zawołał Gilada, a potem przykucnął wśród swoich ludzi, żeby przedstawić pomysł Drussa. Z wielu stron dobiegły śmiechy, gdy prędko zgłaszali się ochotnicy. Gwar rósł, wielu kłóciło się o prawo do powalenia starego wojownika. Druss śmiał się głośno, siedząc na uboczu i obierając pomarańcze. W końcu wybrano pary, a on podniósł się na nogi.

– Jest pewien cel w tym małym ćwiczeniu, ale wyjaśnię go później. Teraz traktujcie je jako rozrywkę – powiedział Druss, stojąc z rękami na biodrach. – Jednak uważam, że publiczność jest bardziej ożywiona wtedy, gdy jest coś do wygrania, tak więc daję wolne popołudnie każdej grupie, której zawodnicy mnie powalą.

Przyjęto to owacjami, a on mówił dalej.

– Zauważcie, że ci, którzy mnie nie powalą, biegną dodatkowe dwie mile. – Druss uśmiechnął się szeroko, słysząc gwałtowne jęki.

– Nie bądźcie tak słabego ducha. Kogo macie przed sobą? Oto stoi przed wami stary, tłusty człowiek. Zaczniemy od pary Bild.

Mężczyźni ci mogli uchodzić za bliźnięta; obaj byli ogromni, czarnobrodzi, z masywnie umięśnionymi ramionami i barkami. Bez zbroi wyglądali na parę najgroźniejszych wojowników spośród wszystkich grup.

– W porządku, chłopcy – rzekł Druss – możecie mocować się, boksować, kopać lub robić uniki. Zaczynajcie kiedy będziecie gotowi.

Mówiąc to, stary ściągnął kaftan, a para Bild zatoczyła powoli koło, rozluźniona i uśmiechnięta. Znalazłszy się po obu stronach starego, zaatakowali. Druss przykłęknął na jedno kolano, pochylając się pod sierpowym z prawej, następnie wbił rękę w lędźwia mężczyzny, drugą ręką chwytając go za przód koszuli i cisnął nim w jego kompana. Obaj upadli na ziemię splątani ramionami. Wśród żołnierzy z od – działu Bild posypały się przekleństwa, zagłuszone przez drwiny innych.

– Następna, Gorbadać! – zapowiedział Druss. Ci dwaj podeszli ostrożniej niż ich poprzednicy.

Wyższy zanurkował w kierunku brzucha Drussa, usiłując schwytać go wpół.

Napotkał kolano rębacza i runął na trawę. Drugi zaatakował prawie natychmiast, tylko po to, aby otrzymać potężny cios otwartą dłonią w policzek. Przeleciał nad leżącym towarzyszem i ciężko upadł. Pierwszy powalony był nieprzytomny i trzeba go było wynieść poza krąg.

– Teraz Sokół! – krzyknął Druss. Tym razem przyglądał się ich natarciu, nagle wydał

donośny okrzyk i zaatakował. Pierwszy z napastników osłupiał ze zdziwienia; drugi cofnął się o krok i potknął się. Druss uderzył pierwszego lewym prostym; trafiony upadł i leżał

nieruchomo.

– Karnak? – powiedział Druss. Do kręgu weszli Gilad i Bregan. Tego czarnego zauważył już wcześniej i spodobał mu się jego wygląd. Urodzony wojownik, pomyślał starzec. Cieszyła go nienawiść wyzierająca z oczu chłopca za każdym razem, gdy z niego drwił; spodobał mu się też wtedy, kiedy został, aby pomóc Orrinowi. Druss spojrział na drugiego mężczyznę. To na pewno pomyłka. Ten gruby to żaden zawodnik i nigdy nim nie będzie – dobroduszny i wytrwały, ale nie nadający się na wojownika.

Gilad skoczył naprzód i stanął, gdy Druss podniósł pięści. Druss skręcił, aby nie stracić go z pola widzenia; następnie słysząc hałas z tyłu, odwrócił się nagle, żeby zobaczyć jak ten gruby atakuje, potyka się i pada jak długi na ziemię. Chichocząc odwrócił się z powrotem do Gilada, zderzając się z wysokim kopnięciem, które trafiło go w pierś. Cofnął się o krok, aby złapać równowagę, ale gruby zdążył przetoczyć mu się pod nogi i Druss z głośnym sapnięciem uderzył

o ziemię.

Z dwustu gardeł wydobył się potężny ryk. Druss uśmiechnął się i zwinnie skoczył na równe nogi. Gestem uciszył żołnierzy.

– Chcę, abyście zapamiętali to, tu co zobaczyliście, chłopcy – rzucił Druss. – Ponieważ to nie była jedynie zabawa. Widzieliście, co może zrobić jeden człowiek i widzieliście również, co można osiągnąć przy odrobinie pracy grupowej.

– Tak więc, kiedy Nadirowie ruszą na mury, będziecie wszyscy zmuszeni bronić się, ale to nie wystarczy. Musicie w miarę możliwości chronić swoich towarzyszy, ponieważ żaden wojownik nie obroni się przed ciosem w plecy. Chcę, aby każdy z was znalazł sobie brata po mieczu. Nie musicie być przyjaciółmi – to przyjdzie później. Jednak musicie się rozumieć i powinniście nad tym pracować. Kiedy nadejdzie atak, będziecie osłaniać jeden drugiego, więc wybierajcie rozsądnie. Ci z was, którzy utracą swego brata po mieczu w walce, znajdą następnego. Jeśli nie zdołają, zrobią co mogą dla otaczających ich ludzi.

– Jestem wojownikiem od ponad czterdziestu lat – a to dwakroć dłużej niż żyje większość z was. Pamiętajcie o tym. To, co mówię, ma wartość dlatego, ponieważ przetrwałem.

– Jest tylko jeden sposób aby przetrwać na wojnie, a polega na tym, by być gotowym na śmierć.

Szybko odkryjecie, że świetny szermierz może być powalony przez niewyszkolonych dzikusów, którzy poobcinaliby sobie palce przy krojeniu mięsa. Jak to możliwe? Ponieważ dzikus nie obawia się śmierci. Co gorsza, może być berserkerem.

– Człowiek, który cofa się przed Nadirem, robi krok w wieczność. Spotykacie się z nimi jak równy z równym, dzikus przeciwko dzikusowi.

– Słyszeliście, jak mówiono, że to przegrana sprawa i jeszcze nieraz to usłyszycie. Ja słyszałem to po tysiąc razy w setce krain.

– Najczęściej mówią to ludzie małego serca i możecie ich zignorować. Jednak czasem wychodzi to z ust zahartowanych weteranów. Takie przepowiednie są całkowicie bezwartościowe.

– Nadirów jest pół miliona. Przerazająca liczba! Taka, że może sparaliżować mózg. Jednak mury mają tylko określoną długość i szerokość. Nie mogą przyjść wszyscy na raz. Będziemy ich zabijać gdy przyjdą i zabijemy setki, kiedy się będą wspinać. I tak dzień po dniu znużymy ich.

– Będziecie tracić przyjaciół, towarzyszy, braci. Spędzać bezsenne noce. Wykrwawiać się.

W nadchodzących miesiącach nic nie będzie łatwe.

– Nie zamierzam mówić o patriotyzmie, obowiązku, wolności i jej obronie, ponieważ dla żołnierza wszystko to mało warte.

– Chcę, abyście myśleli o przetrwaniu. A najlepszy na to sposób to spojrzeć w dół na Nadirów, kiedy przyjdą i pomyśleć sobie: tam na dole jest pięćdziesięciu ludzi tylko dla mnie. I, z pomocą bogów, załatwię wszystkich.

– Jeśli chodzi o mnie... cóż, jestem weteranem wielu bitew. Wezmę na siebie stu.

Druss wziął głęboki oddech, zostawiając trochę czasu, aby jego słowa zapadły w pamięć.

– Teraz – rzekł wreszcie – z wyjątkiem grupy Karnak możecie wrócić do swoich obowiązków.

Odwróciwszy się, zobaczył Hoguna i ludzi zrywających się na nogi, poszedł wraz z młodym generałem do kantyny przy pierwszym murze.

– Ładna mowa – przyznał Hogun. – Brzmiała bardzo podobnie do tej, którą wygłosiłeś dziś rano na trzecim murze.

– Nie słuchałeś zbyt uważnie, chłopcze – odparł Druss. – Od wczoraj wygłosiłem ją sześć razy. I trzy razy powalono mnie na ziemię. Jestem wyschnięty jak brzuch jaszczurki piaskowej.

– Stawiam butelkę wina z Vagrii – zaproponował Hogun. – Po tej stronie Dros nie podają lentryjskiego – jest za drogie.

– Wystarczy ventryjskie. Widzę, że odzyskałeś dobry humor.

– Aha. Miałaś rację co do pogrzebu księcia. Denerwujące było tylko to, że zbyt szybko podjęłaś tę słuszną decyzję, to wszystko – powiedział Hogun.

– Co przez to rozumiesz?

– To co powiedziałem. Umiesz, Druss włączać i wyłączać swoje emocje. Większość ludzi nie potrafi tego. Dlatego wydajesz się, jak powiedział Mendar – człowiekiem o sercu z kamienia.

– Nie podoba mi się to wyrażenie, ale pasuje do mnie – odparł Druss otwierając drzwi kantyny. – Płakałem nad Delnarem, gdy leżał umierając. Kiedy jednak umarł – odszedł. A ja wciąż tu jestem. I mam przed sobą piekielnie długą drogę.

Dwaj mężczyźni usiedli przy stole pod oknem i zamówili wino u kelnera. Wrócił z dużą butelką i dwoma kielichami. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując ćwiczenia.

Druss zamyślił się głęboko. W swoim życiu stracił wielu przyjaciół, spośród których nikogo nie kochał bardziej niż Siebena i Rowenę – on był jego bratem po mieczu, ona żoną. Myśli o nich bolały jak otwarte rany. Kiedy umrę, pomyślał, wszyscy będą opłakiwali Drussa-Legendę.

A kto zapłaci za mnie?

ROZDZIAŁ 13

Powiedz nam, co widziałeś – powiedział Rek, gdy dołączył do czterech przywódców Trzydziestu w kabinie Serbitara. Menahem obudził go z głębokiego snu i szybko objaśnił

problemy, przed którymi stała Dros. Teraz czujnie słuchał, jak jasnowłosy kapłan-wojownik opisywał zagrożenie. – Kapitan Topora trenuje ludzi. Wyburzył wszystkie budynki z trzeciego muru i oczyścił pole rażenia. Zablokował również tunele przy bramach aż do czwartego muru dobrze sobie radzi.

– Wspomniałeś o zdrajcach – przypomniał Rek. Serbitar podniósł rękę. – Cierpliwości – powiedział.

– Mów dalej, Arbedark.

– Jest tam oberzysta o imieniu Musar, który pochodzi z nadiryjskiego plemienia Wolfsheadów. Mieszka w Dros Delnoch już od jedenastu lat. On i jeden z drenajskich oficerów zamierzają zabić Drussa. Mogą też być inni. Ulrykowi przekazano wiadomość o zablokowaniu tuneli.

– Jak? – zapytał Rek. – Przecież nikomu nie pozwalają podróżować na północ?

– On hoduje gołębie – powiedział Arbedark.

– Co możecie zrobić? – Rek zapytał Serbitara, który wzruszył ramionami i spojrzął na Vintara, szukając u niego pomocy. Opat rozłożył ręce. – Próbowaliśmy skontaktować się z Drussem, ale on

nie jest podatny, a odległość jest wciąż bardzo duża. Nie wiem, jak moglibyśmy pomóc.

– Jakie wieści o moim ojcu? – zapytała Virae. Mężczyźni niespokojnie spojrzeli po sobie.

Wreszcie przemówił albinos.

– Nie żyje. Bardzo mi przykro.

Virae nie odpowiedziała, a jej twarz pozostała nieruchoma. Rek położył rękę na jej ramieniu, ale strząsnęła ją i wstała.

– Idę na pokład – rzuciła cicho. – Zobaczymy się później, Rek.

– Czy mam pójść z tobą?

– Nie. Tym nie można się podzielić.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, przemówił Vintar, głosem łagodnym i pełnym smutku.

– Na swój sposób był wspaniałym człowiekiem. Kontaktowałem się z nim przed końcem; był spokojny i pogrążony w przeszłości.

– W przeszłości? – spytał Rek. – Co to znaczy?

– Jego umysł wrócił do szczęśliwszych wspomnień. Miał dobrą śmierć. Myślę, że Źródło przyjmie go – będę się o to modlił. A co z Drussem?

– Próbowałem przedostać się do generała Hoguna – odparł Arbedark – ale było to bardzo niebezpieczne. Prawie pomyliłem osobę. Odległość...

– Tak – rzekł Serbitar. – Czy udało ci się dowiedzieć w jaki sposób spróbują zamachu?

– Nie. Nie zdołałem wejść do umysłu tamtego, ale przed nim stała butelka czerwonego wina z Lentrii, którą ponownie zapieczętował. Mogła to być trucizna albo jakiś narkotyk.

– Musi być jakiś sposób, żeby go ostrzec – powiedział Rek. – Z taką mocą, jak wasza...

– Każda moc – prócz jednej – ma swoje granice stwierdził Vintar. – Możemy się jedynie modlić. Druss jest żołnierzem od wielu lat, typem człowieka, który wychodzi cało z każdej opresji. A to znaczy, że ma nie tylko umiejętności, ale i hit szczęścia. Menahem, musisz powędrować do Dros i obserwować. Może atak opóźni się do czasu, aż znajdziemy się bliżej.

– Mówiłeś o jakimś drenajskim oficerze – przypomniał Rek Arbedarkowi. – Kto? Dlaczego?

– Nie wiem. Gdy ukończyłem podróż, opuszczał właśnie dom Musara. Przemykał się ukradkiem i to wzbudziło moje podejrzenia. Musar był w gołębniku, a na stole przed nim leżała kartka, napisana w

języku Nadirów. Głosiła: „Zabić Kroczącą Śmierć”. To imię, pod którym Druss jest znany wśród tych plemion.

– Miałeś szczęście, że dostrzegłeś tego oficera – zauważył Rek. – W fortecy tej wielkości szansę dostrzeżenia pojedynczego aktu zdrady muszą być bardzo małe.

– Tak – odparł Arbedark. Rek zobaczył jak jasnowłosy mnich wymienił znaczące spojrzenia z albinosem.

– Czy jest w tym coś więcej niż szczęście? – zapytał.

– Być może – odrzekł Serbitar. – Porozmawiamy o tym niebawem. Teraz jednak jesteśmy bezradni. Menahem będzie obserwował rozwój wydarzeń i informował nas. Jeśli odłożą próbę chociaż na dwa dni, może będziemy mogli pomóc.

Rek spojrzał na Menahema, który siedział wyprostowany przy stole, oczy miał zamknięte i oddech płytki.

– Czy już go nie ma? – zapytał. Albinos skinął głową.

Druss dobrze udawał zainteresowanego podczas wlokących się przemówień. Od momentu zakończenia bankietu już trzykrotnie usłyszał jak wdzięczna jest mu ludność miasta, obywatele, kupcy i prawnicy za to, że do nich przybył. Jak zdemaskował ludzi małego ducha, zawsze gotowych umniejszać potęgę drenajskiego imperium. Jak, po wygranej – prędko – bitwie Dros Delnoch, stanie się atrakcją turystyczną całego kontynentu. Jak nowe strofy zostaną dodane do sagi o Legendzie Siebena. Słowa toczyły się monotonię, a pochwały stawały się coraz okrągłejsze w miarę jak ubywało wina.

Dwieście najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin w Delnoch zgromadziło się w wielkiej sali i zasiadło wokół ogromnego, okrągłego stołu, zwykle zarezerwowanego na święta państwowe. Bankiet był pomysłem Bricklyna, burmistrza, niskiego, egocentrycznego przedsiębiorcy, który stał nad uchem Drussa przez cały posiłek i teraz znowu tkwił nad nim, rozpoczynając najdłuższą z dotychczasowych mów.

Druss trwał z przyklejonym do ust uśmiechem, przytakując od czasu do czasu, kiedy czuł, że powinien. W swoim życiu uczestniczył w wielu takich przyjęciach, chociaż zazwyczaj organizowano je po, a nie przed bitwą.

Zgodnie z oczekiwaniami, Druss otworzył przemówienia krótką opowieścią o swoim życiu, kończąc wzruszającą obietnicą, że Dros utrzyma się, jeżeli tylko żołnierze wykażą tyle odwagi, ile zebrane wokół stołu rodziny. Otrzymał za to, co również było do przewidzenia, burzliwe oklaski.

Jak miał w zwyczaju przy takich okazjach, Druss pił niewiele, sącąc małymi łydkami czerwone lentryjskie wino, którego butelkę postawił przed nim krępy oberżysta, Musar, bankietowy mistrz ceremonii.

Druss ze zdziwieniem stwierdził, że Bricklyn skończył swoją przemowę, co nagroził

energicznym aplauzem. Niski, siwowłosa mężczyzna usiadł po jego lewej ręce, promieniejąc i kłaniając się klaszczącym słuchaczom.

– Piękna mowa – przyznał Druss. – Bardzo piękna.

– Dziękuję. Myślę, że twoja była lepsza – odparł Bricklyn, nalewając sobie kielich vagriańskiego białego z kamiennego dzbana.

– Nonsens. Jesteś urodzonym mówcą.

– To ciekawe, że tak uważasz. Pamiętam, gdy wygłaszałem przemówienie w Drenanie z okazji ślubu hrabiego Maritin. – Oczywiście, znasz hrabiego? No więc, powiedział mi... – I tak gadał dalej, Druss uśmiechał się i potakiwał, a Bricklyn wynajdywał coraz to nowe historie na podkreślenie swoich zalet.

Przed północą, jak było umówione wcześniej, stary sługa Delnara, Arshin podszedł do Drussa i obwieścił – dostatecznie głośno, aby usłyszał to Bricklyn – że Druss jest wzywany na trzeci mur, aby nadzorować nowy oddział łuczników i jego rozlokowanie. Był już na to najwyższy czas. Przez cały wieczór Druss nie wypił więcej niż jeden kielich, a jednak gdy podniósł się na nogi, czuł że w głowie mu się kręci, a nogi uginają się. Przeprosił krępego mieszczanina, uklonił się zebranym i wymaszerował z pomieszczenia. Na korytarzu przystanął

i oparł się o kolumnę.

– Dobrze się czujesz, panie? – zapytał Arshin.

– To wino było kiepskie – wymamrotał Druss. Cięży mi w żołądku bardziej niż ventryjskie śniadanie.

– Lepiej połóż się, panie. Przekażę wiadomość Dunowi Mendarowi, że przyjmiesz go u siebie.

– Mendarowi? Dlaczego, u diabła mam go przyjmować?

– Przepraszam, sir. Nie mogłem o tym wspomnieć w sali, jako że nakazałeś mi, co mam mówić, ale Dun Mendar prosił, żebyś mu poświęcił minutę. Mówił, że ma poważny problem.

Druss przetarł oczy i wziął kilka głębokich oddechów.

Jego żołądek protestował, burczał i kurczył się. Druss zastanawiał się, czy nie wysłać Arshina aby wytłumaczył go przed młodym Karnakiem, zrozumiał jednak, że rozejdzie się pogłoska, iż jest chory. Albo gorzej, że nie może pić wina.

– Może powietrze dobrze mi zrobi. Gdzie on jest?

– Prosił, żebyś przyszedł do gospody przy Alei Jednorożca. Przed kasztelem skręć w prawo i idź prosto aż do pierwszego placu targowego, potem skręć w lewo przy młynie. Idź prosto Drogą Piekarzy aż do warsztatu zbrojmistra, tam skręć w prawo. To Aleja Jednorożca, na której końcu

znajduje się gospoda.

Druss poprosił o powtórzenie instrukcji, z trudem oderwał się od ściany i zataczając się, wyszedł w ciemność. Gwiazdy świeciły wyraźnie, a niebo było bezchmurne. Wciągnął w płuca rześkie powietrze i poczuł skurcz żołądka.

– Do cholery! – powiedział ze złością i znalazłszy ustronne, położone z dala od oczu strażników miejsce, zmusił się do wymiotów. Zimny pot wystąpił mu na czoło, a głowa pękała z bólu, kiedy się wyprostował, ale przynajmniej skurcze żołądka ustały. Doszedł do pierwszego placu, znalazł młyn i skręcił w lewo. Z Drogi Piekarzy poczuł już zapach piekącego się chleba.

Ta woń znów wywołała wymioty. Rozeźlony swoim kiepskim stanem Druss załomotał do pierwszych napotkanych drzwi. Otworzył je niski, gruby piekarz w białym fartuchu i zerknął

trwożliwie.

– Tak? – zapytał.

– Jestem Druss. Czy masz już jakiś bochen chleba?

– Dopiero minęła północ. Mam trochę wczorajszego chleba, ale jeśli poczekaś chwilę, będę miał świeży. Co się stało? Jesteś zielony.

– Daj mi tylko chleba – i to szybko! – Druss mocno chwycił framugę drzwi, żeby nie upaść.

Co, do diabła, było nie tak z tym winem? A może to jedzenie. Nienawidził tłustych potraw. Zbyt wiele lat przeżył na suszonej wołowi – nie i świeżych jarzynach. Jego organizm nie przyjmował

tłuszczu, ale jeszcze nigdy nie reagował w ten sposób.

Mężczyzna pospiesznie wrócił z krótkiego korytarzyka, niosąc ciężki kawał czarnego chleba oraz małą fiolkę.

– Wypij to – powiedział. – Mam wrzody, a Calvar Syn mówi, że to uspokaja żołądek szybciej niż cokolwiek innego. – Druss z wdzięcznością przyjął fiolkę i wypił lekarstwo.

Smakowało jak węgiel drzewny. Potem oderwał wielki kęs chleba i z ulgą osunął się na podłogę, opierając plecy o drzwi. Jego żołądek buntował się, ale zgrzytając zębami skończył bochen; już po kilku minutach poczuł się lepiej. Głowa bolała go jak wszyscy diabli, a oczy przysłaniała lekka mgielka, ale odzyskał władzę w nogach i czuł się na siłach, aby wytrzymać krótką rozmowę z Mendarem, nie budząc jego podejrzeń.

– Serdeczne dzięki, piekarzu. Ile ci jestem winien? Piekarz już miał zażądać dwóch miedziaków, lecz w porę zauważył, że stary nie ma żadnych widocznych kieszeni ani sakiewki.

Westchnął więc i powiedział to, czego się po nim spodziewano.

– Ty nie potrzebujesz płacić, Druss. To zrozumiałe.

– Przyzwóicie z twojej strony – odparł wojownik.

– Powinieneś wracać na kwaterę – doradził piekarz. – I dobrze się wyspać. – Chciał dodać, że Druss nie jest już młodzieniaszkiem, ale po namyśle zrezygnował.

– Jeszcze nie. Muszę spotkać się z jednym z moich oficerów.

– Ach, z Mendarem – powiedział, uśmiechając się piekarz.

– Skąd wiesz?

– Widziałem go zaledwie dwadzieścia minut temu, w towarzystwie trzech lub czterech innych, w drodze do Jednorożca. O tej porze nocy nie widzimy tutaj wielu oficerów. Jednorożec to gospoda dla żołnierzy.

– A tak. No to jeszcze raz dziękuję. Muszę iść.

Stał w drzwiach jeszcze chwilę po tym, jak piekarz wrócił do swojego pieca. Jeżeli Mendar był z trzema lub czterema innymi, może chcieli zaprosić go na drinka, więc wyteżał mózg, usiłując znaleźć jakąś wymówkę. Nie mogąc wymyślić nic przekonującego, zaklął i poszedł

Drogą Piekarzy.

Wszędzie zalegała ciemność i cisza. Ta cisza denerwowała go, lecz głowa bolała go zbyt mocno, żeby się nad tym zastanawiać.

W oddali widział szyld z kowadłem, znak warsztatu zbrój mistrza, lśniący w świetle księżyca. Przystanął, gdy szyld zamigotał i zmienił kształt; Druss potrząsnął głową.

Cisza... O co chodzi z tą cholerną ciszą?

Szedł dalej, zaniepokojony, poluzował Snagę w pochwie bardziej z nawyku niż świadomego przeczucia niebezpieczeństwa. Skręcił w prawo...

Coś świsnęło w powietrzu. Światło wybuchło w jego oczach, gdy dosięgła go pałka; upadł

i potoczył się po ziemi, a z ciemności wyskoczyła jakaś postać. Snaga zaśpiewała w powietrzu, rozcinając udo mężczyzny i zazgrzytała na kości, która rozszczepiła się i złamała, wyrывая krzyk bólu z piersi napastnika. Kiedy z cieni wyłoniły się kolejne postacie, Druss zerwał się na nogi. Mętym wzrokiem dostrzegł błysk stali w blasku księżyca. Z bojowym okrzykiem na ustach runął naprzód. Klinga miecza pomknęła ku niemu ze świstem, odbił ją jednak i rozrąbał

toporem czaszkę szermierza, jednocześnie odrzucając kopniakiem drugiego mężczyznę. Czyjaś klinga przecięła mu koszulę, kalecząc klatkę piersiową. Cisnął Snagą i odwrócił się na spotkanie następnego wroga.

Był nim Mendar!

Druss poruszał się bokiem, trzymając ręce rozpostarte jak zapaśnik. Młody oficer, z mieczem w dłoni, nacierał nań pewnie. Druss zerknął na tego drugiego; leżał na ziemi, słabnącymi palcami daremnie usiłując wyciągnąć topór ze swego brzucha. Druss był wściekły na siebie. W żadnym wypadku nie powinien był rzucać toporem – obwinił o to ból głowy i mdłości. Teraz Mendar skoczył do przodu i zamachnął się mieczem, a Druss uskoczył w tył, gdy srebrna stal świsnęła obok niego, o cal od szyi.

– Nie będziesz zbyt długo cofać się, starcze! – powiedział Mendar z szerokim uśmiechem.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Druss.

– Grasz na zwłokę? Żal ci? Nie zrozumiałbyś. Ponownie skoczył i ciał, a Drussowi jeszcze raz udało się uskoczyć. Teraz jednak oparł się plecami o ścianę budynku i nie miał już gdzie uciekać. Mendar roześmiał się.

– Nie przypuszczałem, że tak łatwo będzie cię zabić, Druss – powiedział i natarł. Stary żołnierz odchylił się, trzasnął dłonią w płaszczyznę klingi i skoczył do przodu, a kiedy miecz ześlizgiwał się po jego żebrach, grzmotnął pięścią w twarz Mendara. Wysoki oficer zatoczył się w tył i krew buchnęła mu z ust. Drugi cios trafił w okolice serca, łamiąc żebro. Zdrajca osunął się na ziemię, wypuszczając z rąk miecz, ale ogromne dłonie złapały go za gardło i szarpnięciem podniosły na nogi. Zamrugał oczami. Chwył rozluźnił się na tyle, aby mógł wciągnąć powietrze tchawicą.

– Łatwo, chłopcze? Nic w życiu nie jest łatwe. Zza pleców dobiegł go szmer.

Druss chwycił Mendara i błyskawicznie odwrócił, zasłaniając się jego ciałem. Obosieczny topór rozłupał bark oficera, zatrzymując się na kości mostka. Druss puścił rannego i barkiem uderzył zabójcę, który usiłował uwolnić broń. Cios odrzucił go w tył. Zanim Druss z trudem podniósł się z ziemi, tamten obrócił się i pobiegł Drogą Piekarzy.

Druss zaklął i wrócił do umierającego oficera. Krew lała się z okropnej rany i wsiąkała w ubitą ziemię.

– Pomóż mi – powiedział Mendar. – Proszę!

– Uważaj się za szczęśliwca, ty łajdaku. Ja zabiłbym cię o wiele wolniej. Kim on był?

Jednak Mendar już nie żył. Druss wyjął Snagę z ciała drugiego zabitego napastnika i poszukał człowieka, którego zranił w nogę. Idąc za śladem krwi podążył wąską aleją, gdzie znalazł go leżącego pod ścianą, ze sztyletem wbitym w serce aż po rękojeść, wokół której wciąż zaciskały się jego palce.

Druss przetarł oczy i cofnął zakrwawioną rękę. Pomacał skroń. Ponownie zaklął, wyczuwając guz wielkości jaja, bolesny i pęknięty.

Czy już nic na tym świecie nie jest proste?

Za jego czasów bitwa była bitwą, w której armia stawała przeciw armii.

Weź się w garść, powiedział sobie. Przecież zawsze byli zdrajcy i mordercy.

Po prostu jeszcze nigdy nie byłeś ich celem.

Roześmiał się nagle, przypominając sobie ciszę. Gospoda była pusta. Powinien był zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa w tej samej chwili, gdy wszedł w Aleję Jednorozca. Po co pięciu mężczyźni miałyby na niego czekać w ciemnym zaułku?

Ty stary durniu, powiedział sobie. Chyba dziecinniejesz.

Musar siedział samotnie w gołębniku, słuchając jak gołębie stroszą pióra na powitanie nowego dnia. Ochłonął już i prawie uspokoił, a ręce przestały mu drżeć. Podeszedł do okna i wychylił się jak mógł najdalej przez parapet, aby spojrzeć na północ. Jego jedynym marzeniem było ujrzeć Ulryka, wkraczającego do Dros Delnoch i na bogate ziemie południa, zobaczyć tak długo wyczekiwany początek imperium Nadirów.

A teraz jego drenajska żona i ośmioletni syn leżeli na dole, pogrążeni we śnie, niosącym śmierć, podczas gdy on oglądał swój ostatni wschód słońca.

Cieężko było patrzeć jak piją zaprawione trucizną napoje, słuchać miłego trajkotania żony o planach na następny dzień. Gdy syn zapytał go, czy może pojechać na przejażdżkę z synem Brentara, wyraził zgodę.

Powinien iść za głosem instynktu i otruć starego wojownika, ale Dun Mendar odwiódł go od tego pomysłu. Podejrzenie natychmiast padłoby na mistrza ceremonii. Ten sposób jest pewniejszy, obiecywał Mendar; odurzyć go narkotykiem i zabić w ciemnej uliczce. Takie proste!

Jak ktoś tak stary może się tak szybko poruszać?

Musar wiedział, że mógłby się z tego wykręcić. Był pewien, że Druss nigdy nie rozpoznałby go jako piątego napastnika, gdyż twarz miał do połowy zasłoniętą ciemną chustą. Jednak jego nadiryjski zwierzchnik, Surip, twierdził, że ryzyko było zbyt duże. W ostatnim liście dziękowano mu za sukcesy w ostatnich dwunastu latach pracy, pismo kończyło się słowami: „Pokój z tobą, bracie, i twoją rodziną”.

Musar napełnił duże wiadro ciepłą wodą z ogromnego miedzianego kotła.

Potem zdjął sztylet z półki na tylnej ścianie gołębnika i naostrzył go na małej osełce. Ryzyko było zbyt wielkie? Rzeczywiście. Musar wiedział, że Nadirowie mieli jeszcze jednego człowieka w Delnoch, wyżej postawionego niż on. Pod żadnym pozorem nie wolno go było ujawnić.

Zanurzył lewą rękę w wiadrze, a potem, mocno trzymając sztylet w prawej dłoni, przeciął arterie nadgarstka. Woda zmieniła kolor.

Byłem głupcem, że się ożeniłem, pomyślał, a w jego oczach zabłyśły łzy.

Jednak ona była taka śliczna...

Hogun i Elicas przyglądali się legionistom uprzątającym ciała zamachowców. Z pobliskich okien wyglądali gapie, zarzucając ich pytaniami, które żołnierze zbywali milczeniem.

Elicas bawił się małym, złotym koleczkiem słuchając jak Lebus, zwiadowca, opisuje przebieg potyczki. Nigdy nie przestała go fascynować ta umiejętność. Lebus potrafił po śladach odgadnąć płęć koni, wiek jeźdźców i nieomal temat rozmowy toczącej się przy ognisku. To była umiejętność przekraczająca granice jego rozumu.

– Stary wszedł w aleję tutaj. Pierwszy człowiek ukrył się tu, w cieniu. Uderzył go i Druss upadł, ale szybko podniósł się z ziemi. Widzicie krew tutaj? Topór przeciął udo.

Potem zaatakował pozostałych trzech, musiał jednak rzucić siekierą, ponieważ cofnął się pod tamtą ścianę.

– Jak udało mu się zabić Mendara? – zapytał Hogun, który słyszał już o tym od Drussa. On jednak również podziwiał zdolności Lebusa.

– To mnie zdziwiło, sir – powiedział zwiadowca. Myślę jednak, że już wiem. Był jeszcze piąty napastnik, który trzymał się na uboczu. Są ślady świadczące o tym, że Druss i Mendar zaprzestali walki i stali blisko siebie. Ten piąty musiał się wtedy włączyć. Widzicie ślad obcasa tutaj? Należy do Drussa. Widzicie to głębokie, okrągłe odbicie? Powiedziałbym, że Druss zasłonił się Mendarem przed ciosem tego piątego.

– Dobra robota, Lebus – przyznał Hogun. – Ludzie mówią, że umiesz wysledzić ptaka w locie i ja im wierzę.

Lebus uklonił się i odszedł.

– Zaczynam wierzyć, że Druss ma wszystkie cechy jakie mu przypisują – dodał Elicas. –

Zdumiewające!

– To prawda – powiedział Hogun – ale martwi mnie to. Mieć przed sobą armię wielkości armii Ulryka to jedno; zdrajcy w Dros to coś zupełnie innego. A jeśli chodzi o Mendara... to prawie nie do wiary.

– O ile wiem, pochodził z dobrej rodziny. Rozpuściłem wiadomość, że Mendar pomagał

Drussowi przeciw nadiryjskim szpiegom. Może to zadziała. Nie każdy ma talent Lebusa, a poza tym, zanim wstanie dzień, ziemia będzie mocno stratowana.

– To dobra historyjka – zauważył Mendar. – Jednak i tak będą przecieki.

– Jak się czuje stary? – zaniepokoił się Elicas.

– Dziesięć szwów na boku i cztery na głowie. Spał, kiedy wychodziłem. Calvar Syn mówi, że to cud, że nie pękła czaszka.

– Czy będzie mógł sędziować w zawodach szermierki? – zapytał młodszy z mężczyzn.

Hogun podniósł tylko brwi.

– Tak, myślę, że będzie. To doskonale.

– Dlaczego? – zapytał Hogun.

– Cóż, gdyby on nie mógł, ty musiałbyś go zastąpić. A wtedy ominęłaby mnie przyjemność pokonania cię.

– Ty zarozumiały szczeniaku! – rzucił ze śmiechem Hogun. – Nie nadszedł jeszcze dzień, w którym złamiesz moją obronę, nawet gdybym miał drewniany miecz.

– Kiedyś musi być pierwszy raz. Nie młodniejesz, Hogunie. Hej, musisz już mieć ponad trzydziestkę. Jedną nogą w grobie!

– Zobaczymy. Może mały zakład?

– Butelka czerwonego? – zaproponował Elicas.

– Zrobione, chłopcze! Nie ma nic słodsze niż wino, za które zapłacił ktoś inny.

– O czym niewątpliwie przekonam się dziś wieczór odparł Elicas.

ROZDZIAŁ 14

Ślub był skromny, udzielał go Opat Mieczy, Vintar, a świadkami byli kapitan i mat

„Wastrela”. Nad głowami mieli bezchmurne, nocne niebo, a pod sobą spokojne morze. Mewy kołowały i nurkowały nad statkiem – pewna oznaka bliskiego lądu.

Antaheim, jeden z Trzydziestu, wysoki i smukły, o ciemnych rysach zdradzających vagriańskie pochodzenie, dostarczył pierścień: prosty, pozbawiony ozdób pasek złota.

Teraz, gdy zbliżał się świt i wszyscy już posnęli, Rek stał samotnie na dziobie. Światło gwiazd migotało w srebrnej przepasce na czole, a wiatr rozwiewał jego ciemne włosy jak chorągiew.

I tak kości zostały rzucone. Własnoręcznie związał się ze sprawą Delnoch. Krople morskiej wody zakłuły go w oczy i cofnął się, siadając z plecami wspartymi o reling i otulając się ciasno płaszczem. Przez całe życie szukał drogi ucieczki od strachu, usiłował pozbyć się drżenia rąk i trzepotania serca. Teraz jego obawy rozpląnęły się jak wosk świecy w płomieniu.

Regnak, księżę Dros Delnoch, Strażnik Północy.

Z początku Virae odrzuciła jego oświadczenia, ale wiedział, że w końcu i tak będzie musiała je przyjąć. Gdyby nie poślubiła jego, Abalayn w najwyższym pośpiechu przysłałby jej innego męża. Niewyobrażalne było, aby Delnoch nie miała wodza i równie niemożliwe, aby te obowiązki przejęła kobieta.

Kapitan skropił ich głowy morską wodą w rytualnym błogosławieństwie, jednak miłujący prawdę Vintar opuścił fragment o płodności i zamienił na proste: „Bądźcie szczęśliwi, moje dzieci, teraz i do końca życia”.

Druss uniknął zamachu na życie, Gan Orrin znalazł w sobie siłę, tylko dwa dni drogi dzieliły ich od Dros Purdol i ostatniego etapu podróży. Wiał pomyślny wiatr i „Wastrel” o dwa lub trzy dni wyprzedzał planowany rozkład.

Rek spojrział w gwiazdy i wspomniał niewidomego jasnowidza oraz jego prorocze słowa.

„Księżę i legenda spotkają się na murach. A ludzie będą marzyć i będą umierać, czyż jednak twierdza padnie?” Oczami wyobraźni Rek zobaczył Virae, tak jak wyglądała kiedy ją opuścił

przed godziną: z jasnymi włosami rozrzuconymi na poduszce, zamkniętymi oczami i spokojną twarzą. Pragnął przytulić ją do siebie, poczuć obejmujące go ramiona. Zamiast tego przykrył ją delikatnie kocem, ubrał się i cicho wyszedł na pokład. Daleko za prawą burtą słyszał upiorną muzykę delfinów.

Podniósł się i wrócił do kabiny. Virae znowu zrzuciła koc. Rek powoli rozebrał się i położył

obok niej.

Tym razem objął ją.

Po środku statku wodzowie Trzydziestu zakończyli modły i przełamali się chlebem, który Vintar pobłogosławił. Jedli w milczeniu, łamiąc symbol jedności i pogrążając się we własnych myślach. Na koniec Serbitar wyprostował się i dał znak do otwarcia. Ich umysły zjednoczyły się.

– Stary to wspaniały wojownik – powiedział Menahem.

– Ale żaden strateg – odparł Serbitar. – Jego metoda utrzymania Dros to obsadzić mury i prowadzić bitwę aż do skutku.

– Ma niewielki wybór – przyznał Menahem. – My nie zaproponujemy nic innego.

– To prawda. Chodzi mi o to, że Druss zapcha mury ludźmi, co nie jest dobrym pomysłem.

Ma dziesięć tysięcy ludzi, a do skutecznej obrony będzie mógł użyć jedynie siedmiu tysięcy naraz. Należy obsadzić pozostałe mury, zapewnić podstawową obsługę, wyznaczyć posłańców.

Musi także mieć odwody, gotowe w każdej chwili nieść natychmiastową pomoc w dowolnym słabym

punkcie.

– Nasze siły powinny mieć maksymalną skuteczność przy jak najmniejszym wysiłku. Każdy odwrót musi być skrupulatnie wyliczony w czasie. Każdy oficer musi być nie tylko świadomy, ale też całkowicie pewny odgrywanej przez siebie roli.

– Musimy także – dodał Arbedark – wypracować agresywne sposoby obrony. Widzieliśmy sami, że Ulryk wycina całe lasy, aby zbudować balisty i wieże oblężnicze. Musimy mieć środki zapalające oraz pojemniki na nie.

Przez ponad godzinę, kiedy świt rozświetlał wschodni horyzont, wodzowie układali plany; niektóre pomysły odrzucając, inne dopracowując i poprawiając.

W końcu Serbitar wezwał ich do połączenia dłoni. Arbedark, Menahem i Vintar rozluźnili swe umysły, a Serbitar przejął ich moc.

– Druss! Druss! – nadał impuls, a jego umysł popłynął poprzez ocean, ponad Dros Purdol, fortecę portową, wzdłuż łańcucha Delnoch, obok osiedli Sathuli, ponad wielką równiną Sentran –

coraz szybciej i szybciej.

Druss obudził się gwałtownie i jego błękitne oczy omiotły pokój, nozdrza wietrzyły niebezpieczeństwo. Potrząsnął głową. Ktoś wymawiał jego imię, chociaż nie słyszał dźwięku.

Prędko zrobił na sercu znak trójzęba. Nadal ktoś go wołał.

Zimny pot wystąpił mu na czoło.

Sięgnął nad łóżkiem, chwytając Snagę z krzesła przy ścianie.

– Posłuchaj mnie, Druss – prosił głos.

– Wyjdź z mojej głowy, ty sukinsynu! – wrzasnął stary, staczając się z łoża.

– Jestem jednym z Trzydziestu. Podróżujemy do Dros Delnoch, żeby wam pomóc. Posłuchaj mnie!

– Wyłaż z mojej głowy!

Serbitar nie miał wyboru, ponieważ ból był nieznośny. Uwolnił starego wojownika i powrócił na statek.

Druss zataczając się wstał, upadł i znowu wstał. Drzwi otworzyły się i Calvar Syn szybko podszedł do niego.

– Powiedziałem, żebyś nie wstawał przed południem – warknął.

– Głosy – powiedział Druss. – Głosy... w mojej głowie!

– Połóż się. Posłuchaj. Jesteś kapitanem i wymagasz ode mnie posłuszeństwa. Na tym polega dyscyplina. Ja jestem lekarzem i żądam posłuszeństwa od moich pacjentów. Teraz opowiedz mi o głosach.

Druss oparł głowę na poduszce i zamknął oczy. Głowa bolała go okropnie i ciągle czuł

mdłości. – Był tylko jeden głos. Wołał moje imię. Potem powiedział, że jest jednym z Trzydziestu i że przybywają nam na pomoc.

– Czy to wszystko?

– Tak. Co się ze mną dzieje, Calvar? Nigdy mi się to nie przydarzyło.

– To mogło być na skutek uderzenia; szok może spowodować różne bardzo dziwne skutki, łącznie z wizjami i omamami słuchowymi. Jednak to szybko przechodzi. Posłuchaj mojej rady, Druss. Najgorsze, co możesz teraz zrobić, to nadmiernie się denerwować. Mógłbyś stracić przytomność... lub jeszcze gorzej. Ciosy w głowę mogą być śmiertelne nawet po kilku dniach.

Chcę, abyś odpoczął i od – prężył się, a jeśli głos pojawi się znowu, posłuchaj go, a nawet mu odpowiedz. Tylko nie denerwuj się. Rozumiesz?

– Pewnie, że rozumiem – odparł Druss. – Normalnie nie wpadam w panikę, doktorze, ale niektórych rzeczy nie lubię.

– Wiem, Druss. Czy chcesz teraz coś na sen?

– Nie. Zbudź mnie w południe. Jestem sędzią w turnieju szermierczym. I nie irytuj się –

dodał, widząc błysk gniewu w jedynym oku doktora. – Nie będę się denerwował, a potem wrócę prosto do łóżka.

Na zewnątrz czekali Hogun i Orrin. Calvar Syn przyłączył się do nich, gestem nakazał ciszę i pokazał im drogę do pobliskiego biura.

– Nie jestem zadowolony – powiedział do nich. Słyszysz głosy, a wierzcie mi, to nie jest dobry znak. Jednak jest silny jak wół.

– Czy jest jakieś niebezpieczeństwo? – zapytał Hogun.

– Trudno powiedzieć. Rano sądziłem, że nie. Ostatnio żył w wielkim stresie, a to nie polepszyło jego stanu. I chociaż łatwo o tym zapomnieć, nie jest już młody.

– Co to za głosy? – zaniepokoił się Orrin. – Czy mógł oszaleć?

– Gotów byłbym założyć się o to, że nie – odparł Calvar. – Powiedział, że dostał wiadomość od Trzydziestu. Książę Delnar powiedział mi, że wysłał do nich Virae i możliwe, że jest między nimi jasnowidz. Mógłby to być także jeden z ludzi Ulryka; wśród swych szamanów ma również

jasnowidzów. Powiedziałem Drussowi, aby słuchał następnych głosów i relacjonował mi je.

– Ten starzec jest dla nas nieoceniony – powiedział cicho Orrin. – Zrób wszystko, co tylko możliwe, Calvar. Gdyby coś mu się stało, byłby to zabójczy cios dla morale załogi.

– Myślisz, że tego nie rozumiem? – mruknął lekarz.

Bankiet z okazji turnieju szermierczego był niezwykle huczny. Zaproszono wszystkich, którzy znaleźli się w pierwszej setce; oficerowie i szeregowcy siedzieli ramię w ramię, wymieniając dowcipy, opowieści i niebywałe, niesłychane historie.

Gilada posadzono między Bar Britanem, który pobił go z kretesem, a Dun Pinarem, który z kolei zwyciężył Britana. Czarnobrody Britan przeklinał dobrodusznie Pinara i narzekał, że drewniany miecz nie był tak dobrze wyważony jak jego własna kawaleryjska szabla.

– Dziwię się, że nie poprosiłeś o pozwolenie walki na koniu – powiedział Pinar.

– Prosiłem – zaprotestował Britan – a oni ofiarowali mi tarczowego kucyka. – Trzej mężczyźni wybuchnęli śmiechem, do którego przyłączyli się inni, gdy żart rozszedł się wokół

stołu. Tarczowy kucyk to siodło przywiązane do ruchomej szyny i przeciągane za pomocą sznura. Używano go do ćwiczeń łuczniczych i w turniejach.

Gilad rozluźniał się w miarę jak przybywało wina. Poważnie zastanawiał się nad opuszczeniem bankietu w obawie, że pochodzenie będzie krępowało go w obecności oficerów.

Zgodził się pójść dopiero po długich namowach towarzyszy, którzy wypchnęli go jako jedyne z grupy Karnak, który doszedł do pierwszej setki. Teraz cieszył się, że dał się namówić. Bar Britan okazał się wytrawnym, dowcipnym kompanem, a Pinar, mimo – a może dzięki swemu wychowaniu – sprawił, że Gilad czuł się prawie jak w otoczeniu przyjaciół.

Przy drugim końcu stołu siedział Druss, mając po bokach Hoguna i Orrina, a obok nich siedział wódz łuczników ze Skultik. Gilad nie wiedział o nim nic ponad to, że przyprzewodził do Dros sześciuset ludzi.

Hogun, ubrany w pełną, galową zbroję legionisty, składającą się ze srebrnego napierśnika ozdobionego hebanem i kością słoniową oraz srebrnej kolczugi, przyglądał się srebrystemu mieczowi, który leżał na stole przed Drussem.

Finałową walkę między Hogunem a Orrinem oglądało ponad pięć tysięcy żołnierzy.

Pierwszy cios zadał Hogun, zgrabna obrona i riposta po czterominutowym pojedynku. Drugi wykonał Orrin, kierując cios w głowę. Hogun zwinnie go zablokował, lecz lekki obrót nadgarstka przeniósł drewnianą klingę przeciwnika w dół, tak że dotknęła boku Hoguna. Po jakichś dwudziestu minutach Hogun prowadził dwa do jednego: jeden cios dzielił go od zwycięstwa.

Podczas pierwszej przerwy Druss przyszedł do miejsca, gdzie w cieniu pierwszego muru siedzieli

Hogun i jego sekundanci, popijając wino rozcieńczone wodą.

– Niezła robota – przyznał Druss. – Jednak on jest dobry.

– Tak – powiedział Hogun, ocierając pot z czoła białym ręcznikiem. – Lecz nie jest taki mocny w prawej.

– Fakt. Jednak ty wolniej ruszasz nogami.

– Największa wada lansjera. Skutek zbyt długiego wysiadywania w siodle – wyjaśnił Hogun.

– Jest niższy ode mnie, co daje mu przewagę.

– To prawda. Dobrze mu to zrobiło, że doszedł do finału. Zagrzewali go chyba głośniejsze niż ciebie.

– Tak, ale to mi nie przeszkadza – odparł Hogun.

– Mam nadzieję, że nie – rzucił Druss. – Jednak nic tak nie podnosi morale jak widok gona forticy, któremu tak dobrze idzie. – Hogun podniósł wzrok, wytrzymując spojrzenie Drussa, po czym stary wojownik uśmiechnął się i cofnął na miejsce sędziego.

– Co to było? – zapytał Elicas, przechodząc za plecy Hoguna i rozmasowując mięśnie jego szyi i barków. – Słowa otuchy?

– Tak – powiedział Hogun. – Popracuj trochę nad moim przedramieniem, proszę. Mięśnie są tam napięte.

Młody generał zgrzytnął zębami, gdy Elicas rozcierał mu rękę mocnymi kciukami. Czy Druss prosił go, żeby przegrał? Z pewnością nie. A jednak...

Nie zaszkodziłoby Orrinowi gdyby wygrał srebrny miecz, a już na pewno poprawiłoby to jego rosnącą popularność wśród żołnierzy.

– O czym myślisz? – zapytał Elicas.

– O tym, że ma słabą prawą.

– Załatwisz go, Hogun. Wypróbuj na nim tę podstępna składankę, parowanie-riposta, której użyłeś, żeby mnie pokonać.

Przy wyrównaniu dwa:dwa drewniana klinga Hoguna trzasnęła. Orrin cofnął się, zezwalając na wymianę i pozwolił przeciwnikowi na krótkie wypróbowanie nowej broni. Hogunowi nie podobało się wyważenie i ponownie zmienił miecz. Potrzebował czasu do namysłu. Czy Druss prosił go, żeby przegrał?

– Nie koncentrujesz się – skarcił go surowo Elicas.

– Co się z tobą dzieje? Legion postawił znaczną część żołdu w tym turnieju.

– Wiem.

Znalazł odpowiedź. Mimo wszystko, nie może walczyć tak, żeby przegrać.

W ostatni atak włożył wszystkie siły; zablokował zamaszyste cięcie i natarł. Jednakże tuż przedtem, zanim jego klinga uderzyła z łoskotem w brzuch Orrina, miecz gana dotknął jego szyi.

Orrin przewidział jego atak i złapał go w pułapkę. W prawdziwej walce zginęliby obaj, ale to nie była prawdziwa walka i Orrin zwyciężył. Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce, a wiwatujący żołnierze rzucili się do przodu.

– Oto przepadły moje pieniądze – powiedział Elicas.

– Jednak ma to także pewną jasną stronę.

– Jaką? – zapytał Hogun, rozcierając obolałe przedramię.

– Nie stać mnie na uregulowanie naszego prywatnego zakładu. Ty będziesz musiał postawić wino. Przynajmniej tyle możesz zrobić, po tym jak zawiodłeś legion!

Bankiet poprawił samopoczucie Hoguna, a przemówienia Bar Britana w imieniu żołnierzy i Pinara, ze strony oficerów, były dowcipne i krótkie; jedzenie dobre, wina i piwa obfitość, koleżeńska atmosfera działała zaś uspokajająco. To prawie nie ta sama Dros, pomyślał Hogun.

Za portykowymi bramami Bregan stał na warcie z wysokim, młodym szeregowcem z grupy Ogień. Bregan nie znał jego imienia i nie mógł o nie zapytać, ponieważ wartownikom nie wolno było rozmawiać na służbie. Dziwny przepis, pomyślał Bregan, ale trzeba się podporządkować.

Noc była chłodna, lecz prawie tego nie zauważał. Jego myśli pobiegły z powrotem do wioski, do Lotis i dzieci. Sybad otrzymał tego dnia list i wszystko było w porządku. Wspomniano w nim Legana, pięcioletniego syna Bregana. Podobno, gdy wspiał się na wysoki wiąz i nie mógł zejść, rozplakał się i wołał ojca. Bregan poprosił Sybada, aby w następnym liście do domu napisał kilka słów od niego. Chciał powiedzieć jak bardzo ich wszystkich kocha i tęskni za nimi, ale nie potrafił się zdobyć na to, by prosić Sybada o napisanie takich czułości. Zamiast tego prosił

Legana, żeby był dobrym chłopcem i słuchał matki. Sybad zebrał notatki od wszystkich mężczyzn ze wsi i spędził cały wieczór komponując list, który zapieczętowano potem woskiem i odniesiono do pokoju pocztowego. Konny posłaniec zawiezie go później na południe, razem z innymi listami i wojskowymi przesyłkami do Drenanu.

O tej porze Lotis na pewno już podsypała do ognia i przykręciła lampy, pomyślał Bregan.

Leży pewnie w ich wymoszczonym sitowiem łożu, prawdopodobnie pogrążona we śnie. Obok niej z pewnością śpi Legan, był tego pewien, ponieważ Lotis zawsze miała kłopoty z zasypianiem, kiedy Bregana nie było w domu.

– Powstrzymasz dzikusów, prawda, tato?

– Tak – powiedział mu Bregan. – Jednak oni zapewne wcale nie przyjdą. Politycy to załatwią, tak jak robili to zawsze do tej pory.

– Czy szybko wrócisz do domu?

– Będę z powrotem na dożynki.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Po bankiecie Druss zaprosił Orrina, Hoguna, Elicasa i Bowmana do gabinetu księcia, położonego nad wielką salą. Służący Arshin przyniósł im wina, a Druss przedstawił banitę dowódcom fortecy. Uścisk dłoni Orrina był chłodny, a jego oczy zdradzały niesmak. Przez dwa lata słał do Skultik patrole z rozkazami, aby schwytać i powiesić przywódcę banitów. Hoguna mniej interesowało pochodzenie Bowmana, a bardziej jego umiejętności. Elicas nie miał z góry wyrobionego poglądu, ale instynktownie polubił jasnowłosego łuczника.

Zająwszy miejsce, Bowman odchrząknął i opowiedział im o wielkości nadiryjskiej hordy zgromadzonej pod Gulgothir.

– Jak zdobyłeś te informacje? – zapytał Orrin.

– Trzy dni temu... spotkaliśmy... kupców w Skultik. Podróżowali z Dros Purdol do Segril i przejeżdżali przez północną pustynię. Wpadli w zasadzkę w pobliżu Gulgothir i zabrano ich do miasta, gdzie pozostali przez cztery dni. Ponieważ pochodzili z Vagrii, traktowano ich dobrze, ale przesłuchiwał ich oficer nadiryjski o imieniu Surip. Jeden z kupców jest byłym oficerem vagryjskim i on oszacował ich siły.

– Ale pół miliona? – powiedział Orrin. – Sądziłem, że ta wiadomość jest mocno przesadzona.

– Jeżeli już, to raczej pomniejszona – rzucił Bowman. – Kiedy odjeżdżali, nadal przychodziły wojska sąsiednich plemion. Powiedziałbym, że czeka was niezła bitwa.

– Nie chcę być drobiazgowy – wtrącił Hogun – ale czy nie chciałeś powiedzieć, że czeka nas niezła bitwa?

Bowman spojrzał na Drussa.

– Nie powiedziałaś im, stary? Nie? Och, cóż za wspaniałe kłopotliwy moment, niech mnie...

– Nie powiedziałaś nam o czym? – zapytał Orrin.

– Że oni są najemnikami – wyjaśnił Druss niepewnie. – Zostają tylko do upadku trzeciego muru. Tak uzgodniliśmy.

– I za tę... za tę nędzną pomoc oczekują ulaskawień! – wrzasnął Orrin, zrywając się na równe nogi. – Prędzej każę ich powiesić!

– Po trzecim murze nie będziemy już tak bardzo potrzebować łuczników – dodał spokojnie Hogun. – Tam nie ma pola rażenia.

– Potrzebujemy łuczników, Orrinie – powiedział Druss. – Bardzo ich potrzebujemy. A ten człowiek ma sześciuset najlepszych. Wiemy, że będziemy oddawać kolejne mury i będziemy potrzebować każdej strzały. Do tego czasu boczne bramy zostaną zablokowane. Mnie też nie podoba się ta sytuacja, ale konieczność... Lepiej mieć osłonę na pierwsze trzy mury, niż nie mieć żadnej. Zgodzisz się?

– A jeśli nie? – rzucił gan, wciąż wzburzony.

– Wtedy ich odeślę – odparł Druss. Hogun szykował się do gniewnego wybuchu, ale Druss uciszył go gestem ręki. – Ty tu jesteś ganem, Orrinie. Decyzja należy do ciebie.

Orrin wyprostował się, ciężko dysząc. Przed przybyciem Drussa popełnił wiele błędów; teraz to widział. Ta sytuacja głęboko go gniewała, jednak nie miał innego wyjścia; musiał poprzeć rębacza i Druss również o tym wiedział. Wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się.

– Niech zostaną – powiedział Orrin.

– Mądra decyzja – przyznał Bowman. – Jak prędko, waszym zdaniem, pojawią się Nadirowie?

– O wiele za szybko – wymamrotał Druss. – Gdzieś w ciągu następnych trzech tygodni, według naszych zwiadowców. Ulryk stracił syna, co dało nam kilka dni więcej. Jednak wciąż za mało.

Przez jakiś czas omawiano rozliczne problemy, stojące przed obrońcami. Na koniec przemówił Bowman, tym razem z wahaniem w głosie.

– Posłuchaj, Druss, jest coś, o czym chyba powinienem wspomnieć, chociaż nie chcę być uznany za... dziwaka. Zastanawiałem się, czy o tym wspominać, ale...

– Mów, chłopcze. Jesteś wśród przyjaciół... przeważnie.

– Zeszłej nocy miałem dziwny sen i ty się w nim pojawiłeś. Zapomniałbym o nim, lecz gdy zobaczyłem cię dzisiaj, przypomniał mi się. Śniłem, że obudził mnie z głębokiego snu wojownik w srebrnej zbroi. Mogłem widzieć przez niego na wskroś, jakby był duchem. Powiedział, że bez skutku próbował skontaktować się z tobą. Kiedy przemówił, słyszałem go jako głos w moim mózgu. Powiedział, że nazywa się Serbitar i że podróżuje z przyjaciółmi i kobietą imieniem Virae.

– Powiedział też, że ważne jest, abyście zgromadzili środki łatwopalne i pojemniki, gdyż Ulryk zbudował wielkie wieże obłącznicze. Sugerował również wykopanie rowów ogniowych między murami. Pokazał mi też, jak zostałeś napadnięty. Powiedział mi imię: Musar.

– Czy to ma dla was jakiś sens?

Przez chwilę nikt się nie odzywał, chociaż na twarzy Drussa widać było ogromną ulgę.

– Rzeczywiście to ma sens, chłopcze. To ma sens! Hogun nalał nowy kielich wina i podał go Bowmanowi.

– Jak wyglądał ten wojownik? – zapytał.

– Wysoki, smukły. Sądzę, że włosy miał siwe, chociaż był młody.

– To Serbitar – powiedział Hogun. – Wizja nie kłamała.

– Znasz go? – zapytał Druss.

– Tylko o nim słyszałem. Jest synem księcia Drada z Dros Segril. Mówiono, że chłopiec jest opętany i niespełna rozumu; umiał czytać ludzkie myśli. Jest albinosem, co jak wiecie –

Vagrińczycy uważają za zły omen. Wysłano go do świątyni Trzydziestu, na południe od Drenanu, kiedy miał trzynaście lat. Mówiono także, że ojciec próbował go zgładzić, gdy był

dzieckiem, ale chłopiec wyczuł jego zamiary i schował się za oknem sypialni. To, oczywiście, są jedynie opowieści.

– Cóż, wygląda na to, że jego talent rozwinął się stwierdził Druss. – Nic mnie to jednak nie obchodzi. Będzie tu przydatny, szczególnie jeśli zdoła odczytać myśli Ulryka.

ROZDZIAŁ 15

Prace trwały dziesięć dni. Pomiędzy murem pierwszym i drugim oraz trzecim i czwartym wykopano rowy ogniowe o długości dziesięciu jardów i głębokości czterech stóp. Napełniono je poszyciem i drobnym drewnem, a wzdłuż każdego z nich poustawiano kadzie, gotowe do wylewania oleju na suche drewno.

Łucznicy Bowmana powbijali białe paliki na otwartym polu między murami, a także na równinie przed fortem. Każda linia palików oznaczała sześćdziesiąt kroków i ludzie trenowali przez kilka godzin dziennie, a po każdej komendzie w powietrzu przelatowała czarna chmura strzał.

Na równinie poustawiano manekiny, które już po chwili najeżyły się niezliczoną liczbą pocisków, nawet na odległość stu dwudziestu kroków. Umiejętności łuczników ze Skultik były przytłaczające.

Hogun ćwiczył odwroty, synchronizując czynności za pomocą bębnow, a jego ludzie zeskakiwali z blanków, biegli przez przerzucone ponad rowami mostki z desek, a następnie wspinali się po linach na kolejny mur. Z każdym dniem byli coraz szybsi.

W miarę jak podnosiła się ogólna sprawność i gotowość oddziałów, więcej czasu zaczęły zajmować drobniejsze sprawy.

– Kiedy wlejemy olej? – zapytał Hogun Drussa, gdy żołnierze poszli na popołudniową przerwę.

– Między murami pierwszym i drugim musimy to zrobić w dniu pierwszego natarcia. Do tego czasu nie będziemy naprawdę wiedzieli, jak ludzie wytrzymają atak.

– Pozostaje problem – dodał Orrin – kto i kiedy podpali rowy. Na przykład, jeśli zrobią wyłom w murze to możemy mieć nadiryskich żołnierzy biegnących ramię w ramię z naszymi.

Rzucenie zapalanej pochodni nie będzie łatwą decyzją.

– I jeżeli przydzielimy komuś to zadanie – powiedział Hogun – co się stanie jeżeli on zginie na murze?

– Zorganizujemy służbę pochodniową – zaproponował Druss. – A decyzję o zmianach będzie podejmował trębacz na drugim murze. Do oceny sytuacji należy wybrać oficera z mocnymi nerwami. Kiedy zabrzmi trąbka, rów zapala się niezależnie od tego kto zostanie z tyłu.

Problemy tego typu absorbowwały Drussa coraz bardziej i bardziej, aż wirowały mu w głowie plany, pomysły, fortele i przedsięwzięcia. Kilkakrotnie podczas takich dyskusji dawał o sobie znać temperament wojownika, który walił w stół ogromnymi pięściami lub krążył po pokoju jak niedźwiedź w klatce.

– Jestem żołnierzem, a nie cholernym strategiem zwykł mówić i spotkanie odraczano na godzinę.

Środki łatwopalne przywożono wozami z sąsiadujących wsi, równie wielka liczba przesyłek nadchodziła z Drenanu, od przerażonego rządu Abalayna, a ogrom drobnych problemów –

dotyczących opóźniającej się poczty, nowych rekrutów, kłopotów osobistych i sprzeczek między grupami – groził przemęceniem tych trzech mężczyzn.

Jeden z oficerów skarżył się, że latryny przy pierwszym murze zagrażają zdrowiu, ponieważ ich głębokość nie odpowiada regulaminowi i nie posiadają odpowiedniej kloaki.

Druss wyznaczył grupę roboczą w celu ich powiększenia.

Abalayn zażądał szczegółowego raportu na temat strategii obronnej Dros, które to żądanie Druss odrzucił, ponieważ te informacje mogły przedostać się do zwolenników Nadirów. To z kolei wywołało szybką odpowiedź, zawierającą upomnienie i kategoryczne żądanie przeprosin.

Napisał je Orrin twierdząc, że zdejmie to z ich karków kłopot z politykami.

Potem Woundweaver zażądał wierzchowców legionu, uważając, że skoro mają rozkaz bronić się do ostatka, konie nie będą miały w Delnoch wielkiego zastosowania. Łaskawie zgodził się na pozostawienie dwudziestu do przekazywania informacji. To żądanie tak rozwścieczyło Hoguna, że przez kilka dni nie można było do niego podejść.

W dodatku mieszczanie zaczęli się uskarżać na chuligańskie zachowanie wojska w cywilnej części miasta. Wszystko to razem wzięwszy doprowadzało Drussa do kresu wytrzymałości, tak że głośno wyrażał życzenie, aby Nadirowie nadeszli już i do diabła ze wszystkim!

Trzy dni później jego życzenie częściowo spełniło się.

Oddział Nadirów, pod białą flagą, przygalopował z północy. Wieść rozniosła się jak pożar i zanim dotarła do Drussa do głównej sali kasztelu, panika ogarnęła miasto.

Nadirowie zsiadli z koni w cieniu wielkiej bramy i czekali. Nie rozmawiali. Z juków przy siodłach wyjęli suszone mięso oraz bukłaki z wodą, po czym usiedli razem, jedząc i czekając.

Zanim pojawił się Druss w towarzystwie Hoguna i Orrina, oni ukończyli już posiłek. Druss krzyknął z góry, z blanków.

– Jaką przynosicie wiadomość?

– Otwórzcie bramy! – odkrzyknął nadiryjski oficer, niski, krępy mężczyzna z kabłąkowatymi nogami.

– Czy ty jesteś Krocząca Śmierć? – zawołał.

– Tak.

– Jesteś stary i tłusty. To mnie cieszy.

– Dobrze! Zapamiętaj to kiedy spotkamy się następnym razem, krzykaczu, ponieważ przyjrzałem się tobie i mój topór zna twoje imię. A teraz, jaką masz wiadomość?

– Lord Ulryk, Książę Północy, każe ci przekazać, że jedzie do Drenanu, aby omówić przymierze z Abalaynem, Panem Drenajów. Oznajmia, że spodziewa się zastać bramy Dros Delnoch otwarte; jeśli tak będzie, to gwarantuje, że nie stanie się krzywda żadnemu mężczyźnie, kobiecie ani dziecku, żołnierzowi czy cywilowi, w obrębie miasta. Jest życzeniem lorda Ulryka, aby Drenajowie i Nadirowie stali się jednym narodem. Ofiarowuje dar przyjaźni.

– Powiedz lordowi Ulrykowi – odparł Druss – że w każdej chwili może swobodnie jechać do Drenanu. Dodamy mu nawet eskortę złożoną ze stu ludzi, jak przystoi księciu północy.

– Lord Ulryk nie dopuszcza żadnych warunków – powiedział oficer.

– Takie są moje warunki – i nie zmieniają się – rzekł Druss.

– Przyjmij więc drugą wiadomość. Jeśli twierdza będzie stawiać opór i bramy pozostaną zamknięte, lord Ulryk życzy sobie, aby oznajmić, iż co drugi wzięty żywym obrońca zostanie ścięty, wszystkie kobiety oddane w niewolę, a co trzeci mieszczanin utraci prawą rękę.

– Przedtem, chłopcze, ten lord Ulryk musi zdobyć Dros. Przekaż mu tę wiadomość od Drussa Kroczącej Śmierci: na północy góry mogą drzeć, gdy on puszcza wiatry, ale tutaj jest ziemia Drenajów i dla mnie on jest tylko brzuchatym dzikusiem, który bez drenajskiej mapy nie trafiłby palcem do dziurki własnego nosa.

– Czy sądzisz, że będziesz w stanie to zapamiętać, chłopcze. Czy mam to wypisać wielkimi literami

na twoim siedzeniu?

– Chociaż twoja mowa była naprawdę błyskotliwa, Druss – powiedział Orrin – muszę przyznać, że żołądek podchodził mi do gardła, kiedy ją wygłaszałeś. Ulryk będzie wściekły.

– Żeby tylko był – odrzekł Druss ze złością, gdy oddział Nadirów pogalopował z powrotem na pomoc. Gdyby tak rzeczywiście było, okazałby się jedynie brzuchatym dzikusiem. O nie! On się będzie śmiał... długo i głośno.

– Dlaczego? – zapytał Hogun.

– Ponieważ nie ma wyboru. Obrażono go i może stracić twarz. Jeżeli będzie się śmiał, jego ludzie będą śmiać się wraz z nim.

– Uczynił ładną propozycję – przyznał Orrin, kiedy w trójkę wracali do stołu. – Wieści się rozejdą. Rozmowy z Abalaynem... Jedno imperium dla Drenajów i Nadirów... Sprytnie!

– Sprytnie i prawdziwie – rzekł Hogun. – Z jego dotychczasowych poczynań wiemy, że o to mu naprawdę chodzi. Jeśli się poddamy, pomaszeruje dalej nie robiąc nikomu krzywdy. Pogróżki można przyjąć i znieść; darowanie życia to koń innej maści. Zastanawiam się, ile czasu upłynie nim mieszczanie zażądadają kolejnej audiencji.

– Przed zmierzchem – przepowiedział Druss.

A na murach Gilad i Bregan patrzyli jak kurz nadiryjskich koni niknie w oddali.

– Co on miał na myśli, mówiąc o podróży do Drenanu w celu pertraktacji z Abalaynem?

– Chciał, żebyśmy przepuścili jego wojska.

– Och. Nie wyglądali strasznie dziko, prawda? To znaczy, wydawali się całkiem zwyczajni, naprawdę, oprócz tego, że nosili futra.

– Tak, są zwyczajni – odparł Gilad, zdejmując hełm i przeczesując włosy palcami, aby chłodny wiatr osuszył mu głowę. – Bardzo zwyczajni. Z wyjątkiem tego, że żyją wojną. Walka jest dla nich tak naturalną rzeczą, jak dla ciebie uprawianie ziemi. Czy dla mnie – dodał po namyśle, wiedząc, że to nieprawda.

– Ciekawe dlaczego – zastanowił się Bregan. – Nigdy nie widziałem w tym żadnego sensu.

No wiesz, rozumiem dlaczego niektórzy mężczyźni zostają żołnierzami: żeby bronić narodu i tak dalej. Ale żeby cały naród żył jak żołnierze, to wydaje się być... niezdrowe. Czy mam rację?

Gilad roześmiał się.

– Tak, masz rację. Jednak północne stopy to ubogie ziemie. Głównie hodują na nich kozy i kucyki. Wszystkie luksusy, których pragną, muszą ukraść. W języku Nadirów, jak powiedział

mi Dun Pinar na bankiecie, słowo oznaczające „obcy” brzmi tak samo jak słowo „wróg”. Każdy, kto nie należy do plemienia, istnieje po to, aby go zabić i ograbić. To sposób życia. Mniejsze plemiona zawsze były zmiotane z powierzchni ziemi przez większe. Ulryk zmienił to; poprzez przyłączenie podbitych plemion do swojego stale zwiększał swoją siłę. Obecnie kontroluje wszystkie północne i część wschodnich królestw. Dwa lata temu podbił Maneę, królestwo morskie.

– Słyszałem o tym – powiedział Bregan. – Jednak sądziłem, że wycofał się po zawarciu układu z królem.

– Dun Pinar mówi, że ten król zgodził się być jego wasalem i oddał mu swego syna jako zakładnika. W ten sposób Ulryk podbił cały kraj.

– Musi być bardzo mądrym człowiekiem – przyznał Bregan. – Co jednak robi, gdy kiedyś podbije cały świat? To znaczy, co mu to da? Ja chciałbym mieć większą farmę i wielopiętrowy dom. To mogę zrozumieć. A co zrobiłbym z dziesięcioma gospodarstwami? Lub stoma?

– Byłbyś bogaty i potężny. Wtedy mógłbyś mówić swoim dzierżawcom, co robić, a oni kłanialiby się, kiedy ty przejeżdżałbyś drogą w pięknym powozie.

– To do mnie nie przemawia, nic a nic – odrzekł Bregan.

– Do mnie tak – powiedział Gilad. – Zawsze nienawidziłem czapkowania jakiemuś szlachcicowi, przejeżdżającemu na wysokim koniu. Sposób, w jaki na ciebie patrzyli, gardzili tobą tylko dlatego, że jesteś małorolny; płacili więcej za parę ręcznie robionych butów niż ja zarabiałem przez rok niewolniczej pracy. Nie, nie przeszkadzałoby mi, gdybym był bogaty, tak bardzo bogaty, że już nikt nigdy nie spojrzałby na mnie z pogardą.

Gilad odwrócił twarz na północ, a jego gniew był niepohamowany, prawie namacalny.

– Czy wtedy ty patrzyłbyś na ludzi z pogardą, Gil? Czy gardziłbyś mną, bo chciałem pozostać chłopem?

– Oczywiście, że nie. Człowiek powinien być wolny i robić to, co chce, tak długo, dopóki nie krzywdzi innych.

– Może dlatego Ulryk chce rządzić wszystkim. Może ma dosyć tego, że wszyscy pogardzają Nadirami.

Gilad odwrócił się do Bregana, a jego gniew zniknął.

– Czy wiesz, Breg, że właśnie to samo powiedział Pinar, kiedy spytałem go, czy nienawidzi Ulryka za to, że chce zniszczyć Drenajów. Powiedział: „Ulryk nie próbuje zniszczyć Drenajów, lecz wywindować Nadirów”. Myślę, że Pinar podziwia go.

– Człowiekiem, którego ja podziwiam jest Orrin odrzekł Bregan. – Wyjście na plac, żeby ćwiczyć z nami, tak jak on to zrobił, wymagało wielkiej odwagi. Szczególnie jeśli to ktoś, kto był

tak nielubiany, jak on. Cieszyłem się, kiedy ponownie wygrał turniej.

Tylko dlatego, że dzięki niemu dostałeś pięć sztuk srebra – zauważył Gilad.

– To nie w porządku, Gil! Poparłem go, bo należy do Karnak; postawiłem także na ciebie.

– Na mnie postawiłeś miedzianą ćwiartkę, a na niego srebrną połówkę, jak wyjawiał mi Drebus, który przyjął zakład.

Uśmiechając się, Bregan postukał się po nosie.

– Och, nie płaci się tyle samo za kozła, co za konia. Jednak liczą się intencje. Poza tym, wiedziałem, że nie możesz wygrać.

– Cholernie blisko miałem tego Bar Britana. Ostatecznie zdecydowali sędziowie.

– To prawda – przyznał Bregan. – Jednak nigdy nie pokonałbyś Pinara, ani tego legionisty z kolczykiem w uchu. A już na pewno nigdy nie pokonałbyś Orrina. Widziałem jak obaj fechtowaliście.

– Jakiż wnikliwy osąd! – odparł Gilad. – Troszeczkę mnie dziwi, że sam nie wzięłeś udziału, tak wielka jest twoja znajomość rzeczy.

– Nie muszę umieć latać, żeby wiedzieć, że niebo jest niebieskie – podsumował Bregan. – Na kogo ty stawiałeś?

– Na Gan Hoguna.

– Na kogo jeszcze? Drebus powiedział, że postawiłeś dwukrotnie – rzucił Bregan niewinnie.

– Dobrze wiesz. Drebus na pewno cię poinformował.

– Nie pomyślałem, żeby zapytać.

– Kłamca! No cóż, nie dbam o to. Postawiłem na siebie, że dojdę do ostatnich pięćdziesięciu.

– I byłeś tak blisko – odrzekł Bregan. – Tylko o jeden cios.

– Jeden szczęśliwy cios i mogłem wygrać miesięczną gażę.

– Takie jest życie – odrzekł Bregan. – Może za rok wrócisz i spróbujesz jeszcze raz.

– A może kukurydza wyrośnie na wielbłądzim grzbiecie! – podsumował Gilad.

Tymczasem w kasztelu, Druss starał się trzymać nerwy na wodzy, słuchając jak starsi miasta wciąż od nowa omawiali ofertę Nadirów. Pogłoska dotarła do nich z zadziwiającą prędkością i zaledwie zdążył przełknąć kawałek chleba z serem, gdy posłaniec od Orrina poinformował go, że rada starszych zwołuje spotkanie.

Według uświęconego tradycją prawa Drenajów, rada miała – w czasie pokoju –

demokratyczne prawo zażądać widzenia się z władcą miasta w celu omówienia ważnych spraw.

Ani Orrin ani Druss nie mogli odmówić. Nikt nie mógł twierdzić, że ultimatum Ulryka nie było ważne.

Rada składała się z sześciu mężów, była instytucją powoływaną w wyborach, sprawnie zarządzającą całym handlem w mieście. Burmistrzem i przewodniczącym rady był Bricklyn, który tak po królewsku podejmował Drussa w noc zamachu. Malphar, Backda, Shinell i Alphus byli kupcami, a Beric szlachcicem i dalekim kuzynem Delnara, wysoko postawionym w hierarchii miasta. Jedyne braki pieniędzy trzymał go w Delnoch i z dala od Drenanu, który kochał.

Shinell, gruby i usłużny kupiec jedwabny był głównym obiektem gniewu Drussa. – Przecież mamy prawo przedyskutować warunki Ulryka i powinniśmy zdecydować, czy mają być przyjęte czy odrzucone – powtórzył. – Leży to, ostatecznie, w najwyższym interesie miasta i na mocy prawa nasz głos musi się liczyć.

– Wiesz doskonale, mój drogi Shinellu – powiedział Orrin gładko – że starsi miasta mają pełne prawo dyskutować o wszystkich cywilnych sprawach miasta. Ta sytuacja raczej nie należy do spraw takiej kategorii. Niemniej jednak, wasz punkt widzenia zostaje wzięty pod uwagę.

Malphar, handlarz winem z Lentrii, z czerwoną twarzą, przerwał Shinellowi, gdy ten chciał

zaprotestować. – Do niczego nie dojdziemy, dyskutując o prawach i precedensach. Faktem jest, że w rzeczywistości jesteśmy w stanie wojny. Czy jest to wojna, którą możemy wygrać? – jego zielone oczy przebiegły po twarzach dookoła, a Druss postukał palcami w blat stołu, co było jedynym zewnętrznym znakiem jego napięcia. – Czy jest to wojna, którą możemy prowadzić wystarczająco długo, żeby wymusić honorowy pokój? Nie sądzę – ciągnął Malphar. – To wszystko nonsens. Abalayn zredukował armię, aż jej liczebność zmniejszyła się dziesięciokrotnie w porównaniu ze stanem sprzed kilku lat. Flotę zmniejszono o połowę. Dros oblegano po raz ostatni dwieście lat temu i wtedy nieomal padła. Tymczasem nasze kroniki podają, że mieliśmy wówczas czterdziestotysięczną załogę.

– Dalej człowieku! Przejdź do rzeczy – ponaglał Druss.

– Dobrze, tylko oszczędź mi swoich groźnych spojrzeń, Druss. Nie jestem tchórzem. Chcę powiedzieć, że jeśli nie możemy się utrzymać i nie możemy zwyciężyć, to jaki sens ma obrona?

Orrin spojrzał na Drussa, a stary wojownik pochylił się do przodu.

– Chodzi o to – powiedział – że nie dowiesz się, czy przegrasz – dopóki nie przegrasz.

Wszystko może się zdarzyć; Ulryk może dostać zawału; plaga może przetrzebić armię Nadirów.

Musimy spróbować się utrzymać.

– A co z kobietami i dziećmi? – zapytał Backda, prawnik i właściciel ziemski, z suchą twarzą.

– Co z nimi? Mogą w każdej chwili opuścić miasto.

– Dokąd i z czym?

– O, bogowie! – zagrzemiał Druss, zrywając się na nogi. – Ciekawe, czego zażądacie jeszcze?

Dokąd pójdą – jeśli pójdą – jak pójdą – ależ to sprawa ich i wasza. Jestem żołnierzem i moim zadaniem jest walczyć i zabijać. I wierzę mi, robię to bardzo dobrze. Mamy rozkaz walczyć do ostatka i tak zrobimy.

– A teraz, mogę się nie znać za bardzo na prawie i wszystkich tych drobnych przyjemnościach miejskiej polityki, ale wiem jedno: ktokolwiek będzie rozmawiał o poddaniu w czasie nadchodzącego oblężenia jest zdrajcą.

– I każę go powiesić.

– Dobrze powiedziane, Druss – stwierdził Beric, wysoki mężczyzna w średnim wieku z długimi do ramion, siwymi włosami. – Sam nie powiedziałbym tego lepiej. Bardzo wzruszające. – Uśmiechnął się, gdy Druss z powrotem opadł na krzesło. – Jest tu jednak jeden punkt. Mówisz, że macie rozkaz walczyć do ostatka. Rozkaz taki zawsze może zostać zmieniony; polityka, cokolwiek by o niej mówić, opiera się na celowości. W chwili obecnej korzystne jest dla Abalayna, aby przygotowywać się do wojny. Być może czuje, że daje mu to większą siłę przetargową w stosunku do Ulryka. Ostatecznie jednak musi rozważyć poddanie. Fakty są faktami: plemiona podbiły każdy naród, który zaatakowały, a Ulryk to nieprzeciętny dowódca.

– Proponuję napisać do Abalayna z prośbą, aby przemyślał tę wojnę jeszcze raz.

Orrin rzucił Drussowi ostrzegawcze spojrzenie.

– Bardzo dobrze podane, Beric. Oczywiście Druss i ja jako lojalni żołnierze musimy głosować przeciwko; jednakże, nic nie stoi na przeszkodzie, abyście napisali, a ja dopilnuję, żeby przesyłka poszła pierwszą pocztą.

– Dziękujemy Orrinie. To bardzo uprzejmie z twojej strony – odparł Beric. – Czy teraz możemy przystąpić do tematu wyburzonych domów?

Ulryk siedział przed kotłem, nagi tors okryty miał płaszczem z kozłej skóry. Przed nim przykucnął chudy jak szkielet szaman, Nosta Khan.

– O czym myślisz? – zapytał go Ulryk.

– Jak powiedziałem, nie mogę już dłużej unosić się nad fortecą. Moja moc napotyka barierę.

Wczorajszej nocy, kiedy krążyłem nad Kroczącą Śmiercią, poczułem moc potężną niż wichura.

Wypchnęła mnie poza zewnętrzne mury.

– I nic nie zobaczyłeś?

– Nie. Jednak przeczułem... czułem...

– Mów!

– To trudne. Myślę wyczułem morze i smukły okręt. Tylko przez moment. Był tam też siwowłosy mistyk. Długo się nad tym zastanawiałem. Myślę, że Krocząca Śmierć wezwał na pomoc białą świątynię.

– Czy ich moc jest większa od twojej? – spytał Ulryk.

– Tylko inna! – zjeżył się szaman.

– Jeżeli nadpływają morzem, to będą podążać w stronę Dros Purdol – powiedział Ulryk, utkwivszy wzrok w migoczących węglach. – Odszukaj ich.

Szaman zamknął oczy, zwolnił okowy ducha i popłynął ponad ciałem. Bezcielesny, szybował wysoko nad równiną, wzgórzami i rzekami, górami i strumieniami, okrążając pasmo gór Delnoch, aż wreszcie rozpostarło się pod nim morze, połyskujące w blasku gwiazd. Długo błędził nim namierzył „Wastreła” i dostrzegł nikły błysk jego rufowej latarni.

Zwinnie opadł z wysoka i zawisł nad masztem. Przy lewej burcie stali mężczyzna i kobieta.

Delikatnie zbadał ich mózgi, a potem poszybował na dół poprzez drewniany pokład, poza ładownię i do kabin. Tu jednak napotkał opór. Lekko jak szmer morza dotknął krawędzi niewidzialnej bariery. Pod jego dotykiem stwardniała, więc on odskoczył. Popłynął na pokład, zatrzymał się na marynarzu u steru, uśmiechnął się i popędził z powrotem do czekającego wodza Nadirów.

Ciało Nosta Khana zadrżało, a jego oczy otworzyły się.

– No i co? – zapytał Ulryk.

– Znalazłem ich.

– Czy możesz ich zniszczyć?

– Myślę, że tak. Muszę wezwać moich pomocników. Na „Wastrelu” Vintar wstał z łóżka ze zmartwieniem w oczach i niepokojem w myślach. Przeciągnął się.

– Odczułeś to także – nadał impuls Serbitar, zwinnie zdejmując długie nogi z sąsiedniego łóżka.

– Tak. Musimy być ostrożni.

– Nie próbował przełamać osłony – odparł Serbitar. – Czy to oznaka słabości, czy też pewności

siebie?

– Nie wiem – odpowiedział opat.

Nad nimi, przy sterze, drugi mat potarł zmęczone oczy, zablokował ster pętlą liny i spojrzał na gwiazdy. Zawsze urzekały go te odległe, migocące świece. Dzisiejszej nocy świeciły jaśniej niż zwykle, jak klejnoty naszyte na aksamitnym płaszczu. Kiedyś, jakiś duchowny powiedział mu, że to dziury we wszechświecie, przez które bogowie jasnymi oczami spoglądają w dół, na ludzi. Była to tylko bajeczka, ale słuchał jej z przyjemnością.

Nagle zadrżał. Odwracając się, podniósł z relingu na rufie swój płaszcz i zarzucił go na ramiona. Roztarł ręce.

Szybując za jego plecami duch Nosta Khana podniósł ręce, skupiając swą moc w długich palcach. Wyrosły z nich szpony, lśniące jak stal, ostre i ząbkowane. Zadowolony zbliżył się do marynarza i wbił je w jego głowę.

Rozdzierający ból przeszył mózg ofiary; marynarz zatoczył się i upadł, krew popłynęła z jego ust i uszu, pociekła z oczu. Umarł, nie wydając żadnego głosu. Nosta Khan zwolnił uścisk.

Skupiając moc swych akolitów, nakazał ciału powstać, szepcząc do niego plugawe słowa w języku dawno zapomnianym przez normalnych ludzi. Ciemność spowiła trupa, przyjmując kształt czarnego dymu, który wszedł przez krwawe usta. Ciało drgnęło.

I powstało.

Nie mogąc zasnąć, Virae ubrała się cicho, wyszła na pokład i powędrowała do relingu na rufie. Noc była chłodna, wiał łagodny, uspokajający wiatr. Spojrzała ponad falami w kierunku odległej linii lądu, którego ciemny kształt odcinał się na tle nieba rozjaśnionego światłem księżyca.

Ten widok zawsze ją uspokajał, takie połączenie lądu i morza. Jako dziecko, w szkole w Dros Purdol, uwielbiała żeglowanie, szczególnie nocą, kiedy masywy lądu wydawały się unosić na powierzchni jak śpiące potwory głębin, ciemne, tajemnicze i cudownie wyzywające.

Nagle zmrużyła oczy. Czyżby ląd poruszał się? Na lewo od niej góry wydawały się cofać, podczas gdy na prawo linia brzegu zdawała się przybliżać. Nie, nie zdawała się. Przybliżała się.

Virae spojrzała na gwiazdy. Statek skręcił na północny zachód, a przecież od Dros Purdol dzieliły ich jeszcze dni drogi.

Zaciekawiona, podeszła na rufę, do drugiego mata, który stał z rękami na sterze.

– Dokąd zmierzamy? – zapytała go, pokonując cztery stopnie dzielące ją od steru i opierając się na rei.

Odwrócił do niej głowę. Puste, czerwone jak krew źrenice spojrzwały niewidzącym spojrzeniem, a ręce puściły ster i wyciągnęły się w kierunku dziewczyny.

Strach przeszył ją jak kopia, ale natychmiast zastąpił go gniew. Nie była jakąś głupią chłopką, którą można w ten sposób przerazić; była Virae i w jej żyłach płynęła krew wojowników.

Opuściwszy ramię, uderzyła prawą pięścią w jego szczękę. Głowa odskoczyła, ale napastnik nadal sunął naprzód. Uskoczywszy przed, chwytającymi na oślep rękami, złapała go za włosy i trzasnęła głową w twarz. Przyjął cios bez jęku, a jego ręce ujęły ją za gardło. Wyrwała się rozpaczliwym szarpnięciem nim zdążył je zacisnąć, po czym odepchnęła go płynnym pchnięciem biodra, tak że runął jak długi na pokład. Virae zatoczyła się. On podniósł się powoli i znowu wyciągnął ręce.

Podbiegła do przodu, skoczyła w powietrze, zrobiła obrót i grzmotnęła go obiema stopami w twarz. Ponownie upadł.

I wstał.

Przerażona, rozejrzała się za jakąś bronią, ale nic nie znalazła w pobliżu. Zwinnie przeskoczyła reję koła i wylądowała na pokładzie. Podążył za nią.

– Odsuń się od niego! – wrzasnął Serbitar, przybiegając z wyciągniętym mieczem. Virae podskoczyła do niego.

– Daj mi go! – powiedziała, wrywając miecz z jego dłoni. Gdy poczuła w dłoni hebanową rękojeść, odzyskała pewność siebie. – Teraz uważaj, ty czarci synu! – krzyknęła i natarła na marynarza.

Nie próbował uchylić się; miecz błysnął w powietrzu, przecinając szyję. Uderzyła jeszcze dwukrotnie i szeroko uśmiechnięta głowa potoczyła się. Jednak trup nie upadł.

Z rozciętej szyi trysnął oleisty dym i utworzył drugą głowę, niekształtną i niewyraźną. Wśród ciemnej mgły migotały ślepie, czerwone jak rozżarzone węgle.

– Cofnij się! – ostrzegł ją Serbitar. – Zostaw go! Tym razem posłuchała i wycofała się w stronę albinosa.

– Daj mi miecz.

Przylączyli się do nich Vintar i Rek.

– A cóż to za stwór nie z tej ziemi? – szepnął Rek.

– Właśnie – nie z tej ziemi – odpowiedział Vintar. Potwór stał wciąż z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Statek płynie wprost na skały – powiedziała Virae, a Serbitar przytaknął.

– Trzyma nas z dala od steru. Co myślisz, Ojczy Opacie?

– Czar umiejscowiono w głowie i ją należy wyrzucić za burtę. Bestia pójdzie za nią – odparł

Vintar. – Nacieraj.

Serbitar wysunął się do przodu wspierany przez Ręka. Trup pochylił się, w prawej ręce trzymając za włosy odciętą głowę. Przyciskając ją do piersi, czekał na atak.

Rek dopadł i ciął w rękę. Trup zatoczył się. Serbitar doskoczył i przeciął mu ścięgna pod kolaniem. Gdy stwór przewrócił się, Rek oburącz uderzył mieczem w jego ramię. Ręka odpadła, palce zwolniły chwyt i głowa znów leżała na pokładzie. Odrzuciwszy miecz, Rek skoczył za nią.

Tłumiąc obrzydzenie, podniósł ją za włosy i cisnął za burtę. Gdy tylko zderzyła się z wodą, ciało na pokładzie zadrżało. Jakby porwany przez silny wiatr, dym wypłynął z szyi, przesunął pod relingiem, a potem zniknął w czarnych głębinach.

Z cienia przy maszcie wyszedł kapitan.

– Co to było? – zapytał.

Vintar podszedł do niego i łagodnie położył rękę na ramieniu mężczyzny.

– Mamy wielu wrogów – powiedział. – Posiadają wielkie moce. Jednak nie lękaj się. My nie jesteśmy bezsilni i już żadna krzywda nie spotka tego statku. Obiecuję.

– A jego dusza? – zapytał kapitan, podchodząc do relingu. – Czy zabrali mu ją?

– Jest wolna – rzekł Vintar. – Wierz mi.

– Zaraz wszyscy będziemy wolni – zauważył Rek jeżeli ktoś nie zmieni kursu, statek wpadnie na skały.

Akolici w milczeniu wycofali się z zaciemnionego namiotu Nosta Khana, zostawiając go samego, siedzącego pośrodku kręgu, zakreślonego kredą na brudnej podłodze. Zamyślony, Nosta Khan nie zauważył tego. Był wyczerpany i zły.

Ponieważ tamci pokonali go, a on nie przywykł do porażek. Ta miała gorzki smak.

Uśmiechnął się.

Jeszcze zobaczymy...

ROZDZIAŁ 16

Gnany sprzyjającym wiatrem „Wastrel” pędził na północ, aż w końcu na horyzoncie pojawiły się srebrnoszare wieże Dros Purdol. Statek wszedł do portu tuż przed południem, manewrując między drenajskimi wojennymi trójrzędowcami oraz statkami handlowymi zakotwiczonymi w zatoce.

Na gwarnych portowych uliczkach handlarze sprzedawali marynarzom maskotki, ozdoby, broń i koce, podczas gdy krępi dokerzy wnosili zapasy po chybotliwych pomostach, układali ładunki w stosy i sprawdzali obciążenie. Panował hałas i pozorne zamieszanie.

Nabrzeże mieniło się barwami i wrzało rozgorączkowanym życiem miasta. Rek poczuł

ukłucie żalu, opuszczając statek. Kiedy Serbitar wyprowadzał Trzydziestu na brzeg, Rek i Virae żegnali się z kapitanem.

– Z jednym wyjątkiem była to bardzo przyjemna podróż – powiedziała do niego Virae. –

Dziękujemy za uprzejmość.

– Miło, że mogłem się przysłużyć, pani. Ślubne dokumenty prześlę do Drenanu po powrocie.

To był mój pierwszy raz. Jeszcze nigdy nie uczestniczyłem w ślubie księżęcej córki, a tym bardziej nie udzielałem takiego. Najlepsze życzenia.

Skłoniwszy się, ucałował jej dłoń.

Chciał dodać: „Życie długo i szczęśliwie”, ale znał cel ich podróży.

Virae schodziła już po pomoście, kiedy Rek uściśnął dłoń kapitana. Zdziwił się, gdy ten przygarnął go mocno.

– Niech twe ramię będzie mocne, dusza szczęśliwa, a koń szybki, gdy nadejdzie czas – dodał.

Rek roześmiał się.

– Pierwszych dwóch będę potrzebował. Jeśli zaś chodzi o konia, to czy wierzysz, że ta dama zgodzi się na ucieczkę?

– Nie, to cudowna dziewczyna. Niech wam się szczęści.

– Będę się bardzo starał – odrzekł Rek.

Na nabrzeżu młody oficer w czerwonym kepi przepychał się przez tłum na spotkanie Serbitara.

– Co was sprowadza do Dros Purdol? – zapytał.

– Jedziemy do Delnoch, jak tylko uda się nam zdobyć konie – odpowiedział albinos.

– Forteca niebawem będzie oblegana, sir. Czy jesteście świadomi nadchodzącej wojny?

– Jesteśmy. Jedziemy z panią Virae, córką księcia Delnara i jej mężem, Regnakiem.

Ujrzawszy Virae, oficer pokłonił się.

- Co za radość, pani. Spotkaliśmy się na obchodach twoich osiemnastych urodzin w zeszłym roku. Zapewne mnie nie pamiętasz.
- Wprost przeciwnie, Dun Degasie! Tańczyliśmy, a ja nadepnęłam ci na stopę. Byłeś bardzo uprzejmy, biorąc winę na siebie.

Degas uśmiechnął się i ponownie skłonił głowę. Jak ona się zmieniała, pomyślał. Gdzie się podziała ta niezdarzna dziewczyna, która zwykła przydeptywać rąbek swojej sukni? Która zaczerwieniła się jak wino, gdy w czasie ożywionej rozmowy stłukła kryształowy kielich i oblała trunkiem sąsiadkę z prawej. Co się zmieniło? Była tą samą dziewczyną-kobietą, którą zapamiętał

– mysi blond włosów, zbyt szerokie usta, chmurnoczarne brwi nad głęboko osadzonymi oczyma.

Dostrzegł jej uśmiech, gdy Rek wysunął się do przodu; otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

Została pokochana.

– O czym myślisz, Degasie? – zapytała. – Wyglądasz jakbyś był bardzo daleko.

– Przepraszam, pani. Myślałem, że księżę Pindak byłby szczęśliwy, mogąc cię gościć.

– Będziesz musiał przekazać mu moje przeprosiny odparła Virae – ponieważ musimy wyjechać najszybciej jak to możliwe. Gdzie możemy nabyć wierzchowce?

– Jestem pewien, że znajdziemy dla was dobre konie – powiedział Degas. – Szkoda, że nie przybyliście wcześniej, ponieważ cztery dni temu posłaliśmy do Delnoch trzystu ludzi dla wsparcia obrony. Pojechalibyście z nimi; byłoby bezpieczniej. Od czasu groźby Nadirów Sathuli rozzuchwalili się.

– Dotrzemy tam – rzucił wysoki mężczyzna u boku Virae. Degas zmierzył go wzrokiem.

Żołnierz, pomyślał, albo był nim kiedyś. Ma dobrą postawę. Dun skierował towarzystwo do dużej gospody, obiecując dostarczyć konie w ciągu dwóch godzin.

Dotrzymał słowa i powrócił, wiodąc oddział kawalerii drenajskiej na trzydziestu dwóch wierzchowcach. Nie były to rumaki równe pochodzeniem mustangom pozostawionym w Lentrii, które hodowano z przeznaczeniem do służby w górach, ale wyglądały na krzepkie zwierzęta.

Kiedy przydzielono konie i zapakowano zapasy, Degas podszedł do Ręka.

– Nie musicie płacić za te wierzchowce, byłbym jednak wdzięczny, gdybyście przekazali je księciu. Przysłano je wczoraj morzem z Drenanu i minęły się z naszym wojskiem. Ten rumak z czerwonym znamieniem to dar od Abalayna.

– Księżę otrzyma je – powiedział Rek. – Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co. Powodzenia! – oficer poszedł pożegnać się z Virae. Wcisnąwszy listy do torby przy siodle dereszowatej klaczy, Rek dosiadł konia i poprowadził oddział na zachód od Purdol, wzdłuż łańcucha gór Delnoch. Gdy wjechali w pierwszy gęsty las za miastem, Serbitar przycwałował do Ręka.

– Wyglądasz na zmartwionego – zauważył Rek.

– Tak, martwię się. Na drodze napotkamy banitów, renegatów, może dezertarów i na pewno plemię Sathuli.

– Jednak nie to cię martwi.

– Jesteś spostrzegawczy – odparł Serbitar.

– To prawda. No cóż, widziałem chodzącego trupa.

– Istotnie – rzekł Serbitar.

– Wystarczająco długo unikałeś rozmowy o tej nocy – zaczął Rek. – Teraz powiedz prawdę.

Czy wiesz, co to było?

– Vintar uważa, że był to demon nasłany przez Nosta Khana. Jest to wódz szamanów plemienia Wolfsheadów, a tym samym naczelny szaman Nadirów. Jest stary i mówią, że służył

jeszcze pradziadowi Ulryka. To człowiek przesiąknięty złem.

– Czy jego moc jest większa od waszej?

– Pojedynczo, tak. Zbiorowo? Nie sądzę. Obecnie próbujemy powstrzymać go od wejścia do Delnoch, ale on z kolei rzucił zasłonę na fortecę i my nie możemy tam wejść.

– Czy znowu nas zaatakuje? – zapytał Rek.

– Z pewnością. Pytanie tylko, jakiej metody użyje.

– Myślę, że pozostawię wam ten problem – przyznał Rek. – Mam dość zmartwień jak na jeden dzień.

Serbitar nie odpowiedział. Rek ściągnął konia i poczekał na Virae.

Tej nocy obozowali przy górskim strumieniu, lecz nie palili ognisk. Wczesnym wieczorem Vintar recytował poezję głosem cichym i melodyjnym, a jego słowa budziły wspomnienia.

– To jego własne utwory – Serbitar szepnął Virae – choć nie przyzna się do tego. Nie wiem dlaczego. Jest wspaniałym poetą.

– Tylko że są takie smutne – odparła.

– Każde piękno jest smutne – odrzekł albinos. – Ponieważ przemija.

Opuścił ją i skierował się pod pobliską wierzbę, usiadł plecami wsparty o drzewo, jak srebrny duch w blasku księżyca.

Do Ręka i Virae przysiadł się Arbedark, częstując ich miodowymi ciastkami, które zakupił

w porcie. Rek spojrział na samotną sylwetkę albinosa.

– Odbywa podróż – wyjaśnił Arbedark. – Samotnie.

Kiedy ptaki rozpoczęły swe poranne trele, Rek jęknął i odsunął swe obolałe ciało od twardych korzeni drzewa, które odcisnęły wgłębienia w jego boku. Otworzył oczy. Większość Trzydziestu spała jeszcze, chociaż wysoki Antaheim stał na warcie przy strumieniu. Pod wierzbą Serbitar pozostawał w tym samym miejscu, które zajął podczas recytacji.

Rek usiadł i przeciągnął się, czując suchość w ustach. Odrzucił koc, poszedł do koni, zdjął juki, opłukał usta wodą z manierki i udał się nad strumień. Wyjąwszy kawałek mydła, ściągnął koszulę i ukląkł nad wartko płynącą wodą.

– Nie rób tego, proszę – powiedział Antaheim.

– Proszę?

Wysoki wojownik podszedł do niego i kucnął obok.

– Bańki mydlane popłyną w dół strumienia. Nierozsądnie byłoby w ten sposób obwieścić o naszym położeniu.

Rek przeklął swoją głupotę i szybko przeprosił.

– Nie trzeba. To ja przepraszam, że przeszkodziłem. Czy widzisz tę roślinę, tam przy tej zarośniętej skale? Rek obrócił się i przytaknął. – To mięta cytrynowa. Opłucz ją w wodzie, a potem rozetrzyj liście i oczyść nimi ciało. Odświeży cię i nada twemu ciału... przyjemniejszy zapach.

– Dziękuję. Czy Serbitar wciąż podróżuje?

– Nie powinien. Poszukam go. – Antaheim zamknął oczy na kilka sekund. Gdy je otworzył, Rek ujrzał w nich panikę i wojownik pobiegł pędem do obozu. W tym momencie cała Trzydziestka zerwała się z posłań i popędziła do siedzącego pod wierzbą Serbitara.

Rek upuścił koszulę oraz mydło i dołączył do pozostałych. Nad nieruchomą postacią albinosa pochylał się Vintar; oczy miał zamknięte, a rękami dotykał smukłej twarzy młodego wodza.

Pozostawał tak przez długie chwile. Na jego czoło wystąpił pot, zaczął się słaniać. Gdy podniósł

dłoń, natychmiast dołączył do niego Menahem, unosząc głowę Serbitara. Smagły wojownik podniósł prawą powiekę albinosa: tęczęwka była czerwona jak krew.

Virae opadła na kolana obok Ręka. – Normalnie ma zielone oczy – powiedziała. – Co się dzieje?

– Nie wiem – odrzekł Rek.

Antaheim wstał i pobiegł do lasu, wracając po kilku minutach z czymś, co wyglądało jak naręcze winorośli, które wysypał na ziemię. Zgarnawszy suche patyki, rozniecił niewielkie ognisko; potem ustawił na nim trójnog z gałęzi, zawiesił kocioł nad płomieniem, napełnił go wodą i rozgniatając w dłoniach liście, wrzucał je do kotła. Wkrótce woda zaczęła bulgotać, a powietrze napełnił słodki aromat. Antaheim zdjął garnek z ognia, dolał zimnej wody ze swojej manierki i przelał zielony płyn do glinianego, powleczonego skórą kubka, który podał

Menahemowi. Wolno otworzyli usta Serbitara i, podczas gdy Vintar zamykał mu nozdrza, włąli w niego płyn. Serbitar zakrztusił się i przełknął, a Vintar puścił nozdrza. Menahem położył jego głowę z powrotem na trawie, a Antaheim szybko zdusił ogień. Prawie nie było dymu.

– Co się dzieje? – zapytał Rek, gdy podszedł do niego Vintar.

– Porozmawiamy później – odparł Vintar. – Teraz muszę odpocząć. – Słaniając się, dotarł do swego posłania i położył się, zapadając natychmiast w głęboki sen bez snów.

– Czuję się jak jednonogi na wyścigach – przyznał Rek.

Przyszedł do nich Menahem, z twarzą szarą ze zmęczenia, popijając wodę ze skórzanej manierki. Wyciągnął długie nogi na trawie i spoczął na boku, podpierając się łokciem. Zwrócił się do Reka.

– Nie chciałem podsłuchiwać – powiedział – ale słyszałem, co powiedziałaś. Musisz wybaczyć Vintarowi. Jest starszy od nas wszystkich i napięcie związane z pościgiem okazało się dla niego zbyt wielkie.

– Pościgiem? Jakim pościgiem? – zapytała Virae.

– Szukaliśmy Serbitara. Oddalił się zbyt daleko i ścieżka rozdzieliła się. Nie potrafił powrócić i musieliśmy go odnaleźć. Vintar odgadł poprawnie, że Serbitar skrył się w mgłach i zaryzykował. Musiał go szukać.

– Przepraszam, Menahemie. Wyglądasz na wyczerpanego – przerwał Rek – ale spróbuj pamiętać, że my nie rozumiemy, o czym ty mówisz. W mgłach? Co to, u diabła, znaczy?

Menahem westchnął. – Jak wytłumaczyć kolory niewidomemu?

– Mówi się – burknął Rek – że czerwony jest jak jedwab, błękitny jak chłodna woda, a żółty jak blask słońca na twarzy.

– Wybacz, Rek. Jestem zmęczony, nie chciałem być nieuprzejmy – powiedział Menahem. –

Nie umiem ci wyjaśnić pojęcia mgieł, tak jak ja je rozumiem. Jednak spróbuję jakoś je opisać.

– Istnieje wiele przyszłości, ale tylko jedna przeszłość. Kiedy podróżujesz za siebie, idziesz prostą ścieżką, podobnie jak my teraz. Pokonujesz ogromne odległości. Jednak ścieżka pozostaje stała,

ponieważ jest zamknięta w naszej pamięci. Rozumiesz?

– Jak dotąd tak – odparł Rek. – Virae?

– Nie jestem idiotką, Rek.

– Przepraszam. Mów dalej, Menahem.

– Teraz spróbujcie sobie wyobrazić, że są inne ścieżki. Nie tylko takie jak ta, powiedzmy, z Drenanu do Delnoch, ale z dzisiejszego dnia do jutra. Jutro jeszcze się nie wydarzyło i możliwości jest nieskończona ilość. Każdy z nas podejmuje decyzje, które mają wpływ na kształt tego jutra. Załóżmy, że przeniesiemy się w to jutro. Widzimy wtedy ogromną liczbę ścieżek, cienkich jak pajęczyna i zmiennych. Na jednej widać, że Dros Delnoch już upadło; na innej, że zostało ocalone lub, że ma się poddać lub, że ma zwyciężyć. Już mamy cztery ścieżki.

Która jest prawdziwa? A kiedy podążymy jedną z nich, jak wrócić do dzisiaj, które z punktu, w którym stoimy, jest wielorakim wczoraj? Do którego dojdziemy wracając? Serbitar przeniósł

się daleko poza jutro. A Vintar odnalazł go, gdy dostrzegliśmy ścieżkę.

– Użyłeś niewłaściwej analogii – zauważył Rek. Tego nie można porównać z uczeniem ślepego kolorów. Bardziej przypomina to uczenie skały strzelania z łuku. Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Czy Serbitar wyjdzie z tego?

– Jeszcze nie wiemy. Jeśli przeżyje, dostarczy nam informacji wielkiej wagi.

– Co się stało z jego oczami? Czemu zmieniły kolor? – zapytała Virae.

– Serbitar jest albinosem – prawdziwym albinosem. Aby utrzymać siły potrzebuje pewnych ziół. Ubiegłej nocy oddalił się za bardzo i zgubił drogę. Postąpił nieroztropnie. Jednak puls ma wyraźny, musi tylko odpocząć.

– A zatem nie umrze? – powiedział Rek.

– Tego nie możemy powiedzieć. Podążył ścieżką, która nadwyreżyła jego umysł. Może się zdarzyć, że odczuje jej przyciąganie; to się czasami zdarza podróżnikom. Oddalają się tak bardzo od samych siebie, że zaczynają dryfować, są jak dym. Jeśli jego dusza pękła, oddali się od niego i powróci w mgły.

– Czy nic nie można zrobić?

– Zrobiliśmy wszystko, co możliwe. Nie możemy go zatrzymać na zawsze.

– Kiedy będziemy wiedzieć? – zapytał Rek.

– Kiedy się zbudzi. Jeśli się zbudzi.

Ranek włókł się bez końca, a Serbitar leżał nieruchomo. Trzydziestu nie wdawało się w żadne rozmowy, a Virae poszła w górę strumienia, żeby się wykąpać. Znużony i zmęczony, Rek wyjął z torby pocztę. Gruby zwój zalakowany czerwonym woskiem był zaadresowany do księcia Delnara. Rek złamał pieczęć i rozłożył list. Wiadomość, napisana wprawną ręką, brzmiała: Mój drogi przyjacielu, W chwili gdy piszę te słowa, informatorzy donoszą, że armia Nadirów zbliża się do twierdzy. Wielokrotnie próbowaliśmy zachować pokój, oferując wszystko co mamy, z wyjątkiem prawa do rządzenia państwem jak wolni ludzie. Ulryk nie chciał o tym słyszeć – chce utworzyć dla siebie królestwo, rozciągające się między północnym i południowym morzem.

Wiem, że Dros nie może się utrzymać i dlatego cofam mój rozkaz, że macie walczyć do końca. Byłaby to walka bez celu i nadziei.

Nie muszę wspominać, że Woundweaver jest przeciwny tej decyzji i powiedział wyraźnie, że zabierze swoją armię w góry, skąd będzie prowadził działania zaczepne, jeżeli pozwolę Nadirom przejść przez równinę Sentran.

Jesteś doświadczonym żołnierzem i musisz sam podjąć decyzję. Winą za poddanie się możesz obarczyć mnie. Zgodnie z prawem ja poniosę za to odpowiedzialność, ponieważ to ja doprowadziłem Drenajów do takiej niebezpiecznej sytuacji.

Nie myśl o mnie źle. Starłem się zawsze robić to, co było najlepsze dla mojego ludu.

Jednak być może lata przygniotły mnie bardziej, niż zdawałem sobie z tego sprawę, ponieważ, jak widzę, moim poczynaniom z Ulrykiem zabrakło rozsądku.

List podpisanym był po prostu „Abalayn”, a poniżej widniała czerwona pieczęć ze smokiem Drenajów.

Rek ponownie złożył pismo i umieścił je w jukach.

Poddanie... Pomocna dłoń na krawędzi otchłani.

Virae wróciła znad strumienia, z włosami ociekającymi wodą i zarumienioną twarzą.

– Bogowie, cóż to była za przyjemność! – powiedziała, siadając obok niego. – Skąd taka smutna mina? Serbitar nie obudził się jeszcze?

– Nie. Powiedz mi, co zrobiłby twój ojciec, gdyby Abalayn rozkazał mu poddać Dros?

– Nigdy nie wydałby takiego rozkazu mojemu ojcu.

– A gdyby wydał? – nalegał Rek.

– Ta rozmowa nie ma sensu. Dlaczego zawsze zadajesz takie dziwne pytania?

Położył rękę na jej ramieniu.

– Posłuchaj mnie. Co by zrobił?

– Odmówiłby wykonania rozkazu. Abalayn wie, że mój ojciec jest panem Dros Delnoch, Najwyższym Strażnikiem Północy. Można go pozbawić dowodzenia, ale nie rozkazać poddać fortecę.

– Założmy, że Abalayn pozostawiłby wybór Delnarowi. Co wtedy?

– Walczyłby do ostatka; taki był. A teraz, czy możesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

– O przesyłkę, którą Degas dał mi dla twojego ojca. Jest to list od Abalayna, w którym unieważnia swój rozkaz „walczyć do ostatka”.

– Jak śmiałeś go otworzyć? – zagrzmiała Virae. Był zaadresowany do mojego ojca i ja powinnam go otrzymać. Jak śmiałeś!

Z twarzą czerwoną z wściekłości, rzuciła się na niego z pięściami. Kiedy odparował pierwszy cios, zadała następny. Nie myśląc wiele, uderzył otwartą dłonią, przewracając ją w trawę.

Leżała tam, sypiąc iskry z oczu.

– Powiem ci, jak śmiałem – odrzekł, z trudem tłumiąc gniew. – Śmiałem, ponieważ to ja jestem księciem. I skoro Delnar nie żyje, to pismo adresowane jest do mnie. Co oznacza, że decyzja o podjęciu walki należy do mnie. Podobnie jak decyzja, czy otworzyć bramy Nadirom.

– Tego właśnie potrzebowałaś, nieprawdaż? Sposobu ucieczki? – Podniosła się na nogi i chwyciła swój skórzany kaftan.

– Myśl, co chcesz – powiedział. – Nic mnie to nie obchodzi. Poza tym, nie powinienem rozmawiać z tobą o liście. Zapomniałem, ile ta wojna dla ciebie znaczy. Nie możesz się doczekać, żeby zobaczyć jak ucztują kruki, prawda? Nie możesz się doczekać, aż trupy zaczną puchnąć i gnić! Słyszysz, co mówię? – krzyknął do jej pleców, kiedy odchodziła.

– Kłopoty, przyjacielu? – zapytał Vintar, siadając naprzeciw rozłoszczonego Ręka.

– Nic, co mogłoby cię dotyczyć – mruknął nowy książę.

– W to nie wątpię – spokojnie powiedział Vintar. Ale może mógłbym pomóc. Poza tym, znam Virae od wielu lat.

– Przepraszam, Vintar. To niewybaczalne z mojej strony.

– Życie nauczyło mnie, Rek, że istnieje niewiele niewybaczalnych rzeczy. A z pewnością nie ma takich słów, które zasługują na taką karę. Obawiam się, że człowiek już taki jest, że uderza wtedy, kiedy go ranią. W czym mogę pomóc?

Rek opowiedział o przesyłce i reakcji Virae.

– Trudna sprawa, mój chłopcze. Co zrobisz?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– To i dobrze. Nikt nie powinien podejmować pośpiesznych decyzji w tak ważnej sprawie.

Nie bądź zbyt surowy dla Virae; siedzi teraz przy strumieniu i czuje się bardzo nieszczęśliwa.

Jest jej niezmiernie przykro z powodu tego, co powiedziała, i tylko czeka, żebyś ją przeprosił, po to by móc powiedzieć, że to wszystko jej wina.

– Niech mnie licho, jeśli ją przeproszę – syknął Rek.

– Jeżeli tego nie zrobisz, pojedziemy dalej w chłodnej atmosferze – odrzekł opat.

Z miejsca, gdzie spał Serbitar, dobiegł cichy jęk. Vintar, Menahem, Arbedark i Rek natychmiast podbiegli do niego. Powieki albinosa zatrzepotały i otworzyły się... Znowu były zielone jak liście róży. Uśmiechnął się do Vintara.

– Dzięki, lordzie opacie – wyszeptał. Vintar delikatnie poklepał go po policzku.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Rek.

Serbitar uśmiechnął się.

– Dobrze. Słabo, ale dobrze.

– Co się stało? – zapytał Rek.

– Nosta Khan. Próbowałem wdrzeć się do fortecy i odrzucono mnie w zewnętrzne mgły.

Byłem zgubiony. Załamany. Widziałem przyszłości przerażające i chaos przekraczający wszelkie wyobrażenie. Uciekłem – spuścił oczy. – Uciekłem w panice, nie wiem dokąd i kiedy.

– Nie mów nic więcej, Serbitarze – zaproponował Vintar. – Odpoczywaj.

– Nie mogę odpoczywać – odparł albinos, próbując wstać. – Pomóż mi, Rek.

– Może powinieneś odpocząć, jak mówi Vintar powiedział do niego Rek.

– Nie. Posłuchaj. Wszedłem do Delnoch i widziałem tam śmierć – straszną śmierć!

– Czy są tam już Nadirowie? – zapytał Rek.

– Nie, Bądź cicho. Nie widziałem tego człowieka wyraźnie, lecz widziałem, jak zatrul studnię Musif, za drugim murem. Każdy, kto napije się z tej studni, zginie.

– Ależ my powinniśmy się zjawić przed upadkiem pierwszego muru – zauważył Rek. – A do tego czasu oni z pewnością nie będą potrzebować studni Musif.

– Nie o to chodzi. Eldibar lub pierwszy mur, jak wy go nazywacie, jest nie do obrony. Jest zbyt szeroki; każdy odpowiedzialny wódz odda go, nie rozumiesz? Dlatego zdrajca zatrul tę drugą studnię. Druss z pewnością stoczy tam swoją pierwszą bitwę, a ludzie zostaną nakarmieni o świcie. Przed południem zaczną umierać, a do zmierzchu wojsko zamieni się w armię duchów.

– Musimy jechać – rozkazał Rek. – Już! Dajcie mu konia.

Rek pobiegł odszukać Virae, a Trzydziestu siodłało wierzchowce. Vintar i Arbedark pomogli Serbitarowi wstać.

– Widziałeś znacznie więcej, prawda? – powiedział Vintar.

– Tak, lecz o niektórych sprawach lepiej nie mówić głośno.

Przez trzy dni jechali w cieniu łańcucha Delnoch, mijając głębokie doliny i zalesione wzgórza. Jechali szybko, lecz ostrożnie. Menahem pełnił rolę zwiadowcy na przedzie i słał myślą wieści do Serbitara. Virae niewiele mówiła od czasu kłótni i pilnie unikała Ręka. Ten, z kolei, nie ustępował i nie próbował przełamać milczenia, chociaż bardzo go raniło.

Rankiem czwartego dnia, kiedy wspinali się na nieduży pagórek nad gęstym lasem, Serbitar podniósł rękę i zatrzymał kolumnę.

– Co się stało? – zapytał Rek, zbliżając się.

– Straciłem kontakt z Menahemem.

– Kłopoty?

– Nie wiem. Mógł zostać zrzucony z siodła.

– Jedziemy, musimy sprawdzić – powiedział Rek i spiął klacz ostrogami.

– Nie! – krzyknął Serbitar, ale koń schodził już w dół po zboczu i nabierał prędkości. Rek szarpnął wodze, żeby podnieść głowę konia do góry, potem odchylił się w tył, gdy zwierzę ześlizgiwało się u podnóża. Stojąc na pewnym gruncie, Rek rozejrzał się wokół. Między drzewami dostrzegł siwka Menahema, który stał z opuszczoną głową, a dalej samego wojownika leżącego twarzą w dół na trawie. Rek pocwałował w jego stronę, lecz gdy mijał pierwsze drzewo, usłyszał cichy szelest i zeskoczył z siodła, zanim napastnik wyskoczył z gęstwiny. Rek wylądował na boku, przetoczył się i stanął na nogi, wyciągając miecz z pochwy. Do napastnika dołączyło dwóch następnych; wszyscy mieli na sobie białe szaty Sathuli.

Młody książę cofnął się do leżącego Menahema i spojrzał w dół. Głowa wojownika krwawiła na skroni. Trafiony z procy, zorientował się Rek, ale nie miał czasu, aby sprawdzić, czy mnich jeszcze żyje. Kolejni Sathuli wychodzili z po – szycia, trzymając w dłoniach szerokie, zakrzywione szable i

długie sztylety.

Podchodzili powoli, z uśmiechami na ciemnoskórych, brodatych twarzach. Rek także odpowiedział uśmiechem.

– Dobry dziś dzień na umieranie – powiedział. Przyłączcie się do mnie!

Przesunął prawą dłoń po rękojeści miecza, robiąc miejsce dla lewej. Nie było czasu na szermiercze popisy; mógł tylko siec i odbijać, oburącz. Znowu miał to dziwne uczucie oddalenia, zapowiadające rychły atak szału. Tym razem powitał go z radością.

Z przerażającym wrzaskiem zaatakował wszystkich naraz, tnąc w krtań pierwszego mężczyznę, gdy ten otworzył usta ze zdziwienia. Potem był już między nimi, a klinga jego miecza zataczała świszczący łuk jasnego światła i szkarłatnej śmierci. W pierwszej chwili zdumieni jego atakiem odskoczyli w tył, potem znowu natarli z okrzykami wojennymi swojego plemienia na ustach. Słyszając dudnienie końskich kopyt, z poszycia wyskoczyli następni współplemieńcy.

Rek nie zauważył przybycia Trzydziestu. Odparował cios, ciął na odlew napastnika i przestąpił trupa, aby walczyć z kolejnym.

Serbitar na próżno usiłował utworzyć pierścień obronny, który mógłby objąć także Ręka.

Jego smukłe ostrze zataczało kręgi, z chirurgiczną precyzją posyłając pocałunki śmierci. Nawet Vintar, najstarszy i najmniej wprawny jako szermierz, bez trudu zabijał wojowników Sathuli.

Byli dzicy, niewprawni w sztuce fechtunku i liczyli raczej na swą odwagę, okrucieństwo i przewagę liczebną, mającą zmęczyć przeciwnika. Ta taktyka mogła jeszcze raz przynieść wyniki, pomyślała Virae, ponieważ mieli prawie czterokrotną przewagę i nie pozostawili napadniętym nawet najmniejszej szansy ucieczki.

Po małej polance niósł się echem szczęk stali, uderzającej o stal i krzyki rannych. Virae cięła jakieś ramię, rozpruła brzuch innego mężczyzny i uskoczyła przed ciosem szabli następnego napastnika. Wysoki Antaheim wysunął się, by zablokować następny cios. Arbedark poruszał się w bitwie jak tancerz; z krótkim mieczem w każdej dłoni układał choreograficzne figury śmierci i zniszczenia jak srebrny duch z eldryckich legend.

Gniew Ręka rósł. I po co to wszystko? Spotkanie Virae, walka ze strachem, przyjęcie płaszcza księcia? Czy wszystko po to, aby zginąć w leśnej głuszy od szabli jakiegoś Sathuli?

Przełamał nieudolną obronę kolejnego wojownika, a potem kopnął padające ciało pod nogi następnego atakującego.

– Dosyć! – wrzasnął nagle, a jego głos zadźwięczał pośród drzew. – Opuścić miecze, wszyscy!

Trzydziestu posłuchało natychmiast, cofając się o krok i tworząc krąg stali wokół leżącego Menahema, pozostawiając Ręka samego. Sathuli powoli opuścili miecze, nerwowo spoglądając po sobie.

Wszystkie bitwy, które znali, powielały ten sam wzór: walczyć i wygrać, walczyć i zginąć lub walczyć i uciekać. Nie było innej możliwości. Jednak słowa tego wysokiego miały w sobie moc, a jego głos natychmiast ich powstrzymał.

– Niech wystąpi wasz wódz – rozkazał Rek, wbijając miecz w ziemię przed sobą i krzyżując ramiona na piersiach, chociaż wciąż otaczały go klingi Sathuli.

Ludzie przed nim rozstąpili się, gdy wysoki, barczysty mężczyzna w błękitno-białej szacie wyszedł do przodu.

Był równie wysoki jak Rek, tylko smagły i z zakrzywionym, orlim nosem. Wycięta w trójzab broda nadawała mu ironiczny wygląd, a wrażenia dopełniała blizna od szabli, biegnąca od brwi do brody.

– Jestem Regnak, księżę Dros Delnoch – powiedział Rek.

– Jestem Sathuli – Joachim Sathuli – i zabiję cię – odpowiedział ponuro.

– Takie sprawy powinni załatwiać między sobą ludzie tacy jak ty i ja – odparł Rek. – Spójrz dookoła – wszędzie leżą trupy Sathuli. Ilu moich ludzi jest między nimi?

– Wkrótce dołączą – rzekł Joachim.

– Dlaczego nie załatwimy tego jak księżęta? – zapytał Rek. – Tylko ty i ja.

Zniekształcona blizną brew podniosła się.

– Tylko zmniejszyłbym naszą przewagę. Nie umiesz się targować; co miałbym zyskać?

– Życie wielu Sathuli. Och, wiem, że chętnie je oddają, ale za co? My nie wieziemy zapasów ani złota. Mamy tylko konie, których pełno w górach Delnoch. A więc to kwestia dumy, nie zysku. A takie sprawy powinniśmy rozstrzygnąć we dwóch.

– Jak wszyscy Drenajowie dobrze się bijesz na słowa – powiedział Sathuli, odwracając się.

– Czy strach zamienił ci kiszki w wodę? – spytał cicho Rek.

Mężczyzna odwrócił się z uśmiechem.

– A teraz próbujesz mnie zdenerwować. Bardzo dobrze! Będziemy walczyć. Kiedy umrzesz, twoi ludzie złożą broń?

– Tak.

– A jeśli ja umrę, pozwolimy wam przejść?

– Tak.

– Niech tak będzie. Przysięgam na duszę Mehmeta, błogosławione imię jego.

Joachim wyjął smukły bułat, zgromadzeni wokół Ręka Sathuli cofnęli się, otaczając kręgiem obu mężczyzn. Rek wyrwał swoją broń z ziemi i walka zaczęła się.

Sathuli był utalentowanym szermierzem i Rek od początku musiał się cofać. Serbitar, Virae i inni patrzyli spokojnie, jak ostrze uderza o ostrze, raz za razem. Parada, riposta, pchnięcie, parada, cięcie i osłona. Z początku Rek bronił się zapamiętale, potem powoli przeszedł do kontrataku. Walka przedłużała się, a obaj jej uczestnicy pocili się obficie. Dla wszystkich było jasne, że ich umiejętności są równe, a siła i zasięg ramion prawie identyczne. Ostrze Ręka nacięło przedramię Joachima. Jęzor bułata śmignął naprzód, otwierając ranę na grzbiecie ręki Ręka. Obaj krążyli ostrożnie, ciężko dysząc.

Joachim zaatakował; Rek odparował i odpowiedział pchnięciem. Joachim odskoczył i znowu zatoczyli krąg. Arbedark, najtęższy szermierz wśród Trzydziestu, nie mógł się nadziwić ich technice.

Nie dlatego, że nie mógł się z nimi równać, ponieważ był równie dobry, ale dlatego, że jego umiejętności były wspomagane przez moce umysłu, których ci dwaj nigdy nie mogliby świadomie użyć. Jednak obaj korzystali z tych umiejętności podświadomie. To był pojedynek na umysły w tym samym stopniu co pojedynek na miecze, lecz nawet na tym polu byli sobie podobni.

Serbitar przekazał impulesem pytanie do Arbedarka. Dla mnie to zbyt blisko, aby osądzić. Kto wygra?

– Nie wiem – odpowiedział Arbedark. – To fascynujące.

Obaj walczący szybko się męczyli. Rek uchwycił oburącz swój długi miecz, nie mogąc go już utrzymać jedną ręką. Przypuścił atak, który Joachim rozpaczliwie sparował; wtem jego miecz trafił w ostrze szabli, o jakiś cal poniżej rękojeści i zakrzywione ostrze pękło. Rek zrobił krok do przodu, dotykając końcem miecza żyły na szyi Joachima. Smagły Sathuli nie poruszył się, tylko spojrzał wyzywająco, gdy jego ciemne oczy napotkały spojrzenie Ręka.

– I jaka jest wartość twego życia, Joachimie Sathuli?

– Złamany miecz – odrzekł Joachim. Rek wyciągnął rękę i otrzymał bezużyteczną rękojeść.

– Jakże ma znaczenie to, co robisz? – zapytał zdziwiony wódz Sathuli.

– Bardzo proste – wyjaśnił Rek. – My wszyscy tutaj jesteśmy martwi, ponieważ jedziemy do Dros Delnoch, aby stawić czoło armii, jakiej nie widział świat. Nie przeżyjemy tego lata. Jesteś wojownikiem, Joachimie, i to dobrym. Twoje życie jest warte więcej niż złamana klinga. Nie dowiedliśmy w tej walce nic ponad to, że jesteśmy mężczyznami. Przede mną nie ma nic prócz wrogów i wojny.

– Ponieważ nie spotkamy się już nigdy w życiu, chciałbym wierzyć, że pozostawiłem za sobą przynajmniej kilku przyjaciół. Czy podasz mi rękę?

Sathuli uśmiechnął się.

– Jest coś dziwnego w tym spotkaniu – powiedział – ponieważ, gdy złamała się moja szabla, w momencie kiedy śmierć była tuż, tuż, zastanawiałem się, co zrobiłbym, gdyby to twoja szabla pękła. Dlaczego jedziesz na śmierć?

– Bo muszę – odpowiedział po prostu Rek.

– Niech więc tak będzie. Prosisz mnie o przyjaźń i daję ci ją, chociaż ślubowałem, że żaden Drenaj nie będzie bezpieczny na ziemi Sathuli. Daję ci moją przyjaźń, ponieważ jesteś wojownikiem i ponieważ masz umrzeć.

– Powiedz mi, Joachimie, jak przyjaciel przyjacielowi, co zrobiłbyś, gdyby to moja szabla pękła?

– Zabiłbym cię – wyznał Sathuli.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy Gilad zmienił wartownika na pierwszym murze, nad Delnoch rozpętała się jedna z pierwszych wiosennych burz. Grzmot zadudnił gniewnie nad jego głową, a krzywy harpun strzępiastej błyskawicy rozdarł nocne niebo, rozświetlając na chwilę fortecę. Gwałtowny wiatr zagwizdał wzdłuż murów, świszcząc i sycząc.

Gilad wcisnął się pod występ wieży nad bramą i przyciągnął niewielki koszyk rozżarzonych węgli pod osłonę ściany. Pelerynę miał przemoczoną na wylot, a z ociekających włosów woda kapiała stale na ramiona i przenikała pod napierśnik, nasączając skórę kolczugi. Jednak ściana odbijała ciepło ogniska, a Gilad przeżył już gorsze noce na równinie Sentran, gdy wygrzebywał

zasypane owce w zimowych zamieciach. W regularnych odstępach czasu podnosił się i wyglądał

zza muru na północ, czekając na to, by światło błyskawicy oświetliło równinę. Nic się tam nie poruszało.

Nieco dalej metalowy kocioł z węglem wybuchł uderzony piorunem i wokół posypał się deszcz gorących węgli. Co za miejsce na noszenie zbroi, pomyślał Gilad. Zadrżał i przycisnął się do ściany. Powoli sztorm przetoczył się dalej, przepychany po równinie Sentran przez wściekły wiatr z północy. Przez chwilę deszcz pozostał, uderzając strugami o kamienne flanki i spływając w dół po ścianach wież, sycząc i skwiercząc, gdy przypadkowe krople parowały na węglach.

Gilad otworzył swój mały tobołek i wyjął pasek suszonego mięsa. Oderwał kawałek i zaczął

żuć. Jeszcze trzy godziny, a potem ciepłe łóżko przez następne trzy.

Z ciemności za flankami dobiegł jakiś odgłos. Gilad okręcił się błyskawicznie i wygrzebał

miecz, a przed oczami stanęły mu wszystkie strachy z dzieciństwa. W blasku ognia zamajaczyła potężna postać.

– Spokojnie, chłopcze! To tylko ja – powiedział Druss, sadowiąc się po drugiej stronie paleniska.

Wyciągnął dłoń nad płomieniem.

Jego siwa broda była przemoczona na wylot, a czarny, skórzany kaftan błyszczał jak wypolerowany przez burzę. Deszcz skończył się i zamienił w drobniutką mżawkę, a niesamowite wycie wichru ucichło. Przez kilka minut Druss nucił jakiś stary hymn wojenny, rozgrzewając się w ciepłe ogniska. Gilad, spięty i wyczekujący, spodziewał się, że zaraz nastąpią jakieś sarkastyczne uwagi, w rodzaju: „Zimno, co? Potrzebujemy maleńkiego ognia, żeby przegonić zjawy, prawda?”. Dlaczego wybrałeś akurat moje stanowisko, ty stary draniu? – pomyślał. Po chwili cisza stała się uciążliwa i Gilad nie mógł jej dłużej znieść.

– Zimna noc na spacer po świeżym powietrzu, sir powiedział, przeklinając siebie za uniżony ton.

– Widziałem gorsze. Lubię zimno. Jest jak ból, przypomina ci, że żyjesz.

Światło ogniska kładło głębokie cienie na ogorzałą twarz starego wojownika i Gilad po raz pierwszy dostrzegł wyryte na niej zmęczenie. Ten człowiek jest śmiertelnie zmęczony, pomyślał.

Pod legendarną zbroją i za pełnymi zimnego ognia oczami był po prostu zwykłym, starym człowiekiem. Twardym i silnym jak wół, być może, ale starym. Zniszczonym przez czas –

wroga, który nigdy się nie męczy.

– Może mi nie uwierzysz – rzekł Druss – ale to najgorszy czas dla żołnierza – oczekiwanie przed bitwą. Widziałem już to wszystko. Czy brałeś już kiedyś udział w bitwie, chłopcze?

– Nie, nigdy.

– Nigdy nie jest tak straszna, jak ją sobie wyobrażasz, gdy raz uświadomisz sobie, że umieranie to nic specjalnego.

– Dlaczego to mówisz? Dla mnie to jest coś specjalnego. Mam żonę i gospodarstwo, które chciałbym znowu zobaczyć. Mam jeszcze sporo do przeżycia – odparł Gilad.

– Oczywiście, że masz. Jednak możesz przeżyć tę bitwę i umrzeć podczas zarazy, lub w paszczy lwa, albo zachorować na raka. Możesz zostać napadnięty i zabity, albo spaść z konia.

W końcu zawsze umrzesz. Każdy umiera. Nie twierdzę, że powinieneś się poddać i po prostu powitać śmierć z otwartymi ramionami. Musisz walczyć do końca. Pewien stary żołnierz – mój dobry przyjaciel – powiedział mi, kiedy byłem młody, że kto boi się przegrać, nigdy nie wygra.

I to prawda. Wiesz kto to jest berserker, chłopcze?

– Dzielny wojownik – powiedział Gilad.

– Tak, to prawda. Jest jednak czymś więcej; maszyną do zabijania, której nie można zatrzymać. Czy wiesz dlaczego?

– Ponieważ jest szalony.

– Tak. Jest w nim szaleństwo, I coś jeszcze. Nie broni się, bo kiedy walczy, nie dba o życie.

Po prostu atakuje, a ludzie słabszego ducha – którym zależy – umierają.

– Co rozumiesz przez ludzi słabszego ducha? Człowiek nie musi być mordercą, aby być wielki.

– Nie to miałem na myśli... choć myślę, że może miałem. Gdybym próbował uprawiać ziemię – niedaleko ciebie – ludzie twierdziliby, że nie jestem tak dobry jak ty. Pogardzaliby mną jako kiepskim rolnikiem. Na tych blankach ludzie będą oceniani na podstawie tego, jak długo uda im się pozostać przy życiu. Słabsi ludzie lub, jeśli wolisz, gorsi żołnierze, zaatakują lub zginą.

– Po co tu przyszedłeś, Druss? – zapytał Gilad, chcąc dowiedzieć się, dlaczego rębacz wybrał właśnie jego wartę. Jednak wojownik nie zrozumiał pytania.

– Przyszedłem, żeby umrzeć – wyznał cicho, ogrzewając ręce i patrząc w ogień. – Znaleźć jakieś miejsce na murach, walczyć i zginąć. Nie sądziłem, że będę musiał wziąć odpowiedzialność za tę przeklętą twierdzę. Do diabła z nią. Jestem żołnierzem, nie generałem.

Kiedy Druss kontynuował, Gilad zdał sobie sprawę, że rębacz nie mówi do niego –

szeregowego Gilada, byłego chłopca. Rozmawiał z jednym z wielu żołnierzy przy jednym z wielu ognisk, w jednej z wielu fortec. W mikrokosmosie ta scena to życie Drussa, oczekiwanie przed bitwą.

– Zawsze obiecywałem jej, że przestanę i zacznę uprawiać ziemię, ale zawsze ktoś gdzieś miał jakąś bitwę do wygrania. Przez całe lata myślałem, że coś reprezentuję wolność, niezależność, nie wiem co jeszcze. Prawda była zawsze bardziej prosta. Kocham walkę. Ona o tym wiedziała, była jednak na tyle delikatna, że nigdy o tym nie wspomniała. Czy możesz sobie wyobrazić, co to znaczy być legendą – tą przeklętą legendą? Możesz, chłopcze?

– Nie, ale musisz być z tego dumny – powiedział niepewnie Gilad.

– Raczej zmęczony. To odbiera ci siłę zamiast ją dawać. A to dlatego, że nie możesz sobie pozwolić na zmęczenie. Jesteś Drussem-Legendą i jesteś niezniszczalny, niepokonany. Śmiejesz się z bólu. Możesz maszerować bez końca. Jednym ciosem wywracasz góry. Czy wyglądam na takiego, który może przewrócić górę?

– Tak – przyznał Gilad.

– Jednak nie mogę, do licha. Jestem starym człowiekiem z bolącym kolaniem i artretycznym kręgosłupem. Także moje oczy nie są już tak dobre jak kiedyś.

– Kiedy byłem młody i silny, siniaki zawsze szybko się goiły. Wtedy byłem niezmordowany.

Mogłem walczyć cały dzień. Gdy się postarzałem, nauczyłem się udawać i wykorzystywać każdą wolną chwilę na odpoczynek. Nauczyłem się wykorzystywać swoje doświadczenie tam, gdzie wcześniej używałem tylko siły. Po pięćdziesiątce zacząłem być ostrożny, a poza tym do tego czasu moja legenda powodowała, że ludzie drżeli na mój widok. Już trzy razy pokonałem ludzi, którzy mogli mnie pobić, ale sami pokonali siebie, ponieważ wiedzieli, kim jestem, i przestraszyli się.

– Czy myślisz, że jestem dobrym wodzem?

– Nie wiem, jestem rolnikiem, nie żołnierzem – odparł Gilad.

– Nie bój się, chłopcze. Pytałem cię o zdanie.

– Nie, przypuszczalnie nie. Jednak jesteś wielkim wojownikiem. Myślę, że z upływem lat stałbyś się wodzem. Nie wiem. Dokonałeś cudów, szkoląc nas; w Dros zapanował inny duch.

– Za moich czasów byli wielcy wodzowie – powiedział Druss. – Silni, o bystrych umysłach.

Usiłowałem spamiętać wszystkie ich lekcje. To trudne, chłopcze. Widzisz? To trudne. Nigdy nie obawiałem się wroga, któremu mogłem stawić czoło z toporem czy gołymi rękami. Jednak wrogowie w tej forticy są inni. Morale, przygotowania, rowy ogniowe, zaopatrzenie, układy i organizacja. To wysysa duszę.

– Nie zawieziemy cię, Druss – oświadczył Gilad, a jego serce otworzyło się dla tego starego człowieka. – Będziemy trwać u twego boku. Nauczyłeś nas tego, chociaż prawie przez całe szkolenie nienawidziłem cię.

– Nienawiść dodaje sił, chłopcze. Oczywiście, że wytrwacie. Jesteście mężczyznami. Czy słyszałeś o Dun Mendarze?

– Tak, to tragedia. Na szczęście był tam, żeby ci pomóc – powiedział Gilad.

– On był tam, żeby mnie zabić, chłopcze. I prawie mu się udało.

– Co takiego? – zapytał zaskoczony Gilad.

– Słyszałeś. I nie chcę, żebyś to powtarzał dalej. Był opłacany przez Nadirów i dowodził pozostałymi bandytami.

– Przecież... to oznacza, że sam stawiałeś czoła im wszystkim – odparł Gilad. – Sam przeciw pięciu i przeżyłeś?

– Tak, ale byli zwykłą zbieraniną, w dodatku źle wyszkoloną. Wiesz, dlaczego powiedziałem ci... o Mendarze?

– Ponieważ chciałeś porozmawiać?

– Nie. Nigdy nie byłem gadułą i nigdy nie potrzebowałem dzielić się z nikim swoimi obawami. Nie, chciałem, żebyś wiedział, że ci ufam. Chcę, żebyś przejął obowiązki Mendara.

Mianuję cię dunem.

– Nie chcę tego awansu – stwierdził zapalczywie młodzieniec.

– Czy myślisz, że ja pragnę tej odpowiedzialności? Jak myślisz, dlaczego spędziłem tutaj tyle czasu? Próbuję ci wyjaśnić, że często – częściej niż można by oczekiwać jesteśmy zmuszeni robić to, czego się obawiamy. Od jutra zaczynasz.

– Dlaczego? Dlaczego ja?

– Ponieważ obserwowałem cię i sądzę, że masz talent przywódczy. Zrobiłeś na mnie wrażenie, dowodząc swoją dziesiątką. I pomogłeś Orrinowi w tamtym wyścigu. Byłem dumny.

A także dlatego, że cię potrzebuję, a inni cię lubią.

– Nie mam żadnego doświadczenia – zaczął Gilad, wiedząc, że zabrzmiało to nieprzekonująco.

To przyjdzie z czasem. Pomyśl o tym: twój przyjaciel, Bregan to żaden żołnierz, a wielu spośród twoich ludzi zginie w czasie pierwszego ataku. Dobry oficer może ocalić niektórych z nich.

– W porządku. Jednak nie stać mnie na stołowanie się w oficerskiej kantynie ani zadłużenie się u płatnerza. Będziesz mnie musiał zaopatrzyć w mundur.

– Strój Mendara powinien na ciebie pasować, a ty zrobisz z niego szlachetniejszy użytek.

– Dziękuję. Powiedziałaś wcześniej, że przyszedłeś tutaj umrzeć. Czy to znaczy, że uważasz, że nie możemy wygrać?

– Nie, nie uważam. Zapomnij o tym, co powiedziałem.

– Do diabła, Druss, nie traktuj mnie protekcyjnie! Przed chwilą mówiłeś o zaufaniu. Cóż, teraz jestem oficerem i zadałem ci bezpośrednie pytanie. Nie powtórzę nikomu odpowiedzi. Więc zaufaj mi.

Druss uśmiechnął się, a jego oczy napotkały zuchwałe spojrzenie młodego wartownika.

– Bardzo dobrze. Na dłuższą metę nie mamy szans. Każdy dzień przybliża zwycięstwo Nadirów. Jednak każemy im za nie słono zapłacić. I możesz w to wierzyć, chłopcze, bo mówi to Druss-Legenda.

– Pomińmy legendę – powiedział Gilad, odpowiadając uśmiechem na uśmiech tamtego. –

Oto człowiek, który poradził sobie z pięcioma zabójcami w ciemnej uliczce.

– Nie podziwiał mnie za bardzo z tego powodu, Gilad. Każdy ma jakieś zdolności. Jeden buduje, inny maluje, jeszcze inny pisze, albo walczy. Ze mną jest inaczej. Ja zawsze miałem sposób na śmierć.

Dziewczyna szła wzdłuż muru, ignorując komentarze, jej rude włosy lśniły w porannym słońcu, a długie nogi, smukłe i brązowe, budziły przyjazne choć bardzo osobiste komentarze ze strony żołnierzy. Raz uśmiechnęła się, kiedy jeden z mijanych mężczyzn powiedział do towarzysza: „Chyba się zakochałem”. Posłała mu ręką całusa i mrugnęła.

Bowman uśmiechnął się, łagodnie potrząsając głową. Wiedział, że Caessa robi przedstawienie, ale miała takie ciało, że któż by ją za to winił? Była wysoka prawie jak większość mężczyzn, wiotka jak wierzba i pełna wdzięku, a każdy jej ruch zawierał obietnicę.

Fizycznie, pomyślał Bowman, jest kobietą doskonałą. Uosobieniem kobiecości.

Patrzył jak napięła łuk. Jorak spojrział na niego pytająco, lecz on potrząsnął głową. Pozostali łucznicy cofnęli się. To była chwila Caessy, a po takim wejściu zasługiwała na trochę aplauzu.

Słomiane manekiny ustawiono w odległości stu kroków od muru. Ich głowy pomalowano na żółto, a torsy na czerwono. Dla dobrego łuczника była to standardowa odległość, ale strzelanie z góry, z blanków, dodawało kilka stopni trudności.

Caessa sięgnęła przez ramię do irchowego kołczanu i wyjęła strzałę ozdobioną czarnymi piórami. Sprawdziła czy drzewce jest proste i naciągnęła cięciwę.

– Głowa – powiedziała.

Jednym płynnym ruchem odciągnęła cięciwę tak, że dotknęła jej policzka, a następnie wypuściła strzałę. Ta śmignęła w porannym powietrzu i wbiła się w szyję najbliższego manekina.

Patrzący mężczyźni wybuchnęli entuzjastycznym aplauzem, a Caessa spojrzała na Bowmana.

Ten podniósł brwi.

Jeszcze pięć strzałów poleciało do słomianego celu, zanim Bowman podniósł rękę i dał znak, aby przyłączyli się pozostali łucznicy. Potem przywołał Caessę i zszedł z blanków.

– Nie spieszyłaś się z przyjściem tutaj, pani – powiedział z uśmiechem. Wzięła go pod rękę i dała mu całusa. Jak zwykle poczuł narastające podniecenie. I jak zwykle stłumił je.

– Tęskniłeś za mną? – Głos miała głęboki i gardłowy, tak pełen miłosnej obietnicy, jak jej cudowne ciało.

– Zawsze za tobą tęsknię – odparł. – Pobudzasz mojego ducha.

– Tylko twojego ducha.

- Tylko mojego ducha.
- Kłamiesz. Widzę to w twoich oczach – dodała.
- Nie widzisz w moich oczach nic poza tym, co chcę, żebyś zobaczyła – ty czy ktokolwiek inny. Jesteś przy mnie bezpieczna, Caesso. Czy ci nie mówiłem? Pozwól sobie jednak powiedzieć, że jak na kobietę, która nie szuka towarzystwa mężczyzn, miałaś bardzo efektowne wejście. Gdzie twoje spodnie?
- Było gorąco. Tunika jest wystarczająco przyzwoita – orzekła, z roztargnieniem skubiąc rąbek szaty.
- Zastanawiam się, czy naprawdę wiesz, czego chcesz – oświadczył.
- Chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju.
- Więc dlaczego zabiegasz o moją przyjaźń?
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Tak, ja wiem – powiedział do niej – ale nie jestem pewien, czy ty wiesz.
- Jesteś dzisiaj bardzo poważny, o panie puszczy. Nie rozumiem dlaczego. Wszystkim nam zapłacono. Otrzymaliśmy ułaskawienia, a kwatery tutaj są o niebo lepsze niż w Skultik.
- Gdzie ciebie umieścili? – zapytał.
- Ten młody oficer – Pinar? – nalegał, abym zajęła pokój w głównym baraku. Nie chciał słyszeć o tym, abym mieszkała wspólnie z resztą mężczyzn. To było bardzo wzruszające, naprawdę. Nawet pocałował mnie w rękę!
- On jest w porządku – przyznał Bowman. – Napijmy się – Zaprowadził ją do kantyny pod Eldibar i przez część oficcerską aż na zaplecze, po drodze zamawiając butelkę białego wina.
- Rozsiadłszy się pod oknem, pił przez chwilę w milczeniu, obserwując ćwiczących żołnierzy.
- Dlaczego się na to zgodziłeś? – zapytała go nagle.
- I nie opowiadaj mi bajek o ułaskawieniu. Nie zależy ci ani trochę, ani na tym, ani na pieniądzech.
- Wciąż usiłujesz czytać w moich myślach? Nie uda ci się – rzekł, upijając łyk wina. Potem odwrócił się i zażądał chleba z serem. Począł, aż obsługujący ich żołnierz odszedł.
- No już, powiedz mi?
- Czasami, moja droga, co niewątpliwie sama odkryjesz, gdy dorośniesz, czasami człowiek robi coś bez wyraźnych powodów. Pod wpływem impulsu, chwili. Kto wie, dlaczego zgodziłem się tutaj

przyjść? Ja z pewnością nie wiem!

– Znowu kłamiesz. Nie chcesz powiedzieć. Czy to z powodu tego starego, Drussa?

– Czemu to cię tak bardzo interesuje? A właściwie, dlaczego ty tutaj jesteś?

– Dlaczego nie? Powinno być interesująco i niezbyt niebezpiecznie. Odchodzimy, prawda, kiedy upadnie trzeci mur?

– Oczywiście. Taka była umowa – potwierdził.

– Nie ufasz mi? – rzekła z uśmiechem.

– Ja nie ufam nikomu. Wiesz, czasami zachowujesz się tak jak wszystkie inne kobiety, które znałem.

– Czy to komplement, o panie zielonych lasów?

– Raczej nie.

– A więc co to znaczy? Mimo wszystko jestem kobietą. Jak, twoim zdaniem, powinnam się zachowywać?

– Aa, znowu to samo. Wróćmy do zaufania. Po co zadałaś to pytanie?

– Nie chcesz powiedzieć, dlaczego tu przybyłeś, a potem kłamiesz na temat odejścia. Czy myślisz, że jestem głupia? Nie masz zamiaru opuścić tej przeklętej kupy gruzu. Zostaniesz do końca.

– A skądże wzięłaś te wyjątkowe informacje? – zapytał.

– Masz je wypisane na twarzy dużymi literami. Jednak nie martw się; nie przekażę ich Jorakowi, ani żadnemu z nich. Nie licz jednak na to, że ja zostanę. Nie mam zamiaru tutaj zginąć.

– Caesso, moja gołąbeczko, to, co mówisz, dowodzi jak mało mnie znasz. A w ogóle, wartość...

Bowman przerwał wyjaśnienia, gdy w drzwiach pojawiła się wysoka postać Hoguna i gan zaczął przedzierać się w ich stronę. Caessa po raz pierwszy zobaczyła generała legionistów i zrobił na niej duże wrażenie. Poruszał się z wdziękiem, trzymając jedną rękę na rękojeści miecza. Miał jasne spojrzenie, silną szczękę, a twarz prawie przystojną. Od pierwszego wejrzenia poczuła do niego niechęć. Uczucie to pogłębiło się, kiedy generał wyciągnął krzesło, odwrócił je i usiadł twarzą do Bowmana, całkowicie ją ignorując.

– Bowman, musimy porozmawiać – zaczął.

– Dobrze. Pozwól, że najpierw przedstawię Caessę. Caesso, kochanie, to jest Gan Hogun, legionista.

Tamten odwrócił się i skinął jej głową.

– Czy możemy porozmawiać w cztery oczy? – zapytał Bowman. Zielone oczy Caessy rozbliły gniewem, ale zmilczała i wstała, rozpaczliwie szukając w myślach jakiejś ciętej uwagi na pożegnanie.

– Zobaczymy się później – rzekł Bowman, gdy otworzyła usta. – A teraz idź, zjedz coś. –

Gdy odwróciła się na pięcie i opuściła pomieszczenie, Bowman obserwował z przyjemnością kocią gracją jej ruchów.

– Rozgniewałeś ją – powiedział.

– Ja? Nie powiedziałem do niej ani słowa – odparł Hogun, po czym zdjął czarno-srebrny hełm i położył go na stole – A w ogóle, to nieistotne. Chcę, żebyś porozmawiał ze swoimi ludźmi.

– O czym?

– Spędzają dużo czasu, włócząc się dokoła, i stroją sobie żarty z trenujących żołnierzy. To źle wpływa na morale.

– A dlaczego nie mieliby tego robić? Są cywilnymi ochotnikami. To wszystko ustanie, gdy zacznie się walka.

– Chodzi o to, Bowman, że walka może się zacząć, zanim nadejdą Nadirowie. Właśnie powstrzymałem jednego z moich ludzi od wypatroszenia tego czarnobrodego giganta, Joraka.

Jeśli tak dalej pójdzie, to dojdzie do rozlewu krwi.

– Porozmawiam z nimi – zgodził się Bowman. Uspokój się i napij czegoś. Jak ci się podobała moja łuczniczka?

– Naprawdę nie przyglądałem się jej zbyt. Chyba jest ładna.

– Wydaje mi się, że prawdą jest to, co mówią o kawalerii – rzucił Bowman. – Jesteście wszyscy zakochani w swoich koniach! Wielkie nieba, człowieku, ona jest więcej niż ładna!

– Porozmawiaj zaraz ze swoimi ludźmi. Wtedy poczuję się znacznie lepiej. Napięcie rośnie, a Nadirowie są o dwa dni drogi stąd.

– Powiedziałem, że porozmawiam. Teraz napij się i odpręż. Robisz się tak samo drażliwy jak twoi ludzie, a to nie może dobrze wpływać na morale.

Nagle Hogun uśmiechnął się szeroko.

– Masz rację. Zawsze tak jest przed bitwą. Druss zachowuje się jak niedźwiedź, którego boli głowa.

– Słyszę, że przegrałeś w zawodach szermierczych z tym grubasem – Bowman z szyderczym uśmiechem zmienił temat. – No, no stary! Nie pora nadskakiwać władzy.

– Wcale nie dałem mu wygrać. Jest wspaniałym szermierzem. Nie oceniaj go zbyt pochopnie, przyjacielu; może cię jeszcze zaskoczyć. Z pewnością zaskoczył mnie. Co miałeś na myśli, mówiąc, że rozgniewałem tę dziewczynę?

Bowman uśmiechnął się, a potem zaśmiał głośno. Potrząsnął głową i nalał kolejny kielich wina.

– Mój drogi Hogunie, kiedy kobieta jest piękna, zaczyna oczekiwać pewnego – jak to powiedzieć? – odrobiny podziwu. Powinieneś mieć na tyle przyzwoitości, aby być wstrząśniętym jej urodą. Zaniemówić z wrażenia lub, jeszcze lepiej, zacząć bełkotać jak głupiec. Mogłaby wtedy po prostu zignorować cię i odpowiedzieć arogancką wzgardą na twoje uwielbienie.

Tymczasem ty nie zwróciłeś na nią uwagi i za to cię znenawidzi. Co gorsza, zrobi wszystko, co w jej mocy, aby zdobyć twoje serce.

– To, co mówisz, nie ma żadnego sensu. Dlaczego będzie próbowała zdobyć moje serce, jeżeli mnie nienawidzi?

– Dlatego, żeby móc tobą pogardzać. Czy znasz się na kobietach?

– Wystarczająco. Wiem również, że nie mam czasu na takie bzdury. Czy sądzisz, że powinienem ją przeprosić?

– I dać jej poznać, że wiesz jak została zlekceważona? Mój drogi chłopcze, ze smutkiem stwierdzam, że masz poważne braki w wykształceniu!

ROZDZIAŁ 18

Druss powitał przybycie jazdy z Dros Purdol z radością, nie tyle z powodu ich liczby, co ze względu na fakt, że dowodziło to, iż świat zewnętrzny nie zapomniał o Dros.

Mimo to, Druss wiedział, że obrońcy będą mocno obciążeni. Pierwsza bitwa na Eldibarze, pierwszym murze, albo podbuduje ludzi, albo ich zniszczy. Przygotowanie bojowe załogi Delnoch było zupełnie wystarczające, ale duch bojowy to zupełnie inna sprawa. Można wykuć miecz z najszlachetniejszej stali, lecz przypadkowe przeniesienie go z ognia do wody spowoduje jego pęknięcie, podczas gdy stal gorszej jakości wytrzyma. Podobnie jest z wojskiem, pomyślał

Druss. Widywał doskonale wyszkolonych ludzi, którzy wpadli w panikę i uciekli, oraz chłopów, którzy stawiali opór uzbrojeni w kilofy i motyki.

Bowman i jego łucznicy ćwiczyli teraz na Kania, murze trzecim, który obejmował najdłuższe pasmo ziemi między górami. Byli wspaniali. Sześciuset łuczników wypuszczało trzy tysiące strzał w czasie dziesięciu uderzeń serca. Podczas pierwszego ataku Nadirowie znajdą się w zasięgu ich poci – sków na prawie dwie minuty, zanim drabiny oblężnicze dosięgną murów.

Na otwartym polu atakujący wojownicy poniosą ciężkie straty. To będzie krwawa rzeź. Tylko czy to wystarczy?

Mieli zobaczyć największą armię, jaką kiedykolwiek zebrano, hordę, która w ciągu dwudziestu lat stworzyła imperium, obejmujące tuzin krajów i sto miast. Ulryk znajdował się w przededniu utworzenia największego mocarstwa w historii, gigantyczne osiągnięcie jak na człowieka przed pięćdziesiątką.

Druss spacerował po blankach Eldibara, zagadywał pojedynczych żołnierzy, żartował i śmiał się z nimi. Ich nienawiść do niego rozwiała się jak poranna mgła w ciągu tych ostatnich kilku dni.

Zobaczyli go teraz takim, jakim był: żelaznym starcem, wojownikiem z minionych czasów, żywym echem dawnej chwały.

Przypomnieli sobie teraz, że został z nimi dobrowolnie. I wiedzieli dlaczego. Było to jedyne miejsce na ziemi dla ostatniego z herosów: Druss-Legenda, który stoi na blankach największej w historii fortecy, dzierząc na barkach ostatnią nadzieję Drenajów, i czeka na największą na świecie armię. Gdzie indziej mógłby być?

Powoli zgromadziły się wokół niego tłumy, jako że coraz więcej ludzi schodziło się pod Eldibar. W niedługim czasie Druss przedzierał się przez zbity tłum na blankach, podczas gdy jeszcze więcej żołnierzy zebrało się na otwartej przestrzeni za nimi. Wspiął się na zakończony blankami mur i odwrócił się twarzą do nich. Jego głos zadudnił, uciszając rozmowy. – Spójrzcie dokoła! – zawołał. Zamigotały w słońcu srebrne naramienniki na czarnym, skórzanym kaftanie, zaśniła siwa broda. – Spójrzcie teraz wokół siebie. Ludzie, których widzicie, są waszymi towarzyszami – waszymi braćmi. Z wami będą żyć i dla was umierać. Was osłaniać i za was przelewać krew. Nigdy w życiu nie zaznacie już takiego braterstwa. A jeśli dożyjecie mojego wieku, zawsze będziecie pamiętać ten dzień i dni, które po nim nastąpią.

Zapamiętacie je z wyrazistością, w jaką nigdy nie uwierzylibyście. Każdy dzień będzie jak kryształ lśniący w waszych myślach.

– Tak, czeka nas krew i zamęt, tortury i ból – i to także będziecie pamiętać. Jednak ponad wszystko zapamiętacie słodki smak życia. Nic się z tym nie może równać, chłopcy.

– Możecie wierzyć słowom starego. Może już teraz uważacie, że życie jest słodkie. Jednak kiedy od śmierci dzieli was jedno uderzenie serca, wtedy życie staje się nieznośnie drogie. I jeżeli przeżyjesz, wszystko będzie miało większą wartość i przyniesie większą radość; blask słońca, wiatr, dobre wino, usta kobiety, śmiech dziecka.

– Życie jest niczym, jeżeli nie staniesz twarzą w twarz ze śmiercią.

– W czasach, które nadejdą, mężczyźni będą mówili: „Chciałbym być tam z nimi”. Wtedy powód nie będzie już ważny.

– Stoicie przed decydującą chwilą w historii świata. Kiedy ta bitwa się skończy, wszystko ulegnie zmianie: albo ponownie podniosą się Drenajowie, albo powstanie nowe imperium.

– Tak więc tworzyacie historię. – Druss spociał się i czuł dziwne zmęczenie, ale wiedział, że musi

mówić dalej. Rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie sagę Siebena z czasów Elderów i patetyczne słowa elderskiego generała. Bez skutku. Zrobił głęboki wdech, smakując słodczyz górskiego powietrza.

– Niektórzy z was myślą pewnie, że mogą przerazić się i uciec. Nie uciekniecie! Inni martwią się tym, że umrą. Niektórzy z was tak. Jednak wszyscy umierają. Nikt nie ujdzie śmierci.

– Walczyłem pod Skeln Pass, gdy wszyscy twierdzili, że jesteśmy skończeni. Mówili, że szansę są zbyt nierówne, lecz ja im mówiłem, pał was diabli! Bowiem ja jestem Druss i nigdy nie zostałem pobity, ani przez Nadirów, ani przez Sathuli, Ventrian, Vagrian czy Drenajów. Na wszystkich bogów i demony tego świata, mówię wam – tutaj też nie zamierzam zostać pobity! –

Druss krzyknął wysokim głosem i uniósł w powietrze Snagę. Ostrze topora zabłysło w słońcu i żołnierze zaczęli skandować: – „Druss-Legenda! Druss-Legenda!” Żołnierze na innych murach nie mogli słyszeć słów Drussa, słyszeli jednak okrzyk i podjęli go. Echo roznosiło go po Dros Delnoch – rozległa kakofonia dźwięków, które grzmiały i huczały po szczytach, rozpędzały stada ptaków, wzbijających się w niebo i trzepoczących w przerażeniu. Wreszcie Druss podniósł rękę i stopniowo śpiew ucichł, chociaż wielu ludzi przybiegło z drugiego muru, aby usłyszeć jego słowa. Teraz już prawie pięć tysięcy ludzi zgromadziło się wokół Drussa.

– Jesteśmy rycerzami Dros Delnoch, obleżonego miasta. Stworzymy nową legendę, która przyćmi tę o Skeln Pass. I przyniesiemy śmierć tysiącom Nadirów. Tak, setkom tysięcy. Kim jesteśmy?

– Rycerzami Dros Delnoch! – ryknął tłum.

– Co przynosimy?

– Śmierć Nadirom!

Druss miał zamiar kontynuować, kiedy zobaczył, że głowy ludzi obracają się w stronę doliny. Kolumny kurzu w oddali tworzyły chmury, które wzbijały się w niebo jak przed burzą.

Jak ojciec wszystkich burz. Wtem, pośród kurzu zamigotały kopie Nadirów, którzy zapełniali dolinę ze wszystkich stron, sunęli do przodu, jak ogromna, ciemna lawina wojowników, za którymi podążali następni. Fala za falą pojawiali się w polu widzenia. Setki koni ciągnęły olbrzymie wieże oblężnicze, gigantyczne katapulty, pokryte skórą tarany. Widać było tysiące wozów i setki tysięcy koni, ogromne stada bydła i więcej ludzi niż umysł mógł ogarnąć. Nie było serca, które na ten widok nie zamarłoby w piersi. Rozpacz była prawie namacalna i Druss zaklął

cicho. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Czuł, że ich stracił. Odwrócił się twarzą do nadiryjskiej jazdy, niosącej sztandary plemienne z końskiego włosia. Teraz można już było rozróżnić twarze, ponure, przerażające. Druss wznosił Snagę w powietrze i stał w rozkroku jak kamienny posąg. Gniewnie spoglądał na nadiryjskich jeźdźców. Na jego widok ściągnęli cugle i podnieśli głowy. Wtem rozdzielili się i przepuścili herolda. Galopując na swym stepowym koniku, podjechał do bramy i skręcił pod mur, na którym stał Druss. Szarpnął wodze, gwałtownie osadzając wierzchowca. Koń stanął dęba i parsknął.

- Przynoszę rozkaz od lorda Ulryka – zawołał herold.
- Otwórzcie bramy, a oszczędzi wszystkich wewnątrz, oprócz tego siwobrodego, który go obraził.
- Ach, to znowu ty, tłusciuchu – powiedział Druss.
- Czy przekazałeś dokładnie moje słowa?
- Przekazałem, Krocząca Śmierci. Tak jak powiedziałaś.
- A on śmiał się, prawda?
- Śmiał się. I przysiągł, że dostanie twoją głowę. A lord Ulryk jest człowiekiem, który zawsze dotrzymuje słowa.
- To jest nas dwóch. A moim pragnieniem jest, żeby zatańczył na końcu łańcucha jak niedźwiedź w cyrku. I dokonam tego, choćbym musiał pójść sam do waszego obozu i przypiąć go do łańcucha.
- Twoje słowa są jak lód na ogniu, starcze – hałaśliwe i bezwartościowe – odparł herold. –

Znamy twoją siłę. Masz może jedenaście tysięcy ludzi, w większości chłopów. Wiemy wszystko, co trzeba wiedzieć. Spójrz na armię Nadirów! Jak możecie się utrzymać? Po co? Poddajcie się.

Zdajcie się na łaskę mojego pana.

– Chłopcze, widziałem wielkość twojej armii i nie robi na mnie wrażenia. Myślę o tym, aby odesłać moich ludzi z powrotem do domów. Kim wy jesteście? Garścią brzuchatych, krzywonogich włóczęgów z północy. Słyszę twoje słowa, ale nie opowiadaj mi, co możecie zrobić. Pokaż mi! I dość już gadania. Od dzisiaj to będzie mówić za mnie. Potrząsnął Snagą, a blask słońca odbił się od ostrza topora.

Gilad szturchnął Bregana w bok.

– Druss Legenda! – wzniósł okrzyk, a Bregan przyłączył się do niego wraz z tuzinem innych.

I znowu okrzyk rósł, a herold zawrócił konia i odjechał. Za nim grzmiały słowa: „Druss-Legenda! Druss-Legenda!” Druss patrzył w milczeniu, jak potężne maszyny oblężnicze pochylają się w stronę muru; ogromne drewniane wieże, wysokie na sześćdziesiąt stóp i szerokie na dwadzieścia, groźnie wyglądające katapulty na ogromnych drewnianych kołach. Niezliczone rzesze ludzi podnosiły i naprężyły tysiące lin, ustawiając maszyny, które podbiły Gulgothir.

Stary wojownik przypatrywał się bacznie tej scenie, szukając wzrokiem legendarnego mistrza wojny – Khitana. Nie zajęło to dużo czasu. Był centrum, okiem cyklonu, ośrodkiem spokoju wśród burzy. Tam gdzie się zatrzymał, ustawała praca, gdy wysłuchiowano jego instrukcji, a potem rozpoczynano na nowo ze wzmożoną intensywnością.

Khitan spojrzał na górujące blanki. Nie dostrzegł Kroczącej Śmierci, lecz wyczuł jego obecność i

uśmiechnął się.

– Jednym toporem nie powstrzymasz mojej pracy szepnął. Niespiesznie podrapał pokryty bliznami kikut na końcu ramienia. Dziwne, jak po tych wszystkich latach wciąż czuł palce.

Bogowie byli łaskawi tego dnia, gdy poborcy podatkowi z Gulgothir napadli na jego wieś. Miał

zaledwie dwanaście lat, gdy zabili jego rodzinę. Próbując ratować matkę, rzucił się na nich ze sztyletem ojca. Cios miecza posłał jego rękę w powietrze, tak że upadła obok ciała jego brata.

Ten sam miecz przebił jego pierś.

Do dziś dnia nie wiedział, dlaczego nie zginął razem z innymi mieszkańcami wsi i dlaczego Ulryk poświęcił tyle czasu, próbując go ratować. Jeźdźcy Ulryka zaskoczyli morderców i rozgromili ich, biorąc dwóch jeńców. Potem wojownik, który sprawdzał ciała, znalazł ledwie żywego Khitana. Zabrali go w stepy i położyli w namiocie Ulryka. Tam zasklepili krwawiący kikut wrzącą smołą, a ranę w boku opatrzyli mchem drzewnym. Prawie przez miesiąc leżał

półprzytomny, trzęsąc się w gorączce. Z tamtych strasznych czasów miał tylko jedno wspomnienie, wspomnienie, które zostanie z nim aż do śmierci.

Otworzył oczy i nad sobą zobaczył twarz, silną i władczą. Fiołkowe oczy emanowały siłą.

– Nie umrzesz, mały. Słyszysz mnie? – Głos był łagodny, lecz kiedy zapadł ponownie w koszmar i majaki, wiedział, że te słowa nie były obietnicą. To był rozkaz.

A rozkazy Ulryka należało wypełniać.

Od tego dnia Khitan pozostawał na służbie władcy Nadirów. Bezużyteczny w walce, nauczył

się wykorzystywać swój umysł, tworząc maszyny, za pomocą których jego pan mógł zbudować imperium. Dwadzieścia lat wojen i grabieży. Dwadzieścia lat dzikiej radości.

Ze swym małym poczem pomocników Khitan przedzierał się przez tłum zaabsorbowanych żołnierzy do pierwszej z dwudziestu wież oblężniczych. Był z nich szczególnie dumny. Ich konstrukcja zadziwiała prostotą. Wystarczy zbudować drewnianą skrzynię o trzech ścianach i wysokości dwunastu stóp. Wewnątrz umieścić drewniane stopnie prowadzące aż po dach.

Następnie postawić podobną skrzynię na szczycie pierwszej. Zabezpieczyć ją żelaznymi sworzniami. Jeżeli dodać trzecią skrzynię, otrzymamy wieżę. Taka wieża jest stosunkowo łatwa do montażu i rozbiórki, a części składowe można ładować na wozy i przetransportować wszędzie tam, gdzie potrzebował ich generał.

Pomimo prostej koncepcji, praktyczne użycie wież nastroczało wielu kłopotów. Pod ciężarem uzbrojonych ludzi załamywały się sufity, uginały się ściany, rozszczipiały koła, a co najgorsze, osiagająca ponad trzydzieści stóp konstrukcja była niestabilna i podatna na upadki.

Khitan przypominał sobie, jak przez prawie rok pracował ciężiej od niewolników i sypiał

mniej niż trzy godziny na dobę. Wzmocnił stropy, ale skutek był taki, że cała konstrukcja zrobiła się cięższa i mniej stabilna. Z rozpaczą doniósł o tym Ulrykowi. Władca Nadirów wysłał go do Ventrii, aby studiował na Uniwersytecie Tertullus. Czuł się poniżony i zniesławiony. Niemniej jednak usłuchał; zniósłby wszystko, aby zadowolić Ulryka.

Mylił się jednak, bowiem rok studiów pod kierunkiem Rębowa, ventryjskiego wykładowcy, okazał się najwspanialszym okresem jego życia.

Dowiedział się o środkach ciężkości, wektorach równoległych, a także potrzebie zachowania równowagi między siłami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Jego apetyt na wiedzę był

nienasycony, aż Rebow zaczął darzyć sympatią brzydkiego Nadira. W niedługim czasie smukły Ventrianin zaproponował Khitanowi mieszkanie w jego domu, gdzie studia można było kontynuować długo w noc. Nadir był niezmordowany. Często Rebow zasypiał na krześle, po to tylko, aby zbudzić się kilka godzin później i znaleźć małego, jednorękiego Khitana wciąż pochłoniętego zadanymi ćwiczeniami. Rebow był zachwycony. Rzadko który student wykazywał

takie uzdolnienia, a nigdy nie spotkał tak pracowitego człowieka.

Każda akcja, jak dowiedział się Khitan, wywoływała przeciwną, równą wielkością reakcję.

Tak więc, na przykład, podnośnik popchnięty u szczytu, musi wyrzucić równoważny nacisk o przeciwnym kierunku u stóp podtrzymującego go słupa. Tak poznał świat, w którym równowaga powstawała w wyniku zrozumienia istoty siły.

Dla niego Uniwersytet w Tertullus był rodzajem raju.

Odjeżdżając do domu, mały Nadir płakał, gdy obejmował wzruszonego Ventrianina. Rebow błagał go, aby zastanowił się jeszcze i przyjął posadę na uniwersytecie, a Khitan nie miał serca, żeby mu powiedzieć, że nie kusiło go to ani przez moment. Zawdzięczał życie jednemu człowiekowi i marzył tylko o tym, aby mu służyć.

Wróciwszy do domu, zabrał się do pracy. W trakcie budowy wieże dzielono na kondygnacje, dodając szeroką pod – stawę o rozmiarach pięć razy większych niż góra. Podczas przesuwania wieży na dwóch pierwszych poziomach ustawiali się ludzie, tworząc niezbędny balast. Kiedy już ustawiono ją pod murem, ze środka wieży zrzucano liny, zakończone metalowymi prętami, które wbijano w ziemię dla uzyskania stabilności. Koła zaopatrzone w żelazne szprychy i obręcze, a każda z wież otrzymała osiem kół dla prawidłowego rozłożenia ciężaru.

Wykorzystując nowo zdobytą wiedzę, zaprojektował katapulty i wyrzutnie. Ulryk był bardzo zadowolony, a Khitan nie posiadał się z radości.

Powracając do rzeczywistości, Khitan wspiał się na szczyt wieży i rozkazał ludziom opuścić przednią uchylną platformę. Spojrzał na mury odległe o trzysta kroków i zobaczył ubranego na czarno Kroczącą Śmierć, który przechylał się przez blanki.

Mury były tutaj wyższe niż w Gulgothir i Khitan dodał każdej wieży po jednym segmencie.

Rozkazawszy, aby jeszcze raz podniesiono platformę, sprawdził naprężenie odciągów i zszedł na dół, pokonując pięć poziomów. Przystawał tu i tam, sprawdzając podpórki lub wiązania.

Dziś wieczorem czterystu niewolników Khitana pójdzie pod mury usuwać skaliste podłoże przełęcz i co czterdzieści kroków rozmieszczając kołowroty. Kołowroty miały wysokość sześciu stóp i poruszały się w natłuszczonych łożyskach. Miesiące zabrało zaprojektowanie ich, a całe lata upłynęły nim wykonano je ku jego zadowoleniu. Dokonano tego w kuźni w stolicy Lentrii, tysiące mil na południe. Kosztowały fortunę i nawet Ulryk zachnął się, gdy usłyszał cenę.

Z czasem jednak dowiodły swej wartości.

Tysiące ludzi podciągną wieżę na około sześćdziesiąt stóp od muru. Liczba ciągnących zmniejszy się później, w miarę podjeżdżania do muru; liny o średnicy trzech cali zostaną owinięte wokół kołowrotów, przewleczone pod wieżą i ciągnięte od tyłu.

Niewolnicy, którzy kopali i mozolili się, aby uformować łoża kołowrotów, posługiwali się osłonami zabezpieczającymi od strzał. Jednak wielu ginęło od skał zrzucanych z muru. Nie obchodziło to Khitana. Martwiła go jednak możliwość zniszczenia kołowrotów, których nie zabezpieczały żelazne obudowy.

Rzuciwszy ostatnie tęskne spojrzenie na mury, udał się z powrotem do swojej kwatery na odprawę z saperami. Druss obserwował go, dopóki nie wszedł do miasta namiotów, wypełniającego teraz dolinę na głębokość około dwóch mil.

Tak wiele namiotów. Takie mnóstwo wojowników. Druss nakazał, aby obrońcy odpoczywali w każdej wolnej chwili, widząc na ich twarzach ślad strachu, ledwie powstrzymaną panikę w szeroko otwartych oczach. Sama liczba wrogów osłabiła morale. Zaklął cicho, zdjął swój czarny, skórzany kaftan, zszedł z blanków i osunął swe wielkie ciało na zachęcającą poniżej trawę. Kilka chwil później spał już. Mężczyźni tręcali się łokciami i wskazywali na niego; najbliżsi zachichotali, gdy zaczął chrapać. Nigdy nie mieli dowiedzieć się, że był to jego pierwszy sen od dwóch dni i położył się tam w obawie, że nogi nie doniosą go z powrotem do kwatery. Wiedzieli tylko, że to Druss. Kapitan Topora.

I że pogardza Nadirami.

Bowman, Hogun, Orrin i Caessa również zeszli z murów i skryli się w cieniu kantyny, a ubrany na zielono łucznik wskazał na śpiącego olbrzyma.

– Czy kiedykolwiek był taki drugi? – zapytał.

– Dla mnie wygląda na starego i zmęczonego – odrzekła Caessa. – Nie rozumiem, dlaczego odnosicie się do niego z taką czcią.

– Oczywiście, że rozumiesz – powiedział Bowman. – Jak zwykle prowokujesz, kochanie. No cóż,

taka jest natura twojego gatunku.

– Nie zgadzam się – zaprotestowała Caessa z uśmiechem. – Kim on jest, tak w ogóle? Jest wojownikiem. Nie więcej, nie mniej. Co takiego zrobił, że czynicie z niego bohatera? Machał

toporem? Zabijał ludzi? Ja też zabijałam. To nic wielkiego. O mnie nikt nie napisał sagi.

– Ale napiszą, moja piękna, napiszą – odparł Bowman. – Tylko daj im trochę czasu.

– Druss jest kimś więcej niż wojownikiem – rzekł Hogun cicho. – Myślę, że zawsze był kimś więcej. Jest normą, przykładem, jeśli wolisz...

– Przykładem tego, jak zabijać ludzi? – podsunęła Caessa.

– Nie, nie oto mi chodziło. Druss to każdy człowiek, który nie poddaje się, nie chce odejść, kiedy życie nie daje żadnej nadziei. Nie chce stać z boku, gdy alternatywą jest śmierć. Jest człowiekiem, który pokazał innym, że nie ma takiej rzeczy jak nieunikniona klęska. Podnosi ducha przez to, że jest Drusem i ponieważ jest postrzegany jako Druss.

– Słowa, słowa! – wtrąciła Caessa. – Wy mężczyźni jesteście wszyscy jednakowi. Zawsze górnotne słowa. Czy wyśpiewywalibyście pochwały chłopu, który przez lata walczy z nieurodzajem i powodziami?

– Nie – przyznał Hogun. – Jednak to właśnie życie takich jak Druss inspiruje rolników do walki.

– Bzdury! – szydziła Caessa. – Aroganckie bzdury. Rolnik nie dba o wojnę i wojowników.

– Nigdy nie wygrasz, Hogun – powiedział Bowman, przytrzymując otwarte drzwi kantyny. –

Poddaj się, póki możesz.

– W twoim myśleniu tkwi podstawowy błąd, Caesso – wtrącił nagle Orrin, podczas gdy inni członkowie grupy sadowili się wokół stołu na krzyżakach. – Ignorujesz oczywisty fakt, że ogromna większość naszych oddziałów tutaj to rolnicy. Zaciągnęli się tylko na czas trwania tej wojny.

– Uśmiechnął się łagodnie i skinął ręką na służącego.

– A więc tym łatwiej ich ogłupić – rzuciła Caessa.

– Wszyscy jesteśmy głupcami – zgodził się Orrin.

– Wojna to głupota i masz rację: mężczyźni uwielbiają udowodniać swoją wartość w walce.

Nie wiem dlaczego, ponieważ nigdy sam tego nie pragnąłem. Jednak widziałem to zbyt często u innych. Lecz nawet dla mnie Druss jest, jak powiedział Hogun, przykładem.

– Dlaczego? – zapytała.

– Nie umiem wyrazić tego słowami.

– Ależ oczywiście, że umiesz.

Orrin uśmiechnął się i potrząsnął głową. Napełnił ich kielichy białym winem, połamał chleb i podał go wszystkim. Przez chwilę jedli w milczeniu, a potem Orrin przemówił znowu.

– Istnieje pewien zielony liść nazywany Neptis. Kiedy się go żuje, przechodzi ból głowy, ustaje ból zęba. Nikt nie wie dlaczego; po prostu tak się dzieje. Podobnie jest z Drussem. Kiedy jest w pobliżu, strach wydaje się znikać. W ten sposób najlepiej umiem to wytłumaczyć.

– Na mnie nie ma takiego wpływu – przyznała Caessa.

Na blankach wieży Gilad i Bregan obserwowali przygotowania Nadirów. Wzdłuż murów, Dun Pinar nadzorował ustawianie zaostrzonych belek do odrzucania drabin oblężniczych, podczas gdy Bar Britan doglądał opróżniania z oleju dziesiątków naczyń. Puste dzbany ustawiono w wiklinowych koszach w różnych punktach wzdłuż muru. Nastrój był ponury.

Zamieniano niewiele słów, w czasie gdy żołnierze sprawdzali broń, ostrzyli i tak już ostre miecze, oliwili zbroje i sprawdzali każdą strzałę w kołczanach.

Hogun i Bowman razem wyszli z mesy, pozostawiając Orrina i Caessę zajętych rozmową.

Usiedli na trawie o jakieś dwadzieścia kroków od rębacza, a Bowman położył się na boku i oparł głowę na łokciu.

– Czytałem kiedyś fragmenty Księgi Elderów – powiedział łucznik. – Jeden wers szczególnie mnie w niej teraz uderza. „Nadejdzie chwila, pojawi się człowiek”. Nigdy żadna chwila nie wymagała bardziej właściwego człowieka niż obecne czasy. I pojawił się Druss. Opatrzność, jak myślisz?

– Wielkie nieba, Bowman! Nie robisz się chyba zabobonny, co? – zapytał, śmiejąc się Hogun.

– Raczej nie. Zastanawiam się tylko, czy istnieje coś takiego jak przeznaczenie, które zsyła takiego człowieka w takim momencie.

Hogun wyrwał źdźbło perzu i włożył je między zęby.

– W porządku, rozważmy argumenty. Czy możemy się utrzymać przez trzy miesiące, aż Woundweaver zbierze i wyszkoli armię?

– Nie. Nie z tą garstką ludzi.

– Nie ma więc znaczenia, czy pojawienie się Drussa jest zbiegiem okoliczności czy czymś innym. Możemy się utrzymać przez kilka dni dłużej dzięki szkoleniu, które przeprowadził, ale to nie wystarczy.

– Morale wzrosło, lepiej więc nie rozpowszechniaj tych poglądów.

– Czy masz mnie za głupca? Będę walczył przy boku Drussa i zginę, gdy przyjdzie czas, tak jak inni. Dzielę się moimi myślami z tobą, bo wiem, że zrozumiesz. Jesteś realistą, a ponadto, zostajesz tylko do upadku trzeciego muru. Z tobą mogę być szczery, to pewne.

– Druss utrzymał Skeln Pass, gdy inni mówili, że padnie – przypomniał Bowman.

– Przez jedenaście dni – nie trzy miesiące. Był też piętnaście lat młodszy. Nie pomniejszam tego co zrobił. Jest wart swoich legend. Rycerze Dros Delnoch! Czy kiedykolwiek widziałeś takich rycerzy? Chłopi, wieśniacy i surowi rekruci. Tylko legion widział prawdziwą bitwę, a i oni są szkoleni do nękających ataków z siodła. Możemy się załamać pod pierwszym natarciem.

– Jednak nie załamiemy się, nie! – powiedział Bowman ze śmiechem. – Jesteśmy rycerzami Drussa i zaczątkami nowej legendy. – Jego śmiech dźwięczał głośno, serdeczny i pełen dobrego humoru. – Rycerze Dros Delnoch!

Ty i ja, Hogun. W dniach, które nadejdą, ludzie będą o nas śpiewać. Dobry, stary Bowman, przybył na pomoc zagrożonej fortecy z miłości do wolności, swobody i waleczności...

– I złota. Nie zapominaj o złocie – dodał Hogun.

– To drugorzędna sprawa, stary. Nie niszczy podniosłego nastroju.

– Masz rację. Wybacz. Jednakże, na pewno musisz bohatersko umrzeć, zanim zostaniesz uwieczniony w pieśni i legendzie.

– Kwestia sporna – wtrącił Bowman. – Jednak z pewnością znajdę sposób, aby ją obejść.

Nad nimi, na Musifie, drugim murze, kilku szeregowcom rozkazano pomóc dźwigać wiadra do studni w wieży. Gderając opuścili blanki i dołączyli do żołnierzy, czekających przy magazynach.

Obładowani czterema drewnianymi wiadrami każdy, żołnierze poszli gęsiego w stronę płytkiego zagłębienia za budynkiem, gdzie w chłodnym cieniu gnieździła się studnia Musif.

Przymocowawszy wiadra do skomplikowanego systemu kół pasowych, opuścili je powoli w ciemną głębinę.

– Kiedy była ostatnio używana? – zapytał jeden z żołnierzy, gdy pierwsze wiadro pojawiło się z powrotem, całe spowite pajęczynami.

– Przypuszczalnie około dziesięciu lat temu – odpowiedział oficer, Dun Garta. – Ludzie, którzy mieli tutaj domy, używali studni centralnej. Kiedyś utopiło się tutaj dziecko i studnia była skażona przez prawie trzy miesiące. Ten fakt i obecność szcurów odstraszały ludzi.

– Czy udało się im wy dostać ciało? – zapytał szeregowiec.

– Nie słyszałem. Jednak nie martw się, chłopcze. Teraz to już tylko kości, które nie mają wpływu na smak. No, spróbuj.

– Zabawne, ale nie czuję pragnienia.

Garta roześmiał się i zanurzył ręce w wiadrze, podnosząc wodę do ust.

– Przyprawiona szczurzymi odchodami i przybrana zdechłymi pajakami! – powiedział. –

Jesteście pewni, że nikt nie chce?

Ludzie uśmiechnęli się, ale nikt nie wystąpił do przodu.

– No dobrze, zabawa skończona – rzekł Garta. Kołowroty działają, wiadra gotowe, więc powiedziałbym, że zadanie wykonane. Zamknijmy bramę i wracajmy do pracy.

Gartę obudził w nocy ból, który rozdzierał mu trzewia jak szalejący w pułapce szczur. Kiedy zwałił się z łóżka, próbując wstać, jego jęki obudziły pozostałych trzech ludzi, z którymi dzielił

pokój. Jeden z nich podbiegł do Garty.

– Co z tobą, Garta? – zaniepokoił się, odwracając wijącego się mężczyznę na plecy. Garta podciągnął kolana, a jego twarz zrobiła się fioletowa. Wyciągnął rękę, chwytając tamtego za koszulę.

– Ta... woda! Woda! – Zakrztusił się.

– Chce wody! – krzyknął podtrzymujący go mężczyzna.

Garta potrząsnął przecząco głową. Nagle wyprężył się pod wpływem przeszywającego bólu.

– O bogowie! On nie żyje – oznajmił jego towarzysz, gdy Garta bezwładnie opadł mu w ramiona.

ROZDZIAŁ 19

Na godzinę przed świtem Rek, Serbitar, Virae i Vintar siedzieli wokół małego, obozowego ogniska. Obóz rozbili późną nocą, w osłoniętej kotlinie na południowym zboczu zalesionego wzgórza.

– Czasu jest mało – rzekł Vintar. – Konie wyczerpane, a do twierdzy jeszcze przynajmniej pięć godzin jazdy.

Możemy się tam dostać, zanim wydadzą wodę, albo nie. W rzeczywistości już może być za późno. Mamy jednakże jeszcze jedną możliwość.

– Jaką? – zapytał Rek.

– To musi być twoja decyzja, Rek. Nikt inny nie może jej podjąć.

– Po prostu powiedz mi, Opacie. Jestem zbyt zmęczony, by myśleć.

Vintar wymienił spojrzenia z albinosem.

– Możemy – cała Trzydziestka – połączyć nasze siły i spróbować przerwać barierę otaczającą fortecę.

– Zatem próbujcie – odparł Rek. – W czym tkwi problem?

– Pochłonie to wszystkie nasze moce i może się nie udać. Jeśli się nie powiedzie, nie będziemy mieć siły, aby jechać dalej. Faktycznie, nawet jeśli się powiedzie, będziemy potrzebować odpoczynku przez większość dnia.

– Czy sądzisz, że możecie przerwać barierę? – powiedziała Virae.

– Nie wiem. Możemy tylko próbować.

– Pomyśl, co się stało, kiedy Serbitar spróbował przypomnieć Rek. – Możecie wszyscy zostać zepchnięci w... to coś. Co wtedy?

– Zginiemy – odrzekł cicho Serbitar.

– I mówicie, że wybór należy do mnie?

– Tak – odpowiedział Vintar – ponieważ reguła Trzydziestu jest jedna. Ślubowaliśmy nasze usługi panu Delnoch; ty nim jesteś.

Rek milczał przez chwilę, a waga decyzji przytłoczyła jego zmęczony umysł. Zaczął

rozmyślać o tak wielu innych zmartwieniach w swoim życiu, które w swoim czasie wydawały się ważne. Nigdy jednak nie stanął przed podobnym wyborem. Zmęczenie mąciło mu w głowie i nie mógł się skupić.

– Zróbcie to! – zdecydował. – Przerwijcie barierę. – Podniósł się i odszedł od ogniska, wstydząc się, że zmuszono go do wydania tego rozkazu, wtedy gdy jego mózg nie pracował

jasno.

Dołączyła do niego Virae i objęła go w pasie.

– Przykro mi – powiedziała.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu moich słów, wtedy gdy powiedziałeś mi o liście.

– To nie ma znaczenia. Dlaczego miałabyś dobrze o mnie myśleć?

– Ponieważ jesteś mężczyzną i zachowujesz się jak mężczyzna – odparła. – Teraz twoja kolej.

– Moja kolej?

– Na przeprosiny, głupku! Uderzyłeś mnie. Przyciągnął ją do siebie, podniósł do góry i pocałował.

– To nie były przeprosiny – zażartowała. – I podrapałeś mnie swoją szczecina.

– Jeśli cię przeproszę, czy pozwolisz mi zrobić to jeszcze raz?

– To znaczy, uderzyć mnie?

– Nie, pocałować!

W zagłębieniu pod wzgórzem Trzydziestu sformowało krąg wokół ogniska, odpinając miecze i układając je na ziemi u swych stóp.

Zaczęli się jednoczyć, a ich umysły uwolniły się i spłynęły strumieniem do Vintara.

W zakamarkach podświadomości powitał każdego po imieniu.

Zlali się w jedno. Połączona moc zatrzęsa opatem i musiał walczyć o zachowanie własnej świadomości. Niewielka cząstka, która była Vintarem, trwała w tym nowym kolosie, odpychając połączoną istotę o dwudziestu dziewięciu osobowościach.

Teraz istniała tylko jedna.

Nazwała siebie Temple-Swiątynia i urodziła się pod gwiazdami Delnoch.

Tempie śmignął w chmury i rozpostarł swe eteryczne ramiona ponad turniami Delnoch.

Szybował triumfalnie, spijając nowymi oczami widoki wszechświata. Wzbierał w nim śmiech. Vintar zwijał się w środku, wchodząc coraz głębiej w rdzeń.

Na koniec Tempie uświadomił sobie istnienie opata, choć jedynie jako drobny szczegół majaczący na krawędzi nowego istnienia.

– Dros Delnoch. Zachód.

Tempie poszybował na zachód, wysoko nad turniami. Pod nim leżała milcząca forteca, szara i upiorna w świetle księżyca. Opadł ku niej i napotkał opór.

Bariera?

Dla niego?

Uderzył w nią – i został odrzucony w ciemność, gniewny i zraniony. Jego oczy zapłonęły i poznał wściekłość: ta bariera sprawiła mu ból.

Tempie ponownie rzucił się w stronę Dros, i znowu, i jeszcze raz uderzył z przerażającą siłą.

Bariera zadrżała i zmieniła kształt.

Tempie cofnął się zmieszany, patrzył.

Bariera nałożyła się na siebie jak wirująca mgła. Potem pociemniała w gęsty pióropusz, czarniejszy od nocy. Wyłoniły się ramiona, uformowały nogi, wyrosła rogata głowa o siedmiu skośnych, czerwonych ślepiach.

Tempie nauczył się wiele w czasie tych kilku minut istnienia. Radość, wolność, i wiedza o życiu przysły pierwsze. Potem ból i gniew.

Teraz poznał strach i zło.

Wróg rzucił się na niego, a zakrzywione, czarne szpony szarpały niebo. Tempie stawiał mu czoło, zamykając w ciasnym uścisku. Ostre zęby rozrywały mu twarz, szpony wpijały się w ramiona. Jego własne, ogromne pięści zacisnęły się na kręgosłupie potwora, przyciągając go do siebie.

Poniżej, na Musifie, trzy tysiące ludzi zajmowało pozycje. Mimo wszelkich sprzeciwów, Druss odmówił poddania pierwszego muru bez walki i czekał tam z sześcioma tysiącami ludzi.

Orrin wściekał się na niego, że takie działanie to głupota; szerokość muru czyniła jego obronę prawie niemożliwą. Druss upierał się nawet wtedy, gdy Orrina poparł Hogun.

– Zaufajcie mi – zachęcał ich Druss. Brakowało mu jednak słów, żeby ich przekonać.

Próbował im wytłumaczyć, że ludziom potrzeba małego zwycięstwa pierwszego dnia, żeby podnieść ich kiepskie morale.

– To ryzykowne, Druss! – zauważył Orrin. – Możemy przegrać pierwszego dnia. Czy nie rozumiesz tego?

– Ty jesteś ganem – warknął wtedy Druss. – Możesz powziąć przeciwną decyzję, jeśli chcesz.

– Jednak nie zrobię tego, Druss. Będę stał u twego boku na Eldibarze.

– I ja – powiedział Hogun.

– Zobaczycie, że mam rację – odparł Druss. Obiecuję wam.

Obaj mężczyźni przytaknęli, uśmiechem zakrywając rozpacz.

Teraz dyżurni stali w kolejce przy studniach, gromadząc wiadra i roznosili je wzdłuż blanków, przestępując przez ciała i nogi śpiących jeszcze mężczyzn.

Na pierwszym murze Druss zanurzył miedziane naczynie w wiadrze i pił z niego długo. Nie był

pewien, czy Nadirowie zaatakują tego dnia. Instynkt podpowiadał mu, że Ulryk odczeka jeszcze jeden dzień morderczego napięcia, pozwalając, aby widok jego armii przygotowującej się do walki wyssał odwagę z obrońców i pozbawił ich nadziei. Nawet jeśli tak miało być, to Druss miał niewielki wybór. Ten ruch należał do Ulryka: Drenajowie mogli tylko czekać.

Ponad nimi Tempie znosił wściekłość bestii; ramiona oraz plecy miał poszarpane i szybko opadał z sił. Rogaty potwór także osłabł. Obaj stanęli oko w oko ze śmiercią.

Tempie nie chciał umierać, nie teraz, gdy tak krótko zakosztował gorzko-słodkiego smaku życia. Pragnął zobaczyć z bliska wszystkie te rzeczy, które dostrzegł z daleka: kolorowe światła rozszerzających się gwiazd, ciszę w centrum odległych słońc.

Zacisnął chwyt. Nie będzie radości światła ani dreszczu ciszy, jeśli to monstrum zostanie żywe. Nagle potwór wydał jęk, wysoki, przeraźliwy dźwięk, niesamowity i mrozący. Jego kręgosłup trzasnął, a stwór rozwiął się jak mgła.

Półprzytomny wewnątrz duszy Temple'a Vintar wydał okrzyk.

Tempie spojrział w dół i obserwował ludzi – drobne kruche stworzenia, przygotowujące się do przełamania postu chlebem i wodą. Vintar krzyknął jeszcze raz i Tempie zmarszczył brwi.

Wskazał palcem na mur. Ludzie zaczęli wrzeszczeć, ciskając kubki i wiadra z blanków Musif. W każdym z naczyń pływały i wirowały czarne robaki. Coraz to nowi ludzie zrywali się na nogi, biegali i krzyczeli.

– Co, u diabła, dzieje się tam na górze? – powiedział Druss, gdy dotarł do niego hałas.

Spojrział w dół na Nadirów i zobaczył, że biegną od maszyn oblężniczych w kierunku namiotowego miasta. – Nie wiem, co się dzieje – zdziwił się Druss. – Nagle nawet Nadirowie uciekają. Wracam na Musif.

W mieście namiotów Ulryk był nie mniej rozgniewany, przeciskając się do obszernego namiotu Nosta Khana. Jednak gdy stanął naprzeciw wartownika przed namiotem, odzyskał swój chłodny spokój.

Nowiny rozchodziły się po obozie jak pożar janowca w stepie: o brzasku w namiotach sześćdziesięciu pomocników Nosta Khana rozległy się przeraźliwe wrzaski. Strażnicy wbiegli do środka i znaleźli wijących się na ziemi mężczyzn z przetrąconymi kręgosłupami, ich ciała były wygięte jak przeciążone łuki.

Ulryk wiedział, że Nosta Khan zgromadził swych pomocników, wykorzystując ich połączoną moc, aby zniszczyć białych templariuszy, nigdy jednak w pełni nie rozumiał towarzyszących temu niebezpieczeństw.

– I cóż? – zapytał wartownika.

– Nosta Khan żyje – odpowiedział mu żołnierz. Ulryk podniósł połę i wszedł do cuchnącego namiotu Nosta Khana. Starzec leżał na wąskiej prycy, twarz miał szarą z wyczerpania, a skórę zlaną potem.

Ulryk przysunął stołek i usiadł obok niego.

– Moi akolici? – wyszeptał Nosta Khan.

– Wszyscy nie żyją.

– Byli dla mnie zbyt silni, Ulryku – powiedział stary. – Zawiodłem cię.

– Ludzie już nie raz mnie zawiedli – odparł Ulryk. – To nie ma znaczenia.

– Dla mnie to ma znaczenie! – wykrzyknął szaman, krzywiąc się, gdy mimowolnie naprężył mięśnie pleców.

– Duma – odrzekł Ulryk. – Przecież niczego nie straciłeś. Zostałeś pobity przez silniejszego przeciwnika. Niewiele przez to zyskają, bo moja armia i tak zdobędzie Dros. Nie mogą się utrzymać. Odpocznij – i nie ryzykuj, szamanie. To rozkaz!

– Usłucham.

– Wiem, że usłuchasz. Nie chcę, żebyś zginął. Czy przyjdą po ciebie?, – Nie. Biali templariusze mają silne poczucie honoru. Jeśli nie wejdę im w drogę, zostawią mnie w spokoju.

– Więc odpocznij. A kiedy będziesz silny, każemy im zapłacić za twoją krzywdę.

Nosta Khan uśmiechnął się.

– Tak jest.

Daleko na południu, Tempie mknął do gwiazd. Vintar nie mógł go powstrzymać i starał się zachować spokój, kiedy przerażenie Temple'a pchało go w dal. W chwili śmierci wroga Vintar próbował wezwać Trzydziestu z głębi nowego umysłu kolosa. Wtedy Tempie wejrzał w siebie i odkrył Vintara.

Vintar próbował wytłumaczyć swoją obecność i konieczność zrezygnowania przez Temple'a ze swej indywidualności. Tempie pojął prawdę i uciekł od niej, jak kometa szukająca niebios.

Opat ponownie spróbował wezwać Serbitara, przeszukując niszę, w której umieścił albinosa, w zakamarkach swej podświadomości. Iskierka życia będąca albinosem zajaśniała, obserwowana przez opata, i Tempie zadrżał, jakby pozbawiono go części świadomości. Zwolnił lot.

– Dlaczego mi to robisz? – zapytał Vintara.

– Bo muszę.

– Ja zginę!

– Nie. Będziesz żył w nas wszystkich.

– Dlaczego musisz mnie zabić?

– Naprawdę żałuję – powiedział łagodnie Vintar. Z pomocą Serbitara odszukał Arbedarka i Menahema. Tempie skurczył się. A Vintar zamknął ze smutkiem serce przed wszechogarniającą rozpaczą. Czterej wojownicy wezwali pozostałych członków Trzydziestu i z żalem powrócili w dolinę.

Rek podbiegł do Vintara, gdy ten otworzył oczy i poruszył się.

– Zdążyliście na czas? – zapytał.

– Tak – mruknął Vintar zmęczonym głosem. – Daj mi teraz odpocząć.

Godzinę przed zmierzchem Rek, Virae i Trzydziestu wjechali pod wielki portyk bramy kasztelu Delnoch. Ich konie były zmęczone i pokryte pianą. Ludzie rzucili się powitać Virae, żołnierze zdejmowali hełmy, a mieszczanie pytali o wieści z Drenanu. Rek trzymał się na uboczu, aż znaleźli się w kasztelu. Młody oficer odprowadził Trzydziestu do koszar, podczas gdy Rek i Virae udali się do komnat na najwyższych piętrach.

Zdjął ubranie, wykapał się w zimnej wodzie, a potem zgolił czterodniowy zarost, klnąc, gdy ostra brzytwa – dar Horeba – zadrasnęła mu skórę. Otrzeptał odzież z kurzu i ponownie włożył ją.

Virae poszła do swoich pokoi, a on nie miał pojęcia, gdzie one są. Przypiął do pasa miecz i zszedł

z powrotem do głównej sali, dwukrotnie pytając służących o drogę. Znalazłszy się tam, usiadł

samotnie, spoglądając na marmurowe posągi pradawnych bohaterów. Czuł się zagubiony: nieważny i przygnębiony.

Kiedy przybyli, dowiedzieli się, że nadiryjska horda stoi pod murami. Mieszkańców miasta ogarnął niemal wyczuwalny strach, a mieszczanie gremialnie opuszczali miasto w wyładowanych po brzegi wozach – długa, smętna karawana zmierzająca na północ.

Rek nie był pewien, co w tej chwili czuje; zmęczenie czy głód. Z trudem wstał, zachwiał się lekko i głośno zaklął. Obok drzwi wisiało owalne lustro wielkości człowieka. Spoglądając w nie, ujrzał wysokiego, barczystego i krzepkiego mężczyznę. Szaroniebieskie oczy zdradzały zdecydowanie, broda silną wolę, a sylwetka wytrzymałość na trudy. Błękitna peleryna, choć zniszczona podróżą, wciąż dobrze na nim leżała, a sięgające uda irchowe buty, nadawały mu wygląd kawalerzysty.

Kiedy Rek patrzył na księcia Dros Delnoch, widział siebie tak, jak mieli go widzieć inni. Nie mogą dostrzec wewnętrznych wątpliwości, lecz wizerunek, który sam stworzył.

I niech tak będzie.

Opuścił salę i zatrzymał pierwszego napotkanego żołnierza, żeby zapytać go, gdzie można znaleźć Drussa. Na pierwszym murze, odparł żołnierz i opisał położenie bocznej bramy. Wysoki młody książę ruszył w stronę Eldibaru o zachodzie słońca; przechodząc przez miasto, zatrzymał

się i kupił mały bochenek miodowego ciasta, które zjadł po drodze. Ściemniało się, gdy dotarł do bocznej bramy pierwszego muru, ale wartownik wskazał mu przejście i Rek w końcu wszedł na otwartą przestrzeń za pierwszą ścianą. Chmury przysłoniły księżyc, tak, że prawie wpadł do rowu ogniowego, wykopanego w poprzek pola. Młody oficer pozdrowił go i pokazał mu pierwszy drewniany most przerzucony nad rowem.

– Jesteś jednym z łuczników Bowmana? – zapytał żołnierz, nie rozpoznając wysokiego nieznanego.

– Nie. Gdzie jest Druss?

– Nie mam pojęcia. Może być na blankach, albo możesz spróbować w kantine. Jesteś posłańcem, tak?

– Nie. Gdzie jest kantine?

– Widzisz te światła? To szpital. Za nim jest magazyn: idź prosto, aż poczujesz zapach latryn, potem skręć w prawo. Na pewno trafisz.

– Dzięki.

– Żaden kłopot. Jesteś rekrutem?

– Tak – odparł Rek. – Coś w tym rodzaju.

– Lepiej pójde z tobą.

– Nie ma potrzeby.

– Ależ jest – rzekł mężczyzna i Rek poczuł, że jakiś ostry przedmiot kłuje go w krzyż. – To ventryjski sztylet, więc radzę nie robić gwałtownych ruchów.

– O co chodzi?

– Po pierwsze, niedawno ktoś próbował zabić Drussa, a po drugie, nie znam cię – odparł

żołnierz. – Ruszaj więc; znajdziemy go razem.

Poszli razem w kierunku kantyny. Kiedy podeszli bliżej, usłyszeli hałas, dochodzący z budynków. Z blanków zawołał do nich wartownik; żołnierz odpowiedział i zapytał o Drussa.

– Jest na murze przy bramie – padła odpowiedź.

– Tędy – powiedział żołnierz i Rek wspiął się po krótkich schodach na blanki. Nagle stanął

jak wryty. Na równinie tysiące pochodni i małych ognisk oświetlało obozowisko Nadirów. Wieże obłącznicze przysiadły okrakiem na przełęczy, jak drewniane olbrzymy. Jak okiem sięgnąć, całą dolinę rozświetlały ognie; widok niczym wizja najniższych kręgów piekieł.

– Niezbyt miły widok, prawda? – powiedział żołnierz.

– Nie sędzę, aby w dzień wyglądało to lepiej – odparł Rek.

– Masz rację – zgodził się żołnierz. – Ruszajmy. Ujrzeni Drussa, siedzącego na blankach i gawędzącego z małą grupką żołnierzy. Opowiadał cudownie ubarwioną, niesamowitą historię, którą Rek słyszał już wcześniej. Zabawna puenta wywołała pożądany efekt i ciszę nocy przerwał

wybuch śmiechu.

Druss śmiał się serdecznie razem z żołnierzami, gdy nagle dostrzegł przybyszów. Odwrócił się i zmierzył wzrokiem wysokiego mężczyznę w błękitnej pelerynie.

– Tak? – zapytał żołnierza.

– Szukał ciebie, Kapitanie, więc go przyprowadziłem.

– Ściśle mówiąc – dodał Rek – myślał, że jestem zabójcą. Stąd ten sztylet wymierzony w moje plecy.

Druss uniósł brwi.

– A jesteś?

– Ostatnio nie. Czy możemy porozmawiać?

– Wydaje się, że właśnie to robimy.

– Sami.

– Zaczynaj mówić, a ja zdecyduję, jak bardzo prywatna będzie ta rozmowa – powiedział

Druss.

– Nazywam się Regnak. Właśnie przybyłem z wojownikami ze Świątyni Trzydziestu oraz Virae, córką Delnara.

– Porozmawiamy w cztery oczy – zdecydował Druss. Odeszli na bok.

– Mów – rozkazał Druss i wbił zimne spojrzenie w twarz Ręka.

Rek usiadł na blankach i spojrzał w dół na rozmigotaną dolinę.

– Dużo ich, prawda?

– To cię przeraża?

– Od stóp do głów. Widzę, że chyba nie jesteś w nastroju, aby ułatwić mi tę rozmowę, więc po

prostu przedstawię sytuację. Na dobre i złe, jestem księciem. Nie jestem głupcem, ani generałem, chociaż często te dwa określenia oznaczają to samo. Na razie nie będę niczego zmieniał. Jednak zapamiętaj jedno... nie ustąpię nikomu, kiedy dojdzie do podejmowania decyzji.

– Myślisz, że sypianie z córką księcia daje ci takie prawo? – zapytał Druss.

– Dobrze wiesz, że tak! Jednak nie o to chodzi. Walczyłem nie raz i znam się na strategii równie dobrze, jak każdy inny żołnierz. Ponadto mam Trzydziestu, a z nimi nikt nie może się równać. Jednak co ważniejsze, jeśli mam zginąć w tym strasznym miejscu, nie zginę jako przypadkowa ofiara. Mam zamiar kierować moim życiem.

– Bardzo wiele chcesz wziąć na swoje barki, chłopcze.

– Nie więcej, niż mogę udźwignąć.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie – powiedział szczerze Rek.

– Tak sądziłem – odrzekł Druss z szerokim uśmiechem. – Co, do diabła, skłoniło cię do przybycia tutaj?

– Chyba los miał poczucie humoru.

– Za moich czasów zawsze tak było. Wyglądasz na rozsądnego młodego człowieka.

Powinieneś zabrać dziewczynę do Lentrii i tam założyć dom.

– Druss, nikt nie zabierze Virae tam, gdzie ona nie chce być. Została wychowana na wojnie i opowieściach o niej; może z pamięci recytować wszystkie legendy o tobie, a także historie wszystkich twoich kampanii. Jest Amazonką i właśnie tutaj chce być.

– Jak się spotkaliście?

Rek opowiedział o podróży z Drenanu przez Skultik, o śmierci Reinarda, świątyni Trzydziestu, o ślubie na statku i potyczce z Sathuli. Stary bez komentarzy słuchał tej opowieści.

– I oto jesteśmy – zakończył Rek.

– A więc jesteś berserkerem – rzucił Druss.

– Tego nie powiedziałem! – odparł Rek.

– Ależ powiedziałaś, chłopcze – nie wspominając L.. o tym. To nie ma znaczenia.

Walczyłem u boku wielu takich jak ty. Jestem tylko zdziwiony, że Sathuli pozwolili wam przejechać; nie są znani jako ludzie honoru.

– Myślę, że ich przywódca – Joachim – jest wyjątkiem. Druss, byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspominał nikomu, że jestem berserkerem.

Druss zaśmiał się.

– Nie bądź głupi, chłopcze! Jak długo, twoim zdaniem, uda ci się utrzymać to w tajemnicy, kiedy zjawią się tu Nadirowie? Trzymaj się mnie, a ja zadbam o to, abyś nie zabił nikogo z naszych.

– To miło z twojej strony, ale myślę, że mógłbyś być nieco bardziej gościnnie. W gardle wyszło mi, jak na pustyni.

– Nie ma wątpliwości, że gadanie bardziej wysusza niż walka – powiedział Druss. – Chodź, znajdziemy Hoguna i Orrina. To ostatnia noc przed bitwą, trzeba ją uczcić.

ROZDZIAŁ 20

Gdy brzask rozjaśnił niebo rankiem trzeciego dnia, pierwsze pociski spadły na mury Dros Delnoch. Tysiące zlanych potem wojowników przyciągnęło setki balist. Napinając mięśnie, Nadirowie odchyłili gigantyczne ramiona wyrzutni, tak że plecione kosze na końcach znalazły się prawie w poziomie. Do każdego kosza załadowano poszarpany, granitowy głaz.

Obrońcy patrzyli z przerażeniem, jak kapitan Nadirów uniósł rękę. Potem ręka opadła, a powietrze wypełnił deszcz śmiertelnych pocisków, które grzmiały i rozbijały się pośród i wokół obrońców. Blanki zatrzęśły się od spadających głazów. W pobliżu wieży nad bramą trzech ludzi zostali zmiażdżeni, gdy fragment umocnień rozpadł się pod uderzeniem ogromnego głazu.

Wzdłuż muru ludzie szukali osłony, przypadając do ziemi i osłaniając głowy rękami. Hałas był

przerażający; cisza, która nastąpiła po nim, pełna trwogi. Gdy bowiem pierwszy grzmiący atak ucichł i żołnierze podnieśli głowy, aby spojrzeć w dół, zobaczyli, że w dole rozpoczyna się ten sam proces. Masywne drewniane ramiona poszły w dół. Uniosła się ręka kapitana. I opadła.

I lunął deszcz śmierci.

Rek, Druss i Serbitar stali na bastionie nad bramą, znosząc pierwszy horror wojny razem z ludźmi. Rek nie zgodził się, aby stary wojownik został sam, chociaż Orrin ostrzegwał, że to szaleństwo, aby obaj wodzowie stali w jednym miejscu. Druss śmiał się.

– Ty i pani Virae będziecie patrzeć z drugiego muru, mój przyjacielu. I dopilnujecie, aby żaden nadiryjski kamyk nie zwałił mnie z nóg.

Virae, wściekła, nalegała, aby pozwolono jej być na pierwszym murze razem ze wszystkimi, ale Rek zdecydowanie odmówił. Kłótnię zakończył krótko Druss: – Słuchaj męża, kobieto! –

zagrzmiał. Rek skrzywił się na to, zamykając oczy przed oczekiwanym wybuchem. Ku jego zdziwieniu, Virae skinęła tylko głową i wycofała się na Musif, drugi mur, aby stanąć u boku Hoguna i Orrina.

Teraz Rek przykucnął obok Drussa, po czym spojrział w lewo i w prawo wzdłuż murów.

Z mieczami i włóczniami w dłoniach, mężczyźni z Dros Delnoch czekali ponuro, aż skończy się ta mordercza burza.

Podczas drugiego ładowania katapult Druss zarządził, aby połowa ludzi wycofała się pod drugi mur, poza ich zasięg. Dołączyli do łuczników Bowmana.

Atak kontynuowano przez trzy godziny, ścierając na proch kawałki muru, masakrując ludzi i druzgocąc jedną z wystających wież, która zapadła się pod tytanicznym ciosem i powoli runęła w dolinę poniżej. Większości ludzi udało się uskokczyć w bezpieczne miejsce, a tylko czterech zostało ściągniętych poza krawędź i z krzykiem rozbiło się na skałach w dole.

Noszowi, nie zważając na grad pocisków, znosili rannych do szpitala polowego Eldibar.

Kilka głazów spadło na budynek, ale jak dotąd żaden nie przebił jego solidnej konstrukcji. Bar Britan, czarnobrody i potężny, z mieczem w dłoni biegł wraz z noszowymi, poganiając ich.

– Bogowie, to dopiero męstwo! – powiedział Rek, trącąc Drussa łokciem i wskazując na nich. Druss przytaknął, zauważając podziw, z jakim Rek przyglądał się odwadze tamtego. Serce Ręka otworzyło się dla Britana, gdy ten ignorował morderczy grad.

Co najmniej pięćdziesięciu ludzi zniesiono z pola. Mniej niż obawiał się Druss. Podniósł się, aby wyrzeć za blanki.

– Już wkrótce – powiedział. – Gromadzą się za wieżami oblężniczymi.

Przez mur przeleciał głaz i uderzył o dziesięć kroków od niego, rozrzucając ludzi jak piasek na wietrze. Jakimś cudem, tylko jeden nie podniósł się z ziemi, pozostali dołączyli do towarzyszy. Druss podniósł rękę, dając znak Orrinowi. Zagrała trąbka, a Bowman i reszta ludzi rzucili się do przodu. Przebiegli przez otwartą przestrzeń, przez mostki nad rowami ogniowymi i dalej na blanki, a każdy z łuczników niósł pięć kołczanów po dwadzieścia strzał.

Z wrzaskiem niemal namacalnej nienawiści Nadirowie pociągnęli na mury wielką czarną masą, jak ciemna fala przyływu, która miała zmieść Dros z powierzchni ziemi. Tysiące barbarzyńców zaczęło pchać ogromne wieże oblężnicze do przodu, podczas gdy inni biegli z drabinami i sznurami. Równina przed murami ożyła, gdy Nadirowie wylali się na nią, wydając swe okrzyki bojowe.

Zdyszany i zasapany Bowman pojawił się obok Drussa, Ręka i Serbitara. Banici rozstawili się wzdłuż muru.

– Strzelajcie, gdy będziecie gotowi – rozkazał Druss. Odziany w zieleń banita przejechał smukłą dłonią po swych blond włosach i uśmiechnął się.

– Nie można chybić – powiedział. – Jednak równie dobrze można by pluć na wiatr.

– Każdy mały krok zbliża do celu – odparł rębacz. Bowman napiął cisowy łuk i założył

strzałę. Ten gest powtórzono tysiącrotnie po jego lewej i prawej. Bowman wycelował

w prowadzącego wojownika i zwolnił cięciwę, a grot świsnął w powietrzu i wbił się w skórzany kaftan tamtego. Kiedy trafiony zachwiał się i upadł, wzdłuż murów podniósł się hałaśliwy wiwat.

Za pierwszą pofrunęło tysiąc strzał, potem jeszcze tysiąc i jeszcze. Wielu wojowników nadiryjskich niosło tarcze, ale wielu ich nie posiadało. Setki tych, których dosięgły strzały, padło, tarasując drogę idącym za nimi. Jednak tłuszcza parła dalej, rozdeptując rannych i zabitych.

Uzbrojony w vagryjski łuk Rek słał grot za grotem w gęsty tłum, a jego brak umiejętności nie miał znaczenia, bo jak powiedział Bowman, nie sposób było chybić. Strzały stanowiły mizerny odpowiednik olbrzymich pocisków, niedawno wyrzucanych przeciw nim z balist. Jednak zbierały większe żniwo.

Nadirowie znajdowali się już na tyle blisko, że można było rozróżnić poszczególne twarze.

Groźnie wyglądają, pomyślał Rek, są odważni i twardzi, wychowani do wojny i krwi. Wielu z nich nie miało zbroi, inni jedynie kolczugi, ale większość okrywały napierśniki z lakierowanej skóry i drewna. Ich wrzaskliwe okrzyki wojenne były prawie zwierzęce. Nie można było rozróżnić słów; jedynie zawartą w nich nienawiść. Jak gniewny skowyt jakiejś ogromnej, rodzącej się bestii, pomyślał Rek, czując w żołądku znajomy skurcz strachu.

Serbitar podniósł przyłbicę i wychylił się przez blanki, nie zwracając uwagi na nieliczne przemykające ponad nim i obok niego strzały.

– Ludzie z drabinami doszli już do muru – powiedział cicho.

Druss odwrócił się do Ręka. – Kiedy ostatni raz stałem u boku księcia Dros Delnoch w bitwie, daliśmy początek legendzie – rzekł.

– Najdziwniejsze w legendach jest to – odparł Rek – że rzadko wspominają o spieczonych ustach i pełnych pęcherzach.

Nad murem przeleciał hak mocujący.

– Jakieś ostatnie rady? – zapytał Rek, wyszarpując miecz z pochwy.

Druss uśmiechnął się, wyciągając Snagę.

– Żyj! – powiedział.

Następne żelaza do mocowania zadzwoniły po murze, natychmiast naprężając się z szarpnięciem i wbijając w kamień, gdy setki rąk pociągnęły je w dół. Obrońcy gorączkowo smagali je ostrymi jak brzytwy klingami, dopóki Druss nie rozkazał im przestać.

– Poczekajcie, aż zaczną po nich wchodzić! – krzyknął. – Nie zabijajcie sznurów – zabijajcie ludzi!

Serbitar, który studiował sztukę wojenną od ukończenia trzynastego roku życia, z obojętną fascynacją obserwował przysuwanie wież oblężniczych. Oczywistym zamiarem przeciwnika było wprowadzenie na mury jak największej liczby ludzi za pomocą drabin i sznurów, a następnie przyciągnięcie do nich wież. Rzeź pośród żołnierzy na dole była przerażająca, jako że Bowman i jego łucznicy zasypywali ich strzałami. Jednak miejsce martwych i umierających niezmiennie zajmowali następni.

Na murach, pomimo wściekłego odcinania sznurów, ogromna ilość haków i rzucających pozwoliły pierwszym wojownikom nadiryjskim dostać się na blanki.

Hoguna, który z pięcioma tysiącami wojowników znajdował się na Musifie, drugim murze, okrutnie korciło, aby zapomnieć o rozkazach i pobiec na pomoc pierwszemu murowi. Był jednak zawodowym żołnierzem, nawykłym do dyscypliny, więc trwał na stanowisku.

Tsubodai czekał u dołu liny na swoich współplemieńców, którzy powoli wspinali się ponad nim. Jakieś ciało przeleciało obok niego i roztrzaskało się na ostrych skałach, a krew opryskała jego napierśnik z lakierowanej skóry. Rozciągnął usta w uśmiechu, poznając wykrzywione rysy Nestzana, biegacza, na którego niedawno postawił.

– To mu się należało – powiedział do stojącego obok. – Gdyby biegał tak szybko, jak spadał, to nie straciłbym tyle pieniędzy!

Wspinający się nad nimi ludzie zatrzymali się teraz, gdy drenajscy obrońcy zaczęli spychać atakujących. Tsubodai spojrzał w górę, na mężczyznę wiszącego nad nim.

– Jak długo masz zamiar tam wisieć, Nakrash? – zawołał. Mężczyzna wykręcił swe ciało, żeby spojrzeć w dół.

– To te dzikusy, Green Steppe – krzyknął. – Nie wspięliby się nawet na krowę.

Tsubodai zaśmiał się serdecznie i odsunął się nieco od liny, aby zobaczyć, jak szło innym wspinaczom. Podobnie było wzdłuż całego muru: nikt nie posuwał się do przodu, a z góry dochodziły echa walki. Kiedy na skałach wokół niego zaczęły się rozбивać ciała, dał nura pod osłonę muru.

– Będziemy tu tkwić cały dzień – powiedział. Khan powinien wysłać jako pierwszych Wolfsheadów. Ci Greens byli bezużyteczni pod Gulgothir, a tutaj są jeszcze gorsi.

Jego kompan roześmiał się i wzruszył ramionami.

– Znowu możemy ruszać – powiedział. Tsubodai chwycił powiazaną w supły linę i podciągnął się w górę, tuż za Nakrashem. Miał dobre przecucia co do dzisiejszego dnia. Może uda mu się wygrać konie, które Ulryk obiecał za ścięcie siwobrodego, o którym wszyscy mówili.

Krocząca Śmierć. Brzuchaty, stary człowiek bez tarczy.

– Tsubodai – zawołał Nakrash. – Chyba nie umrzesz dzisiaj, co? Nie póki jesteś mi winien za ten wyścig.

– Widziałeś, jak spadał Nestzan? – odkrzyknął Tsubodai. – Jak strzała. Trzeba było widzieć, jak wymachiwał ramionami. Jakby chciał odepchnąć od siebie ziemię.

– Będę na ciebie uważał. Nie umieraj, słyszysz mnie?

– Uważaj na siebie. Zapłacę ci końmi Kroczącej Śmierci.

Kiedy wspięli się wyżej, miejsca pod nimi zajęli kolejni współplemieńcy. Tsubodai spojrział w dół.

– Hej, ty! – zawołał. – Chyba nie jesteś jednym z tych zawszonych Greens, co?

– Sądząc po zapachu, ty musisz być jednym z Wolfsheadów – odpowiedział zaczepiony ze śmiechem.

Nakrash wspiął się na blanki, wyciągnął miecz i odwrócił, żeby wciągnąć za sobą Tsubodai.

Napastnicy wbili się klinem w linię Drenajów, a mimo to ani Nakrash, ani Tsubodai nie mogli włączyć się do walki.

– Odsuńcie się! Zróbcie miejsce! – wołał człowiek za nimi.

– Tam czekaj, ty kozi oddechu – powiedział Tsubodai. – Poproszę zaraz tych okrąglookich, żeby ci pomogli. Hej, Nakrash, wyprostuj te swoje długie nogi i powiedz mi, gdzie jest Krocząca Śmierć.

Nakrash wskazał na prawo.

– Myślę, że wkrótce będziesz miał okazję powalczyć o te konie. Wydaje się, że jest coraz bliżej.

Tsubodai wskoczył lekko na mur i wyciągnął szyję, aby zobaczyć starego w akcji.

– Ci Greens po prostu podchodzą i proszą się o jego topór, głupcy.

Jednak nikt go nie usłyszał poprzez wrzawę.

Gęsty tłum ludzi przed nimi rzedniał szybko, Nakrash wskoczył w pustą przestrzeń i otworzył cięciem krtań Drenaja, który rozpaczliwie próbował uwolnić swój miecz z brzucha jakiegoś Nadira. Tsubodai wkrótce znalazł się tuż za nim, rąbiąc i tnąc wysokich, okrąglookich południowców.

Ogarnęła go żądza walki, tak jak zawsze w ciągu dziesięciu lat wojen pod sztandarem Ulryka. Był młodzikiem, kiedy zaczęła się pierwsza bitwa, a on doglądał kóz swojego ojca na granitowym stepie, na dalekiej północy. Ulryk zaledwie od kilku lat dowodził wojskiem. Podbił

plemię Long Monkey i zaproponował jego członkom, aby dołączyli do niego pod własnym

sztandarem. Odmówili i zginęli wszyscy co do jednego. Tsubodai pamiętał ten dzień: Ulryk osobiście przywiązał ich wodza do dwóch koni i kazał go rozdrzeć na pół. Ścięto osiemset głów, a zbroje zabitych rozdano takim młodzikom jak Tsubodai.

W czasie następnego napadu atakował w pierwszym szeregu. Gat-sun, brat Ulryka, chwalił go bardzo i podarował mu tarczę obitą krowią skórą i okutą mosiądzem. Przegrał ją w kości jeszcze tego samego wieczora, ale wciąż wspominał czule ten dar. Biedny Gat-sun! Ulryk kazał go ściąć następnego roku za bunt. Tsubodai walczył przeciwko niemu i znajdował się wśród tych, którzy najgłośniej wiwatowali, kiedy spadła jego głowa. Teraz, posiadając siedem żon i czterdzieści koni, Tsubodai był bardzo bogatym człowiekiem. A to wszystko jeszcze przed ukończeniem trzydziestego roku życia.

Bogowie kochali go z pewnością.

Włócznia rozorała mu bark. Jego miecz śmignął jak wąż i na wpół odciął ramię dzierżące włócznię. Och, jak kochali go bogowie! Tarczą zablokował spadającą klingę.

Nakrash przyszedł mu z pomocą, rozpruwając przeciwnika, który z jękiem padł na ziemię, aby zniknąć pod stopami napierających z tyłu wojowników.

Po prawej Nadirowie zostali odrzuceni, a Tsubodai odepchnięty, gdy Nakrash dostał włócznią w bok. Klinga Tsubodai świsnęła w powietrzu, tnąc lansjera wysoko w szyję; trysnęła krew i trafiony upadł do tyłu. Tsubodai spojrzał na Nakrasha, który leżał, wijąc się u jego stóp i ścisnął rękami śliskie drzewce włóczni.

Nachyliwszy się, odciągnął przyjaciela z pola walki. Nic więcej nie mógł zrobić, ponieważ Nakrash umierał. To było okropne i popsuło humor młodemu żołnierzowi. Przez ostatnie dwa lata Nakrash był dobrym kompanem. Podnosząc wzrok, zobaczył ubraną na czarno postać z siwą brodą, która torowała sobie drogę, w obryzanych krwią rękach dzierżąc straszliwe toporzysko ze srebrnej stali.

Tsubodai natychmiast zapomniał o Nakrashu. W tym momencie myślał tylko o koniach obiecanych przez Ulryka. Parł naprzód na spotkanie rębacza, obserwując jego ruchy i oceniając technikę. Dobrze się rusza, jak na takiego starego człowieka, pomyślał Tsubodai, gdy stary wojownik zablokował mordercze cięcie i na odlew uderzył toporem w twarz kolejnego przeciwnika, który z wrzaskiem runął z muru.

Tsubodai skoczył, zadając proste pchnięcie w brzuch starego. Od tego momentu miał wrażenie, że cała scena rozgrywała się pod wodą. Siwobrody wojownik zwrócił swe błękitne oczy na napastnika, któremu zimny dreszcz przeleciał po plecach. Topór jakby popłynął ku ostrzu jego miecza, odbijając pchnięcie, następnie ostrze zawróciło i zdumiewająco wolno rozłupało pierś Tsubodai. Jego ciało uderzyło plecami o mur i opadło tuż obok Nakrasha.

Spoglądając w dół, zobaczył, że jasną krew zastąpiła ciemna, płynąca z arterii. Wepchnął dłoń w

rozcięcie, krzywiąc się, gdy złamane żebro wygięło się pod dotknięciem pięści.

– Tsubodai? – powiedział cicho Nakrash. W jakiś sposób dźwięk dotarł do niego. Nachylił się nad przyjacielem, podpierając jego głowę ramieniem.

– Słyszę cię, Nakrash.

– Prawie miałeś te konie. Byłeś blisko.

– Cholernie dobry, ten stary, prawda? – odparł Tsubodai.

Zgiełk bitwy cichł. Tsubodai zdał sobie sprawę, że zagłusza go huk podobny do łoskotu morza przetaczającego kamienie.

Przypomniał sobie dar Gat-suna i to jak ów plunął w twarz Ulrykowi w dniu swojej egzekucji.

Tsubodai uśmiechnął się. Lubił Gat-suna.

Żałował, że wiwatował wtedy tak głośno.

Żałował...

Druss ciął linę i odwrócił się, stając twarzą w twarz z wojownikiem nadiryjskim, który wspinał się na mur. Odbiwszy w bok pchnięcie miecza, rozplątał mu czaszkę, przestąpił przez jego ciało i zaczął walczyć z kolejnym, zamaszystym ciosem rozcinając mu brzuch. W tej chwili nie czuł swego wieku. Był tam, gdzie zawsze chciał być – w sercu największej bitwy. Za nim, Rek i Serbitar walczyli razem, a smukły rapier albinosa i ciężki, długi miecz Ręka zbierały obfite żniwo.

Teraz do Drussa przyłączyło się kilku drenajskich żołnierzy i wspólnie oczyścili swój odcinek murów. Po obu stronach, pięć tysięcy trwających na pozycjach wojowników powtórzyło tę samą czynność. Odczuli to również Nadirowie, gdyż powoli, cał po cał, Drenajowie spychali ich w tył. Plemieńcy zaczęli walczyć ze zdwojoną determinacją, siekąc i zabijając z dziką wprawą. Mieli utrzymać się tylko do momentu, gdy pomosty wież obłąznicznych dotkną murów; wtedy wesprą ich kolejne tysiące towarzyszy. A ci byli tylko o kilka jardów.

Druss obejrzał się do tyłu. Bowman i jego łucznicy stali pięćdziesiąt kroków za nim, kryjąc się za niewielkimi, pospiesznie porozpalanymi ogniskami. Druss podniósł dłoń i pomachał do Hoguna, który wydał rozkaz trębaczowi.

Wzdłuż murów kilkuset ludzi wycofało się z walki, po to by podnieść zalakowane woskiem gliniane naczynia i cisnąć nimi w zbliżające się wieże. Naczynia roztrzaskały się o drewniane ramy, rozpryskując ciemny płyn, który poplamił drewno.

Gilad, z mieczem w jednej, a glinianym garnkiem w drugiej ręce odparował pchnięcie smagłego rębacza, uderzył mieczem w twarz tamtego i rzucił swoją kulę. Miał tylko tyle czasu, aby zobaczyć, jak rozbija się w otwartym wejściu na szczycie wieży, gdzie tłoczyli się nadiryjscy wojownicy, nim

natarli na niego dwaj kolejni napastnicy. Pierwszego wypatroszył jednym pchnięciem, aby stwierdzić, że jego miecz utknął mu w brzuchu umierającego. Drugi z atakujących wrzasnął i rzucił się na Gilada, który puścił rękojeść swego miecza i odskoczył

w tył. W tym momencie inny wojownik drenajski przejął Nadira, zablokował cięcie i zamaszystym ciosem prawie odrąbał mu głowę. Gilad wyrwał miecz z ciała Nadira i uśmiechem podziękował Breganowi.

– Nieźle, jak na chłopca! – krzyknął, ponownie włączając się do walki i przecinając osłonę brodatego wojownika, dzierżącego nabijaną żelazem pałkę. – Teraz, Bowman! – krzyknął Druss.

Banici nałożyli strzały z końcami owiniętymi namoczonymi w oleju szmatami i przytrzymali je nad ogniem. Płonące strzały przeleciały ponad blankami i zadudniły o ściany wież oblężniczych. Natychmiast wystrzeliły płomienie, a czarny dym, gęsty i duszący, wzbil się na porannym wietrze. Jedna z ognistych strzał wpadła przez otwarte wejście wieży, gdzie rozbiło się naczynie Gilada i wbiła się w nogę Nadira, którego ubranie przesiąknięte było olejem. W ciągu kilku sekund wojownik zmienił się w żywą, wyjąca z bólu ludzką pochodnię, miotającą się wkoło i podpalającą towarzyszy.

Kolejne gliniane garnki poszybowały w powietrzu, podsycając ogień na dwudziestu wieżach, a wiatr przeniósł aż na mury okropny smród palącego się mięsa.

Z oczami piekącymi od gryzącego dymu Serbitar uwijał się wśród Nadirów, a jego miecz rozsiewał eldrycki urok. Uśmiercał bez wysiłku, jak maszyna o morderczej, budzącej grozę mocy. Jakiś wojownik podkrał się od tyłu z uniesionym do ciosu nożem, lecz Serbitar nagle odwrócił się i jednym płynnym ruchem rozplatał mu krtań.

– Dziękuję, Bracie – nadał impuls do Arbedarka na drugim murze.

Rek, któremu brakowało wdzięku i morderczej szybkości Serbitara, używał swego miecza z nie gorszym skutkiem, chwyciwszy go oburącz, aby jak maczugą utorować sobie drogę do zwycięstwa u boku Drussa. Rzucony nóż ześliznął się po jego napierśniku i rozciął skórę na bicepsie. Zaklął i zignorował ból, tak jak ignorował inne lekkie rany otrzymane tego dnia: skaleczenie na udzie i żebra otarte oszczepem, który odbił się od napierśnika i kolczugi.

Pięciu Nadirów przebiło się przez obronę i popędziło w stronę bezbronnych noszowych.

Bowman z odległości czterdziestu kroków przeszył strzałą pierwszego, Caessa drugiego, a Britan podbiegł ze swymi ludźmi przejąć pozostałych. Walka była krótka i zaciekła, a krew martwych Nadirów splamiła ziemię.

Powoli, prawie niezauważalnie, bitwa przyjmowała nowy obrót. Coraz mniej plemieńców pięło się na mury, ponieważ ich towarzysze zostali zepchnięci z powrotem na blanki i nie było miejsca na nowe punkty oparcia. Nadirowie walczyli teraz nie o zwycięstwo, lecz przetrwanie.

Koło wojennej fortuny – w najlepszym razie kapryśnej – odwróciło się i teraz oni stali się obrońcami.

Jednak Nadirowie byli ludźmi ponurymi i odważnymi. Nie krzyčili i nie błagali o litość, ale stawiali opór i ginęli w walce.

Jeden po drugim padli, aż ostatni wojownicy zostali zrzućeni z murów, aby roztrzaskać się na skałach u podnóża.

Armia nadiryjska w ciszy wycofała się z pola, a znalazłszy się poza zasięgiem strzał, osunęła się na ziemię, patrząc na Dros mętnym, pełnym nie skrywanej nienawiści wzrokiem. Czarne chmury dymu unosiły się nad dopalającymi się wieżami, a wokół było czuć odór śmierci.

Rek oparł się na blankach i otarł twarz zakrwawioną ręką. Druss podszedł do niego, wycierając Snagę kawałkiem obszarpanej szmaty. Krew plamiła stalowoszarą brodę starego, który uśmiechnął się do nowego księcia.

– A więc posłuchałeś mojej rady, chłopcze?

– Próbowałem – powiedział Rek. – Mimo to nie najgorzej dawaliśmy sobie dziś radę.

– To była tylko wycieczka. Prawdziwy sprawdzian przyjdzie jutro.

Druss mylił się. Jeszcze trzykrotnie atakowali Nadirowie tego dnia, nim zmierzch odesłał ich z powrotem do ognisk, przygnębionych i chwilowo pokonanych. Na blankach strudzeni obrońcy osuwali się na zlaną krwią ziemię, zrzucając hełmy i tarcze. Noszowi znosili z pola rannych, podczas gdy trupy pozostawiono na razie na miejscu, jako że ich potrzeby nie były już takie pilne. Wydzielono trzy drużyny dla sprawdzenia ciał Nadirów. Zmarłych zrzucano z blanków, a żyjących szybko dobijano, zanim poszli w ślad za tamtymi.

Druss przetarł zmęczone oczy. Ramię miał zeszywniałe ze zmęczenia, kolano spuchnięte, a kończyny ciężkie jak z ołowiu. Przetrwał jednak ten dzień w lepszym stanie, niż oczekiwał.

Rozejrzał się wokół. Niektórzy wyciągnęli się i spali na kamieniach. Inni siedzieli tylko, plecami wsparci o mur, ze szklistymi oczami, błędząc daleko myślami. Niewiele było rozmów. W oddali, miody księżę rozmawiał z albinosem. Obaj walczyli dobrze i albinos sprawiał wrażenie wypoczętego; tylko spryskany krwią biały płaszcz i napierśnik świadczyły o krwawej pracy.

Jednak Regnak wyglądał na strudzonego za dwóch. Jego twarz, szara z wyczerpania, postarzała się, a rysy wyostrzyły. Wymieszały się na nich krew, kurz i pot, a przez założony naprędce bandaż na przedramieniu zaczynała sączyć się krew.

– Jesteś całkiem niezły, chłopcze – powiedział cicho Druss.

– Druss, jak się czujesz? – zapytał Bowman.

– Miewałem lepsze dni – warknął stary, prostując się gwałtownie i zgrzytając zębami pod wpływem bólu w kolanie. Młody łucznik omal nie popełnił błędu, podając mu pomocne ramię, ale powstrzymał się w porę.

– Chodź, poznaj Caesę – zaproponował.

– Kobieta jest chyba ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję. Prześpię się trochę – odparł

Druss. – Właśnie tutaj będzie dobrze.

Oparty plecami o mur, łagodnie ześliznął się na ziemię, bolące kolano trzymając wyprostowane. Bowman odwrócił się i poszedł z powrotem do kantyny, gdzie znalazł Caesę i wytłumaczył jej o co chodzi. Po krótkiej sprzeczce zgarnęła nieco bandaży, Bowman znalazł

dzban wody i w gęstniejącym mroku wrócili pod mur. Druss spał, lecz obudził się, kiedy podeszli.

Dziewczyna była piękną, bez wątpienia. Włosy miała rude, ale w świetle księżyca mieniące się złotem, dopasowane kolorem do brązowych plamek w oczach. Pobudziła w nim krew, jak mało która kobieta w tym okresie jego życia. Jednak było w niej coś jeszcze, coś nieosiągalnego. Przykucnęła przy nim, a jej smukłe palce delikatnie dotykały spuchniętego kolana Drussa. Chrząknął, gdy przycisnęła mocniej. Potem zdjęła but i podwinęła nogawkę spodni. Kolano było odbarwione i opuchnięte, żyły poniżej zgrubiałe i obrzmiałe.

– Połóż się – nakazała mu. Przesuwała się wzdłuż jego ciała, lewą dłonią trzymając jego udo; podniosła nogę i prawą ręką chwyciła za kostkę. Powoli zgięła staw.

– W kolanie jest woda – powiedziała, ostrożnie kładąc nogę na ziemię i zabrała się do masażu stawu. Druss zamknął oczy. Stopniowo z ostrego ból przeszedł w tępy i jednostajny.

Upływały minuty i wojownik zapadł w drzemkę. Obudziła go lekkim klepieniem w łydkę i zobaczył, że kolano ma już ciasno obandażowane.

– Jakie jeszcze masz problemy? – zapytała chłodno.

– Żadnych – odparł.

– Nie kłam, starcze. Od tego zależy twoje życie.

– Boli mnie bark – przyznał się.

– Teraz możesz już chodzić. Chodź ze mną do szpitala, a ja złagodzę ból. – Gestem przywołała Bowmana, który pochylił się i pomógł rębaczowi wstać. Kolano zachowywało się lepiej niż w ciągu kilku ostatnich tygodni.

– Masz prawdziwy talent, kobieto – pochwalił ją. – Prawdziwy talent.

– Wiem. Idź powoli – zaczniesz boleć, nim dojdziemy na miejsce.

W bocznym pomieszczeniu szpitala kazała staremu zdjąć ubranie. Bowman uśmiechnął się i oparł o drzwi z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Wszystko? – zapytał Druss.

– Tak. Wstydzisz się?

– Nie, jeśli ty się nie wstydzisz – odrzekł Druss, wysuwając się z kaftana i koszuli, a potem siadając na łóżku, aby zdjąć spodnie i buty.

– Co teraz? – zapytał.

Caessa stanęła przed nim, przyglądając mu się krytycznie i przesunęła dłońmi po jego szerokich barkach, badając mięśnie.

– Wstań – poleciła mu – i odwróć się. – Posłuchał, a ona dokładnie obejrzała jego plecy. –

Podnieś prawe ramię nad głowę – powoli.

Podczas badania Bowman obserwował starego wojownika, dziwiąc się ilości blizn, jakie ten miał na sobie. Wszędzie: z przodu i z tyłu; jedne długie i proste, inne poszarpane; niektóre zszywane, inne wystające, z zachodzącymi na siebie krawędziami. Także jego nogi nosiły liczne ślady lżejszych ran. Jednak największa ich liczba znajdowała się na torsie. Bowman uśmiechnął

się. Zawsze stawałeś twarzą do wrogów, Druss, pomyślał.

Caessa kazała staremu wojownikowi położyć się na brzuchu i zaczęła masować mu plecy, ugniatając i rozcierając węzły mięśni.

– Przynieś mi trochę oliwy – poprosiła Bowmana, nie odwracając się. Przyniósł maść z magazynu, a potem pozostawił dziewczynę przy pracy. Przez ponad godzinę masowała starego człowieka, aż ramiona omdlały jej ze zmęczenia. Druss już dawno zapadł w sen, nakryła go więc kocem i wyszła z pokoju. W korytarzu przystanęła na chwilę, nasłuchując jęków rannych w prowizorycznych oddziałach i patrząc, jak sanitariusze asystują chirurgom. Odór śmierci był tu wyjątkowo silny, tak więc wyszła na zewnątrz, w mrok nocy.

Gwiazdy świeciły jasno jak zamrożone płatki śniegu na aksamitnym kocu, ze srebrną monetą księżyca pośrodku. Zadrzała. Przed nią jakiś wysoki mężczyzna w czarno-srebrnej zbroi podążał

w stronę kantyny. Był to Hogun. Zobaczył ją, pomachał ręką, zmienił kierunek i podszedł do niej. Zakłęła bezgłośnie; była zmęczona i nie miała ochoty na męskie towarzystwo.

– Jak on się czuje? – zapytał Hogun.

– Jest twardy! – powiedziała.

– Wiem, Caesso. Cały świat o tym wie. Ale jak się czuje?

– Jest stary i zmęczony – wyczerpany. I to po jednym tylko dniu. Nie możecie wiązać z nim zbyt wielkich nadziei. Ma kolano, które w każdej chwili może mu odmówić posłuszeństwa, i obolały

bark, którego stan będzie się wciąż pogarszać, oraz zbyt wiele wapnia w stawach.

– Malujesz obraz w czarnych kolorach – odparł generał.

– Mówię, jak jest. To cud, że jeszcze żyje. Nie rozumiem, jak ktoś w jego wieku, z jego dolegliwościami, mógł walczyć cały dzień i wytrwać.

– A szedł wszędzie tam, gdzie walka była najzagorzalsza – dorzucił Hogun. – I tak samo zrobi jutro.

– Jeśli chcecie, żeby przeżył, upewnijcie się, że pojutrze będzie odpoczywał.

– Nigdy się na to nie zgodzi – powiedział Hogun.

– Ależ zgodzi się. Być może przetrwa jutrzejszy dzień – chociaż wątpię. Jednak jutro wieczorem prawie nie będzie mógł ruszać ramieniem. Pomogę mu, ale będzie musiał

odpoczywać co trzeci dzień. A jutro, na godzinę przed świtem, chcę mieć w jego pokoju wannę gorącej wody. Wymasuję go znowu przed bitwą.

– Poświęcasz wiele czasu człowiekowi, którego opisałaś jako zmęczonego starca i z którego czynów jeszcze niedawno drwiłaś.

– Nie bądź głupcem, Hogun. Poświęcam mu tyle cza – su, ponieważ jest stary i zmęczony, a chociaż nie darzę go taką czcią jak wy, widzę, że jest potrzebny ludziom. Setkom małych chłopców, bawiących się w żołnierzy, aby wyrzeć wrażenie na starcu, który żyje wojną.

– Dopilnuję, żeby pojutrze odpoczął – zaoferował Hogun.

– Jeśli dożyje – dodała ponuro Caessa.

ROZDZIAŁ 21

Przed północą poznano już straty poniesione w pierwszym dniu bitwy. Zginęło czterystu siedmiu żołnierzy. Było stu sześćdziesięciu ośmiu rannych, w tym połowa niezdolna do dalszej walki.

Lekarze wciąż pracowali, a liczba ofiar nieustannie rosła. Wielu Drenajów pospadało z blanków w czasie walki i tylko ogólny apel ujawniłby dokładną ich liczbę.

Rek był przerażony, choć próbował nie okazywać tego podczas spotkania z Hogunem i Orrinem w gabinecie nad wielką salą. W spotkaniu uczestniczyło siedem osób: Hogun i Orrin reprezentowali wojsko, Bricklyn ze strony mieszczan oraz Serbitar, Vintar i Virae. Reкови udało się ukraść cztery godziny snu i czuł się świeższy; albinos wcale nie spał i nie wydawał się zmęczony.

– To ciężkie straty jak na jeden dzień walki – powiedział Bricklyn. – W takim tempie nie utrzymamy się dłużej niż dwa tygodnie. – Jego siwiejące włosy były ufryzowane według mody, panującej na dworze drenajskim, to jest zaczesane gładko za uszy i mocno podkrecone u nasady szyi. Twarz, choć mięsista, była przystojna i posiadała wyuczony wdzięk. Ten człowiek to polityk i dlatego nie można

na nim polegać, pomyślał Rek.

Serbitar zwrócił się do Bricklyna.

– Statystyka pierwszego dnia niczego nie wnosi – odparł. – Ziarno oddziela się od plew.

– Cóż oznaczają twoje słowa, książę Dros Segril? – zapytał mieszczanin, a pytanie zabrzmiało ostrzej bez wyćwiczonego uśmiechu.

– Nie ma w tym braku szacunku dla zmarłych – odpowiedział Serbitar. – Takie są realia wojny, że najgorzej wyszkoleni padają pierwsi. Na początku straty są zawsze największe. Ci ludzie walczyli dobrze, lecz wielu spośród tych, którzy zginęli, nie miało wystarczających umiejętności – i dlatego zginęli. Wysokość strat obniży się, chociaż wciąż będzie duża.

– Czy nie powinniśmy zastanowić się nad tym, jaka liczba jest dopuszczalna? – rzucił

mieszczanin, patrząc na młodego księcia. – Przede wszystkim, jeśli założymy, że ostatecznie Nadirowie i tak zdobędą mury, jaki jest sens stawiania oporu? Czy nasze życie nie ma znaczenia?

– Czy proponujesz złożenie broni? – zapytała Virae.

– Nie, pani – odparł gładko Bricklyn. – O tym muszą zdecydować wojskowi, a ja poprę każdą podjętą przez nich decyzję. Jednak uważam, że powinniśmy rozważyć wszystkie możliwości. Dzisiaj zginęło czterystu ludzi i należy oddać im cześć za ich ofiarę. A co będzie jutro? A pojutrze? Musimy to przemyśleć, by nie przedkładać dumy nad rzeczywistość.

– O czym on mówi? – Virae skierowała pytanie do Ręka. – Nic z tego nie rozumiem.

– O jakich możliwościach mówisz? – zagadnął Rek.

– Według mnie są tylko dwie. Walczymy i zwyciężamy, albo walczymy i przegrywamy.

– Tak to wygląda w chwili obecnej – wyjaśnił Bricklyn. – Musimy jednak myśleć o przyszłości. Czy wierzycie, że możemy się utrzymać? Jeśli tak, winniśmy walczyć nadal ze wszystkich sił. Jednak jeśli nie, to musimy dążyć do zawarcia honorowego pokoju, podobnie jak zrobiły to inne narody.

– Co to jest honorowy pokój? – zapytał Hogun cicho.

– Mamy z nim do czynienia wtedy, gdy wrogowie stają się przyjaciółmi, a kłótnie idą w niepamięć. Wtedy, gdy przyjmujemy lorda Ulryka w mieście jako sojusznika Drenanu, uzyskawszy od niego wpierw obietnicę, że nie uczyni żadnej krzywdy jego mieszkańcom.

W ostateczności wszystkie wojny kończą się podobnie, czego dowodzi obecność tutaj Serbitara, księcia Vagrii. Trzydzieści lat temu toczyliśmy wojnę z Vagrią. Teraz jesteśmy przyjaciółmi. Za trzydzieści lat będziemy, być może, odbywali podobne spotkania z książętami Nadirow. Musimy spojrzeć na to perspektywnie.

– Rozumiem twój punkt widzenia – powiedział Rek – i uznaję go za dobry.

– Ty możesz tak myśleć. Inni nie! – warknęła Virae.

– To dobry punkt widzenia – kontynuował gładko Rek.

– Na tych spotkaniach nie ma miejsca na potrząsanie szabelką. Musimy, tak jak mówisz, przyjrzeć się realiom. A oto one: po pierwsze, jesteśmy dobrze wyszkoleni, nieźle zaopatrzeni i bronimy najpotężniejszej fortecy, jaką kiedykolwiek wybudowano. Po drugie, Magnus Woundweaver potrzebuje czasu na wyszkolenie i zebranie armii, aby stawić opór Nadirom nawet po upadku Delnoch. Nie ma powodu rozmawiać o poddaniu, lecz zachowamy twe słowa w pamięci na przyszłość.

– A teraz, czy mamy jeszcze coś do omówienia, ponieważ jest już późno i zatrzymywaliśmy cię bardzo długo, mój drogi Bricklynie?

– Nie, milordzie. Myślę, że zakończyliśmy nasze sprawy – odpowiedział mieszczanin.

– Pozwól więc, że podziękuję za twą pomoc – i twe mądre rady – i będę ci życzył dobrej nocy.

Mieszczanin wstał, skłonił się Rekowi i Virae, po czym opuścił komnatę. Przez kilkanaście sekund nasłuchiwali jego oddalających się kroków. Virae, zarumieniona z gniewu, już miała coś powiedzieć, kiedy milczenie przerwał Serbitar.

– To było dobrze powiedziane, mój książę. On będzie cierniem w naszym boku.

– To zwierzę polityczne – odparł Rek. – Nie dba o moralność, honor ani dumę. Ma jednak swoje miejsce i swoje przeznaczenie. A co z jutrem, Serbitar?

– Nadirowie rozpoczną od trwającego przynajmniej trzy godziny ostrzału z balist. Ponieważ nie mogą ruszyć w czasie takiego ataku, proponuję na godzinę przed świtem wycofać wszystkich oprócz pięćdziesięciu ludzi na Musif. Kiedy ustanie ostrzał, wrócimy na pozycje.

– A co będzie – spytał Orrin – jeśli zaatakują o świcie? Wejdą na mury, zanim nasze siły wrócą na blanki.

– Nie planują takiego posunięcia – powiedział po prostu albinos.

Orrin nie był przekonany, ale czuł się nieswojo w obecności Serbitara. Rek zauważył jego zakłopotanie.

– Wierz mi, przyjacielu, Trzydziestu posiada moc przekraczającą zrozumienie zwykłego człowieka. Jeśli tak mówi, to tak jest.

– Zobaczmy, panie – rzekł Orrin z powątpiewaniem.

– Jak się czuje Druss? – zapytała Virae. – Był zupełnie wyczerpany, kiedy go widziałam o zmierzchu.

– Ta kobieta, Caessa, zajęła się nim – poinformował Hogun – i powiedziała, że będzie zdrow.

Odpoczywa w szpitalu.

Rek podszedł do okna, otworzył je i wciągnął w płuca rześkie, nocne powietrze. Stąd miał

widok na całą dolinę, gdzie płonęły obozowe ogniska Nadirów. Zatrzymał wzrok na szpitalu Eldibar, w którym wciąż paliły się światła.

– Kto tam jest lekarzem? – spytał.

W Eldibarze Calvar Syn, owiązany w pasie okrwawionym, skórzanym fartuchem, poruszał

się jak lunatyk. Zmęczenie przenikało go aż do szpiku kości, gdy przechodził od łóżka do łóżka, podając medykamenty.

Ten dzień był koszmarem – więcej niż koszmarem dla łysego, jednookiego lekarza. W ciągu trzydziestu lat widywał śmierć wiele razy. Widział, jak umierali ludzie, którzy powinni przeżyć, i widział, jak wylizywali się z ran ci, którzy powinni umrzeć od razu. Bardzo często jego własny szczególny talent zwalczał śmierć tam, gdzie inni nie umieli nawet zatamować krwi. Jednak ten dzień był najgorszym w jego życiu. Czterystu silnych, młodych ludzi, rankiem jeszcze sprawnych i kwitnących, zamieniło się w gnijące mięso. Tuziny innych utraciły kończyny albo palce.

Najciężej rannych przetransportowano na Musif. Zmarłych wywieziono za szósty mur, aby ich pochować za miastem.

Wokół znużonego lekarza sanitariusze wylewali kubły wody z solą na poplamioną krwią podłogę, zmywając ślady cierpień.

Calvar Syn wszedł cicho do pokoju Drussa i spojrzał na uśpioną postać. Obok łóżka wisiała Snaga, srebrna śmierć. – Ilu jeszcze, ty rzeźniku? – powiedział Calvar. Stary poruszył się, ale nie obudził.

Lekarz chwiejnie wyszedł na korytarz i poszedł do swojego pokoju. Tam cisnął fartuch na krzesło i osunął się na łóżko, nie miał nawet tyle siły, aby naciągnąć na siebie koc. Sen nie przyszedł. Koszmarne obrazy agonii i horroru przesuwwały mu się przed oczami i lekarz zapłakał.

W myślach zobaczył twarz, postarzałą i łagodną. Twarz rosła, pochłaniając jego udrękę i promieniując harmonią. Stawała się większa i większa, aż niczym ciepły pled okryła jego ból.

Zapadł w sen głęboki i pozbawiony majaków.

– Teraz odpoczywa – powiedział Vintar, gdy Rek odwrócił się od okna kasztelu.

– Dobrze – odrzekł Rek. – Jutro nie będzie miał czasu na wypoczynek. Serbitarze, czy myślałeś jeszcze o naszym zdrajcy?

Albinos potrząsnął głową.

– Nie wiem, co możemy zrobić. Sprawdzamy żywność i studnie. W żaden inny sposób nie może nam zaszkodzić. Ty jesteś chroniony, podobnie Druss i Virae.

– Musimy go znaleźć – powiedział Rek. – Czy nie możecie wejść w umysły wszystkich ludzi w fortecy?

– Oczywiście! I z pewnością znaleźlibyśmy odpowiedź w ciągu najbliższych trzech miesięcy.

– Zrozumiałem – rzekł Rek z ponurym uśmiechem. Khitan w milczeniu obserwował, jak dym unosił się i kłębił ponad jego wieżami. Jego twarz pozostawała nieruchoma, spojrzenie mroczne i pochmurne. Ulryk podszedł i położył mu rękę na ramieniu.

– To tylko drewno, przyjacielu.

– Tak, panie. Myślałem o tym, że w przyszłości trzeba będzie osłonić je namoczonymi skórami. To nie powinno być zbyt trudne, chociaż zwiększony ciężar może wywołać problemy ze stabilnością.

Ulryk roześmiał się.

– Sądziłem, że będziesz załamany. A ty już planujesz.

– Wyszedłem na głupca – odpowiedział Khitan. Powinienem przewidzieć, że użyją oleju.

Wiedziałem, że belki nigdy nie zapalą się od samych płonących strzał, i nie pomyślałem o innych materiałach palnych. Już nigdy nie zostaniemy pobici w ten sposób.

– Z pewnością, mój uczony architekcie – odrzekł Ulryk z ukłonem.

Khitan zachichotał.

– Z latami staję się pompatyczny, milordzie. Krocząca Śmierć dobrze sobie dzisiaj radził.

Jest godnym przeciwnikiem.

– To prawda, ale nie sądzę, aby dzisiejszy plan był jego dziełem. Mają pośród siebie białych templariuszy, którzy zniszczyli pomocników Nosta Khana.

– Tak myślałem, że to jakaś diabelska sztuczka – mruknął Khitan. – Co zrobisz z obrońcami, gdy zdobędziesz fortecę?

– Powiedziałem, że ich pozabijam.

– Wiem. Zastanawiałem się, czy nie zmieniłeś zdania. Są dzielni.

– I szanuję ich za to. Jednak Drenajowie muszą się dowiedzieć, co czeka ludzi, którzy mi się przeciwstawiają.

– A więc, milordzie, co z nimi zrobisz?

– Spalę ich na jednym wielkim pogrzebowym stosie – wszystkich prócz jednego, którego oszczędzę, aby o tym opowiedział.

Na godzinę przed świtem Caessa wśliznęła się cicho do pokoju Drussa i stanęła u wezłowania.

Wojownik spał głębokim snem, leżąc na brzuchu, z głową wspartą na masywnych przedramionach. Kiedy patrzyła na niego, Druss poruszył się. Otworzył oczy i skupił wzrok na jej smukłych nogach odzianych w sięgające uda buty z irchowej skóry. Potem jego wzrok powędrował wyżej. Miała na sobie obcisłą, zieloną tunikę z szerokim, nabijanym srebrem, skórzanym pasem, który podkreślał jej wąską talię. U boku zwisał krótki miecz z hebanową rękojeścią. Druss przewrócił się na bok, napotykając jej spojrzenie; w brązowych oczach widniał

gniew.

– Skończyłeś inspekcję? – warknęła.

– Co ci dolega, dziewczyno?

Wszystkie emocje zniknęły z jej twarzy, jak kot chowający się w cień.

– Nic. Odwróć się. Chcę zbadać twoje plecy. Zręcznie zaczęła ugniatać mięśnie barku palcami jak stalowe szpilki, powodując, że od czasu do czasu pojękiwał przez zaciśnięte zęby.

– Odwróć się.

Kiedy Druss znowu leżał na wznak, podniosła jego prawą rękę, zamknęła na niej dłoń i gwałtownym ruchem pociągnęła, jednocześnie obracając. Rozległ się gwałtowny trzask i przez ułamek sekundy Druss myślał, że złamała mu ramię. Zwolniwszy uścisk, oparła rękę na jego lewym barku, a następnie położyła lewą rękę Drussa na jego prawym ramieniu. Nachylając się, by go pociągnąć na bok, podłożyła zaciśniętą pięść pod jego kręgosłup na wysokości łopatek, a następnie popchnęła go z powrotem. Nagle rzuciła się całym ciężarem na jego pierś, przyciskając jego kręgosłup do swej pięści. Dwukrotnie jęknął, słysząc alarmujące dźwięki, brzmiące jak coś pośredniego między chrupnięciem a trzaskiem. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Jesteś silniejsza, niż na to wyglądasz, dziewczyno.

– Bądź cicho i usiądź twarzą do ściany.

Tym razem miał wrażenie, że prawie skrzyła mu kark, złapawszy go pod brodą i nad uchem, a potem wykręcając głowę najpierw w lewo, a potem w prawo. Dźwięk przypominał łamanie suchej gałęzi.

– Jutro odpoczywasz – powiedziała, odwracając się do wyjścia.

Przeciągnął się i poruszył chorym ramieniem. Czuł się dobrze, lepiej niż kiedykolwiek od wielu już tygodni.

– Co to były za trzaski? – zapytał, zatrzymując ją przy drzwiach.

– Masz artetyzm. Pierwsze trzy kręgi grzbietowe były zablokowane; dlatego krew nie mogła prawidłowo przepływać. Ponadto, skurcz mięśnia barkowego spowodował osłabienie ręki.

Posłuchaj mnie, starcze, jutro musisz odpocząć. Inaczej umrzesz.

– Wszyscy umrzemy – odrzekł.

– Prawda. Jednak ty jesteś potrzebny.

– Nie lubisz mnie – czy mężczyzn w ogóle? – rzucił, gdy jej ręka dotknęła klamki.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego, uśmiechnęła się, pchnięciem zamknęła drzwi i weszła z powrotem do pokoju. Zatrzymała się o kilka cali od jego krępej, nagiej postaci.

– Chciałbyś przespać się ze mną, Druss? – zapytała słodko, kładąc lewą rękę na jego ramieniu.

– Nie – powiedział cicho, patrząc jej prosto w oczy. Źrenice były małe, nienaturalnie małe.

– Większość mężczyzn ma na to ochotę – szepnęła, przysuwając się bliżej.

– Nie jestem większością mężczyzn.

– Jesteś już wypalony?

– Być może.

– A może pożądasz chłopców? Mamy kilku takich w naszej bandzie.

– Nie, nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek pragnął mężczyzny. Jednak miałem kiedyś prawdziwą kobietę i od tamtej pory nigdy nie potrzebowałem innej. Odsunęła się do niego.

– Zamówiłam ci gorącą kąpiel i chcę, żebyś w niej pozostał, aż woda ostygnie. Poprawi to obieg krwi w mięśniach.

Z tymi słowami odwróciła się i wyszła. Druss przez dłuższą chwilę patrzył na drzwi, potem usiadł na łóżku i podrapał się po brodzie.

Ta dziewczyna niepokoiła go. Miała coś w oczach. Druss nigdy nie radził sobie dobrze z kobietami, nie miał takiej intuicji jak niektórzy. Kobiety były dla niego nieznanym gatunkiem, obcym i groźnym. Jednak to dziecko wydawało się jeszcze kimś innym; w jej oczach widział

szaleństwo, szaleństwo i strach. Wzruszył ramionami i zrobił to co zwykle, kiedy jakiś problem wymykał mu się: zapomniał o nim.

Po kąpeli ubrał się szybko, uczesał włosy i brodę, a potem pospiesznie przełknął śniadanie w

kantynie Eldibaru i dołączył do pięćdziesięciu ochotników na blankach, kiedy światło brzasku zaczęło przebijać poranną mgłę. Ranek był rześki, odświeżony obietnicą deszczu. Poniżej gromadzili się Nadirowie, wozy wyładowane głazami kierowały się powoli w stronę katapult.

Wokół niemal nie było słyhać rozmów; w takich chwilach myśli człowieka zwracały się do wewnątrz. Czy dzisiaj zginę? Co robi teraz moja żona? Co ja tu robię?

Nieco dalej na blankach Orrin i Hogun przechadzali się wśród ludzi. Orrin mówił niewiele, pozostawiając generałowi zadawanie pytań i żartowanie. Oburzał się na swobodne postępowanie Hoguna z poborowymi, ale niezbyt mocno; był to raczej żal niż oburzenie.

– Młody szeregowiec – chyba nazywał się Bregan? – zatrzymał ich, gdy mijali niewielką grupkę przy bramie i powiedział coś, co sprawiło, że Orrin poczuł się lepiej.

– Będzie pan dzisiaj walczył z grupą Karnak, sir? zapytał.

– Tak.

– Dziękujemy, sir. To wielki zaszczyt – dla nas wszystkich.

– To miło, że tak mówisz – odparł Orrin.

– Naprawdę tak myślę – potwierdził Bregan. – Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem.

Zakłopotany i zadowolony, Orrin uśmiechnął się i poszedł dalej.

– A to – oświadczył Hogun – nakłada większą odpowiedzialność niż sprawdzanie wykazów dostaw.

– W jakim sensie?

– Szanują cię. A ten żołnierz czci cię jak bohatera. Nie jest łatwo sprostać takim oczekiwaniom. Będą stać przy tobie, gdy wszyscy inni uciekną. Albo uciekną z tobą, gdy wszyscy pozostali będą walczyć.

– Ja nie ucieknę, Hogun – powiedział Orrin.

– Wiem, że nie; nie o to mi chodziło. Jak każdy człowiek masz takie chwile, kiedy chcesz się położyć, poddać lub odejść. Zwykle wybór należy do jednostki, ale w tym wypadku już nie jesteś jednostką. Jesteś pięćdziesiątką. Jesteś Hamakiem. To wielka odpowiedzialność.

– A ty? – zapytał Orrin.

– Ja jestem legionem – odpowiedział po prostu.

– Tak, myślę, że nim jesteś. Czy boisz się dzisiejszego dnia?

– Oczywiście.

– Ciesz się mnie to – przyznał Orrin z uśmiechem. Nie chciałbym być jedynym, który się boi.

Jak obiecał Druss, ten dzień przyniósł nowy koszmar; kamienne pociski zmiatające fragmenty blanków, potem okrzyki wojenne i fala atakujących z drabinami na mury, wyjąca horda, pokonująca granitową obronę, aby napotkać srebrną stal Drenajów. Dzisiaj przyszła kolej na trzy tysiące ludzi z Musif, muru drugiego, którzy zmienili wojowników, walczących długo i ciężko poprzedniego dnia. Dzwoniły miecze, ludzie padali z krzykiem i przez długie godziny trwały za – ciekłe zmagania. Druss przemierzał mury jak okrutny olbrzym, zbryzgany krwią i ponury, jego topór rozrąbywał szeregi Nadirów, a przekleństwa i ordynarne obelgi prowokowały najeźdźców, aby atakowali właśnie jego. Rek walczył razem z Serbitarem, tak jak poprzedniego dnia, ale byli również z nimi Menahem i Antaheim, Virae i Arbedark.

Do południa szerokie na dwadzieścia stóp blanki stały się śliskie od krwi i zawałone trupami, jednak bitwa szalała dalej. Broniący bramy Orrin walczył jak obłąkany, ramię w ramię z żołnierzami grupy Karnak. Bregan, złamawszy miecz, chwycił topór jakiegoś Nadira, obosieczny i osadzony na długim trzonku, którym władał ze zdumiewającą zręcznością.

– Prawdziwie wieśniacza broń! – zawołał Gilad w chwilowej ciszy.

– Powiedz to Drussowi! – krzyknął Orrin, klepiąc Bregana po ramieniu.

O zmierzchu Nadirowie raz jeszcze cofnęli się, żegnani drwinami i gwizdami. Jednak obrońcy ponieśli ciężkie straty. Druss, skąpany w posoce, przestępując przez trupy, pokuszył się do miejsca, gdzie stali Rek i Serbitar, czyszcząc swoją broń.

– Ten mur jest zbyt szeroki, aby utrzymać się na nim długo – mruknął, pochylając się i ocierając Snagę o kaftan martwego Nadira.

– Szczera prawda – przyznał Rek, ocierając pot z twarzy brzegiem płaszcza. – Jednak masz rację; nie możemy tak po prostu oddać go im już teraz.

– Obecnie – dodał Serbitar – zabijamy ich w stosunku trzech do jednego. To nie wystarcza.

Zmęczą nas.

– Potrzebujemy więcej ludzi – powiedział Druss i usiadł na blankach, drapiąc się w brodę.

– Wysłałem wczoraj posłańca do mojego ojca w Dros Segril – poinformował Serbitar. – Za około dziesięć dni powinniśmy otrzymać posiłki.

– Drada nienawidzi Drenajów – zauważył Druss. Dlaczego miałby przysłać ludzi?

– Musi przysłać moją osobistą straż przyboczną. Takie jest prawo Vagrii, a chociaż mój ojciec i ja nie rozmawialiśmy od dwunastu lat, nadal jestem jego pierworodnym synem. Mam do tego prawo. Trzysta mieczy dołączy tutaj do mnie – nie więcej, ale i tyle się przyda.

– O co pokłóciliście się? – zapytał Rek.

– Pokłóciliśmy się? – zdziwił się albinos.

– Ty i twój ojciec.

– Nie było kłótni. Uważał mój talent za „dar ciemności” i próbował mnie zabić. Nie pozwoliłem na to. Vintar mnie uratował. – Serbitar zdjął hełm, rozsupłał węzeł, podtrzymujący jego białe pukle, i potrząsnął głową. Wieczorna bryza zmierzwiła mu włosy. Rek i Druss wymienili spojrzenia, po czym zmienili temat.

– Ulryk chyba zdał już sobie sprawę, że czeka go prawdziwa bitwa.

– Wiedział o tym i przedtem – odrzekł Druss. – Jeszcze go to nie martwi.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie to martwi – powiedział Rek, wstając na widok Virae nadchodzącej w towarzystwie Menahema i Antaheima. Trzej członkowie Trzydziestu opuścili ich bez słowa, a Virae usiadła obok Ręka, obejmując go w pasie i przytulając głowę do jego ramienia.

– Niełatwy dzień – zaczął Rek, lekko gładząc jej włosy.

– Opiekowali się mną – szepnęła. – Tak jak im rozkazałeś, przypuszczam.

– Jesteś zła?

– Nie.

– To dobrze. Dopiero się poznaliśmy i nie chcę cię stracić.

– Oboje musicie coś zjeść – powiedział Druss. Wiem, że nie macie na to ochoty, ale posłuchajcie rady starego wojownika. – Stary podniósł się, rzucił jedno spojrzenie w stronę obozowiska Nadirów i pomaszerował powoli w kierunku kantyny. Był zmęczony. Potwornie zmęczony.

Ignorując własną radę, obszedł kantynę i udał się do swojego pokoju przy szpitalu. Wewnątrz długiego budynku zatrzymał się, aby posłuchać jęków z oddziałów. Odór śmierci unosił się wszędzie. Noszowi przeciskali się obok niego, znosząc okrwawione trupy, sanitariusze wylewali kubły wody na podłogi, inni ze szmatami lub wiadrami piasku czynili przygotowania na następny dzień. Nie rozmawiał z żadnym z nich.

Pchnął drzwi do swojego pokoju i stanął. Wewnątrz siedziała Caessa.

– Przyniosłam ci jedzenie – powiedziała, unikając jego spojrzenia. W milczeniu podniósł talerz wołowiny z czerwoną fasolą oraz gruby kawałek czarnego chleba i zaczął jeść.

– W pokoju obok jest przygotowana kąpiel – dodała, kiedy skończył. Skinął głową i zdjął

ubranie.

Usiadł w wannie i zmył krew z włosów i brody. Kiedy na mokrych plecach poczuł chłodny podmuch, wiedział, że weszła. Uklękła przy wannie, nabrała w dłonie aromatycznego płynu, a potem zaczęła myć Drussowi włosy. Zamknął oczy, rozkoszując się dotykiem jej palców na głowie. Po splukaniu włosów ciepłą, czystą wodą, osuszyła je świeżym ręcznikiem.

Wróciwszy do pokoju, Druss zobaczył, że przygotowała dla niego czysty podkoszulek i czarne, wełniane spodnie, a ponadto oczyściła skórzany kaftan oraz buty. Przed odejściem nalała mu kielich czerwonego, lentryjskiego wina. Druss opróżnił kielich i położył się na łóżku, wspierając głowę na ręku. Od czasów Roweny żadna kobieta nie usługiwała mu w ten sposób, więc rozczulił się.

Rowena, jego młodzianka panna młoda, porwana przez handlarzy niewolników wkrótce po ślubie pod wielkim dębem. Druss podążył za nimi, nie zwlekając nawet po to, aby pochować swoich rodziców. Miesiącami przemierzał kraj, aż wreszcie, w towarzystwie Siebena poety, odnalazł obóz handlarzy. Dowiedziawszy się od nich, że Rowena została sprzedana kupcowi, udającemu się na wschód, zabił ich przywódcę w jego własnym namiocie i znowu ruszył

w drogę. Przez pięć lat przemierzał kontynent jako najemnik, zyskując reputację najstraszniejszego wojownika swoich czasów, by w końcu zostać mistrzem ventryjskiego króla-boga, Gorbena.

Na koniec znalazł swą żonę we wschodnim pałacu i zapłakał. Ponieważ bez niej był zawsze tylko połową człowieka. Tylko ona czyniła go ludzkim, uciszała na chwilę mroczną stronę jego natury, dopełniała go, pokazywała mu piękno łąki z kwiatami, podczas gdy on szukał

doskonałości w stalowym ostrzu.

Zawsze myła mu włosy i masując, usuwała napięcie z jego karku oraz gniew z serca.

Teraz odeszła i świat opustoszał, a miejsce oszałamiająco jaskrawych barw zajęła zmienna plama migocącej szarości.

Na zewnątrz zaczął padać łagodny deszcz. Przez chwilę Druss nasłuchiwał jego bębnienia o dach. Potem zasnął.

Caessa siedziała na powietrzu, obejmując kolana. Gdyby ktoś podszedł do niej, nie wiedziałaby, gdzie kończył się deszcz, a zaczynały łąki.

ROZDZIAŁ 22

Pierwszy raz wszyscy członkowie Trzydziestu stanęli na Eldibarze, kiedy Nadirowie zmasowali swe siły przed natarciem. Serbitar ostrzegł Ręka i Drussa, że ten dzień będzie inny: żadnych bombardowań wyrzutniami, a tylko nie kończąca się seria ataków dla wyczerpania sił

przeciwnika. Druss odrzucił wszelkie rady, by odpocząć tego dnia i stał na środku muru.

Otoczony był wojownikami Świątyni, stojącymi w swych srebrnych zbrojach i białych płaszczach.

Hogun był z nimi, podczas gdy Rek i Virae znajdowali się wraz z grupą Ogień około czterdzieści kroków na lewo. Orrin pozostał z Kamakiem po prawej. Pięć tysięcy ludzi czekało z mieczami w dłoniach, przypiętymi tarczami i opuszczonymi przyłbicami.

Niebo było gniewne i ciemne, z ogromnymi chmurami gromadzącymi się na północy. Plama błękitu nad murami czekała na burzę. Rek uśmiechnął się nagle, uderzony poezją tej chwili.

Nadirowie ruszyli naprzód z furją, a tupot ich stóp niósł się gromowym echem.

Druss wskoczył na blanki tuż nad nimi.

– No chodźcie, diabelskie nasienie! – ryknął. – Krocząca Śmierć czeka! – Jego głos rozległ

się dudnieniem w całej dolinie, odbił od górujących nad nimi granitowych ścian. W tym momencie błyskawica rozdarła niebo nad Dros jak poszarpana włócznia. Po niej nastąpił grzmot.

I zaczął się przelew krwi.

Jak przepowiedział Serbitar, najgwałtowniejszy atak przypuszczono pośrodku linii; fala za falą pięła się na mury, aby zginać pod stalową obroną Trzydziestu. Ich zręczność była niebywała.

Cios drewnianą pałką zwałił z nóg Drussa, a krępy wojownik nadiryjski zamierzył się toporem w jego czaszkę. Serbitar doskoczył, blokując cios, a Menahem uśmiercił tamtego cięciem w krtań. Druss, wyczerpany, potknął się o leżące ciało i upadł pod nogi trzech atakujących.

Arbedark i Hogun przyszli mu z pomocą, gdy rozpaczliwie szukał topora.

Nadirowie przebili się na prawym skrzydle, spychając grupę Orrina z blanków aż na murawę między murami. Gdy posiłki Nadirów bez przeszkód przelewały się przez mur, Druss pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo i krzyknął ostrzegawczo. Ściął dwóch ludzi na swojej drodze i pobiegł samotnie, by zapełnić wyrwę. Hogun rozpaczliwie próbował podążyć za nim, lecz odcięto mu drogę.

Dwaj młodzi szeregowcy z Kamaka przyłączyli się do starego, gdy druzgocąc i siekąc, przebijał się do murów, ale wkrótce zostali otoczeni. Orrin – zgubiwszy hełm, z po – szczerbioną tarczą – trwał na stanowisku wraz z resztkami swojej grupy. Zablockował szerokie, płaskie cięcie ze strony brodatego dzikusa i odpowiedział mu pchnięciem w brzuch. Wtedy zobaczył Drussa i zrozumiał, że tylko cud może uratować starego.

– Za mną, Karnak! – wrzasnął, rzucając się w napływającą masę. Bregan, Gilad i dwudziestu innych runęło naprzód, a z nimi Bar Britan i oddział strażników noszowych. Serbitar z piętnastoma spośród Trzydziestu wyrąbywał ścieżkę wzdłuż murów.

Ostatni z towarzyszy Drussa padł z rozbitą czaszką i stary wojownik został sam, pośrodku zamykającego się wokół niego kręgu Nadirów. Uchylił się przed ciosem miecza, chwycił jego właściciela za kaftan i uderzył go swoim czołem w nos. Ostrze miecza zraniło go w ramię, a inne rozcięło kaftan nad biodrem. Używając ogłuszonego Nadira jako tarczy, Druss powoli cofał się, lecz jakiś topór uderzył z głuchym łoskotem i wyrwał złapanego w potrzask plemieńca z objęć Drussa.

Nie mając dokąd się schronić, Druss odbił się nogą od blanków i zanurkował w masę ludzi przed nim; jego wielki ciężar odepchnął ich, a kilku zważyło się na ziemię wraz z nim.

Wypuścił z rąk Snagę, sięgnął do szyi znajdującego się nad nim mężczyzny i zmiażdżył mu krtań, a potem zasłaniając się jego ciałem, czekał na nieuniknione pchnięcie. Gdy ktoś odepchnął

od niego trupa, Druss morderczym kopnięciem zważył z nóg napastnika.

– Hej, Druss! To ja – Hogun.

Stary obrócił się i ujrzał Snagę, leżącego kilka jardów dalej. Wstał i podniósł topór.

– Niewiele brakowało – powiedział gan legionu. Tak – odparł Druss. – Dziękuję! Dobra robota!

– Chciałbym przypisać ją sobie, ale to Orrin i ludzie z grupy Karnak. Wywalczyli sobie drogę do ciebie, chociaż nie wiem jak.

Zaczęło padać, co Druss powitał z radością. Zwróciwszy twarz ku niebu, otworzył usta i zamknął oczy.

– Znowu nadchodzą! – krzyknął ktoś. Druss i Hogun podeszli do blanków i przyglądali się natarciu Nadirów. Trudno było ich dostrzec poprzez deszcz.

Na lewo Serbitar sprowadził Trzydziestu z murów i pomaszerował z nimi z powrotem w kierunku Musif.

– A dokąd, u diabła, oni idą? – mruknął Hogun.

– Nie ma czasu się tym martwić – warknął Druss, klnąc cicho, ponieważ ramię znów zaczęło go boleć.

Horda Nadirów ruszyła na mury. Wtem huknął piorun, w samym środku ich szeregów nastąpił ogromny wybuch. Powstało ogólne zamieszanie i atak załamał się.

– Co się stało? – zapytał Druss.

– Uderzył w nich piorun – poinformował go Hogun, zdejmując hełm i odpinając klamerki napierśnika. – Następny może trafić tutaj – wszystko przez ten cholerny metal.

Zagrała trąbka i Nadirowie odmaszerowali do namiotów. Pośrodku równiny pozostał ogromny krater otoczony zwęglonymi ciałami. Z jego wnętrza unosił się dym.

Druss odwrócił się i patrzył przez chwilę, jak Trzydziestu znika w bocznej bramie Musifa.

– Wiedzieli – powiedział cicho. – Co to za ludzie?

– Nie wiem – odpowiedział Hogun. – Walczą jednak jak biesy, a w tej chwili tylko to mnie obchodzi.

– Wiedzieli – Druss powtórzył, potrząsając głową, – A więc?

– Ile jeszcze wiedzą?

– Czy przepowiadasz przyszłość? – zapytał żołnierz Antaheima, gdy przykucnęli razem pod prowizorycznym dachem z brezentu, wraz z pięcioma innymi członkami grupy Ogień. Deszcz bębnił o materiał i jednostajnie kapał na kamienie poniżej. Naprędce postawiony daszek przypięto do blanków i podparto włóczniami na dwóch przednich rogach. Pod nim tłoczyli się ludzie. Widzieli Antaheima spacerującego samotnie w deszczu i jeden z nich, szeregowy Rabil, zawołał go pomimo ostrzeżeń towarzyszy. Teraz pod brezentowym schronieniem panowała napięta atmosfera.

– No więc? – ponowił Rabil.

– Nie – powiedział Antaheim, zdjął hełm i rozwiązał węzeł, spinający jego drugie włosy.

Uśmiechnął się. – Nie jestem czarownikiem. Tylko człowiekiem jak ty – wy wszyscy. Uczono mnie czego innego, to wszystko.

– Jednak umiesz rozmawiać, nie wydając głosu – rzekł ktoś inny. – To nie jest naturalne.

– Dla mnie jest.

– Czy możesz zajrzeć w przyszłość? – zapytał chudy żołnierz, robiąc na piersiach pod płaszczem znak rogu dla ochrony przed złem.

– Istnieje wiele przyszłości. Widzę niektóre z nich, lecz nie umiem powiedzieć, która z nich zostanie zrealizowana.

– Jak to możliwe, że istnieje wiele przyszłości? zainteresował się Rabil.

– Nie jest łatwo to wyjaśnić, ale spróbuję. Jutro łucznik wypuści strzałę. Jeśli wiatr ustanie, strzała dosięgnie jednego człowieka; jeśli wiatr zerwie się, innego. Dlatego przyszłość obydwu z nich zależy od wiatru. Nie mogę przepowiedzieć, w którą stronę powieje wiatr, ponieważ to również zależy od wielu rzeczy. Mogę spojrzeć w dzień jutrzejszy i zobaczyć, że obaj mężczyźni umierają, podczas gdy w rzeczywistości padnie tylko jeden z nich.

– Jaki jest więc sens tego wszystkiego? Mówię o twojej umiejętności – zagadnął znów Rabil.

– Cóż, to doskonałe pytanie, nad którym zastanawiam się od wielu lat.

– Czy umrzemy jutro? – spytał inny.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł Antaheim. Jednak w końcu wszyscy ludzie muszą umrzeć.

Dar życia nie jest wieczny.

– Mówisz „dar” – powiedział Rabil. To sugeruje ofiarodawcę?

– Istotnie.

– Którego, w takim razie, boga wyznajesz?

– Wierzymy w Źródło wszechrzeczy. Jak się czujesz po dzisiejszej bitwie?

– W jakim sensie? – zapytał Rabil, owijając się ciasniej płaszczem.

– Co czułeś, kiedy Nadirowie odstąpili?

– Trudno to opisać. – Wzruszył ramionami. – Siłę. Moc. Zadowolenie z tego, że żyję.

Pozostali żołnierze przytaknęli.

– Triumf? – podsunął Antaheim.

– Tak myślę. Dlaczego pytasz? Antaheim uśmiechnął się.

– To jest Eldibar – pierwszy mur. Czy znasz znaczenie słowa „Eldibar”?

– Sądziłem, że to tylko słowo.

– Nie, to znacznie więcej. Egel, który zbudował tę fortecę, kazał na każdym murze wyryć inne imię. „Eldibar” oznacza „triumf. Tam po raz pierwszy spotykasz wroga. Tam też stwierdzasz, że jest on tylko człowiekiem. Przez żyły obrońców przepływa moc. Nieprzyjaciel cofa się pod ciosami naszych mieczy i siłą naszych ramion. Czujemy, jak powinni czuć herosi, dreszcz bitwy i głos naszego dziedzictwa. Triumfujemy! Egel znał serce człowieka. Ciekawe, czy znał przyszłość?

– Jakie jest znaczenie pozostałych imion? Antaheim wzruszył ramionami.

– To opowiadanie na inny dzień. Nie przyniesie nam szczęścia, jeśli będziemy rozmawiać o Musifie, znajdując się jeszcze pod ochroną Eldibaru – Antaheim oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy, nasłuchując deszczu i wycia wiatru.

Musif. Mur rozpaczy! Gdy siła nie była wystarczająca, by utrzymać Eldibar, jak można utrzymać Musifa? Jeśli zdołaliśmy obronić Eldibar, nie możemy utrzymać Musifa. Strach będzie skręcał nam wnętrzności. Wielu z naszych przyjaciół umrze na Eldibarze i w myślach będziemy widzieć ich roześmiane twarze. Nie będziemy chcieli do nich dołączyć. Musif to próba.

I nie utrzymamy się. Cofniemy się na Kania, mur odrodzonej nadziei. Nie zginęliśmy na Musifie, a Kania to krótsza linia obrony. A poza tym, czyż nie mamy jeszcze trzech murów?

Nadirowie nie mogą już używać tutaj swoich wyrzutni, a to już coś, nieprawdaż? Ponadto, czy nie

wiedzieliśmy od początku, że oddamy kilka murów?

Sumitos, mur desperacji, będzie następny. Jesteśmy zmęczeni, śmiertelnie strudzeni.

Walczymy teraz instynktownie, mechanicznie i dobrze. Tylko najlepsi pozostaną, by powstrzymać powódź najeźdźców.

Yalteri, mur piąty, jest murem spokoju. Już pogodziliśmy się ze śmiertelnością.

Zaakceptowaliśmy nieuchronność śmierci i znaleźliśmy w sobie głębię odwagi, której istnienia nie podejrzewaliśmy. Powróci dobry humor, a wszyscy staną się dla siebie braćmi. Staniemy razem przeciw wspólnemu wrogowi, tarcza przy tarczy i każemy mu cierpieć. Na tym murze czas będzie biegł wolniej. Będziemy delektować się naszymi zmysłami, odkrywać je na nowo.

Gwiazdy staną się klejnotami nie spotykanej urody, a przyjaźń nabierze nie znanej dotąd słodyczy. I na koniec Geddon, mur śmierci...

Nie zobaczę Geddonu, pomyślał Antaheim.

I zasnął.

– Próba! Wciąż słyszymy o tym, że prawdziwa próba nadejdzie jutro. Ile będzie tych przeklętych prób? – zagrział Elicas. Rek podniósł rękę, gdy młody wojownik przerwał

Serbitarowi.

– Uspokój się! – powiedział. – Pozwól mu skończyć. Mamy tylko kilka chwil przed przybyciem starszych miasta.

Elicas ze złością spojrział na Ręka, ale nie odezwał się, zerknąwszy na Hoguna i oczekując od niego poparcia, lecz dostrzegł prawie niedostrzegalny, przeczący ruch głowy. Druss przetarł oczy i przyjął kielich wina od Orrina.

– Przykro mi – zaczął łagodnie Serbitar. – Wiem, jak nieprzyjemna jest taka mowa. Od ośmiu dni trzymamy jsjadirów na dystans i to prawda, że wciąż mówię o nowych sprawdzianach.

Jednak zrozumcie, że Ulryk jest mistrzem strategii. Przez ten pierwszy tydzień wykrwawiali się na naszych murach. To nie były jego najlepsze oddziały. Jeśli my ćwiczymy naszych rekrutów, on robi to również. Nie śpieszy się; w ciągu tych dni oczyszczał szeregi z najsłabszych, ponieważ wie, że czeka go wiele bitew kiedy, i jeśli, zdobędzie Dros. Radziliśmy sobie dobrze, nadzwyczaj dobrze. Jednak zapłaciliśmy słono. Czterystu ludzi zginęło, a następnych czterystu nie nadaje się do walki.

– Chcę wam powiedzieć jedno: jutro przyjdą weterani.

– A skąd wzięłeś te informacje? – warknął Elicas.

– Dosyć, chłopcze! – ryknął Druss. – Wystarczy, że jak dotąd miał rację. Kiedy się pomyli, ty możesz

wtrącić słowo.

– Co proponujesz, Serbitarze? – zapytał Rek.

– Oddać im mur – odpowiedział albinos.

– Co? – zdziwiła się Virae. – Po całej tej walce i takich stratach? To szaleństwo.

– Niekoniecznie, milady – wtrącił Bowmari, odzywając się po raz pierwszy. Wszystkie oczy zwróciły się na młodego łuczника, który porzucił swój zwykły, zielony uniform. Teraz miał na sobie wspaniałą płaszcz z kozłej skóry, ciężki od ozdabiających go rzemyków, z wyszytym małymi koralikami na plecach fantazyjnym orłem. Jego drugie, blond włosy podtrzymywała opaska z kozłej skóry, a u boku miał srebrny sztylet z hebanową rękojeścią w kształcie sokoła, którego rozpostarte skrzydła tworzyły ochronę palców.

Wstał.

– To tylko zdrowy rozsądek. Wiedzieliśmy, że mury będą padać. Eldibar jest najdłuższym i dlatego najtrudniejszym do obrony. Jesteśmy rozciągnięci. Na Musifie będziemy potrzebować mniej ludzi i straty również będą mniejsze. Bodziemy też mieć pole rażenia między murami. Moi łucznicy zmasakrują weteranów Ulryka, zanim ci zadadzą choćby jeden cios.

– Jest jeszcze coś – dodał Rek – co wydaje się równie ważne. Wcześniej czy później zostaniemy zepchnięci z tego muru i pomimo rowów ogniowych nasze straty będą ogromne. Jeśli wycofamy się w nocy, zaoszczędzimy ludzi.

– Nie zapominajmy o morale – wskazał Hogun. Utrata muru będzie ciężkim ciosem. Jeśli jednak wykonamy strategiczny odwrót, odwrócimy sytuację na naszą korzyść.

– A ty, Orrinie? Co ty o tym sądzisz? – zapytał Rek.

– Mamy około pięciu godzin. Zaczynamy – odpowiedział gan.

Rek zwrócił się do Drussa. – A ty? Starzec wzruszył ramionami.

– To brzmi obiecująco – przyznał.

– A więc załatwione – zakończył Rek. – Możecie rozpocząć odwrót. Ja muszę się spotkać z radą.

Przez całą noc po cichu wycofywano ludzi. Rannych przenoszono na noszach, zapasy medyczne ładowano na ręczne wózki, a rzeczy osobiste pośpiesznie pakowano w worki. Ciężej ranni zostali już wcześniej przeniesieni do szpitala polowego Musif, a od czasu rozpoczęcia oblężenia niewiele korzystano z koszar Eldibaru. Wraz z pierwszym, upiornym blaskiem świtu ostatni ludzie przekroczyli boczną bramę Musifa i wspięli się na długie spiralne schody prowadzące na blanki. Potem zaczęli zrzucać głazy i gruz na schody, aby zatarasować przejście.

Ciężko pracowali w blasku rodzącego się dnia. Na koniec gruz posypano worami sproszkowanej

zaprawy, uszczelniając prześwit. Inni ludzie polali tę mieszankę wiadrami wody.

– Nim minie dzień – powiedział Marie, murarz ta masa będzie nie do rozbicia.

– Nie ma rzeczy, których nie da się rozbić – odparł jego towarzysz. – Jednak otwarcie tego przejścia zajmie im całe tygodnie, a schody zostały zaprojektowane w taki sposób, że nawet wtedy można ich bronić.

– Tak czy inaczej, ja tego nie zobaczę – dodał Marie. – Wyjeżdżam dzisiaj.

– Jesteś szybki, to pewne – zauważył jego przyjaciel – Marrissa i ja także planujemy wyjazd.

Jednak dopiero po upadku czwartego muru.

– Pierwszy mur, czwarty mur, jaka to różnica? Będę miał więcej czasu, żeby zostawić tę wojnę za sobą. W Ventrii potrzebują murarzy. A ich armia jest tak silna, że przez lata będą się opierać Nadirom.

– Być może. Ja poczekam.

– Nie czekaj zbyt długo, przyjacielu – poradził mu Marie.

Tymczasem w kasztelu Rek leżał ze wzrokiem utkwionym w ozdobny sufit. Łoże było wygodne, a nagie ciało Virae wtulało się w niego, jej głowa spoczywała na jego ramieniu.

Spotkanie zakończyło się przed dwiema godzinami, a on ciągle nie mógł zasnąć. W głowie kłębiły mu się plany, przeciwny i całe miriady problemów obłożonego miasta. Dyskusja była zażarta, a przekonywanie któregośkolwiek z tych polityków przypominało nawlekanie igły pod wodą. Zgodnie twierdzono, że Delnoch winna się poddać.

Jedynie Malphar, Lentrinianin z rumianą twarzą, poparł Ręka. Ten śliski wąż, Shinell, zaofiarował się osobiście poprowadzić delegację do Ulryka. A Beric, który czuł się oszukany przez los, ponieważ płynęła w nim krew wielu władców Delnoch, a został pominięty tylko dlatego, że był drugim synem? Był głęboko rozgoryczony. Prawnik, Backda, mówił niewiele, lecz słowa, które wypowiedział, zabrzmiały kwaśno – Próbujecie zatrzymać morze dziurawym wiadrem.

Rek z trudem zachował spokój. Nie widział, aby któryś z nich stanął na blankach z mieczem w dłoni. I żaden nie miał zamiaru tego zrobić. Horeb używał pewnego powiedzenia, dobrze określającego takich ludzi: „W każdym wywarze męty zawsze podchodzą do góry”.

Podziękował im za radę i zgodził się spotkać z nimi za pięć dni, żeby odpowiedzieć na ich propozycję.

Virae poruszyła się we śnie. Jej ręka odsunęła nakrycie, odsłaniając zaokrągloną pierś. Rek uśmiechnął się i po raz pierwszy od wielu dni pomyślał o czymś innym niż o wojnie.

Bowman i tysiąc łuczników stali na wałach Eldibaru, patrząc na szykujących się do ataku Nadirów.

Strzały mieli przygotowane na cięciwach, a kapelusze zawadiacko przekrzywione, żeby osłonić prawe oko przed blaskiem wschodzącego słońca.

Horda wrzaskiem obwieściła swą nienawiść i ruszyła naprzód.

Bowman czekał. Oblizwał wyschnięte wargi.

– Teraz! – ryknął, płynnym ruchem odciągając cięciwę do tyłu, tak że dotknęła prawego policzka. Strzała pomknęła wraz z tysiącem innych, aby utonąć w nacierającej masie. Strzelili znowu i jeszcze raz, aż opróżnili kołczan. Na koniec Caessa skoczyła na blanki i wypuściła ostatnią strzałę prosto w dół, trafiając człowieka, który przystawiał drabinę do muru. Grot wszedł

przez szczyt ramienia, rozdarł skórzany kaftan i przebijając płuco, utkwiał mu w brzuchu. Nadir padł bez jęku.

Haki mocujące zadzwoniły na kamieniach.

– Do tyłu! – zawołał Bowman i pobiegł przez otwarte pole, po mostkach nad rowami ogniowymi oraz bruzdami napełnionymi nasączoną olejem ściółką. Spuszczono liny, po których łucznicy szybko wspięli się na mur. Na Eldibarze pojawili się pierwsi Nadirowie. Przez chwilę kręcili się, niezdecydowani, zanim dostrzegli łuczników, wycofujących się w bezpieczne miejsce.

W ciągu paru minut na murze zgromadziło się kilka tysięcy koczowników. Przeciągnęli drabiny na drugą stronę Eldibaru i ruszyli w stronę Musifa. Wtedy nad otwartym polem przeleciały ogniste strzały, lądując w nasiąkniętym olejem poszyciu. Natychmiast z rowów wydobył się gęsty dym, a potem buchnęły płomienie dwukrotnie przewyższające wzrost człowieka.

Nadirowie cofnęli się. Drenajowie wiwatowali. Rowy płonęły przez ponad godzinę, a cztery tysiące wojowników odpoczywało na Musifie. Niektórzy leżeli grupkami na trawie; inni poszli do kantyn na drugie śniadanie. Wielu siedziało w cieniu wież.

Druss przechadzał się wśród ludzi, tu i tam rzucając dowcipy; od jednego żołnierza przyjął

kawałek czarnego chleba, a od drugiego pomarańczę. Dostrzegł Ręka i Virae, siedzących w pobliżu wschodniego urwiska, i skierował się w ich stronę.

– Jak dotąd nieźle! – powiedział, osuwając swe ogromne ciało na trawę. – Teraz nie wiedzą, co robić. Mieli rozkaz zdobyć mur, a to już wykonali.

– Co dalej, jak myślisz? – zapytał Rek.

– Nasz stary przyjaciel – odparł Druss – przyjdzie tu osobiście. Będzie chciał porozmawiać.

– Czy powinienem zejść na dół? – zapytał Rek.

– Lepiej ja zejść. Nadirowie mnie znają. Krocząca Śmierć. Jestem częścią ich legend. Myślą, że jestem pradawnym bogiem śmierci, przemierzającym świat.

– Czy się mylą? Wątpię – zauważył Rek z uśmiechem.

– Może nie. Ja nigdy tego nie chciałem. Wszystko, czego pragnąłem, to odzyskać moją żonę.

Gdyby nie porwali jej handlarze niewolników, byłbym wieśniakiem. Jestem tego pewien, chociaż Rowena w to wątpiła. Są chwile, kiedy niezbyt lubię człowieka, którym jestem.

– Nie gniewaj się, Druss. To był żart – powiedział Rek. – Nie uważam cię za boga śmierci.

Jesteś człowiekiem i wojownikiem. Jednak przede wszystkim człowiekiem.

– Nie chodzi o to, chłopcze; twoje słowa są tylko echem tego, co sam czuję. Wkrótce umrę...

Tutaj, w Dros. I co osiągnąłem w życiu? Nie mam synów ani córek, żadnych żyjących krewnych... Kilku przyjaciół. Ludzie powiedzą tu leży Druss. Zabił wielu, a nie spłodził żadnego.

– Powiedzą więcej – odezwała się nagle Virae Powiedzą: „Tutaj leży Druss-Legenda, który nigdy nie był podły, przyziemny lub niepotrzebnie okrutny. Oto człowiek, który nigdy się nie poddał, nie sprzeniewierzył swoim ideałom, nigdy nie oszukał przyjaciela, nie znieważył kobiety i nigdy nie użył swej siły przeciwko słabszym”. Powiedzą: „Nie miał synów, ale wiele kobiet spało spokojnie ze swymi maleństwami, wiedząc, że Druss wspiera Drenajów”. Powiedzą wiele rzeczy, siwobrody. Będą je powtarzać przez wiele pokoleń, a ludzie słabego ducha będą czerpać z nich siłę.

– To byłoby miłe – odparł stary, uśmiechając się. Poranek przepływał obok, a Dros lśniła w ciepłym blasku słońca. Jeden z żołnierzy wyjął flet i zaczął grać wesołą, wiosenną melodyjkę, która rozchodziła się echem po dolinie – pieśń radości w czasie śmierci.

W południe Rek i Druss zostali wezwani na wały. Nadirowie cofnęli się na Eldibar, ale pośrodku pola rażenia, na wielkim, purpurowym dywanie siedział jakiś człowiek. Jadł posiłek, składający się z daktyli i sera, które popijał winem ze złotego kielicha. Za nim tkwił wbity w ziemię sztandar przedstawiający wilczy łeb.

– Ma styl – zauważył Rek z mimowolnym podziwem.

– Powiniennem zejść na dół, zanim skończy jeść rzekł Druss. – Czekaając, tracimy twarz.

– Bądź ostrożny! – przypomniał Rek.

– Jest ich tylko kilka tysięcy – odpowiedział Druss, mrugając porozumiewawczo.

Kawałek po kawałku opuścił się murawę i podszedł do jedzącego.

– Jestem obcy w twoim obozie – zaczął. Mężczyzna podniósł oczy. Twarz miał szeroką, gładko wygoloną, o mocnej szczęce. Pod ciemnymi brwiami błyszczały skośne, fiołkowe oczy; oczy pełne mocy.

– Witaj, nieznajomy, i jedz – zaprosił mężczyzna. Druss usiadł naprzeciw niego i skrzyżował

nogi. Mężczyzna powoli odpiął lakierowany, czarny napierśnik i zdjął go, a następnie starannie ułożył obok siebie. Potem zsunął nogolenniki i ochraniacze przedramion. Druss ujrzał potężne mięśnie rąk i zwinne, kocie ruchy. Urodzony wojownik, pomyślał starzec.

– Jestem Ulryk herbu Wilczy Łeb.

– Ja jestem Druss herbu Topór.

– Co za spotkanie! Jedz.

Druss wziął garść daktyli ze srebrnego talerza i zaczął powoli jeść. Potem poczęstował się serem z koziego mleka i zapił łykiem czerwonego wina. Podniósł brwi.

– Lentriańskie czerwone – powiedział Ulryk. – Bez trucizny.

Druss roześmiał się szeroko.

– Trudno mnie zabić. To mój talent.

– Dobrze sobie radziłeś. Ciesz się moją obecnością.

– Zasmuciła mnie wiadomość o twoim synu. Nie mam synów, ale wiem, jak ciężko jest utracić ukochaną osobę.

– To był okrutny cios – przyznał Ulryk. – Był dobrym chłopcem. Cóż, całe życie jest okrutne, prawda? Człowiek musi się wznieść ponad smutek.

Druss milczał, częstując się daktylami.

– Jesteś wspaniałym człowiekiem, Druss. Przykro mi, że masz tutaj umrzeć.

– Tak. Byłoby miło żyć wiecznie. Z drugiej strony, zaczynam poruszać się wolniej.

Niektórym z twoich ludzi prawie udało się mnie dostać – to zawstydzające.

– Wyzaczyłem nagrodę dla człowieka, który cię zabije. Sto koni wybranych z mojej własnej stajni.

– W jaki sposób udowodni, że mnie zabił?

– Przyniesie mi twoją głowę i przyprowadzi dwóch świadków.

– Nie pozwól, aby ta informacja dotarła do moich ludzi. Zrobią to za pięćdziesiąt koni.

– Nie sądzę! Niezłe się trzymałeś. Jak radzi sobie nowy książę?

– Wolałby pewnie mniej hałaśliwe powitanie, ale myślę, że dobrze się bawi. Dobrze walczy.

– Jak wy wszyscy. Jednak to nie wystarczy.

– Zobaczmy – powiedział Druss. – Te daktyle są naprawdę smaczne.

– Czy wierzysz w to, że możecie mnie powstrzymać? Powiedz szczerze, Krocząca Śmierci.

– Chciałbym móc służyć pod tobą – odrzekł Druss.

– Podziwiam cię od lat. Służyłem wielu królom. Niektórzy byli słabi, inni samowolni.

Poznałem wielu wspaniałych ludzi, ty jednak... ty masz znamię wielkości. Sądzę, że w końcu osiągniesz to, czego pragniesz. Jednak nie za mojego życia.

– Nie pożyjesz długo, Druss – przypomniał łagodnie Ulryk. – Mamy szamana, który wie takie rzeczy. Powiedział mi, że widział cię stojącego w bramie czwartego muru – chyba nazywacie go Sumitos – a nad tobą unosiła się szczerząca zęby czaszka śmierci.

Druss roześmiał się głośno.

– Śmierć zawsze krąży wokół mnie, Ulryku. Ja jestem tym, który idzie ze śmiercią. Czy twój szaman nie zna waszych własnych legend? Może wybiorę śmierć na Szmikosie, może na Musifie. Jednak gdziekolwiek by to nie było, wiedz jedno: odchodząc w Dolinę Cieni, zabiorę ze sobą więcej niż kilku Nadirów, aby mi towarzyszyli w drodze.

– Będą dumni, mogą iść z tobą. Odejdź w pokoju.

ROZDZIAŁ 23

Jeden po drugim mijały krwawe dni, nie kończący się korowód rąbania, mordowania i umierania, nieustannych wypadów nadiryjskich wojowników na pole pod Musif, co groziło odcięciem załogi na murach. Jednak za każdym razem odpierano Nadirów i utrzymywano pozycję. Powoli, jak przepowiedział Serbitar, silniejsi oddzielali się od słabszych. Różnica rzucała się w oczy. Do szóstego tygodnia przetrwali tylko silni. Trzy tysiące drenajskich wojowników albo zginęło, albo odniosło ciężkie rany na polu bitwy.

Druss, jak olbrzym, przemierzał wały dzień po dniu i odrzucał wszelkie sugestie odpoczynku, ryzykując, że wyczerpane ciało odmówi mu posłuszeństwa, czerpiąc siłę z ukrytych rezerw swojej wojowniczej duszy. Rek także zdobywał sławę, chociaż wcale o to nie zabiegał.

Dwukrotnie jego szaleńcze ataki zdumiały Nadirów i załamały ich natarcie. Orrin nadal walczył

wraz z resztkami grupy Karnak, teraz liczącej zaledwie osiemnastu ludzi. Po prawej miał Gilada, a po lewej Bregana, który wciąż używał zdobycznego topora. Hogun zebrał wokół siebie pięćdziesięciu legionistów i stał tuż za linią wałów, gotowy wypełnić każdą powstałą wyrwę.

Dnie wypełniała śmierć i jęki umierających. Lista poległych, wisząca w głównej sali kasztelu, wydłużała się z każdym wschodem słońca. Padł Dun Pinar z gardłem rozszarpanym ząbkowanym sztyletem. Bar Britana znaleziono pod stertą nadiryjskich trupów, ze sterczącą z piersi złamaną włócznią. Wysoki Antaheim dostał oszczepem w plecy. Elicas z legionu został

otoczony przy wieżach i padł pod ciosami tuzina mieczy, gdy z bojowym okrzykiem rzucił się na Nadirów. Jorak, potężny banita, zginął od uderzenia maczugą w głowę. Umierając, pociągnął ze sobą dwóch nadiryskich wojowników, którzy z wrzaskiem runęli na skały u podnóża muru.

Wśród szczęku stali wiele bohaterskich czynów przeszło nie zauważonych. Jakiś młody żołnierz walczący za Drussem dostrzegł Nadira, mierzącego włócznią w plecy starca. Bez wahania rzucił się na lśniące, stalowe ostrze i zginął. Waz z innymi rannymi na wałach. Inny żołnierz, oficer o imieniu Portitac, dostrzegłszy wyłom wśród obrońców, Wspiął się na wały, chwycił wierzchołek drabiny i skoczył w dół, odciągając ją od murów. Dwudziestu Nadirów zginęło wraz z nim na skałach, a pięciu innych połamało kończyny. Wiele było podobnie brawurowych akcji.

A bitwa wciąż szalała. Rek obnosił teraz długą szramę, biegnącą skośnie od policzka do brody, nabiegającą czerwienią w czasie walki. Orrin stracił trzy palce lewej ręki, lecz już po dwóch dniach spędzonych na tyłach powrócił do swoich ludzi na murach.

Ze stolicy w Drenanie nadchodziły bez końca listy następującej treści: Trzymajcie się.

Dajcie czas Woundweaverowi.

Jeszcze tylko miesiąc.

A obrońcy wiedzieli, że nie mogą się utrzymać. Jednak walczyli dalej.

Dwukrotnie Nadirowie spróbowali nocnych ataków, ale za każdym razem Serbitar ostrzegał

obrońców i napastnicy drogo zapłacili za swe natarcia. W nocy trudno było znaleźć uchwyty dla rąk, a długa wspinaczka na mury obfitowała w niebezpieczeństwa. Setki najeźdźców ginęły nawet nie tknięte drenajską stalą czy czarnopiorą strzałą.

Teraz noce były ciche, ale równie okropne jak dni. Spokój i cisza bezksiężycowych nocy stanowiły niesamowity kontrast krwawego zamętu słonecznego dnia. Ludzie mieli czas myśleć o żonach i dzieciach, gospodarstwach i marzyć, najczęściej o przyszłości, jaka mogła ich czekać.

Hogun i Bowman zaczęli razem spacerować nocami po blankach, ponury generał legionu i wesoły, dowcipny banita. Hogun przekonał się, że przy Bowmanie może zapomnieć o stracie Elicasa; potrafił nawet śmiać się znowu. Ze swej strony Bowman także cenił sobie towarzystwo gana, gdyż banita również był na swój sposób poważny, chociaż rzadko ujawniał tę cechę charakteru.

Jednak tej nocy Bowman był w melancholijnym nastroju i patrzył przed siebie niewidzącymi oczyma.

– Co cię trapi, człowieku? – zapytał Hogun.

– Wspomnienia – odpowiedział łucznik, wychylając się przez blanki, aby popatrzeć na ogniska Nadirów.

– Muszą być albo bardzo złe, albo bardzo dobre, skoro tak cię poruszyły.

– Są bardzo złe, przyjacielu. Wierzysz w bogów?

.– Czasami. Zwykle wtedy, kiedy jestem przyparty do muru i otoczony przez wrogów – odparł Hogun.

– Ja wierzę w bliźniacze siły dobrej i złej woli. Wierzę, że w rzadkich przypadkach każda z tych sił wybiera sobie człowieka i w rozmaity sposób niszczy go.

– I te siły dotknęły ciebie, Bowman? – zapytał łagodnie Hogun.

– Być może. Pomyśl o najnowszej historii – tam znajdziesz przykłady.

– Nie muszę. Wiem, dokąd wiedzie to opowiadanie powiedział Hogun.

– Co wiesz? – zaniepokoił się łucznik, obracając twarz do odzianego w czerń oficera. Hogun uśmiechnął się łagodnie, chociaż zauważył, że palce Bowmana zacisnęły się na rękojeści sztyletu.

– Wiem, że jesteś człowiekiem, któremu życie złamała jakaś tajemnicza tragedia: zmarła żona, zabity ojciec... coś takiego. Być może jest to nawet jakiś okropny czyn, który popełniłeś i o którym nie możesz zapomnieć. Jednak nawet w takim przypadku fakt, że wspominasz o nim z takim bólem oznacza, iż działałeś wbrew sobie. Zapomnij o przeszłości, człowieku! Kto z nas może ją odmienić?

– Chciałbym móc ci o tym opowiedzieć – rzekł Bowman. – Jednak nie potrafię. Przykro mi, nie jestem dziś dobrym kompanem. Idź dalej. Zostanę tu przez chwilę.

Hogun chciał położyć rękę na jego ramieniu i powiedzieć coś dowcipnego, tak jak to robił

dla niego wiele razy Bowroan. Nie umiał. Były takie chwile, kiedy wojownik z ponurą twarzą był

potrzebny, a nawet uwielbiany, lecz nie w takich sytuacjach. Tak więc zaklął cicho pod swoim adresem i odszedł.

Przez ponad godzinę Bowman stał na wałach, patrząc w dolinę i słuchając dochodzących z obozu poniżej nikłych odgłosów pieśni nadiiryjskich kobiet.

– Martwisz się? – usłyszał jakiś głos.

Bowman odwrócił się na pięcie i stanął naprzeciw Ręka. Młody książę miał na sobie ten sam strój, w którym tu przybył: sięgające ud irchowe buty, tunikę z wysokim kołnierzem zdobionym złotem i kaftan z owczej skóry. U boku nosił swój długi miecz.

– Jestem tylko zmęczony – powiedział Bowman.

– Ja także. Czy moja blizna blednie?

Bowman przyjrzał się uważnie poszarpanej, czerwonej linii biegnącej od czoła do brody. –

Miałeś szczęście, że nie straciłeś oka – skomentował.

– Kiepska nadiryjska stal – odparł Rek. – Wykonałem idealną blokadę, a jego przeklęty miecz złamał się i rozciął mi twarz. Wielkie nieba, człowieku, czy masz pojęcie, jak długo udawało mi się chronić moją twarz?

– Teraz za późno, żeby się tym martwić – powiedział Bowman z szerokim uśmiechem.

– Niektórzy ludzie rodzą się brzydki – odezwał się Rek. – To nie ich wina i nigdy nie robię nikomu zarzutu z tego, że jest brzydki. Tymczasem inni – i zaliczam do nich siebie – rodzą się przystojni. To dar, który nie powinien być tak lekkomyślnie odbierany.

– Zakładam, że kazałeś sprawcy słono za to zapłacić.

– Naturalnie! I wiesz co, myślę, że on uśmiechał się nawet wtedy, kiedy go zarąbałem. Bo on był brzydki. Naprawdę paskudny. To niesprawiedliwe.

– Życie bywa niesprawiedliwe – przytaknął Bowman. – Jednak musisz spojrzeć na to z jaśniejszej strony, mój książę. Widzisz, w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie byłeś oszałamiająco piękny. Zaledwie miły dla oka. Brwi zbyt grube, usta odrobinę za szerokie.

A twoje włosy już nieco rzedną. Gdybyś więc został obdarzony prawie cudowną urodą takich jak ja, dopiero miałbyś czego żałować.

– Jest coś w tym, co mówisz – zgodził się Rek. – Ty rzeczywiście zostałeś szczerze obdarzony. Pewnie natura chciała ci zrekompensować twój niski wzrost.

– Niski? Jestem prawie tak wysoki jak ty.

– Och, „prawie” to bardzo pojemne słowo. Czy człowiek może być prawie żywy? Prawie mieć rację? W kwestii wzrostu, przyjacielu, nie wdajemy się w subtelne odcienie szarości. Ja jestem wyższy, ty jesteś niższy. Zgodzę się jednak, że nie ma w fortocy przystojniejszego niskiego mężczyzny.

– Kobiety zawsze uważały mój wzrost za idealny odciał się Bowman. – Przynajmniej kiedy z nimi tańczę, mogę szeptać im do ucha czułe słówka. Przy tych twoich szczudłach, pewnie wtulają ci głowę pod pachę.

– Masz dużo czasu na tańce w lesie, prawda? – zapytał przyjaźnie Rek.

– Nie zawsze mieszkałem w lesie. Moja rodzina... Bowman zająknął się i umilkł.

– Znam twoje pochodzenie – powiedział Rek. – Chyba nadszedł już czas, aby o tym porozmawiać. Za długo z tym zwlekasz.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Powiedział mi Serbitar. Jak wiesz, wniknął w twoje myśli... kiedy przekazywałeś wiadomość Drussowi.

– Pewnie wie o tym cała cholerna forteca. – Zdenerwował się Bowman. – Rano wyjeżdżam.

– Tylko Serbitar i ja znamy tę historię – i prawdę. Jeśli nie chcesz, nie mów.

– Prawda jest taka, że zabiłem ojca i brata. Twarz Bowmana była blada i napięta.

– Podwójny wypadek – dobrze o tym wiesz! – rzucił Rek. – Dlaczego musisz się tak dręczyć?

– Dlaczego? Nie wierzę w przypadki. Zastanawiam się Jak wiele z nich jest skutkiem naszych ukrytych pragnień. Był kiedyś biegacz, najświetniejszy jakiego widziałem.

Przygotowywał się do wielkich zawodów, w których miał się ścigać z najlepszymi zawodnikami z wielu krajów. Dzień wcześniej upadł i skręcił sobie nogę w kostce. Czy to był naprawdę wypadek, czy przestraszył się wielkiego sprawdzianu?

– Tylko on będzie to wiedział – powiedział Rek. – Na tym jednak polega sekret. On zna, tak jak ty, swoją tajemnicę. Serbitar mówił mi, że polowałeś z ojcem i bratem. Kiedy poszliście w gąszcz za jeleniem, twój ojciec był po lewej, a brat po prawej stronie. Gdy przed tobą zaszeleścił krzak, wycelowaliśmy weń i wypuściliśmy strzałę. Trafiłeś ojca, który nadszedł, nie opowiadając się. Skąd mogłeś wiedzieć, że zrobi coś takiego?

- Chodzi o to, że zawsze nas uczył, by nie strzelać, dopóki nie zobaczymy celu.
- Zatem popełniłeś błąd. Nic nowego pod słońcem.
- A mój brat?
- Zobaczył, co zrobiłeś, zrozumiał to opacznie i rzucił się na ciebie w gniewie. Odepchnąłeś go, upadł, uderzając głową o skałę. Nikt nie chciałby nosić takiego ciężaru. Jednak ty pielęgnowałeś te wspomnienia i czas już, by o nich zapomnieć.
- Nigdy nie kochałem mojego ojca ani brata – oświadczył Bowman. – Mój ojciec zabił moją matkę. Zostawiał ją samą na całe miesiące i miał wiele kochanek. Kiedy moja matka znalazła sobie przyjaciela, kazał go oślepić, a ją zabić... w straszny sposób.
- Wiem. Przestań już o tym myśleć.
- A mój brat był jego wierną kopią. To również wiem.
- A czy wiesz co czułem, gdy tak obaj leżeli martwi u mych stóp?
- Tak. Nie posiadałeś się z radości.
- I czy to nie jest straszne?
- Nie wiem, czy to rozważyłeś, Bowman, ale zastanów się. Winisz bogów, że rzucili na ciebie klątwę, ale w rzeczywistości spadła ona na tych dwóch, którzy na nią zasłużyli.
- Nie wiem jeszcze, czy naprawdę wierzę w przeznaczenie, ale z pewnością zdarzają się w życiu człowieka rzeczy, których nie umie sobie wytłumaczyć. Na przykład, moje przybycie tutaj. Przekonanie Drussa, że tutaj umrze, ponieważ zawarł pakt ze śmiercią. I ty... Czy wierzysz, że byłeś tylko narzędziem w rękach... kto wie? Może boskiej sprawiedliwości?
- W cokolwiek wierzysz w związku ze swoim losem, wiedz jedno: Serbitar wejrzał w twe serce i nie znalazł w nim zła. A on wie.
- Możliwe – powiedział Bowman. Nagle uśmiechnął się. – Czy zauważyłeś, że gdy Serbitar zdejmie ten hełm z końskim ogonem, jest niższy ode mnie?

Pokój był urządzonej po spartańsku: chodnik, poduszka i krzesło, wszystko stłoczone wokół małego okienka, przy którym stał teraz albinos, nagi i samotny. Światło księżyca obmywało jego bladą skórę, a nocna bryza rozwiewała mu włosy. Ramiona miał opuszczone, a oczy zamknięte.

Owładnęło nim znużenie, tak ogromne, jak nigdy dotąd w całym jego młodym życiu. Zrodziło się bowiem z jego ducha oraz prawdy.

Filozofowie często rozmawiali o kłamstwach, które tkwią pod językiem jak słony miód.

Serbitar wiedział, że było to dość wiarygodne. Częściej jednak doświadczał, że ukryta prawda była gorsza. Znacznie gorsza. Osiadała w żołądku i rozrastała się, aby objąć całego ducha.

Pod jego pokojem znajdowały się kwatery vagryjskich żołnierzy, gdzie mieszkał Suboden oraz trzystu ludzi, którzy przybyli z Dros Segril. Od kilku dni walczył na czele swej osobistej straży i znów stał się księciem Dros Segril, synem księcia Drada. Było to dla niego bolesne doświadczenie, ponieważ jego ludzie robili na piersiach znak rogu na widok swego pana. Rzadko z nim rozmawiali, a i wtedy odpowiadali jedynie pośpiesznie na zadane pytanie. Suboden, jak zwykle bezpośredni, poprosił albinosa, aby ten wrócił do Swych towarzyszy.

– Jesteśmy tutaj, książę, ponieważ to nasz obowiązek Wypełnimy go jak najlepiej, nie musisz być przy nas obecny Jednakże o wiele boleśnieszka była długa dyskusja, którą przeprowadził

z Opatem Mieczy, człowiekiem, którego szanował, kochał jak ojca, mentora i przyjaciela.

Serbitar zamknął oczy i otworzył umysł, uwalniając się z pęt ciała i odsłaniając kurtyny czasu.

Podążył wstecz, daleko, daleko. Trzydzieści długich, pełnych zmęczenia i radości lat przepłynęło obok niego i znów zobaczył karawanę, która przywiozła go do Opata Mieczy. Na czele dziesięciu wojowników stał ogromny, rudobrody Drada, młody książę Segril – zahartowany w walce, o żywym usposobieniu, bezlitosny jako wróg, ale prawdziwy przyjaciel. Za nim jechało dziesięciu zaufanych wojowników, ludzi, którzy zginęliby zań bez chwili wahania, ponieważ kochali go nad życie. Z tyłu jechał wóz, na którym, na słomianej macie przykrytej jedwabiem, leżał młody książę, a brezentowy baldachim osłaniał jego białą jak u ducha twarz od słońca.

Drada zawraca czarnego konia i galopuje do wozu. Pochyla się przez łęk siodła i patrzy w dół na chłopca. Chłopiec podnosi oczy; na tle jasnego nieba widzi jedynie trzepoczące skrzydła bitewnego hełmu ojca.

Wóz rusza znowu i kryje się w cieniu ozdobnej czarnej bramy. Brama otwiera się i wychodzi człowiek.

– Witam cię, Drada – mówi głosem, który nie pasuje do srebrnej zbroi, którą ma na sobie, ponieważ to głos o łagodnym brzmieniu, głos poety.

– Przywożę ci mojego syna – odpowiada książę szorstko jak żołnierz.

Vintar podchodzi do wózka i spogląda na chłopca. Kładzie rękę na bladym czole, uśmiecha się i gładzi go po głowie.

– Chodź ze mną, chłopcze – rzecze.

– On nie umie chodzić – wtrąca Drada. – Ależ umie – oświadcza Vintar.

Chłopiec zwraca pytające oczy na Vintara i po raz pierwszy w swym samotnym życiu odczuwa jedność umysłów. Nie ma słów. Twarz Vintara, łagodna twarz poety, niesie obietnicę siły i przyjaźni. Kruche mięśnie na wycieńczonym ciele Serbitara zaczynają drżeć, gdy tchnienie mocy odradza

zniszczone komórki.

– Co się dzieje z chłopcem? – Głos Drady napęła się niepokojem.

– Nic. Pożegnaj się z synem.

Rudobrody wojownik zawraca konia na północ i spogląda w dół na białowłose dziecko.

– Rób co ci każą. Bądź grzeczny. – Waha się, udaje, że koń mu się płoszy. Próbuje znaleźć słowa ostatecznego pożegnania, ale nie potrafi. Zawsze było mu trudno rozmawiać z tym czerwonoookim dzieckiem. – Bądź grzeczny – powtarza, podnosi rękę i prowadzi swych ludzi na północ, w długą powrotną podróż do domu.

Kiedy wóz odjeżdża, ostre promienie słońca padają strumieniem na matę, a chłopiec reaguje na to jak na cios włóczni. Jego twarz zdradza ból; oczy ma mocno zaciśnięte. Vintar delikatnie wkracza w jego myśli i nadaje impuls: – Teraz wstań i idź za obrazami, które umieszczę na twoich powiekach.

Ból od razu ustaje i chłopiec widzi wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem. A mięśnie unoszą go w końcu, uczucie niemal zapomniane od czasu, gdy przed rokiem upadł w śnieg w górach Delnoch. Od tego czasu leżał sparaliżowany, nie mogąc mówić.

Teraz stoi i z zamkniętymi oczami widzi wyraźniej. Bez poczucia winy zdaje sobie sprawę, że zapomniał o swoim ojcu i jest szczęśliwy z tego powodu. Duch starszego Serbitara ponownie doznaje tej wszechogarniającej radości, jaką czuł młodzieniec tamtego dnia, gdy ramię w ramię z Vintorem-duchem szedł przez dziedziniec, aż w końcu w jasno oświetlonym zakątku znaleźli maleńki pęd róży, przytulony do wielkiej, kamiennej ściany.

– To twoja róża, Serbitarze. Kochaj ją. Pielęgnuj i rośnij z nią. Pewnego dnia na tej małej roślince wyrośnie kwiat. I będzie pachniał tylko dla ciebie.

– Czy to biała róża?

– Jeśli sobie życzysz.

I w ciągu następnych lat Serbitar odnalazł spokój i radość w braterstwie, lecz nigdy nie zaznał większego zadowolenia niż tego pierwszego dnia, z Vintarem-duchem.

Vintar nauczył go rozpoznawać ziele o imieniu Lorassium i jeść jego liście. Na początku wywoływały senność i zsyłały kolorowe sny. Jednak z upływem czasu jego potężny młody umysł

opanował wizję, a zielone soki wzmocniły jego słabą krew. Nawet oczy zmieniły kolor, odzwierciedlając moc rośliny.

Nauczył się znowu biegać, radować dotknięciem wiatru na twarzy, nauczył się wspinać i mocować, śmiać i żyć.

I nauczył się mówić bez słów, poruszać się nie poruszając, i widzieć nie patrząc. Przez wszystkie te

błogosławione lata róza Serbitara kwitła i rosła.

Biała róza...

A teraz to wszystko sprowadziło się do tego! Jedno krótkie spojrzenie w przyszłość zniszczyło trzynastcie lat nauki i wiary. Jedna mknąca strzała, widziana przez mgły czasu, zmieniła jego przeznaczenie.

Serbitar z przerażeniem spoglądał na scenę, która rozgrywała się na ogarniętych bitewną gorączką murach Dros. Jego umysł nie mógł znieść tego widoku i uciekł, szybko jak kometa, w najdalszy zakątek Wszechświata, zatracając się wśród eksplodujących gwiazd i odradzających się słońc.

A jednak Vintar odnalazł go.

– Musisz wrócić.

– Nie mogę. Widziałem.

– Tak jak ja.

– Więc wiesz, że wolałbym umrzeć niż znów to zobaczyć. – jednak musisz, bowiem to twoje przeznaczenie.

– Zatem odrzucam je.

– A twoi przyjaciele? Czy ich także odrzucasz?

– Nie mogę jeszcze raz zobaczyć, jak umierasz, Vintar.

– Dlaczego nie? Ja sam widziałem tę scenę tysiące razy. Nawet napisałem o niej wiersz.

– Tacy jak teraz – czy po śmierci znowu będziemy takimi? Wolnymi duszami?

– Nie wiem, ale chciałbym, żeby tak było. Teraz wracaj do swych obowiązków. Nadałem impuls do Trzydziestu. Będą utrzymywać twoje ciało przy życiu najdłużej jak się da.

– Zawsze to robili. Dlaczego ja muszę umrzeć ostatni?

– Ponieważ chcieli. Kochamy cię, Serbitarze. I zawsze będziemy kochać. Byłeś nieśmiałym dzieckiem, które nigdy nie zaznało przyjaźni. Obawiałeś się najmniejszego dotknięcia czy uścisku – dusza łkająca samotnie na kosmicznym pustkowiu. Nawet teraz jesteś samotny.

– Jednak kocham was wszystkich.

– Ponieważ potrzebujesz naszej miłości.

– To nie tak, Vintar!

– Kochasz Ręka i Virae?

– Oni nie należą do Trzydziestu.

– Ty też nie należałeś, dopóki my tak nie postanowiliśmy.

Serbitar powrócił do fortecy i wstydił się. Jednak wstyd, jaki odczuwał wcześniej był niczym w porównaniu z uczuciem, którego doświadczał teraz.

Czy upłynęła tylko godzina, od czasu gdy spacerując z Vintarem po wałach, narzekał na wiele rzeczy i spowiadał się z wielu grzechów?

– Mylisz się, Serbitarze. Bardzo się mylisz. Ja również Czuję żądzę walki w czasie bitwy.

Kto tego nie czuje? Zapytaj Arbedarka czy Menahema. Dopóki będziemy ludźmi, będziemy odczuwać to, co inni ludzie.

– A więc wcale nie liczy się to, że jesteśmy mnichami! – krzyknął Serbitar. – Spędziliśmy lata naszego życia, studiując szaleństwo wojny, ludzką żądzę władzy, potrzebę rozlewu krwi.

Wyrośliśmy ponad przeciętność, posiadając moc niemal boską. A w końcu dochodzimy do tego, iż pożądamy walki i śmierci. Wszystko na nic!

– Twoje zarozumiałstwo jest przeogromne, Serbitarze – powiedział Vintar, w jego głosie zadźwięczał ostrzejszy ton, a w oczach pojawiła się zapowiedź gniewu. – Mówisz: „Niemał boską”. Mówisz: „Przeciętność”. Gdzie w twoich słowach jest pokora, o którą walczymy?

– Kiedy pierwszy raz przyszedłeś do świątyni, byłeś samotny, słaby i o kilka lat młodszy od pozostałych. Jednak uczyłeś się szybciej. I zostałeś wybrany jako głos. Czy opanowałeś jedynie ćwiczenia, a zapomniałeś o nauce?

– Na to wygląda – odpowiedział Serbitar.

– I znowu się mylisz. Dlatego że w mądrości jest cierpienie. Cierpisz nie dlatego, że nie wierzysz, ale ponieważ wierzysz. Powróćmy do podstaw. Dlaczego wyruszamy na tę wojnę?

– Żeby umrzeć.

– Dlaczego wybieramy taki sposób? Dlaczego po prostu nie zagłodzimy się?

Ponieważ na wojnie najsilniejszy jest w człowieku instynkt przetrwania. Będzie walczył ze wszystkich sił, aby zostać przy życiu. Nauczy się na nowo je kochać.

– A to zmusi nas do stawienia czoła czemu?

– Naszym wątpliwościom – wyszeptał Serbitar.

– Jednak nigdy nie sądziłeś, że możesz mieć takie wątpliwości, tak byłeś pewien swojej niemal boskiej mocy?

– Tak, byłem pewien. Teraz nie jestem. Czy to taki wielki grzech?

– Wiesz, że nie. Dlaczego ja żyję – mój chłopcze? Dlaczego nie umarłem razem z Trzydziestoma Magnara dwadzieścia lat temu?

– Dlatego, że zostałeś wybrany, aby założyć nową świątynię.

– Dlaczego mnie wybrano?

– Dlatego, że byłeś najlepszy. Musiało tak być.

– A więc dlaczego nie zostałem przywódcą?

– Nie rozumiem ciebie.

– W jaki sposób wybiera się wodza?

– Nie wiem. Nigdy nie mówiłeś.

– Zatem zgadnij, Serbitarze.

– Ponieważ on jest najlepszym. Jest naj...

– Doskonalszy?

– Powiedziałbym tak, lecz widzę dokąd mnie prowadzisz. Jeśli ty byłeś najdoskonalszy, dlaczego przewodził Magnar? A więc, dlaczego?

– Widziałeś przyszłość; powinieneś zobaczyć i usłyszeć tę rozmowę. – Ty mi powiesz.

– Wiesz, że nie słyszałem – powiedział Serbitar. Nie było czasu na badanie szczegółów.

– Och Serbitarze, nadal nie chcesz zrozumieć! To co widziałeś i chciałeś zbadać, to były drobiazgi, mało znaczące i trywialne. Jakie ma znaczenie dla historii tej planety, że ta twierdza padnie. Ile innych zamków upadło w ciągu wieków? Jakie kosmiczne znaczenie miał ich upadek?

Jak istotna jest nasza śmierć?

– Powiedz mi więc, mój panie, jak wybierany jest wódz?

– Jeszcze nie zgadłeś, mój synu?

– Myślę, że tak.

– A więc mów.

– Jest najmniej doskonałym z akolitów – oświadczył Serbitar cicho, a jego zielone oczy wpatrywały się w twarz Vintara, błagając, by zaprzeczył.

– On jest najmniej doskonały – powtórzył Vintar ze smutkiem.

– Ale dlaczego? – pytał Serbitar.

– Aby jego zadanie było jeszcze trudniejsze, bardziej skomplikowane. Aby dać mu szansę rozwinięcia umiejętności i sprostania obowiązkom na stanowisku, które piastuje.

– I ja zawiodłem?

– Jeszcze nie, Serbitarze. Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ 24

Z każdym dniem coraz więcej ludzi opuszczało miasto. Ładowali swój majątek na wozy i wózki, albo na grzbiety mułów i tworzyli karawany, które jak węże wiły się w głąb łądu w kierunku względnego bezpieczeństwa gór Skoda oraz znajdującej się za nimi stolicy.

Każdy odjazd stawiał obrońców przed nowymi problemami. Walczący żołnierze musieli pełnić inne obowiązki, takie jak czyszczenie latryn, gromadzenie zapasów i przygotowywanie żywności. Rezerwy wyczerpywały się w szybkim tempie.

Druss był wściekły i nalegał, aby zamknąć bramy i powstrzymać ewakuację. Rek odparł mu, że wtedy trzeba będzie przydzielić więcej żołnierzy do pilnowania drogi na południe. Wtedy na obrońców twierdzy spadło pierwsze wielkie nieszczęście.

W południe letniego dnia – dziesięć tygodni po rozpoczęciu oblężenia – padł Musif i zapanował chaos. Nadirowie przełamali obronę pośrodku muru i wdarli się klinem w szeregi Drenajów. Żołnierze, obawiając się okrążenia, cofnęli się i popędzili w stronę rowów ogniowych.

Gdy, zapomniawszy o dyscyplinie, zaczęli się przepychać, dwa mostki nad rowami załamały się pod ciężarem uciekających.

Na Kania, murze trzecim, Rek czekał do ostatniej chwili, zanim dał rozkaz podpalenia rowów płonącymi strzałami. Druss, Orrin i Hogun wdrapali się na bezpieczne miejsce na moment przed tym, zanim rowy stanęły w ogniu. Jednak za nimi pozostało ośmiuset drenajskich wojowników, którzy toczyli beznadziejną walkę, tworząc ciasne pierścienie z tarcz, malejące z każdą chwilą. Wielu na Kania odwracało oczy, nie mogąc znieść widoku daremnej walki przyjaciół. Rek stał z zaciśniętymi pięściami i rozpaczą w oczach. Walka nie trwała długo.

Przytłaczająca przewaga liczebna wroga nie dała szansy Drenajom i niebawem tysiące koczowników zaśpiewały pieśń zwycięstwa.

Zgromadzili się przed płomieniami i śpiewali, wymachiwali powietrzu zboczonymi krwią mieczami i toporami. Niewielu na murach rozumiało słowa, lecz znajomość ich języka nie była potrzebna.

Prymitywne przesłanie miało jedno znaczenie porażające serce i duszę.

– Co śpiewają? – zapytał Rek Drussa, gdy ten odzyskał oddech po długiej wspinaczce na wały.

– To ich pieśń chwały:

Jesteśmy Nadirami,

Dziećmi młodości

Rozlewem krwi

Ciosem topora

I wciąż zwycięscy.

Pod osłoną ognia napastnicy wdarli się do szpitala polowego, mordując rannych w łózkach lub wywlekając na światło dzienne, gdzie mogli być widziani przez towarzyszy z murów. Tych zasypywano gradem strzał lub powoli ćwiartowano. Jednego nawet przybito do okiennic baraku, gdzie wisiał, jęcząc przez dwie godziny zanim rozcięto mu brzuch i pozbawiono głowy.

Trupy Drenajów, odarte z broni i zbroi ciskano do rowów ogniowych, a odór palących się ciał napełniał powietrze i gryzł w oczy.

Ewakuacja przy południowej bramie przypominała powódź. Teraz dołączyli się żołnierze, porzucając broń i mieszając się z tłumem. Na wyraźny rozkaz Ręka nie usiłowano ich powstrzymać.

W małym domku w pobliżu Drogi Młynarzy, Maerie próbowała uspokoić niemowlę, łkające w jej ramionach. Hałas dobiegający z ulicy przestraszył ją. Rodziny pakowały swój dobytek na wozy i wózki ciągnięte przez woły lub Wieczne krowy. Panowało straszliwe zamieszanie.

Maerie przytuliła dziecko, nucąc kołysankę i całując loczki na jego główce.

– Muszę wracać na mury – powiedział jej mąż, wy – soki, młody człowiek z ciemnymi włosami i szerokimi, łagodnymi, niebieskimi oczami. Wyglądał bardzo źle, chudy, z zapadniętymi oczami.

– Nie idź, Carinie – powiedziała, gdy przypinał do pasa miecz.

– Mam nie iść? Muszę.

– Wyjedźmy z Delnoch. Mamy przyjaciół w Purdol, a ty mógłbyś znaleźć tam pracę.

Nie był człowiekiem z intuicją i nie usłyszał rozpacz w jej głosie, nie dostrzegł paniki w oczach.

– Nie daj wystraszyć się tym głupcom, Maerie. Druss jest nadal z nami i utrzymamy Kanię.

Obiecuję ci.

Łkające dziecko zacisnęło ręce na sukni matki, ułagodzone siłą płynącą z głosu ojca. Zbyt małe, aby rozumieć słowa, uspokoił je spokojny ton i siła głosu. Zapomniało o hałasie dolatującym z zewnątrz i zasnęło na ramieniu matki. Maerie jednak była starsza i mądrzejsza niż dziecko, i dla niej te słowa były tylko słowami.

– Posłuchaj mnie, Carinie. Chcę wyjechać. Dzisiaj!

– Nie mogę teraz rozmawiać. Muszę wracać. Zobaczymy się później. Wszystko będzie dobrze. – Pochylił się i pocałował ją, a potem wyszedł w chaos ulicy.

Rozejrzała się wokół, wspominając: komoda przy drzwiach, prezent od rodziców Carina.

Krzesała zrobił jej wuj, Damus, starannie modelując, jak każde swoje dzieło. Tę komodę i krzesła przywieźli tu ze sobą przed dwoma laty.

Czy były to dobre lata?

Carin był czuły, troskliwy, kochający. Było w nim tyle dobroci. Ułożywszy dziecko w łóżeczku poszła do niewielkiej sypialni i zamknęła okno, wyciszając hałas. Wkrótce nadejdą Nadirowie. Roztrzaskają drzwi i wyciągną swe brudne ręce po nią, zedrą z niej ubranie...

Zamknęła oczy.

Druss był wciąż z nimi, powiedział.

Głupi Carin! Dobry kochający, troskliwy, głupi Carin! Carin młynarz.

Nigdy nie była z nim naprawdę szczęśliwa, chociaż gdy, nie ta, wojna może nigdy nie zdałaby sobie z tego sprawy, była tak bliska szczęścia. Potem on przyłączył się do obrońców i przyszedł do domu taki dumny w tym śmiesznym napierśniku i za dużym hełmie.

Głupi Carin. Miły Carin.

Odwróciła się na dźwięk otwieranych drzwi i zobaczyła swoją przyjaciółkę, Delis, której blond włosy osłaniał podróżny szal, a ramiona okrywał ciężki płaszcz.

– Jedziesz? – zapytała.

– Tak.

– Czy Carin jedzie z tobą?

– Nie.

Szybko zebrała swój dobytek i wepchnęła do brezentowej torby przysłanej Carinowi. Delis zaniósła torbę do wozu, podczas gdy Maerie wyjęła syna z łóżeczka i owinęła go drugim kocem.

Zatrzymała się na chwilę, szarpnięciem otworzyła małą komodę i odsuwając pościel wyciągnęła niewielką sakiewkę ze srebra, którą ukrył tam Carin.

Nie trzymała się zamykaniem drzwi.

W kasztelu Druss wściekał się na Ręka, przysięgając, że zabije każdego rozpoznanego dezercera.

– Już za późno na to – powiedział Rek.

– Do licha, chłopcze! – wymamrotał Druss. – Mamy mniej niż trzy tysiące ludzi. Jak długo twoim zdaniem utrzymamy się, jeżeli pozwolimy na dezercje?

– A jak długo, jeśli nie pozwolimy? – warknął Rek. – Tak czy inaczej, jesteśmy skończeni!

Serbitar mówi, że Kanię można utrzymać przez jakieś dwa dni, Sumitos być może trzy, tyle samo Valteri, a Geddon mniej. W sumie dziesięć dni. Dziesięć nieszczęsnych dni! – Młody książę wychylił się za balustradę balkonu nad bramą i obserwował konwój, ruszający na południe. –

Spójrz na nich, Druss! Wieśniacy, piekarze, handlarze. Jakie mamy prawo, aby kazać im umierać? Jakie to dla nich ma znaczenie, czy nam się uda? Nadirowie nie zabiją wszystkich drenajskich piekarzy; dla nich będzie to tylko zmiana władcy.

– Zbyt łatwo się poddajesz – burknął Druss.

– Jestem realistą. I nie wygłaszaj mi żadnych kazań o Skeln Pass. Ja nigdzie nie wyjeżdżam.

– Równie dobrze mógłbyś wyjechać – odparł Druss, osuwając się na obity skórą fotel. –

Straciłeś już nadzieję.

Rek odwrócił się od okna i gniewnie spojrzał na rębacza.

– Co się z wami dzieje, wojownicy? Można zrozumieć, jeśli mówicie banały, niewybaczalne jest, jeśli myślicie w ten sam sposób. Straciłem nadzieję, akurat! Ja nigdy nie miałem nadziei. To przedsięwzięcie od początku było skazane na niepowodzenie, jednak robimy, co możemy i co musimy. A więc młody rolnik, żonaty i dzieciaty, postanawia wracać do domu. Dobrze!

Wykazuje zdrowy rozsądek, którego ludzie tacy jak ty i ja nigdy nie rozumieją. Tamci będą o nas śpiewać pieśni, ale on musi zadbać o to, aby miał je kto śpiewać. Oni sieją. My niszczymy.

– A poza tym, taki rolnik odegrał już swoją rolę i walczył jak mężczyzna. Byłoby niewybaczalne, gdyby musiał umykać ze wstydem.

– To dlaczego nie pozwolisz im wszystkim pójść do domu? – zapytał Druss. – Wtedy ty i ja moglibyśmy stanąć na murach i zaprosić Nadirów, aby wychodzili na nas pojedynczo, po rycersku.

Rek uśmiechnął się nagle, a gniew i napięcie opuściły go nagle.

– Nie będę się z tobą spierał, Druss – powiedział cicho. – Jesteś człowiekiem, którego najbardziej podziwiam. Jednak myślę, że w tej sprawie nie masz racji. Nalej sobie wina. Wkrótce wrócę.

Przed upływem niecałej godziny pismo księcia odczytano we wszystkich oddziałach.

Bregan przyniósł wiadomość Giladowi, który jadł w cieniu szpitala polowego pod urwistą skalną ścianą zachodniej Kani.

– Możemy iść do domu – oznajmił Bregan z wypiekami na twarzy. – Zdążymy na dożynki!

– Nie rozumiem – odparł Gilad. – Poddaliśmy się!

– Nie. Książę mówi, że każdy kto chce odejść, może to zrobić teraz. Mówi, że możemy odejść dumni, bo walczyliśmy jak mężczyźni – i jak mężczyźni musimy mieć prawo odejść.

– Czy mamy zamiar się poddać? – zapytał Gilad zaskoczony.

– Nie sądzę – rzekł Bregan.

– A więc ja nie idę.

– Przecież książę ogłosił, że to jest w porządku!

– Nie obchodzi mnie co ogłosił.

– Nie rozumiem, Gil. Wielu innych idzie. I to prawda, że odegraliśmy swoją rolę.

Nieprawdaż? Chcę powiedzieć, że walczyliśmy najlepiej, jak umieliśmy.

– No chyba. – Gilad przetarł zmęczone oczy i odwrócił się, żeby popatrzeć jak dym z rowu ogniowego leniwie wzbija się w niebo. – Oni także zrobili, co mogli wyszeptał.

– Kto?

– Ci, którzy zginęli. Ci, którzy jeszcze zginą.

– Przecież książę mówi, że to w porządku. Że możemy odejść z głowami podniesionymi wysoko. Dumni.

– Czy naprawdę tak mówi?

– Tak.

– No cóż, moja głowa nie byłaby podniesiona wysoko.

– Nie rozumiem ciebie, naprawdę nie rozumiem. Przez cały czas mówiłeś, że nie utrzymamy tej fortecy. Teraz mamy szansę odejść. Dlaczego nie możesz po prostu tego zaakceptować i pójść z nami?

– Ponieważ jestem głupcem. Pozdrów ode mnie wszystkich.

– Wiesz, że nie pójdę, jeśli ty nie pójdziesz ze mną.

– Teraz ty nie zaczynaj wygłupiać się, Breg! Masz po c^o żyć. Wyobraź sobie tylko małego Legana, jak drepcze do ciebie, a także wszystkie historie, które będziesz mógł opowiedzieć. No już. Idź!

– Nie. Nie rozumiem dlaczego zostajesz, ale zostaję z tobą.

– Tego nie wolno ci zrobić – powiedział łagodnie Gilad. – Chcę, żebyś wracał. Naprawdę chcę. Przede wszystkim, jeśli nie wrócisz, kto im opowie jakim byłem bohaterem. Poważnie, Breg, czułbym się o wiele lepiej wiedząc, że jesteś z dala od tego wszystkiego. Książę ma rację.

Ludzie tacy jak ty odegrali swoją rolę. Wspaniale.

– A jeśli chodzi o mnie... cóż, ja chcę tutaj zostać. Dowiedziałem się tak wiele o sobie i innych. Prócz tego miejsca, nikt nigdzie mnie nie potrzebuje. Nie jestem niezbędny. Nigdy nie będę rolnikiem, a nie mam pieniędzy, aby zostać kupcem, ani wychowania, by zostać księciem.

Jestem niedostosowany. Należę do tego miejsca razem ze wszystkimi innymi nieprzystosowanymi. Proszę, Bregan. Proszę – idź!

W oczach Bregana zabłyśły łzy, gdy objęli się na pożegnanie. Potem młody wieśniak z kręconymi włosami wstał.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze, Gil. Wszystko im opowiem – obiecuję.

Powodzenia!

– I tobie także, gospodarzu. Weź swój topór. Będziesz go mógł zawiesić w gminnej sali.

Gilad patrzył jak przyjaciel odchodzi ku tylnej bramie i w kierunku kasztelu za nią. Bregan odwrócił się raz i pomachał ręką. Potem zniknął.

W sumie sześciuset pięćdziesięciu ludzi postanowiło odejść.

Pozostało dwa tysiące czterdziestu. Oprócz nich byli Bowman, Caessa i pięćdziesięciu łuczników. Pozostali banici, wypełniwszy dane słowo, powrócili do Skultik.

– Piekielnie mało – mruknął Druss na zakończenie spotkania.

– I tak nigdy nie lubiłem tłumów – rzucił niedbale Bowman.

Hogun, Orrin, Rek i Serbitar pozostali na miejscach, gdy Bowman i Druss wyszli razem w noc.

– Nie rozpaczaj, stary – powiedział Bowman, klepiąc Drussa po plecach. – Wiesz, że mogło być gorzej.

– Naprawdę, w jaki sposób?

– Hm, mogło nam się skończyć wino. – Skończyło nam się wino.

– Tak? To okropne. Nigdy nie zostałamby, gdybym wiedział. Na szczęście jednak tak się składa, że w mojej nowej kwaterze mam kilka flaszek czerwonego lentrańskiego. Tak więc przynajmniej my możemy się dzisiaj zabawić. Może uda nam się nawet zostawić coś na jutro.

– Dobry pomysł – rzekł Druss. – Może powinniśmy zapakować je w butelki, żeby poleżakowały kilka miesięcy. Lentrańskie czerwone, mój Boże! Tę ciecz produkujesz w Skultik z mydła, ziemniaków i szczurzych odchodów. Lepiej smakowałyby wiadro nadiryjskich pomyj.

– W tym masz nade mną przewagę, stary, ponieważ ja nigdy nie kosztowałem nadiryjskich pomyj. Jednak mój wywar daje pożądany efekt.

– Myślę, że wolałbym ssać pachę Nadira – mruknął Druss.

– Świetnie, wypiję wszystko sam – warknął Bowman.

– Nie musisz być tak drażliwy, chłopcze. Jestem z tobą. Zawsze uważałem, że przyjaciele powinni cierpieć razem.

Arteria zwinęła się jak wąż pod palcami Virae, tryskając krwią do środka jamy brzusznej.

– Mocniej! – rozkazał Calvar Syn z rękami zanurzonymi głęboko w ranie. Odsunął na bok niebieskie, śliskie wnętrze, rozpaczliwie próbując zatamować krwotok. Na próżno; wiedział, że nie zdoła. Był to jednak winien leżącemu; musiał wykorzystać każdą uncję swojej wiedzy.

Pomimo wszelkich wysiłków, czuł jak życie rannego wycieka mu między palcami. Jeszcze jeden szew, jeszcze jedno drobne, pyrrusowe zwycięstwo.

Człowiek umarł, gdy jedenasty szew zamykał ścianę brzucha. – Niczyje? – zapytała Virae.

Calvar przytaknął, prostując się. – Przecież krew nadal płynie – stwierdziła.

– Będzie tak płynąć jeszcze chwilę.

– Naprawdę myślałam, że przeżyje – szepnęła. Calvar wytarł zakrwawione dłonie w lnianą szmatę i podszedł do niej. Odwróciwszy ją twarzą do siebie, położył ręce na jej ramionach.

– Nawet gdyby udało mi się powstrzymać krwotok, jego szansę były jak jeden do tysiąca.

Włócznia przecięła śledzionę i gangrena była prawie pewna.

Oczy miała czerwone, a twarz szarą. Zamrugnęła i zadrżała, lecz nie płakała, gdy spojrzała na twarz zmarłego.

– Byłam pewna, że ma brodę – powiedziała zmieszana.

– To był ten poprzedni.

– Ach, tak. On także zmarł.

– Powinnaś odpocząć.

Objął ją i wyprowadził z pokoju i oddziału, mijając stłoczone rzędy piętrowych, polowych łóżek. Wśród nich cicho poruszali się sanitariusze. Wszędzie unosił się zapach śmierci, a słodki, mdły odór zgnilizny mieszał się z antyseptyczną goryczą soku Lorassium i gorącej wody z miętą.

Może nie były to nieprzyjemne perfumy, jednak Virae ze zdziwieniem stwierdziła, że studnia nie wyschła i łzy wciąż mogą płynąć.

Zaprowadził ją do dużego pokoju, napełnił miskę ciepłą wodą i zmył krew z jej rąk i twarzy osuszając ją delikatnie, jakby była dzieckiem.

– Powiedział, że ja kocham wojnę – odezwała się. – A to nieprawda. Może wtedy miał rację.

Już nie wiem.

– Tylko głupcy kochają wojnę – odrzekł Calvar albo ludzie, którzy jej nigdy nie widzieli.

Kłopot polega na tym, że ci, którzy przeżyją wojnę, pamiętają jedynie bitewną euforię.

Przekazują to wspomnienie i inni zaczynają jej pragnąć. Nałóż płaszcz i idź się przejść. Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

– Chyba nie będę mogła jutro przyjść, Calvarze. Zostanę na murach z Rekiem. – Rozumiem.

– Czuję się taka bezradna, patrząc jak ludzie umierają. – Uśmiechnęła się. – Nie lubię czuć się bezradna; nie przywykłam do tego.

Patrzył za nią, stojąc w drzwiach. Jej wysoką postać spowijał biały płaszcz, nocny wietrzyk rozwiewał włosy.

– Ja także czuję się bezradny – powiedział cicho.

Ta ostatnia śmierć dotknęła go mocniej niż powinna, ale przecież znał tego człowieka, podczas gdy inni byli jedynie bezimiennymi nieznanymi.

Carin, były młynarz. Calvar pamiętał, że tamten miał żonę i syna w Delnoch.

– Przynajmniej ktoś po tobie zapłacze, Carinie – wyszeptał w gwiazdy.

Rek siedział, obserwując gwiazdy wysoko ponad wieżą kasztelu i przesuwające się chmury, czarne na tle oświetlonego księżycem nieba. Wyglądały jak skalne ściany o poszarpanych krawędziach, przerażające, nieubłagane i obojętne. Rek oderwał wzrok od okna i przetarł oczy.

Już wcześniej zaznał zmęczenia, ale nigdy takiego otępiającego znużenia, takiej depresji ducha.

W pokoju było ciemno. Zapomniał zapalić świecę, tak intensywnie wpatrywał się w ciemniejące niebo. Rozejrzał się wokół. Tak miły i przyjazny w ciągu dnia pokój, teraz wydawał się nawiedzony przez cienie i pozbawiony życia. On był tu intruzem. Ciaśniej owinął się Płaszczem.

Tęsknił za Virae, ale ona pracowała w szpitalu polowym z wyczerpanym Calvar Synem.

Mimo to, odczuwał tak ogromną potrzebę jej towarzystwa, że wstał, aby do niej pójść. Jednak pozostał w komnacie. Klnąc zapalił świecę. Na kominku leżały przygotowane kłody, więc rozpałił ogień – chociaż nie było zimno – i usiadł w twardym skórzanym fotelu, patrząc jak małe płomyki rosną z podpałki i wgryzają się w grubsze kłody powyżej. Wiatr rozdmuchiwał ogień, rzucając migotliwe cienie, a Rek zaczął się rozluźniać.

– Głupcze – powiedział do siebie, kiedy płomienie buchnęły wyżej i zaczął się pocić. Zdjął płaszcz, buty i odsunął krzesło dalej od płomienia.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało Reka z zadumy. Po chwili do pokoju wszedł Serbitar. Przez chwilę Rek nie mógł go rozpoznać; był bez zbroi, ubrany w zieloną tunikę, a jego długie białe włosy były związane na karku.

– Przeszkadzam ci, Rek? – zapytał.

– Ależ nie. Usiądź tu ze mną.

– Dzięki. Zmarzłeś?

– Nie. Po prostu lubię patrzeć na płonący ogień.

– Ja także. Pomaga mi myśleć. Możliwe, że to rodzaj pierwotnego wspomnienia o ciepłej jaskini, dającej schronienie przed drapieżnikami – zaczął tłumaczyć Serbitar.

– Nie było mnie wtedy na świecie – chociaż może mój wygląd przeczy moim słowom.

– Ależ byłeś. Atomy, z których składa się twoje ciało, są tak stare, jak wszechświat.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz, chociaż nie wątpię, że to prawda – odparł

Rek.

Zapadło niezręczne milczenie, a potem obaj mężczyźni zaczęli mówić jednocześnie i Rek roześmiał się. Serbitar uśmiechnął się także i wzruszył ramionami.

- Nie przywykłem do prowadzenia niezobowiązującej rozmowy. Brak mi wprawy.
- Podobnie jak większości ludzi. To sztuka – powiedział Rek. – Trzeba rozluźnić się i delektować chwilami milczenia. O to chodzi w przyjaźni; przyjaciel to człowiek, z którym możesz milczeć.
- Naprawdę?
- .– Książęce słowo honoru.
- Cieszę się widząc, iż wraca ci poczucie humoru. Sądziłem, że w tych okolicznościach nie będzie to możliwe.
- Kwestia przyzwyczajenia, mój drogi Serbitarze. O śmierci możesz myśleć tylko przez pewien czas – potem zaczyna cię to nudzić. Stwierdziłem, że najbardziej boję się nie śmierci lecz tego, że mogę stać się nudziarzem.
- Rzadko bywasz nudny, przyjacielu.
- Rzadko? „Nigdy” – oto słowo, którego oczekiwałem.
- Proszę o wybaczenie. Oczywiście – „nigdy”. To słowo, którego szukałem.
- Co będzie jutro?
- Nie mogę powiedzieć – odparł prędko Serbitar. Gdzie jest lady Virae?
- Z Calvar Synem. Połowa cywilnych pielęgniarek uciekła na południe.
- Nie można ich za to winić – rzekł Serbitar. Wstał i podszedł do okna. – Gwiazdy są dzisiaj jasne – zauważył. – Chociaż przypuszczam, że bardziej precyzyjne byłoby stwierdzenie, iż kąt nachylenia ziemi poprawia widoczność.
- Wolę chyba „gwiazdy są dzisiaj jasne” – przyznał Rek, który przyłączył się do Serbitara.

Poniżej szła powoli Virae, szczelnie owinięta białym płaszczem, z długimi włosami rozwianymi na wietrze.

- Przyłączę się do niej, jeśli mi wybaczysz – powiedział Rek.

Serbitar uśmiechnął się.

- Oczywiście. Jeśli pozwolisz, posiedzę przy ogniu i porozmyślam.
- Czuj się jak u siebie w domu – odezwał się Rek, wkładając buty.

Kilka chwil po jego wyjściu wszedł Vintar. On także Porzucił zbroję na rzecz prostej tuniki z białej wełny, grubej i opatrzonej kapturem.

– To było dla ciebie bolesne, Serbitar. Powinieneś się zgodzić, abym to ja przyszedł – powiedział, poklepując młodszego mężczyznę po ramieniu.

– Nie mogłem powiedzieć mu prawdy.

– Ale nie skłamałeś – szepnął Vintar.

– Kiedy unikanie prawdy staje się kłamstwem?

– Nie wiem. Jednak sprawiłeś, że są razem i taki był twój cel. Mają jeszcze tę noc.

– Czy powinienem mu powiedzieć?

– Nie. Chciałby zmienić to, czego zmienić nie można.

– Nie można czy nie wolno? – zapytał Serbitar.

– Nie można. Mógłby jutro zakazać jej walczyć, a ona nie usłuchałaby. Nie może jej zamknąć; jest córką księcia.

– A gdybyśmy powiedzieli jej?

– Nie przyjęłaby tego do wiadomości, albo wręcz wyzwałaby los.

– A więc jest już zgubiona.

– Nie. Jedyne umrze.

– Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, aby ją ochronić, Vintar. Wiesz o tym.

– Ja również. Jednak to się nam nie uda. Jutro wieczorem musisz pokazać księciu sekret Egela.

– Nie będzie w nastroju, aby ją oglądać.

Rek objął Virae ramieniem, pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Kocham cię – szepnął.

Uśmiechnęła się i przytuliła do niego bez słowa.

– Po prostu nie umiem tego powiedzieć – odrzekła Virae, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nic nie szkodzi. Czy czujesz to samo?

– Wiesz, że tak. Po prostu trudno mi o tym mówić. Romantyczne słowa brzmią... dziwnie...

niezręcznie, kiedy ja je wypowiadam. Tak jakby moja krtań nie została przystosowana do

wypowiadania takich dźwięków. Czuję si? głupio. Czy rozumiesz, o czym mówię? – Przytaknął

i pocałował ją znowu.

– A poza tym, brakuje mi twojej praktyki.

– Prawda – przyznał.

– Co przez to rozumiesz? – warknęła.

– Po prostu zgadzałem się z tobą.

– Nie rób tego. Nie jestem w nastroju do żartów. Tobie jest łatwiej – jesteś gadułą, gawędziarzem. Dajesz się ponieść fantazji. Chciałabym wypowiedzieć wszystko, co czuje ale nie potrafię. A ponadto kiedy ty mówisz o swoich uczuciach pierwszy, po prostu ściska mnie w gardle i wiem, że powinnam coś powiedzieć, ale nie mogę.

– Posłuchaj, piękna pani, to nie ma znaczenia! Jak sama mówisz, to tylko słowa. Ja jestem dobry w gadaniu; ty jesteś dobra w czynach. Wiem, że mnie kochasz; nie oczekuję, że będziesz powtarzać moje słowa za każdym razem, kiedy mówię o swoich uczuciach. Przed chwilą myślałem o tym, co przed wielu laty powiedział mi Horeb. Powiedział, że dla każdego mężczyzny istnieje ta jedna jedyna kobieta; że rozpoznam swoją, kiedy ją zobaczę. I tak się stało.

– Kiedy ja cię zobaczyłam – powiedziała, odwracając się do niego i obejmując go wpół –

myślałam, że jesteś bawidamkiem. Roześmiała się. – Szkoda, że nie widziałeś swojej twarzy, gdy ten banita szarżował na ciebie!

– Koncentrowałem się. Powiedziałem ci wcześniej, że łucznictwo nigdy nie było moją mocną stroną.

– Byłeś przerażony.

– To prawda.

– A mimo to uratowałeś mnie.

– Prawda. Jestem urodzonym bohaterem.

– Nie, nie jesteś i za to cię kocham. Jesteś tylko człowiekiem, który robi, co może i stara się postępować uczciwie. To rzadka cecha.

– Pomimo mego zarozumiałstwa – choć może z trudem przyjdzie ci w to uwierzyć – czuję się bardzo zażenowany, kiedy obsypują mnie komplementami.

– Jednak chcę ci powiedzieć, co czuję; to dla mnie Ważne. Jesteś pierwszym mężczyzną, z którym poczułam się kobietą. Przywróciłeś mi życie. Może umrę podczas tego oblężenia, ale chcę, żebyś wiedział, że było warto.

– Nie mów o umieraniu. Spójrz na gwiazdy. Poczuj noc. Jest piękna, prawda?

– Tak, jest piękna. Dlaczego nie zabierzesz mnie z powrotem do kasztelu, gdzie mogłabym ci pokazać, jak to czyny przemawiają głośniejszą niż słowa.

– Właśnie, dlaczego tego nie robię!

Kochali się powoli i łagodnie, z miłością, i zasnęli, patrząc na gwiazdy za oknem sypialni.

Nadiryjski kapitan, Ogasi, zagrzewał swoich ludzi, rycząc bojową pieśń plemienia Wolfsheadów i ciął toporem w twarz jakiegoś wysokiego obrońcę. Tamten przycisnął dłonie do rany i runął na wznak. Okropna pieśń niosła ich naprzód; przełamali obronę i zdobyli przyczółek na ziemi między murami.

Jednak jak zwykle Krocząca Śmierć i biali templariusze na nowo zebrali obrońców.

– Nienawiść dodała sił Ogasiemu; rąbał na lewo i prawo, usiłując przedrzeć się do starego wojownika. Jakiś miecz ciął go w czoło i Nadir zatoczył się, lecz zaraz odzyskał siły i wypatroszył przeciwnika. Na lewo linia bojowa stanęła w miejscu, ale po prawej wyrzuszała się jak rogi byka.

Ogromny Nadir chciał wykrzyknąć swój triumf niebu.

Nareszcie ich dostali!

Jednak Drenajowie pozbierali się znowu. Cofnąwszy się z powrotem w tłum, aby otrzeć krew zalewającą mu oczy, Ogasi patrzył jak wysoki Drenaj i jego kobieta powstrzymali atak szpicy.

Dowodzący oddziałem może dwudziestu wojowników, wysoki mężczyzna w srebrnym napierśniku i błękitnej pelerynie walczył jak szalencie. Jego śmiech zagłuszał śpiew Nadirów, którzy cofali się przed nim w panice.

Szaleńczy atak poniósł go głęboko w szeregi koczowników, lecz mężczyzna nie zwracał na to uwagi. Jego ociekające krwią ostrze cięło, rąbało i dźgało. Obok niego kobieta objęła i parowała ciosy, osłaniając go z lewej, a jej smukła klinga była równie śmiertelna.

Powoli atak załamał się i Ogasi poczuł, że spychają go i powrotem na blanki. Potknął się o ciało drenajskiego łucznika, który wciąż jeszcze kurczowo trzymał swój łuk. Przyklękawszy, Ogasi wyrwał łuk z ręki zabitego, a z jego kołczana wyciągnął czarnopiórą strzałę. Wskoczył

lekko na blanki i rozejrzał się za Kroczącą Śmiercią, lecz starzec był dokładnie zasłonięty ciałami wrogów. Natomiast wokół wysokiego berserkera było pusto – Nadirowie umykali przed nim.

Ogasi napiął cięciwę, wycelowował i klnąc pod nosem, wypuścił strzałę.

Grot otarł skórę na przedramieniu Ręka – i poleciał dalej. Virae odwróciła się, szukając Ręka, a grot przebił kolczugę i utkwiał pod jej prawą piersią. Jęknęła pod wpływem siły uderzenia, zatoczyła się i prawie upadła. Wojownik nadiryjski przedarł się przez szereg obrońców i skoczył w jej stronę.

Zaciskając zęby wyprostowała się, odparowała jego wściekle pchnięcie i ciosem na odlew przecięła mu szyję. – Rek! – krzyknęła z przerażeniem, gdy krew z rozerwanej tętnicy zaczęła zalewać jej płuca. Jednak on jej nie słyszał. Poczła przeszywający ból i upadła, obracając się tak, aby nie wbić strzały głębiej.

Podbiegł do niej Serbitar i uniósł jej głowę.

– Do licha! – powiedziała. – Umieram! Dotknął jej ręki i ból natychmiast ustąpił.

– Dziękuję, przyjacielu! Gdzie jest Rek?

– Wpadł w szal, Virae. Nie mogę go dosięgnąć.

– Och, bogowie! Posłuchaj mnie – nie zostawiajcie go samego przez jakiś czas po... wiesz.

Jest wielkim romantycznym głupcem i boję się, że mógłby sobie coś zrobić. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem. Zostanę z nim.

– Nie, nie ty. Przyślij Drussa. Jest starszy i Rek go ubóstwia.

Spojrzała na niebo. Unosiła się tam samotna chmura burzowa, zagubiona i gniewna.

– Mówił mi, żebym włożyła napierśnik, ale jest tak strasznie ciężki.

Chmura wydawała się teraz większa. Virae próbowała powiedzieć o tym Serbitarowi, lecz obłok szybko opadał i pochłonęła ją ciemność.

Rek stał przy oknie balkonu, mocno ściskając balustradę, z jego oczu płynęły strumieniem łzy, a przez zaciśnięte zęby wydobywały się spazmatyczne łkania. Za jego plecami leżała Virae, nieruchoma, zimna i spokojna. Twarz miała bladą, a pierś czerwoną od strzały, która przebiła jej płuca. Krew przestała już płynąć. Rek ciężko dyszał, usiłując zapanować nad smutkiem. Krew kapłała mu z zapomnianej rany na przedramieniu. Przetarł oczy i powrócił do zmarłej; usiadł obok niej i podniósł jej rękę, próbując wyszukać puls, ale puls nie było.

– Virae! – powiedział cicho. – Wróć. Wróć. Słuchaj. Kocham cię! Jesteś tylko ty. – Pochylił

się nad nią, zaglądając jej w twarz. Pojawiła się na niej jedna, potem druga kropla... lecz to były jego łzy. Podniósł jej głowę i utulił ją w ramionach. – Poczekaj na mnie – szepnął – już idę. –

Sięgnął ręką za pas i wyciągnął z pochwy lentryjski sztylet, który przyłożył sobie do nadgarstka.

– Odłóż to, chłopcze – rzekł Druss od drzwi. – To byłoby bezsensowne.

– Odejź! – krzyknął Rek. – Zostaw mnie.

– Ona odeszła, młody człowieku. Przykryj ją.

– Przykryć ją? Przykryć moją Virae! Nie! Nie, nie mogę. O, bogowie w Missaelu, nie mogę tak po prostu zakryć jej twarzy.

– Ja kiedyś musiałem – odparł stary, gdy Rek osunął się do przodu. Łzy piekły go w oczy, a całym ciałem wstrząsały ciche łkania. – Moja kobieta umarła. Nie jesteś jedynym, który musi stawić czoła śmierci.

Przez chwilę Druss stał milcząc, a serce pękało mu z bólu. Potem zamknął drzwi i wszedł do środka.

– Zostaw ją przez chwilę i porozmawiaj ze mną, chłopcze – powiedział, biorąc Ręka pod ramię. – Tutaj, przy oknie. Powiedz mi jeszcze raz, jak się spotkaliście.

Rek opowiedział mu o napadzie w lesie, o zabiciu Reinarda, o podróży do świątyni, a potem dalej, do Delnoch.

– Druss!

– Tak.

– Nie sądzę, abym mógł z tym żyć.

– Znałem ludzi, którzy nie potrafili, ale nie ma potrzeby podcinać sobie żył. Tam na zewnątrz czeka horda dzikusów, która z przyjemnością cię wyręczy.

– Oni nic mnie już nie obchodzą; mogą sobie wziąć to przeklęte miejsce. Żałuję, że kiedykolwiek tu przyjechałem.

– Wiem – odparł łagodnie Druss. – Rozmawiałem z Virae wczoraj w szpitalu. Powiedziała mi, że cię kocha. Powiedziała...

– Nie chcę tego słuchać.

– Ależ chcesz, ponieważ jest to wspomnienie, które możesz zachować. Ono zatrzyma jej żywy obraz w twoich myślach. Powiedziała, że jeśli zginie, to warto będzie umrzeć dla samego spotkania ciebie. Ona podziwiała cię, Rek. Opowiedziała mi o tym dniu, kiedy stanąłeś w jej obronie przeciw Reinardowi i jego ludziom – była z ciebie taka dumna! Ja też byłem dumny, kiedy o tym usłyszałem. Miałeś coś, chłopcze, co niewielu ludziom udało się przeżyć.

– A teraz to straciłem.

– Ale miałeś! Nikt ci tego nigdy nie odbierze. Żałowała tylko, że nigdy tak naprawdę nie umiała ci powiedzieć, co czuje.

– Och, powiedziała mi – słowa nie są do tego potrzebne. Co stało się z tobą, kiedy zmarła twoja żona? Jak się czułeś?

– Nie sądzę, abym musiał ci o tym opowiadać. Wiesz, Jak się czułem. I nie sądzę, aby po trzydziestu

latach było mi choć odrobinę łatwiej. Jeśli już, to coraz trudniej. Aha Serbitar czeka na spotkanie. Mówi, że to ważne.

– Nic już nie jest ważne. Druss, czy mógłbyś zakryć jej twarz? Ja nie potrafię tego zrobić.

– Tak. Musisz zobaczyć się z albinosem. Ma coś dla ciebie.

Serbitar czekał u stóp schodów, gdy Rek powoli schodził do głównej sali. Albinos miał na sobie pełną zbroję i hełm zwieńczony białym końskim włosiem. Opuszczona przyłbica osłaniała oczy. Wygląda, pomyślał Rek, jak srebrny posąg. Tylko ręce miał odkryte; były białe jak polerowana kość słoniowa.

– Wzywałeś mnie? – spytał Rek.

– Chodź za mną – powiedział Serbitar. Odwróciwszy się na pięcie przeszedł salę, zmierzając do spiralnych, kamiennych schodów, wiodących do podziemi pod kasztem. Idąc tu, Rek był

przygotowany odrzucić każdą prośbę, jednak teraz został zmuszony towarzyszyć Serbitarowi i czuł narastający gniew. Albinos stanął u szczytu schodów i z miedzianego uchwyty na ścianie wyjął płonąca pochodnię.

– Dokąd idziemy? – zapytał Rek.

– Chodź za mną – powtórzył Serbitar.

Powoli i ostrożnie zeszli po splekanych, zużytych stopniach, aż dotarli na najniższy poziom lochów. Od dawna nie używany korytarz lśnił od nasiąkniętych wodą pajęczyn oraz mokrych, omszałych, hakowych sklepień. Serbitar kroczył dalej, aż doszli do dębowych drzwi, które mocno przytrzymały zardzewiały rygiel. Przez kilka chwil walczył z zamknięciem, zanim je pokonał, a potem obaj musieli ciągnąć drzwi, żeby otwarły się, skrzypiąc i trzeszcząc. Przed nimi ziała czernią kolejna klatka schodowa.

I znowu Serbitar pierwszy ruszył w dół. Stopnie skończyły się długim korytarzem, zalanym wodą na wysokość kostek. Brodzili nim aż do ostatnich drzwi w kształcie liścia dębu, na których widniała złota płytką z napisem w języku Elderów – Co tu napisano? – zapytał Rek.

– Napisano: „Powitanie – godnym. Tu spoczywa tajemnica Egela oraz dusza Księcia z Brązu”.

– Co to oznacza?

Serbitar próbował otworzyć drzwi, lecz okazały się zamknięte, najwidoczniej od wewnątrz, ponieważ nigdzie nie było widać rygla czy łańcucha, ani dziurki od klucza.

– Wyłamujemy je? – zapytał Rek.

– Nie. Ty je otworzysz.

– Są zamknięte. Czy to jakaś gra?

– Spróbuj.

Rek delikatnie dotknął klamki i drzwi otworzyły się bezgłośnie. W pomieszczeniu rozblęskło łagodne światło, padające z lśniących, szklanych kul, osadzonych we wgłębieniach ścian.

Komnata była sucha, chociaż teraz woda z korytarza wpadła do środka i rozlała się po wyłożonej grubymi dywanami podłodze.

Pośrodku pomieszczenia, na drewnianym podium, stała zbroja, jakiej Rek nie widział nigdy w życiu. Cudownie wykuta z brązu, składała się z zachodzących na siebie metalowych łusek, migoczących w świetle. Na napierśniku widniał brązowy orzeł, którego rozpostarte skrzydła sięgały aż do ramion. Zbroję wieńczył hełm, przybrany skrzydłami i głową orła. Całość uzupełniały nagolenniki i rękawice, również z łusek, wyposażone w zawiasy. Na stole przed zbroją leżała obramowana brązem kolczuga, wyściełana miękką skórą i także spodnie z brązowymi nakolannikami. Jednak nade wszystko spodobał się Reкови miecz zamknięty w bloku kryształu. Złota klinga miała ponad dwie stopy długości i oburęczną rękojeść, z osłoną w kształcie pary rozpostartych skrzydeł.

– To zbroja Egela, pierwszego Księcia z Brązu – powiedział Serbitar.

– Dlaczego pozwolono jej tutaj leżeć?

– Nikt nie mógł otworzyć drzwi – odparł albinos.

– Nie były zamknięte – rzekł Rek.

– Nie dla ciebie.

– Co to ma znaczyć?

– Znaczenie tego jest oczywiste: tylko ty i nikt inny miałeś otworzyć te drzwi.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Czy mam ci podać miecz? – zapytał Serbitar.

– Jeśli chcesz.

Serbitar podszedł do bloku kryształu, wyjął swój miecz i zaczął nim uderzać. Nic się nie stało. Klinga odskakiwała, nie pozostawiając śladów na kryształe.

– Spróbuj ty – zaproponował Serbitar.

– Czy mogę pożyczyć twój miecz?

– Po prostu sięgnij po rękojeść.

Rek podszedł do przodu i wyciągnął rękę w stronę kryształu, czekając na chłodny dotyk powierzchni, którego nigdy nie poczuł. Jego ręka gładko weszła w kryształ, a palce zacisnęły się na rękojeści. Bez wysiłku wyjął miecz.

– Czy to jakaś sztuczka? – zapytał.

– Prawdopodobnie. Jednak nie jest to żadna z moich sztuczek. Spójrz! – Albinos położył dłonie na pustym teraz kryształach i oparł się nań całym ciężarem. – Przesuń dłońmi pode mną – powiedział.

Rek posłuchał; dla niego kryształ nie istniał.

– Co to ma znaczyć?

– Nie wiem, mój przyjacielu. Mówię szczerze, że nie wiem.

– A więc skąd wiedziałeś, że tutaj jest?

To jeszcze trudniej wyjaśnić. Czy pamiętasz ten dzień w lesie, kiedy nie mogliście mnie dobudzić?

– Tak.

– Cóż, podróżowałem po planecie, a nawet dalej, lecz w moich podróżach pokonywałem strumienie czasu i odwiedziłem Delnoch. Była noc i ujrzałem siebie, idącego z tobą przez salę i na dół, do tej komnaty. Widziałem, jak podnosisz miecz i słyszałem, jak zadajesz pytanie, które teraz zadałeś. A potem usłyszałem swoją odpowiedź.

– A więc, w tym momencie szybujesz nad nami nasłuchując?

– Tak.

– Znam cię wystarczająco dobrze, żeby ci wierzyć, lecz wyjaśnij mi jedno: twoje opowiadanie może i tłumaczy, w jaki sposób znalazłeś się tutaj ze mną, ale jak pierwszy Serbitar dowiedział się o tej zbroi?

– Mówiąc szczerze, nie umiem tego wytłumaczyć, Rek.

– To jak zagłębienie w kolejne lustra, ukazujące nieskończoną liczbę odbić. W trakcie studiów dowiedziałem się, że życie to często coś więcej, niż sądzimy.

– A dokładnie?

– Istnieje moc Źródła.

– Nie jestem w nastroju, aby słuchać o religii.

– Powiedzmy więc, że przed wieloma wiekami Egel spojrział w przyszłość i zobaczył tę inwazję, pozostawił więc tutaj zbroję bronioną przez czar, który tylko ty – jako książę – mogłeś zdjąć.

– Czy twój duch wciąż nas obserwuje?

– Tak.

– Czy wie o mojej stracie?

– Tak.

– Wiedziałeś więc, że ona umrze?

– Tak.

– Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

– Zniszczyłbym twoją radość.

– Co chcesz powiedzieć? – powiedział Rek, a w jego duszy rodził się gniew, który wypierał smutek.

– Chcę powiedzieć, że gdybyś był chłopem, pewnym długiego życia, mógłbym cię uprzedzić, przygotować. Jednak nie jesteś; walczysz z dziką hordą i każdego dnia ryzykujesz życiem. Podobnie było z Virae. Zdawałeś sobie sprawę, że może zginąć. Gdybym ci powiedział, że to jest pewne, nie tylko nic nie zyskałbyś, lecz także okradłbym cię z radości, którą miałeś.

– Mogłem ją ocalić.

– Nie, nie mogłeś.

– Nie wierzę w to.

– Dlaczego miałbym kłamać? Dlaczego miałbym życzyć jej śmierci?

Rek nie odpowiedział. Słowo „śmierć” dotarło do jego serca i zmiażdżyło jego duszę. Znowu poczuł napływające łzy, powstrzymał je jednak, skupiając myśli na zbroi.

– Włożę ją jutro – odezwał się przez zaciśnięte zęby. – Włożę ją i zginę.

– Być może – odpowiedział albinos.

ROZDZIAŁ 26

Brzask był jasny, powietrze świeże i słodkie, gdy dwa tysiące drenajskich wojowników szykowało się do obrony Kania. W dole szamani Nadriów chodzili wzdłuż szeregów współplemieńców i skraplali kurzą i owczą krwią odsłonięte ostrza, które podstawiali im koczownicy.

Potem Nadirowie skupili się i z tysięcy gardeł uniosła się rytmiczna pieśń, gdy horda ruszyła naprzód, niosąc drabiny, liny z zawiązanymi węzłami i haki mocujące. Rek patrzył na to, stojąc pośrodku szyku. Podniósł hełm z brązu, włożył go na głowę i zapiął pasek pod brodą. Po jego lewej znajdował się Serbitar, a po prawej Menahem. Pozostali członkowie Trzydziestu rozstawili się wzdłuż muru.

I rozpoczęła się rzeź.

Trzy ataki odparto nim Nadirowie zdobyli przyczółek na blankach. A i to na krótko. Jakies dwa tuziny żołnierzy przerwało obronę, tylko po to, by stanąć twarzą w twarz z zakutym w brązową zbroję szaleńcem i dwoma srebrnymi duchami, które kroczyły u jego boku, siejąc śmierć. Nie było przed nimi obrony, a miecz tego brązowego diabła przecinał tarcze i zbroje; pod ciosami straszliwego ostrza ludzie ginęli wrze – szczać, jakby smażyli się w ogniu. Tej nocy kapitanowie Nadirów zanieśli wieści do namiotu Ulryka i długo opowiadali o nowym obrońcy murów. Nawet legendarny Druss wydawał się bardziej człowiekiem – śmiejąc się, jak miał

w zwyczaju w twarz atakującym Nadirom – niż ta złota maszyna zniszczenia.

– Czuliśmy się jak psy odganiane z drogi kijem – mruknął jeden z ludzi. – Albo bezbronne dzieci odpychane przez starsze.

Ulryk zmartwił się i chociaż w końcu podniósł ich na duchu, powtarzając w kółko, że to tylko jeszcze jeden człowiek w brązowej zbroi, po wyjściu kapitana przywołał do swego namiotu wiekowego szamana, Nostę Khana. Kucnąwszy naprzeciw płonącego kosza węgla, stary wysłuchał swego pana, przytakując co chwilę. W końcu skłonił się i zamknął oczy.

Rek spał, wyczerpany bitwą i smutkiem. Koszmar przyszedł powoli, spowijając go jak czarny dym. We śnie otworzył oczy i ujrzał przed sobą wejście do jaskini, mroczne i okropne.

Z wnętrza emanował niemal namacalny strach. Za nim ziała przepaść, opadająca w ogniście trzewia ziemi, z których dobiegały dziwne odgłosy, skowyty i jęki. W otchłani rozległo się jakieś oślizgłe cmoknięcie i odwróciwszy się, Rek zobaczył wyłazącą z niej ogromną larwę, pokrytą śluzem i ropą. Odór odrzucił go w tył. Paszcza robaka była ogromna i z łatwością mogłaby połknąć człowieka; otaczały ją trzy rzędy ostrych kłów, a między dwoma zębami tkwiła ludzka ręka, okrwawiona i urwana. Rek cofnął się w stronę wejścia do jaskini, lecz dobiegający z niej syk sprawił, że odwrócił się na pięcie. Z ciemności wyłonił się pająk, z gigantycznym odwłokiem, ociekającym jadem. W jego paszczy tkwiła twarz, zielona i migocząca, z której ust płynęły słowa pełne mocy. Każde z nich osłabiało Ręką, tak że ledwie trzymał się na nogach.

– Czy masz zamiar stać tutaj cały dzień? – zapytał głos.

Rek odwrócił się i zobaczył u swego boku Virae, ubraną w białą, zwiewną suknię.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

– Wróciłaś! – powiedział, wyciągając do niej rękę.

– Nie ma na to czasu, głupcze! Masz! Bierz swój miecz. Wyciągnęła do niego ręce, w których pojawił się brązowy miecz Egela. Kiedy Rek sięgał po niego, padł na nich cień. Rek błyskawicznie odwrócił się i stanął twarzą w twarz z górującym nad nimi robakiem. Ostrze cięło przez szeroką na trzy stopy szyję potwora w momencie, gdy jego paszcza pochyliła się w dół; z rany bluznęła zielona posoka. Rek uderzył ponownie i jeszcze raz, aż potwór runął w przepaść, przecięty niemal na pół.

– Pająk! – krzyknęła Virae i Rek znowu odwrócił się. Bestia była tuż za nim. Jego ogromna paszczęka rozwarła się szeroko. W tę ziejącą jamę Rek cisnął miecz, który pomknął jak strzała i rozłupał zielone oblicze, jak dojrzały melon. Pająk zachwiał się i runął w tył, w otchłań.

Dmuchał wiatr i bestia zamieniła się w czarny dym, który wzbił się w powietrze i zniknął.

– Przypuszczam, że stałbyś tam nadal, gdybym nie przyszła – rzekła Virae.

– Myślę, że tak – odpowiedział Rek.

– Ty głupcze – odparła z uśmiechem, a on wyciągnął ramiona i zbliżył się do niej niepewnie.

– Czy mogę cię dotknąć? – zapytał.

– Dziwne pytanie ze strony męża.

– Nie znikniesz? Jej uśmiech przygasł.

– Jeszcze nie, kochany.

Jego ramiona objęły ją mocno, a z oczu popłynęły łzy. – Myślałem, że odeszłaś na zawsze.

Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

Przez chwilę milczeli i tylko stali objęci. W końcu odsunęła go łagodnie. – Musisz wracać – rozkazała.

– Wracać?

– Do Delnoch. Jesteś tam potrzebny.

– Ciebie potrzebuję bardziej niż Delnoch. Czy nie możemy zostać tutaj? Razem?

– Nie. Nie ma żadnego „tutaj”. Ono nie istnieje. Tylko ty i ja jesteśmy prawdziwi. Teraz musisz wracać.

– Zobaczę cię jeszcze, prawda?

– Kocham cię, Rek. Zawsze będę cię kochać.

Obudził się nagle i ujrzał gwiazdy za oknem. Wciąż widział jej twarz zanikającą na nocnym niebie.

– Virae! – krzyknął. – Virae!

Drzwi otworzyły się i do jego łóżka podbiegł Serbitar.

– Rek, to sen. Obudź się!

– Ja nie śpię. Widziałem ją, przysłała do mnie we śnie i ocaliła mnie.

– Dobrze, ale teraz odeszła. Spójrz na mnie.

Rek spojrział w zielone oczy Serbitara. Zobaczył w nich troskę, która wkrótce zniknęła, a albinos uśmiechnął się.

– Już dobrze – odezwał się albinos. – Opowiedz mi ten sen.

Potem Serbitar wypytywał go o twarz, którą ujrzał. Chciał znać każdy szczegół zapamiętany przez Ręka.

– Uważam, że byłeś ofiarą Nosty Khana – powiedział. – Jednak pokonałeś go – a to nie lada wyczyn, Rek.

– Przysłała do mnie Virae. To nie był sen?

– Myślę, że nie. Źródło uwolniło ją na jakiś czas.

– Chciałbym w to wierzyć. Naprawdę chciałbym.

– Chyba powinieneś. Szukałeś swego miecza?

Rek wyskoczył z łóżka i nerwowo pomacał po stole, na którym leżała zbroja. Miecza nie było.

– Jak? – wyszeptał Rek. Serbitar wzruszył ramionami.

– Powróci. Nie obawiaj się!

Serbitar zapalił świece i przeganiał palenisko, rozniecając na nowo ogień. Gdy skończył, usłyszeli ciche pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał Rek.

Wszedł młody oficer, trzymając w ręku miecz Egela.

– Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale zobaczyłem światło. Jeden ze strażników znalazł twój miecz na blankach Kanii, więc przyniosłem go tutaj. Przedtem otarłem go z krwi – Krwi?

– Tak, sir. Był cały we krwi. Zdziwiające, ale była jeszcze ciepła.

– Jeszcze raz dziękuję. – rzekł Rek i odwrócił się do Serbitara. – Nic nie rozumiem.

W namiocie Ulryka zamigotały świece. Wódz siedział jak skamieniały, wpatrując się w bezgłowe ciało na podłodze u swych stóp. Ten widok miał go prześladować do końca jego dni.

W jednej chwili szaman siedział pogrążony w transie przy żarzących się węglach, a w następnej na jego szyi pojawiła się czerwona linia i jego głowa potoczyła się w ogień.

W końcu Ulryk przywołał straż, aby usunęła ciało, ale najpierw otarł swój miecz o ranę.

– Rozgniewał mnie – powiedział strażnikom. Wódz Nadirów opuścił potem swój namiot i przechadzał się pod gwiazdami. Najpierw legendarny rębacz, potem wojownicy w srebrze.

Teraz demon w brązie, posiadający moc przewyższającą czary Nosty Khana. Skąd to uczucie chłodu w sercu? Dros Delnoch to tylko jedna z wielu fortec. Czy nie zdobył stu podobnych? Gdy raz przejdzie przez bramy Delnoch, imperium Drenajów będzie jego. Jak mogliby mu się oprzeć?

Odpowiedź była prosta: nie mogą! Jeden człowiek – czy demon – zakuty w brąz, nie zdoła powstrzymać plemion Nadirów.

Jakie jednak nowe niespodzianki kryje w sobie ta twierdza? – zadawał sobie pytanie.

Spojrzał na wyniosłe mury Kanii.

– Padniesz! – krzyknął. Jego głos rozszedł się echem po dolinie. – Pokonam cię!

W upiornym świetle przedświt Gilad wracał z kantyny, niosąc miskę gorącego rosółu i kawał chrupiącego, czarnego chleba. Przedzierał się powoli między szeregami żołnierzy odpierających mury, aż dotarł na swoje stanowisko nad zatarasowanym bocznym tunelem. Togi już tam był; siedział zgarbiony z opuszczonymi ramionami, plecami oparty o ścianę. Skinął

głową, gdy Gilad przykucnął obok niego, a potem splunął na osetkę trzymaną w stwardniałej dłoni i powrócił do ostrzenia swojej długiej kawaleryjskiej szabli.

– Wygląda na to, że będzie padać – zauważył Gilad.

– Aha. To utrudni im wspinaczkę.

Togi nigdy nie zaczynał rozmowy, jednak zawsze odkrywał coś, czego inni nie dostrzegali.

To była dziwna przyjaźń: Togi, milczący i smagły, żołnierz z piętnastoletnim doświadczeniem i Gilad, wieśniak-ochotnik z równiny Sentran. Gilad nie pamiętał dokładnie w jaki sposób się zetknęli, ponieważ twarz Togiego nie rzucała się w oczy. Po prostu z czasem uświadomił sobie jego obecność. Legioniści zostali teraz rozmieszczeni wzdłuż muru i przyłączeni do innych grup.

Nikt nie mówił dlaczego, lecz dla Gilada było to oczywiste: byli elitą wojowników i wzmacniali obronę, gdziekolwiek stanęli. Togi był zajadłym wojownikiem, walczącym w głuchym milczeniu.

Żadnych wrzasków ani bojowych okrzyków, tylko bezlitośnie oszczędne ruchy i rzadko spotykana zręczność, z jaką zabijał lub ciężko ranił atakujących Nadirów.

Togi nie znał swojego wieku, wiedział tylko tyle, że za młodu przyłączył się do jeźdźców jako chłopiec stajenny, a później zasłużył sobie na czarny płaszcz w wojnach z Sathuli. Wiele lat temu miał żonę, lecz opuściła go, zabierając ze sobą ich syna. Nie miał pojęcia dokąd się udali i twierdził, że wcale go to nie obchodzi. Nie miał przyjaciół, o których by opowiadał i niewiele sobie robił z autorytetów. Kiedyś Gilad zapytał go, co sądzi o oficerach legionu.

– Walczą równie dobrze jak pozostali – powiedział. – Jednak to jedyna rzecz, która nas łączy.

– Co masz na myśli? – zapytał Gilad.

– Pochodzenie. Możesz walczyć lub umrzeć za szlachetnie urodzonych, ale nigdy nie będziesz jednym z nich. Dla nich nie istniejemy jako ludzie.

– Drussa akceptują – zauważył Gilad.

– Aha. Ja też – odpowiedział Togi, a w jego ciemnych oczach pojawił się dziki błysk. – To prawdziwy mężczyzna, tak myślę. Jednak to niczego nie zmienia. Popatrz na tych ludzi w srebrze, którzy walczą z albinosem – ani jeden z nich nie pochodzi ze skromnej wioski.

Dowodzą nimi syn księcia, a wszyscy są wysokiego rodu.

– To dlaczego walczysz dla nich, jeśli nienawidzisz ich tak bardzo?

– Nienawidzę ich? Ależ ja nie czuję do nich nienawiści. Taka jest po prostu kolej rzeczy.

Jestem dla nich życzliwy, a oni dla mnie. Rozumiemy się nawzajem, to wszystko. Dla mnie oficer nie różni się niczym od Nadira; obaj należą do innych gatunków. A walczę, ponieważ właśnie to umiem robić – jestem żołnierzem.

– Czy zawsze chciałeś być żołnierzem?

– A co miałem robić? Gilad rozłożył ręce.

– Cokolwiek byś chciał.

– Chciałbym być królem.

– Jakim królem?

– Krwawym tyranem! – odpowiedział Togi. Puścił przy tym oko, ale nie uśmiechnął się.

Rzadko się uśmiechał, a kiedy to robił, jego uśmiech ograniczał się do lekkiego przymrużenia oczu.

Poprzedniego dnia, gdy Księżę z Brązu po raz pierwszy pojawił się na murach, Gilad szturchnął

towarzysza i wskazał na niego.

– Nowa zbroja. Dobrze mu w niej – powiedział jeździec.

– Wygląda na starą – odparł Gilad. Togi wzruszył tylko ramionami.

– O ile spełnia swoją rolę...

Tego dnia szabla Togiego pękła sześć cali poniżej rękojeści. Rzucił się wtedy na pierwszego z Nadirów i wepchnął mu w szyję złamane ostrze, jednocześnie wyrывая krótki miecz i tnąc nim wściekle na prawo i lewo. Zręczność Togiego i szybkość jego ruchów, przypominająca żywe srebro, zadziwiły Gilada. Później, w przerwie między atakami, Togi zabrał szablę jakiemuś zabitemu żołnierzowi.

– Dobrze walczysz – przyznał Gilad.

– Żyję – odpowiedział Togi.

– Czy to oznacza to samo?

– Na murach – tak, chociaż padło wielu dobrych ludzi. Jednak to kwestia szczęścia. Kiepscy lub niezdarni żołnierze nie muszą mieć pecha, żeby dać się zabić; nawet szczęście nie uratuje ich na długo.

Teraz Togi schował osełkę do sakiewki i przetarł zakrzywione ostrze naoliwioną szmatą.

W świetle wstającego dnia stał zabłysła niebiesko.

Dalej na murach, Druss rozmawiał z żołnierzami, żartami starając się ich podnieść na duchu.

Podszedł do nich, a Gilad wstał z ziemi, podczas gdy Togi pozostał na miejscu. Druss, z siwą brodą rozwianą na wietrze, zatrzymał się i cicho zagadnął Gilada.

– Cieszę się, że zostałeś – powiedział.

– Nie miałem dokąd pójść – odpowiedział Gilad.

– Tak. Niewielu ludzi to doceni – rzekł stary wojownik. Spojrzał w dół na skulonego jeźdźca.

– Ach, to ty, Togi, szczeniaku. Wciąż żyjesz, co?

– Jak dotąd – odparł tamten, podnosząc wzrok.

– I tak trzymaj – powiedział Druss, odchodząc.

– To wielki człowiek – odezwał się Togi. – Człowiek, dla którego można umrzeć.

– Znałeś go wcześniej?

– Tak. – Togi nie dodał nic więcej. Gilad zamierzał Przycisnąć go bardziej, gdy mrożąca krew w żyłach, nadityjska pieśń bojowa zapowiedziała nadejście kolejnego krwawego dnia.

Pod murami, wśród Nadirów szedł olbrzym o imieniu Nogusha. Od ponad dziesięciu lat uważany przez żołnierzy Ulryka za mistrza szermierki, Nogusha został wysłany w pierwszym szeregu, z dwudziestoma wojownikami z plemienia Wolfsheadów jako osobistą ochroną. Ich zadaniem było osłaniać go, aż spotka i zabije Kroczącą Śmierć. Do pleców miał przytroczony miecz o długości trzech stóp i klindze szerokiej na sześć cali; u boku dwa sztylety w bliźniaczych pochwach. Liczący ponad sześć stóp wzrostu Nogusha był najwyższym i najbardziej krwiożerczym wśród Nadirów; weteranem trzystu pojedynków.

Horda dotarła do murów. Sznury śmignęły nad blankami, a drabiny zastukały o szary granit.

Nogusha rzucił rozkaz otaczającym go ludziom i trzech wojów wspięło się przed nim, reszta równocześnie z nim. Ciało dwóch pierwszych runęły jak kamienie na skały u stóp muru, dopiero trzeci utorował drogę Nogushy, zaraz potem został zabity. Nogusha chwycił blanki jedną ze swych wielkich dłoni, w drugiej trzymając miecz, a po jego obu stronach skupili się pozostali wojownicy. Długi miecz wyrąbał przejście w szeregu obrońców i cała grupa sformowała klin, zmierzając w kierunku oddalonego o jakieś dwadzieścia kroków Drussa. Mimo iż Drenajowie zwarli szeregi za plecami oddziału Nogushy, nikt nie mógł dosięgnąć ogromnego koczownika.

Ludzie ginęli pod ciosami jego szerokiego miecza. Jego ochronie wiodło się znacznie gorzej: jeden po drugim dawali głowy i na koniec tylko Nogusha pozostał na nogach. Teraz znalazł się zaledwie kilka kroków od Drussa, który odwrócił się i ujrzał go, walczącego samotnie i bliskiego śmierci. Ich oczy spotkały się i natychmiast pojawiło się w nich zrozumienie. Oto człowiek, którego Druss musiał rozpoznać: Nogusha szermierz, kat Ulryka, człowiek, którego czyny opiewano w najnowszych legendach Nadirów, żywy, młodszy odpowiednik samego Drussa.

Stary wojownik zeskoczył lekko z wałów na murawę i czekał. Nie próbował powstrzymać atakujących Nadira.

Mogusha zobaczył czekającego Drussa, utorował sobie drogę mieczem i zeskoczył do niego.

Kilku Drenajów zamierzało skoczyć za nim, ale Druss powstrzymał ich gestem ręki.

– Miło cię spotkać, Nogusha – powiedział stary.

– Miło cię spotkać – Krocząca Śmierci.

– Nie przeżyjesz, by odebrać nagrodę Ulryka – oświadczył Druss. – Stąd nie ma powrotu.

– Każdy musi umrzeć. A ta chwila jest dla mnie tak bliska rajowi, jak tylko mógłbym sobie życzyć. Przez całe życie zawsze mnie wyprzedzałeś, przyćmiewając moje czyny.

Druss pokiwał smutno głową.

– Ja także myślałem o tobie.

Nogusha zaatakował ze zdumiewającą szybkością. Druss odbił miecz na bok, zrobił krok w przód i lewą pięścią zadał cios o przerażającej sile. Nogusha zatoczył się, lecz szybko odzyskał

równowagę i zablokował opadający topór Drussa. Walka, która nastąpiła potem, była krótka i zażarta. Niezależnie od umiejętności walczących, pojedynek między mieczem i toporem nie może nigdy trwać długo. Nogusha zrobił unik w lewo i pchnął mieczem, omijając zastawę Drussa. Nie mając czasu na myślenie Druss rzucił się pod zataczającą łuk klingę i ramieniem uderzył w przeponę Nogushy. Ostrze upadającego Nogushy przecięło Drussowi kaftan na plecach i głęboko rozorało bark. Starzec zignorował nagły ból i rzucił się na leżącego przeciwnika. Lewą ręką uchwycił prawy nadgarstek Nogushy, a tamten odpowiedział tym samym.

Pojedynek przypominał teraz zapasy tytanów, ponieważ obaj walczący starali uwolnić się z uchwytu. Dysponowali prawie identyczną siłą, a chociaż Druss miał lepszą pozycją, mogąc naciskać całym ciałem w dół, Nogusha był młodszy, a Druss ciężko ranny. Krew spływała mu po plecach, zbierając się nad pasem z grubej skóry.

– Nie... zdołasz... mnie... pokonać – wysyczał Nogusha przez zaciśnięte zęby.

Druss, z twarzą purpurową z wysiłku, nie odpowiedział} Tamten miał rację; stary wojownik czuł, jak uchodzą z niego siły. Prawe ramię Nogushy zaczęło się unosić, a jego miecz? zamigotał

w porannym słońcu. Lewa ręka Drussa zaczęła drżeć z wysiłku i w każdej chwili mogła odmówić posłuszeństwa. Nagle starzec podniósł głowę i rąbnął czołem w odsłoniętą twarz Nogushy. Nos tamtego pękł pod uderzeniem okutej srebrem krawędzi hełmu. Jeszcze trzykrotnie Druss powtórzył ten cios i Nogusha przeraził się. Miał już zmiażdżony nos i kość policzkową. Wykręcił

się, puścił ramię Drussa i zadał mu potężne uderzenie w podbródek. Druss przyjął cios i wbił

Snagę w szyję przeciwnika. Krew trysnęła z rany i Nogusha zaprzestał walki. Jego oczy napotkały spojrzenie starego, jednak nie padło ani jedno słowo; Drussowi brakowało tchu, a Nogusha nie miał strun głosowych. Dzikus postawił oczy w słup i umarł. Druss podniósł się powoli; potem, chwyciwszy trupa za nogi, powlókł je po schodach w górę, na blanki. W tym samym czasie Nadirowie odskoczyli, szykując się do następnego ataku. Druss zawołał dwóch ludzi i kazał im podać ciało Nogushy, po czym sam wspiął się na blanki.

– Trzymajcie mnie za nogi, ale tak, aby was nie zauważono – szepnął Druss do stojących za nim żołnierzy. Na oczach stłoczonych poniżej Nadirów podciągnął ciało Nogushy do góry, trzymając je w niedźwiedzim uścisku, chwycił za szyję i lędźwie, po czym wyteżając mięśnie, dźwignął nad głowę. Z zamachem i okrzykiem cisnął trupa za mury. Gdyby nie trzymający go ludzie, niechybnie runąłby za nim. Z niepokojem na twarzach pomogli mu zejść.

– Zabierzcie mnie do szpitala, zanim wykrwawię się na śmierć – szepnął.

ROZDZIAŁ 27

Caessa siedziała przy łóżku, milcząca lecz skupiona, nie spuszczała wzroku z twarzy śpiącego

Drussa. Trzydzieści szwów spięło ranę na szerokich plecach rębacza, ścięciem ciągnącym się wzdłuż samej łopatki aż po ramię, gdzie była najgłębsza. Napojony makowym wywarem starzec spał. Upływ krwi z rany był tak znaczny, że Druss zemdlął w drodze do szpitala. Caessa stała obok Calvar Syna podczas zakładania szwów. Nie mówiła nic. Po prostu była.

Nie mogła pojąć swojej fascynacji starym wojownikiem. Z pewnością nie pragnęła go –

mężczyźni nigdy nie wzbudzali w niej pożądania. Miłość? Nie mogła tego wiedzieć, nie miała żadnego punktu odniesienia, aby porównać swe uczucia. Jej rodzice zginęli okropną śmiercią, kiedy miała siedem lat. Jej ojciec, spokojny, łagodny rolnik, próbował powstrzymać jeźdźców, którzy rabowali jego stodołę, a ci zabili go bez chwili zastanowienia. Matka Caessy porwała dziewczynkę za rękę i popędziła w stronę lasu nad przepaścią. Dostrzeżono je jednak i schwytano po krótkiej pogoni. Kobieta nie mogła nieść dziewczynki, bo była w ciąży. Nie chciała też jej zostawić. Walczyła jak żbik, lecz obezwładniono ją, zgwałcono i zabito. Przez cały ten czas dziecko siedziało pod dębem, sparaliżowane strachem, niezdolne nawet do płaczu.

W końcu podszedł do niej brodaty mężczyzna o nieświeżym oddechu, podniósł ją brutalnie za włosy i zaniósł na krawędź przepaści, a potem cisnął w morze.

Jakimś cudem nie upadła na skały, chociaż rozcięła sobie głowę i złamała nogę. Jakiś rybak zobaczył jak wpadała do wody i wyciągnął ją. Od tego dnia zmieniła się.

Wesołe dawniej dziecko przestało się śmiać, nie tańczyło, ani nie śpiewało. Była posępna i zła. Inne dzieci nie bawiły się z nią, a gdy podrosła stawała się coraz bardziej samotna. W wieku piętnastu lat zabiła swego pierwszego mężczyznę, wędrowca, który zagadnął ją nad brzegiem rzeki pytając o drogę. Zakradła się do jego obozu i podcięła mu gardło, a potem siedziała przy nim i patrzyła jak umiera.

Był pierwszym z wielu.

Śmierć tych ludzi pobudzała ją do płaczu. Płacząc budziła się do życia. Dla Caessy pozostanie przy życiu było najważniejszym celem. Dlatego tamci umierali.

Później, po dwudziestych urodzinach, Caessa opracowała nową metodę wybierania ofiar: zabijała tych, którym się podobała. Pozwalała im kochać się z nią, a później, kiedy spali – może śniąc o zaznanych rozkoszach – powoli przeciągała ostrym nożem po ich szyjach. Nie zabiła nikogo od czasu przyłączenia się do bandy Bowmana, ponieważ Skultik stał się jej ostatnim schronieniem.

Jednak teraz siedziała przy łóżu rannego mężczyzny i pragnęła, by żył. Dlaczego?

Wyjęła sztylet i wyobraziła sobie jak jego ostrze przecina krtań starego. Zazwyczaj taka fantazja napełniała jej duszę żądzą, ale teraz wywołała przerażenie. Oczami duszy ujrzała Drussa, siedzącego obok niej w ciemnym pokoju, przy palących się na kominku kłodach. Jego ramię otaczało jej plecy, a ona wtulała się w jego pierś. Wyobrażała sobie tę scenę wiele razy, lecz teraz zobaczyła ją inaczej, ponieważ Druss był taki wielki, olbrzymi. I wiedziała dlaczego.

Widziała go oczami siedmioletniej dziewczynki.

Orrin wśliznął się cicho do pokoju. Był teraz szczuplejszy, wyczerpany i wynędzniały, jednak silniejszy. Jego rysy przedziwnie wyszlachetniały. Wprawdzie bruzdy zmęczenia postarzały go, ale zmiana była bardziej subtelna; emanowała z oczu. Przedtem był żołnierzem tęskniącym za wojną; teraz zmienił się w wojownika, który chciał być kimś innym. Widział już wojnę i okrucieństwo, śmierć i ćwiartowanie. Widział stada kruków, wydziobujące oczy trupom i robaki mnożące się w wypełnionych ropą oczodołach. Odnalazł siebie i przestał się wahać.

– Jak on się czuje? – zapytał Caessę.

Wydobrzeje. Jednak przez kilka tygodni nie będzie walczył – – A więc już nigdy nie będzie walczył, bo zostało nam już tylko kilka dni. Przygotuj go do ewakuacji.

– Nie wolno go ruszać – powiedziała, po raz pierwszy odwracając się, żeby na niego spojrzeć.

– Musimy. Tej nocy oddajemy ten mur i wycofujemy się. Straciliśmy dziś ponad czterystu ludzi. Mur czwarty ma tylko sto jardów długości; będziemy go mogli bronić przez długie dni.

Przygotuj go.

Skinęła głową i wstała.

– Ty także jesteś zmęczony, generale – powiedziała. – Powinieneś odpocząć.

– Wkrótce odpocznę – odpowiedział i uśmiechnął się. Ten uśmiech sprawił, że zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. – Myślę, że wszyscy wkrótce odpoczniemy.

Sanitariusze przenieśli Drussa na nosze, podnosząc go delikatnie i okrywając białymi kocami dla ochrony przed chłodem. Dołączyli do konwoju innych rannych, udającego się pod czwarty mur, gdzie opuszczono liny i w milczeniu poniesiono ich do góry. Nie zapalano pochodni i tylko gwiazdy oświetlały tę scenę. Orrin złapał ostatnią linę i wspiął się na blanki. Pomocna ręka wyciągnęła się doń i postawiła go na nogi; to był Gilad.

– Wydaje się, że zawsze jesteś blisko, aby mi pomóc, Gilad. Nie powiem, żeby narzekał.

Gilad uśmiechnął się.

– Zrzuciłeś już tyle kilogramów, generale, że wygrałbyś teraz ten wyścig.

– Ach, wyścig! Wydaje się, że to było w innym stuleciu. Co się stało z twoim przyjacielem.

Tym z toporem?

– Poszedł do domu.

– Mądry człowiek. Dlaczego ty zostałeś?

Gilad wzruszył ramionami. Zmęczył się już odpowiadaniem na to pytanie.

– Miła noc, chyba najładniejsza do tej pory – powie – dział Orrin. – Dziwne, kiedyś leżałem w nocy w łóżku i patrzyłem w gwiazdy. Zawsze pomagało mi to zasnąć Teraz nie potrzebuję snu.

Czuję się tak, jakbym zrezygnował z życia. Czy ty podobnie się czujesz?

– Nie, sir. Śpię jak niemowlę.

– To dobrze. No cóż, życzę ci dobrej nocy.

– Dobranoc, sir.

Orrin odszedł powoli kilka kroków, a potem odwrócił się.

– Nie szło nam najgorzej, prawda? – zapytał.

– Nie, sir – odparł Gilad. – Myślę, że Nadirowie popamiętają nas długo.

– Tak. Dobranoc.

Zaczął iść w stronę schodków na wałach, gdy Gilad wysunął się do przodu.

– Sir!

– Tak?

– Ja... ja chciałem powiedzieć... No, tylko tyle, że jestem dumny z tego, że służę pod pana dowództwem. To wszystko, sir.

Togi nie odezwał się, gdy Gilad powrócił na mur, lecz młody oficer czuł na sobie wzrok jeźdźca.

– No, powiedz to – zaczął Gilad. – Wyrzuć to z siebie. – Powiedz co?

Gilad spojrzał na nieprzenikniętą twarz przyjaciela, szukając w jego oczach drwiny lub pogardy. Niczego takiego nie dostrzegł.

– Sądziłem, że pomyślisz... sam nie wiem – powiedział niepewnie.

– Ten człowiek wykazał się odwagą i szlachetnością, a ty mu to powiedziałaś. Nie ma w tym nic złego, choć nie do ciebie należy wygłaszanie takich uwag. W czasach pokoju pomyślałbym, że płaszczysz się, nadskakujesz mu. Jednak nie tutaj. Nic przez to nie zyskas i on o tym wie.

Tak więc dobrze, że to powiedziałaś.

– Dzięki – rzekł Gilad. – Za co?

– Za zrozumienie. Wiesz, uważam go za wielkiego człowieka, może większego niż Druss.

Bowiem on nie ma odwagi Drussa ani zęczności Hoguna, ale wciąż tu jest, wciąż walczy.

– Nie wytrwa już długo.

– Nikt z nas nie wytrwa – odrzekł Gilad.

– Nie, ale on nie dożyje ostatniego dnia. Jest zbyt zmęczony – zbyt zmęczony tutaj – Togi poklepał się po skroni.

– Sądzę, że nie masz racji.

– Nie, nie sądzisz. Dlatego rozmawiałeś z nim w ten sposób. Ty także to wyczułeś.

Druss unosił się w oceanie bólu, palącego, rozdzierającego jego ciało. Szczęki miał

zaciśnięte i zgrzytał zębami w nieustannej męce pełzającej jak żrący kwas po plecach. Słowa stały się prawie niemożliwe do wypowiedzenia, syczał je przez zaciśnięte zęby, a twarze ludzi wokół

łóża trzęsły się i tańczyły, zamazując się nie do rozpoznania.

Stracił przytomność, lecz ból podążył za nim w otchłań majaków, gdzie otoczyły go posępne, nawiedzane przez cienie krajobrazy, a postrzępione góry odcinały się czernią od szarego, zadumanego nieba. Druss leżał na szczycie góry, nie mogąc się ruszyć z bólu, i patrzył na niewielki lasek rozświetlanych błyskawicami drzew, które rosły o jakieś dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie przebywał. Przed nim stał odziany w czerń mężczyzna. Był szczupły i ciemnooki.

Podszedł i usiadł na kamieniu, spoglądając na leżącego rębacza.

– A więc do tego doszło – odezwał się. Jego głos brzmiał głucho, jak zawodzenie wichru w jaskini.

– Wydobrzeję – syknął Druss, mruganiem pozbywając się zalewającego oczy potu.

– Nic z tego – odrzekł mężczyzna. – Już powinieneś nie żyć.

– Miewałem już takie rany.

– Tak, ale to ostrze było zatrute – zielonym sokiem z północnych trzęsawisk. Teraz zżera cię gangrena.

– Nie! Umrę z moim toporem w dłoni.

– Tak myślisz? Czekałem na ciebie, Druss, przez te wszystkie lata. Patrzyłem jak legiony wędrowców przekraczały rzekę śmierci za twoją przyczyną. I obserwowałem ciebie. Masz wielką dumę i bezgraniczną pewność siebie Zakosztowałeś sławy i cenileś swoją siłę ponad wszystko.

Teraz umrzesz. Żadnego topora. Żadnej sławy. Nigdy nie przestąpisz ciemnej rzeki śmierci w drodze do sali wieczności. Znajduję w tym pewną satysfakcję; czy możesz to zrozumieć? Czy to pojmujesz?

– Nie. Dlaczego mnie nienawidzisz?

– Dlaczego? Ponieważ zwyciężyłeś strach. I ponieważ urągasz mi twoim życiem. Nie wystarczy, że umrzesz. Wszyscy ludzie umierają, królowie i wieśniacy – wszyscy są moi, gdy nadchodzi koniec. Jednak ty, Druss, ty jesteś wyjątkowy. Gdybyś umarł tak, jak tego pragniesz, nadal byś mi urągał. Tak więc przygotowałem dla ciebie tę wyborną torturę.

– Powinieneś już umrzeć z powodu swojej rany. Jednak jeszcze się o ciebie nie upominam.

Ból stanie się teraz bardziej intensywny. Będziesz się zwijał... Będziesz jęczał... Wreszcie postradasz zmysły i zaczniesz błagać. Błagać o mnie. A ja przyjdę i wezmę cię za rękę, i będziesz mój. We wspomnieniach ludzi pozostaniesz jako kwilący, jęczący wrak. Będą tobą gardzić, a twoja legenda zostanie nareszcie zbrukana.

Druss wcisnął swe potężne ramiona w materac i spróbował się podnieść. Jednak ból przygniótł go z powrotem do łóżka i wydobył się jęk spomiędzy zaciśniętych zębów.

– Właśnie tak, rębaczu. Walcz dalej. Próbuje mocniej. Powinieneś być zostać na swojej górze i cieszyć się starczym dzieciństwem. Próżny człowieku! Nie mogłeś się oprzeć wołaniu krwi.

Cierp – i uraduj mnie.

W prowizorycznym szpitalu Calvar Syn podniósł gorące ręczniki z nagich pleców Drussa i szybko je wymienił, kiedy odór rozniósł się po pokoju. Serbitar podszedł bliżej i także zbadał ranę.

– To beznadziejne – powiedział Calvar Syn, pocierając ręką lśniąca łysinę. – Dlaczego on jeszcze żyje?

– Nie wiem – odparł cicho albinos. – Caesso, czy mówił coś?

Dziewczyna spojrzała na niego oczami mętными ze zmęczenia. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł cicho Rek. Pytająco podniósł brwi, patrząc na chirurga, ale Calvar Syn przecząco potrząsnął głową.

– Dlaczego? – zapytał Rek. – Rana nie była cięższa niż te, które otrzymywał wcześniej.

– Gangrena. Rana nie goi się, a trucizna rozeszła się po całym ciele. Nie można go uratować.

Całe zdobyte w ciągu czterdziestu lat doświadczenie mówi mi, że powinien być już martwy. Jego ciało gnije w zdumiewającym tempie.

– To twardy starzec. Jak długo wytrzyma?

– Nie dożyje jutra – odpowiedział lekarz.

– Jaka sytuacja na murach? – zainteresował się Serbitar. Rek wzruszył ramionami. Zbroję miał okrwawioną i zmęczone oczy.

– Na razie trzymamy się, lecz oni są już w tunelu pod nami, a brama nie wytrzyma. Szkoda, że nie mieliśmy czasu zasypać tego przejścia. Myślę, że wedrą się przed zmierzchem. Już rozbili boczną bramę, ale Hogun i kilku innych bronią schodów. Dlatego tu przyszedłem, doktorze.

Obawiam się, że będzie pan musiał jeszcze raz przygotować się do ewakuacji. Od dzisiaj szpital będzie się znajdował w kasztelu. Jak szybko możecie się przenieść?

– Trudno powiedzieć. Przez cały czas znoszą rannych.

– W każdym razie, zaczynajcie przygotowania. Tych, którzy są zbyt ciężko ranni, by ich przenieść, należy zabić.

– Co?! – wykrzyknął lekarz. – To znaczy, zamordować?

– Dokładnie. Przenieść tych, których można. Inni... jak myślisz, jak potraktują ich Nadirowie?

– Nie bacząc na nic, przeniosę wszystkich. Jeśli umrą w czasie transportu, to i tak będzie to lepsze niż zadźganie nożami w łóżkach.

– Więc zaczynaj. Tracimy czas – rozkazał Rek. Na murze Gilad i Togi przyłączyli się do Hoguna, broniącego bocznych schodów. Stopnie były zasłane trupami a mimo to wciąż nowi wojownicy nadiryjscy pojawiali się na spiralnych schodach, przestępując przez ciała zabitych Hogun zrobił krok do przodu, zablokował pchnięcie i rozplątał prowadzącego. Tamten upadł

wprost pod nogi następnego wojownika. Togi ciął oburącz kark tego drugiego i ten także padł.

Podeszło dwóch następnych, niosąc przed sobą okrągłe oksydowane tarcze. Za nimi nadchodzili inni.

– To jak przelewanie morza wiadrem! – wrzasnął Togi. Ponad nimi Nadirowie zdobyli przyczółek na murach, wbijając się klinem w formację Drenajów. Orrin dostrzegł zagrożenie i popędził w tę stronę wraz z pięćdziesięcioma ludźmi z nowej grupy Karnak. Poniżej, na prawo od nich, taran łomotał w gigantyczne odrzwia z dębu i brązu. Dotychczas brama wytrzymała, ale na skrzyżowanych środkowych belkach pojawiły się złowieszcze pęknięcia, a drzewo jęczało pod uderzeniami.

Orrin przebił się w stronę klina Nadirów, wymachując trzymanym oburącz mieczem i rozdawał ciosy na prawo i lewo; nie dbając o osłonę. Obok niego padł drenajski wojownik z rozplataną krtanią. Orrin ciął na odlew w twarz atakującego, a potem zablokował cios z lewej.

Do zmierzchu brakowało trzech godzin.

Bowman klęczał na trawie za murami, a na ziemi przed nim leżały trzy kołczany strzał.

Spokojnie założył strzałę, napiął hak i zwolnił cięciwę. Mężczyzna po lewej stronie Orrina upadł, gdy strzała przebiła mu skroń. Potem drugi Nadir padł pod mieczem Orrina zanim kolejna strzała

powaliła trzeciego. Klin rozpadał się, w miarę jak Drenajowie krok za korkiem parli do przodu.

Na schodach Togi bandażował długą ranę na przedramieniu, podczas gdy nowy oddział legionistów bronił wejścia. Gilad oparł się o kamień i ocierał pot z czoła. – Długi dzień – powiedział.

– Będzie jeszcze dłuższy – mruknął Togi. – Oni wyczuwają, jak są blisko wzięcia muru. –

Tak. Jak ręka? – W porządku – odrzekł Togi. – Gdzie teraz?

– Hogun powiedział, aby stanąć tam, gdzie będziemy potrzebni.

– To może być gdziekolwiek. Stanę za bramą. Idziesz?

– Czemu nie? – odpowiedział Gilad z uśmiechem.

Rek i Serbitar oczyścili fragment murów, a potem popędzili, aby dołączyć do Orrina i jego grupy. Wzdłuż całego muru linia obrony chwiała się, ale trwała.

– Jeżeli wytrzymamy do chwili, gdy oni zaczną się przegrupowywać przed kolejnym atakiem, może wystarczy nam czasu, aby przerzucić wszystkich na tyły, za Valteri! – zawołał

Orrin, widząc, jak Rek przebija się obok niego.

Przez następną godzinę szalała bitwa, a potem czoło ogromnego, brązowego tarana wyłamało belki bram. Środkowy drąg przekrzywił się, gdy pojawiło się na nim pęknięcie, a następnie z rozzwierającym jękiem wyskoczył z obejm. Taran wycofano powoli, aby oczyścić przejście dla czekających za nim żołnierzy.

Gilad wysłał gońca na blanki z wiadomością dla Ręka lub któregoś z ganów, potem wyciągnął miecz i czekał wraz z pięćdziesięcioma innymi.

Kołysząc głową na prawo i lewo, aby rozruszać obolałe mięśnie barków, spojrział na Togiego. Ten uśmiechał się.

– Z czego się śmiejesz?

– Z własnej głupoty – odparł Togi. – Zaproponowałem bramę, bo liczyłem na odrobinę wytchnienia, a teraz przyjdzie mi spotkać śmierć.

Gilad nie odpowiedział. Śmierć! Przyjaciół miał rację: dla ludzi przy bramie nie będzie ucieczki na piąty mur. Miał ochotę odwrócić się i uciec, ale stłumił tę myśl. W końcu, jakie to miało znaczenie? Przez kilka ostatnich tygodni widział wiele śmierci, a gdyby przeżył, dokąd by poszedł, co by robił? Z powrotem na rolę i do nudnej żony? Zestarzeć się, stracić zęby i zdziecinnieć, bez końca opowiadając nieciekawe historie o swej młodości i odwadze?

– Wielkie nieba! – powiedział nagle Togi. – Popatrz tylko. Gilad odwrócił się. Powoli, przez murawę podchodził do nich Druss, wspierając się na ramieniu dziewczyny z lasu – Caessy.

Zatoczył się i prawie upadł, lecz ona podtrzymała go. Kiedy podeszli bliżej Gilad z trudem opanował przerażenie. Twarz starego przypominała topielca – blada, o fioletowym odcieniu, jak twarz dwudniowego trupa. Ludzie rozstępowali się, kiedy Caessa wprowadziła Drussa do środka szeregu, a potem wyjęła krótki miecz i stanęła u jego boku.

Bramy rozwarły się i wpadli przez nie Nadirowie. Druss ogromnym wysiłkiem woli wydobył

Snagę. Prawie nic nie widział przez mgłę bólu zasłaniającą oczy, a kiedy dziewczyna prowadziła go tutaj, każdy krok był nową torturą. Caessa ubrała go starannie, płacząc przez cały czas, a potem pomogła mu wstać. On sam zaczął łkać, ponieważ cierpienie było nie do wytrzymania.

– Nie dam rady – odezwał się.

– Dasz – odrzekła mu. – Musisz.

– Ból...

– Już nieraz znosiłeś ból. Walcz z nim.

– Nie mogę. Jestem wykończony.

– Posłuchaj mnie, do diabła! Jesteś Drussem-Legendą, a tam umierają ludzie. Ostatni raz, Druss. Proszę. Nie możesz się poddać jak zwykły śmiertelnik. Ty jesteś Druss. Uda ci się.

Powstrzymaj ich. Musisz ich powstrzymać. Tam jest moja matka!

Na chwilę rozjaśniło mu się w głowie i domyślił się, że oszalała. Nie mógł tego zrozumieć, ponieważ nic nie wiedział o jej życiu, jednak wyczuł jej potrzebę. Z wysiłkiem, który wrywał

mu z ust rozdzierający jęk, podkurczył nogi i wstał, zaciskając ogromną dłoń na półce, aby nie upaść. Ból narastał, lecz Druss zdążył się rozgniewać i wykorzystał swoją udrękę jako środek wzmacniający.

Odetchnął głęboko.

– Chodź, mała Caesso, znajdziemy twoją matkę – powiedział. – Jednak będziesz musiała mi pomóc; ruszam się trochę niepewnie.

Nadirowie przemknęli przez bramę wprost na miecze oczekujących ich Drenajów. Na górze Rek otrzymał wiadomość o nieszczęściu. Przez chwilę atak na mur ustał, gdyż koczownicy zmasowali się w tunelu bramy.

– Do tyłu! – krzyknął. – Na piąty mur!

Ludzie zaczęli biec przez trawę, przez opuszczone ulice przedmieścia Delnoch, ulice, które Druss oczyścił z ludzi tak wiele dni temu. Teraz już nie będzie pola rażenia między murami, ponieważ budynki nadal stały, przerażające i puste.

Wojownicy biegli, by znaleźć chwilowe bezpieczeństwo na murze piątym i ani przez chwilę nie myśleli o tylnej straży przy wyłamanej bramie. Gilad nie winił ich za to i, co dziwniejsze, wcale nie pragnął być z nimi.

Tylko Orrin zauważył, co się dzieje. Odwrócił się, aby do nich dołączyć, lecz biegnący obok Serbitar chwycił go za rękę. – Nie – rzekł. – To bezcelowe.

Pobiegli dalej. Za nimi Nadirowie wspinali się na ścianę i ruszali w pościg.

W bramie nadal trwała rzeź. Druss walczył na oślep, rąbiąc i tnąc nacierających wojowników. Togi zmarł, gdy krótka włócznia przeszła mu pierś; Gilad nie zauważył, jak padał.

Dla Caessy ta scena wyglądała inaczej: nadjeżdżało dziesięciu jeźdźców, a Druss walczył z nimi wszystkimi. Za każdym razem, gdy zabijał następnego, uśmiechała się. Ośmiu... Dziewięciu...

Ostatni jeździec, mężczyzna którego nie mogła zapomnieć, to on bowiem zabił jej matkę, podszedł bliżej. Miał złoty kolczyk i bliznę, biegnącą od brwi do brody. Podnosząc miecz rzuciła się do przodu i wbiła go w jego brzuch. Nadir runął w tył, pociągając za sobą dziewczynę. Czyjś nóż trafił między jej łopatki. Nawet tego nie poczuła. Wszyscy jeźdźcy byli martwi i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa była bezpieczna. Matka wyjdzie zaraz spośród drzew i zabierze ją do domu, a Druss dostanie ogromny posiłek i będą się śmiać. A ona zaśpiewa dla niego. A ona.

Tylko siedmiu ludzi stało jeszcze wokół Drussa, gdy otoczyli ich Nadirowie. Rzucona z tłumu włócznia, miażdżąc żebra Drussa, przebiła mu płuco. Odpowiedział morderczym ciosem Snagi, odcinając ramię oszczepnika. Gilad dobił padającego cięciem w krtań. Potem sam padł od uderzenia w plecy i Druss został sam. Nadirowie cofnęli się, a do przodu wysunął się jeden z kapitanów.

– Pamiętasz mnie, Krocząca Śmierci? – zapytał. Druss wyszarpnął z boku włócznię i odrzucił ją od siebie.

– Pamiętam, tłuściochu. Herold!

– Powiedziałeś, że dostaniesz moją duszę, a jednak to ja tutaj stoję, a ty umierasz. Co o tym myślisz?

Nagle Druss podniósł rękę i cisnął Snagą, a jej ostrze rozplatało głowę herolda jak dynię.

– Myślę, że za dużo gadasz – odrzekł Druss. Upadł na kolana i patrzył, jak uchodzi z niego krew. Obok umierał Gilad, ale oczy miał szeroko otwarte. – Dobrze było żyć, prawda, chłopcze?

Wokół nich stali Nadirowie, lecz żaden z nich nie uczynił nawet kroku naprzód. Druss podniósł wzrok i wskazał na jednego z wojowników.

– Ty, chłopcze – powiedział gardłowym głosem przynieś mi topór.

Przez chwilę wojownik pozostał nieruchomy, potem wzruszył ramionami i wyciągnął Snagę z głowy herolda.

– Przynieś ją tutaj – polecił Druss. Kiedy młody żołnierz podchodził, Druss wiedział, że ma zamiar zabić go jego własną bronią, lecz jakiś głos szczerzył komendę i wojownik znieruchomiał. Podał Drussowi topór i cofnął się.

Oczy Drussa zachodziły już mgłą i nie mógł rozpoznać stojącej przed nim postaci.

– Dobrze się spisałeś, Krocząca Śmierci – powiedział Ulryk. – Teraz możesz odpocząć.

– Gdybym miał chociaż jedną uncję siły, zabiłbym cię – mruknął Druss, usiłując unieść topór. Jednak ciężar był zbyt wielki.

– Domyślam się. Nie wiedziałem, że Nogusha posmarował swój miecz trucizną. Wierzysz mi?

Druss skłonił głowę i runął na twarz.

Druss-Legenda był martwy.

ROZDZIAŁ 28

Sześciuset wojowników drenajskich patrzyło w milczeniu, jak Nadirowie zgromadzili się wokół ciała Drussa, podnieśli je delikatnie i wynieśli przez bramę, w obronie której poległ. Ulryk ostatni wchodził pod portal. W cieniu wyłamanych belek odwrócił się, a jego fiołkowe oczy przebiegły po ludziach na murze, zatrzymując się na koniec na postaci w brązie. Ulryk podniósł

rękę jakby na powitanie, a potem powoli wskazał na Ręka. Gest był jednoznaczny.

Najpierw legenda, potem księżę.

Rek nie odpowiedział, patrzył tylko jak władca Nadirów wchodzi w cień bramy i znika z pola widzenia.

– Umarł godnie – powiedział Hogun, kiedy Rek odwrócił się i usiadł na wałach, podnosząc przyłbicę hełmu.

– A czego się spodziewałeś? – odparł Rek, przecierając zmęczone oczy równie znużonymi palcami. – Żył godnie.

– Wkrótce pójdziemy za nim.

– Nie zostało nam ludzi nawet na jeden dzień walki. Miasto opustoszało: nawet obozowy piekarz wyjechał.

– Co z radą? – zapytał Rek.

– Odeszli, wszyscy. Bricklyn powinien być z powrotem za dzień lub dwa z wiadomością od Abalayna. Myślę że dostarczy tę wiadomość samemu Ulrykowi – bo ten w tym czasie będzie już kwaterował w kasztelu.

Rek nie odpowiedział; nie było potrzeby. To prawda, bitwa się już skończyła. Czekala ich tylko masakra.

Cicho podeszli Serbitar, Vintar i Menahem, w potarganych i okrwawionych płaszczach.

Jednak sami nie byli ranni Serbitar skłonił się.

– Nadszedł koniec – powiedział. – Jakie są twoje rozkazy?

Rek wzruszył ramionami.

– Czego się po mnie spodziewasz?

– Możemy wycofać się do kasztelu – zauważył Serbitar – Jednak nie mamy dość ludzi, aby go utrzymać.

– A więc umrzemy tutaj – odparł Rek. – To równie dobre miejsce jak każde inne.

– To prawda – przyznał spokojnie Vintar. – Myślę, że otrzymamy kilka godzin łaski.

– Dlaczego? – zapytał Hogun, rozpinając brązową broszę na ramieniu i zdejmując płaszcz.

– Myślę, że Nadirowie nie będą już dziś atakować. Dzisiaj zabili potężnego człowieka, legendę nawet dla nich samych. Będą ucztować i świętować. Jutro, kiedy my umrzemy, będą świętować znowu.

Rek zdjął hełm, z przyjemnością witając chłodną bryzę na ociekającej potem głowie. Ponad nimi niebo było błękitne i przejrzyste, a słońce złote. Wciągnął głęboki łyk czystego, górskiego powietrza i poczuł, jak jego siła przenika zmęczone członki. Jego myśli poszybowały w przeszłość, do dni radości spędzonych z Horebem w Drenanie, dni dawno minionych, które nie miały nigdy powrócić. Zaklął głośno, a potem roześmiał się.

– Jeśli nie atakują, powinniśmy urządzić nasze własne przyjęcie – powiedział. – Bogowie, człowiek umiera tylko raz w życiu! Taką okazję na pewno trzeba uczcić.

Hogun uśmiechnął się i potrząsnął głową, ale Bowman, który podszedł nie zauważony, poklepał Ręka po ramieniu.

– O, to jest właśnie mój styl – zauważył. – A skoro już, to dlaczego nie zrobić tego dobrze, nie pójść na całość?

– Na całość? – zapytał Rek.

– Moglibyśmy się przyłączyć do przyjęcia Nadirów zaproponował Bowman. – Wtedy oni stawialiby trunki.

.– Jest w tym jakaś myśl, Księżę z Brązu – przyznał Serbitar. – Przyłączymy się?

– Oszaleliście? – powiedział Rek, przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego.

– Jak powiedziałaś, Rek, umiera się tylko raz – podsunął Bowman. – Nie mamy nic do stracenia. Poza tym, powinny nas chronić nadiryjskie prawa gościnności.

– To szaleństwo! – zawołał Rek. – Chyba nie mówicie poważnie?

– Ja tak – odparł Bowman. – Myślę, że dobrze byłoby złożyć ostatnie uszanowanie Drussowi. Ponadto, w ten sposób dostarczymy wspaniałe zakończenie do pieśni śpiewanych kiedyś przez nadiryjskich bardów. Jest prawie pewne, że drenajscy poeci również podejmą ten wątek. Podoba mi się ten pomysł; ma w sobie jakieś poetyckie piękno. Uczta w jaskini smoka.

– Niech to diabli, w takim razie idę z wami – zdecydował Rek. – Chociaż myślę, że chyba zwariowałem. Kiedy wychodzimy?

Hebanowy tron Ulryka wystawiono przed namiot, a nadiryjski władca siedział na nim odziany we wschodnie szaty z przetykanego złotem jedwabiu. Na głowie miał obszytą kozłą skórą koronę plemienia Wolfsheadów, a czarne włosy zaplecione na modłę królów Ventrii.

Wokół niego szerokim, wielotysięcznym kręgiem zasiedli jego kapitanowie; za nimi znajdowały się jeszcze liczniejsze kręgi wojowników. Pośrodku każdego kręgu tańczyły nadiryjskie kobiety, w porywającym rytmie stu bębnów. W kręgu kapitanów kobiety tańczyły wokół wysokiego na dziesięć stóp stosu pogrzebowego, na którym leżał Druss-Legenda, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, w których dzierżył swój topór.

Na zewnątrz kręgów płonęły niezliczone ogniska, a w powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsiwa. Wszędzie uwijały się służki noszące wiadra lyrrdu, alkoholu warzonego z koziego mleka. Sam Ulryk pił czerwone lentriańskie na znak czci dla Drussa. Napój nie smakował mu; był za słaby i zbyt wodnisty, jak dla kogoś przyzwyczajonego do mocniejszych trunków, sporządzanych na pomocnych stepach. Mimo to pił go. Nie dopełnienie tego obyczaju byłoby dowodem złego wychowania, ponieważ duch Drussa został zaproszony pośród nich; po prawej ręce wodza ustawiono drugi tron, a obok kielicha Ulryka stał wypełniony po brzegi kielich.

Ulryk w zadumie spoglądał znad brzegu pucharu, nie odrywając oczu od ciała na stosie.

– Wybrałaś dobry moment na śmierć, stary – powiedział cicho. – Będziemy o tobie pamiętać w naszych pieśniach, a przyszłe pokolenia będą o tobie opowiadać przy naszych ogniskach.

Na bezchmurnym niebie świecił jasny księżyc, a gwiazdy migotały jak odległe świece. Ulryk wyprostował się i patrzył w bezmiar. Skąd ten ponury nastrój? Cóż za ciężar dźwigała jego dusza?

Rzadko był taki przygnębiony, a z pewnością nigdy w przeddzień takiego zwycięstwa.

Dlaczego?

Spojrzał na stos.

– Ty to sprawiłeś, Krocząca Śmierci – oświadczył – Ponieważ twój heroizm uczynił ze mnie mroczny cień.

Ulryk wiedział, że we wszystkich legendach występowali wspaniali bohaterowie i mroczne postacie, uosabiające zło. Taka była osnowa każdego podania.

– Nie jestem zły – ciągnął swój monolog. – Jestem urodzonym wojownikiem, który musi bronić swój lud i zbudować silne państwo. – Przełknął kolejny haust lentricjańskiego i ponownie napełnił kielich.

– Źle się czujesz, panie? – spytał kapitan gwardii przybocznej, Ogasi, krępy jeździec stepowy, który zabił Virae.

– On mnie oskarża – powiedział Ulryk, wskazując na ciało.

– Czy mamy podpalić stos? Ulryk przecząco potrząsnął głową.

– Nie przed północą. Bramy muszą być otwarte, kiedy tam przybędzie.

– Czynisz mu wielki honor, panie. Dlaczego on cię oskarża?

– Swoją śmiercią. Nogusha miał zatrute ostrze. Usłyszałem o tym od jego służącego.

– Nie dałeś mu takiego rozkazu, panie. Byłem przy rym.

– A jakie to ma znaczenie? Czyż nie jestem odpowiedzialny za tych, którzy mi służą?

Splamiłem swoją legendę po to, by zakończyć jego. Mroczny, mroczny czyn, Ulryku z Wolfsheadów.

– Tak czy inaczej, zginąłby jutro – zauważył Ogasi. – Stracił tylko jeden dzień.

– Zapytaj siebie, Ogasi, ile znaczył ten dzień. Ludzie tacy jak Krocząca Śmierć pojawiają się może raz na dwadzieścia pokoleń. Są rzadkością. Więc ile jest wart ten dzień dla zwykłych ludzi?

Rok? Dziesięć lat? Życie? Widziałeś, jak umierał?

– Tak, panie.

– Czy zapomnisz o tym kiedyś?

– Nie, panie.

– Dlaczego nie? Widywałeś już śmierć dzielnych ludzi.

– On był wyjątkowy – odrzekł Ogasi. – Nawet kiedy w końcu upadł, myślałem, że znowu wstanie. Nawet teraz, niektórzy z naszych rzucają niepewne spojrzenia na jego stos oczekując, że podniesie się jeszcze.

– Jak mógł stanąć do walki? Twarz miał siną od gangreny. Jego serce dawno powinno przestać bić. A ból...

Ogasi wzdrygnął się.

– Tam, gdzie ludzie spotykają się w boju, zawsze będą wojownicy. Wśród wojowników znajdą się książęta wojny Pośród książąt będą królowie, a pośród królów imperatorzy. Sam to powiedziałeś, mój panie. Tacy jak on pojawiają się raz na dwadzieścia pokoleń. Spodziewałeś się, że umrze w łóżku?

– Nie. Myślałem o tym, by pozwolić wolno przygasnąć jego sławie. Wkrótce będę panował nad najpotężniejszym imperium w dziejach ludzkości. Historia będzie taka, jaką napiszę.

– Mógłbym go wymazać z ludzkiej pamięci lub, jeszcze gorzej, mógłbym splamić jego imię tak, że legenda stałaby się zniewagą. Jednak nie zrobię tego. Każę napisać książkę o jego życiu i ludzie będą wiedzieć, w jaki sposób mnie pokonał.

– Nie spodziewałbym się mniej po Ulryku – przyznał Ogasi, a jego ciemne oczy zabłyśły w świetle płomieni.

– Ach, więc znasz mnie, przyjacielu. Są tacy pośród Drenajów, którzy myślą, że zjem potężne serce Drussa. Pożeracz dzieci, chodząca plaga, barbarzyńca z Gulgothir.

– Imiona, które chyba sam sobie nadałeś, panie.

– To prawda. Cóż, wódz musi znać wszystkie rodzaje broni. A jest wśród nich wiele, które nie mają nic wspólnego z włócznią i mieczem, łukiem czy procą. Słowa przywłaszczają ludzką duszę, podczas gdy miecz odbiera im tylko ciało. Ludzie czują strach na sam mój widok. To potężna broń.

– Niektóre rodzaje broni zwracają się przeciw tym, którzy ich używają, panie. Ja... –

wojownik nagle zająknął się i zamilkł.

– Mów, Ogasi! Co ci dolega?

– Drenajowie, panie! Są w obozie! – powiedział Ogasi, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Ulryk odwrócił się gwałtownie. Kręgi wojowników rozpadały się, gdy ludzie wstawali aby zobaczyć Księcia z Brązu, idącego w stronę władcy Nadirów.

Za nim w dwuszeregu maszerowało szesnastu ludzi w srebrnych zbrojach, na końcu gan legionu z jasnowłosym łucznikiem u boku.

Bębny nagle ucichły, a oczy wszystkich przeniosły się z grupy Drenajów na siedzącego wodza. Ulryk zmrużył oczy, widząc, że przybywający są odziani w zbroje. Strach zbudził się w jego sercu, lecz opanował go, pospiesznie zbierając myśli. Czy po prostu podejda i zabiją go?

Usłyszał syk klingi Ogasiego wyciąganej z pochwy i podniósł rękę.

– Nie, przyjacielu. Niech podejda.

– To szaleństwo, panie – wyszeptał Ogasi, patrząc na nadchodzących Drenajów.

– Naley wina dla naszych gości. Zdążymy ich zabić po uczcie. Bądź gotowy.

Ulryk spojrzął ze swego podwyższonego tronu w szaroniebieskie oczy Księcia z Brązu.

Mężczyzna zdjął hełm, pozostając w pełnej zbroi. U jego boku zwisał wielki miecz Egela. Jego towarzysze trzymali się z tyłu, czekając na rozwój wydarzeń. Niczym nie zdradzali napięcia, chociaż Ulryk zauważył że Hogun, generał legionu, nieznacznie położył dłoń na rękojeści miecza i uważnie obserwował Ogasiego.

– Po co tu przyszliście? – zapytał Ulryk. – Nie jesteście mile widziani w moim obozie.

Księżę powoli rozejrzał się wokół, po czym wrócił spojrzeniem do nadiryjskiego władcy.

– To dziwne – odezwał się – jak bitwa może zmienić punkt widzenia. Po pierwsze, nie jestem w twoim obozie. Stoję na ziemi Delnoch, a ta jest moja wedle prawa – to ty jesteś na mojej ziemi. Jednak niech tak będzie, dzisiaj jesteście mile widziani. Teraz wyjaśnię cel mojej wizyty. Moi przyjaciele i ja przyszliśmy pożegnać Drussa-Legendę, Kroczącą Śmierć. Czy Nadirowie zupełnie zapomnieli o gościnności i nie proponujesz nam niczego do picia?

Ręka Ogasiego jeszcze raz powędrowała w kierunku miecza. Księżę nawet nie drgnął.

– Jeśli wyciągnie ten miecz – dodał cicho – spadnie jego głowa.

Ulryk odprawił gestem Ogasiego.

– Czy myślisz, że odejdziesz stąd żywy? – zapytała Ręka.

– Jeśli zechcę, tak – odpowiedział księżę.

– Czyżbym nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia?

– Zupełnie nic.

– Naprawdę? Intrygujesz mnie. Wszędzie dokoła ciebie są nadiryjscy łucznicy. Na mój sygnał twoją piękną zbroję przeszyją strzały o czarnych grotach. A ty mówisz, że nic nie mogę zrobić?

– Jeśli możesz, wydaj rozkaz – zażądał księżę. Ulryk przesunął wzrok na łuczników. Strzały były

gotowe, a wiele łuków już się napinało; ich żelazne groty lśniły w blasku ognisk.

– Dlaczego nie mogę wydać tego rozkazu? – zapytał.

– A czemu go nie wydałeś? – odparł książę.

– Z ciekawości. Jaki jest prawdziwy cel twej wizyty? Przyszedłeś, żeby mnie zabić?

– Nie. Gdybym tego chciał, mógłbym zabić cię tak, jak zabiłem twego szamana: cicho, niewidzialnie. Twoja głowa zamieniłaby się w pełen robaków czerep. Nie ma w tym żadnego podstęp. Przyszedłem oddać hołd przyjacielowi. Czy udzielisz mi gościny, czy mam wrócić do fortecy?

– Ogasi! – zawołał Ulryk.

– Tak, panie?

– Podaj nowe trunki dla księcia i jego towarzyszy. Rozkaż łucznikom wracać do swoich ognisk i kontynuować zabawę.

– Tak, panie – powiedział Ogasi niepewnym głosem.

Ulryk gestem zaprosił księcia, aby zajął miejsce na tronie obok niego. Rek skinął głową i zwrócił się do Hoguna.

– Idźcie i bawcie się. Wróćcie po mnie za godzinę. Hogun zasalutował, a Rek patrzył jak niewielka grupka ludzi spaceruje wokół obozowiska. Uśmiechnął się, kiedy Bowman pochylił się nad siedzącym Nadirem i zabrał mu kielich lyrrdu. Tamten wytrzeszczył oczy, widząc jak jego napój znika, ale roześmiał się, gdy Bowman wychylił puchar jednym haustem.

– Piekielnie dobre, co? – odezwał się wojownik. Lepsze niż czerwone wino z południa.

Bowman przytaknął i z sakwy na biodrze wydobył płaską butelkę, oferując ją Nadirowi.

Wahanie, z jakim Nadir przyjął podarunek, świadczyło o podejrzliwości, jednak obserwowało go zbyt wielu przyjaciół.

Powoli wyjął korek, skosztował i pociągnął długi łyk.

– To również jest piekielnie dobre – przyznał. – Co to jest?

– Nazywają to lentrańskim ogniem. Raz spróbujesz, nigdy nie zapomnisz!

Mężczyzna znowu skinął głową, a potem odsunął się, robiąc miejsce dla Bowmana.

– Przyłącz się do nas, łuczniku. Dzisiaj nie ma wojny. Rozmawiamy, tak?

– Miło z twojej strony, stary. Myślę, że skorzystam. Usadowiony na tronie Rek wziął kielich Drussa,

pełen lentriańskiego czerwonego i uniósł go, patrząc w stronę stosu. Ulryk także podniósł swój kielich i obaj oddali milczącą cześć zmarłemu.

– To był wielki człowiek – powiedział Ulryk. – Mój ojciec opowiadał mi o nim i jego pani.

Miała na imię Rowena, prawda?

– Tak, bardzo ją kochał.

– To sprawiedliwe – rzekł Ulryk – że taki człowiek poznał wielką miłość. Przykro mi, że odszedł. Byłoby wspaniale, gdyby wojny można było przeprowadzać jak gry, bez przelewu krwi.

Po bitwie przeciwnicy spotykaliby się choćby tak jak my – pili i rozmawiali.

– Druss nie zgodziłby się na to – odparł książę. Gdyby to była gra, w której liczą się szansę, Dros Delnoch byłaby już twoja. Jednak Druss był człowiekiem, który potrafił odmienić szansę i zadrwić sobie z logiki.

– Ale tylko do momentu swojej śmierci. A co z tobą? Jakim ty jesteś człowiekiem, książę Regnaku?

– Po prostu człowiekiem, lordzie Ulryku – takim samym jak ty.

Ulryk pochylił się bliżej, opierając brodę na rękę.

– Ja nie jestem zwyczajnym człowiekiem. Nigdy nie przegrałem bitwy.

– Ja też jeszcze nie.

– Intrygujesz mnie. Pojawiasz się znikąd, bez przeszłości i poślubiasz córkę umierającego księcia. Nikt nigdy o tobie nie słyszał i nikt nie może mi opowiedzieć o twoich czynach.

A jednak ludzie umierają za ciebie, jak dla ukochanego króla. Kim jesteś?

– Jestem Księciem z Brązu.

– Nie. Nie przyjmuję tego do wiadomości.

– Cóż więc mam ci powiedzieć?

– Bardzo dobrze, jesteś więc Księciem z Brązu. To nie ma znaczenia. Jutro powrócisz do swego grobu, razem z tymi, którzy są z tobą. Zacząłeś tę bitwę z dziesięcioma tysiącami ludzi; teraz możesz się pochwalić najwyżej siedmioma setkami. Pokładasz nadzieję w Magnusie Woundweaverze, lecz on nie może przybyć na czas, a nawet gdyby, to już niczego nie zmieni.

Rozejrzyj się. Ta armia jest wychowana na zwycięstwach. Czy można mnie powstrzymać?

– Powstrzymanie ciebie nie jest ważne – powiedział książę. – Nigdy nie było.

- Co w takim razie robicie?
- Próbujemy cię powstrzymać.
- Czy jest to zagadka, którą powinienem zrozumieć?
- Twoje zrozumienie również nie jest ważne. Być może przeznaczenie chce, abyś wygrał.

Być może, imperium Nadirów okaże się wspaniałym darem dla świata. Jednak zadaj sobie następujące pytanie: czy gdyby tutaj, kiedy nadszedłeś, nie było nikogo prócz Drussa, czy otworzyłby ci bramy?

- Nie. Walczyłby i zginął – odparł Ulryk.
- Chociaż nie oczekiwałby zwycięstwa. A więc po co?
- Teraz rozumiem twoją zagadkę, książę. Smuci mnie, że tak wielu ludzi musi umrzeć, kiedy opór jest daremny. Niemniej jednak szanuję cię. Dopilnuję, aby twój stos był równie wysoki jak stos Drussa.
- Dziękuję, nie. Jeśli mnie zabijesz, złóż moje ciało w ogrodzie za kasztelem. Jest tam już jeden grób, otoczony kwiatami, w którym leży moja żona. Złóżcie moje ciało obok niej.

Ulryk zamilkł na kilka minut, niespiesznie napełniając kielichy.

- Będzie jak sobie życzysz, Książę z Brązu – oświadczył w końcu. – Chodźmy do mojego namiotu. Zjemy, napijemy się, jak przyjaciele. Opowiem ci o moim życiu i marzeniach, a ty możesz mówić o przeszłości i swoich radościach.
- Dlaczego tylko o przeszłości, lordzie Ulryku?

– Tylko ona ci pozostała, przyjacielu.

ROZDZIAŁ 29

O północy, kiedy płomienie pogrzebowego stosu zapłonęły na nocnym niebie, Nadirowie unieśli nagie miecze nad głowami, w milczącym hołdzie wojownikowi, którego dusza, jak wierzyli, stała u wrót raju.

Rek i jego towarzysze poszli w ich ślady, a potem odwrócili się i skłonili Ulrykowi. Ulryk oddał ukłon i grupa wyruszyła z powrotem w kierunku bocznej bramy piątego nuiuru. Powrotna droga minęła w milczeniu, a każdy z mężczyzn myślał o swoich sprawach.

Bowman dumiał o Caessie i jej śmierci u boku Drussa. Kochał ją na swój sposób, chociaż nigdy o tym nie mówił. Kochać ją, znaczyło umrzeć.

Myśli Hoguna obracały się wokół przerażającego obrazu nadiryjskiej armii widzianej z bliska, niezliczonej i potężnej Niepowstrzymanej!

Serbitar koncentrował się nad podróżą, którą odbędzie jutro o zmierzchu wraz z resztkami Trzydziestu. Zabraknie tylko Arbedarka, ponieważ obradowali poprzedniego wieczoru i jego wybrali na nowego opata. Teraz samotnie wyruszy z Delnoch, aby założyć nową świątynię w Ventrii.

Rek walczył z rozpaczą. Ostatnie słowa Ulryka wciąż powracały do niego echem.

– Jutro zobaczysz Nadirów jak nigdy przedtem. Złożyliśmy hołd waszej odwadze, atakując tylko przy świetle dnia i pozwalając odpoczywać w nocy. Teraz muszę zdobyć wasz kasztel, nie będzie więc odpoczynku, dopóki nie padnie. Będziemy nacierać dzień i noc, aż nikt żywy nie zostanie, aby stawić nam opór.

Grupka w milczeniu dotarła do bocznych schodów, a potem udała się do kantyny. Rek wiedział, że tej nocy nie zaśnie. To była jego ostatnia noc na ziemi i zmęczone ciało czerpało ze swych rezerw, aby mógł posmakować życie i poznać słodycz, jaką daje oddychanie.

Usiedli wokół drewnianego stołu, a Rek rozlał wino. Z Trzydziestu pozostali tylko Serbitar i Vintar. Przez długi czas wszyscy milczeli, aż w końcu Hogun przerwał ciężącą ciszę.

– Wiedzieliśmy, że do tego dojdzie, prawda? Nie można było opierać się w nieskończoność.

– Szczerą prawdą, stary – powiedział Bowman. Mimo wszystko, to trochę rozczarowujące, nie sądzicie? Muszę przyznać, że wciąż żywiłem odrobinę nadziei, że nam się uda. Teraz, kiedy ta nadzieja zgasła, czuję leciutkie ukłucie przerażenia.

Uśmiechnął się łagodnie i jednym haustem opróżnił kielich.

– Nikt cię nie prosi, żebyś został – odparł Hogun.

– Prawda. Może wyjadę jutro rano.

– Nie sądzę, żebyś to zrobił, choć nie wiem, dlaczego – dodał Hogun.

– Cóż, powiem prawdę. Obiecałem temu Nadirowi, Kasce! Ze napiję się z nim jeszcze raz, kiedy zdobędą kasztel. Mity koleś – odrobinę płaczliwy, kiedy wypije. Ma sześć żon i dwadzieścia trzy dzieciaki. To cud, że znalazł czas, żeby pójść na wojnę.

– No i siły! – rzucił ze śmiechem Hogun. – A co z tobą, Rek – – Dlaczego ty zostajesz?

– Dziedziczna głupota – odpowiedział Rek.

– To nie wystarczy – zaproponował Bowman. – Dalej, Rek – prawdę, jeśli łaska.

Rek szybko omiótł zebranych wzrokiem, widząc zmęczenie na ich twarzach i po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że kocha ich wszystkich.

Jego oczy spotkały spojrzenie Vintara i zrozumieli się bez słów. Stary człowiek uśmiechnął

się.

– Myślę – zaczął Rek – że Opat Mieczy może odpowiedzieć na to pytanie za nas wszystkich.

Vintar skinął głową i zamknął oczy na kilka chwil. Wszyscy wiedzieli, że badał ich serca i myśli, ale nie było w nich strachu czy zażenowania, ani pragnienia samotności.

– Wszystko, co żyje, musi umrzeć – odezwał się Vintar. – Sam człowiek, jak się wydaje, spędza całe swe życie ze świadomością śmierci. A jednak składa się ono z czegoś więcej niż oczekiwanie na śmierć. Aby nasze bytowanie miało sens, musimy mieć cel. Człowiek powinien coś po sobie pozostawić – inaczej jest bezużyteczny.

– Dla większości ludzi cel ten wiąże się z małżeństwem i dziećmi, które przekażą dalej nasienie. Dla innych jest to jakiś ideał – marzenie, jeśli wolicie. Każdy z nas tutaj wierzy w honor: wierzy, że jego obowiązkiem jest robić to, co dobre i sprawiedliwe, że sama władza nie wystarcza. Każdy z nas popełnił odstępstwo w pewnym momencie swego życia. Mamy na sumieniu kradzież, kłamstwo, oszustwo – nawet zabójstwo – dla naszych własnych celów.

W ostateczności jednak powracamy do naszych idei. Nie pozwolimy Nadirom Przejść tędy bezkarnie, ponieważ nie możemy na to pozwolić.

Osądzamy siebie bardziej surowo niż sądzą nas inni. Wierny że śmierć jest lepsza niż zdrada tego, co dla nas drogie.

– Hogun, jesteś żołnierzem i wierzysz w sprawę Drenajów. Kazano ci walczyć i zrobisz to, nie zadając pytań. Nie przyjdzie ci do głowy jakakolwiek inna możliwość poza posłuszeństwem.

A jednak rozumiesz, że inni mogą myśleć inaczej. Jesteś wyjątkowym człowiekiem.

– Bowman, jesteś połączeniem romantyka i cynika. Drwisz ze szlachetnych intencji człowieka, zbyt często bowiem widziałeś jak ulega instynktom. A jednak w tajemnicy ustanowiłeś dla siebie zasady, jakich inni ludzie nie przestrzegają. Ty, bardziej niż którykolwiek z nas, pragniesz żyć. Odczuwasz silną chęć ucieczki. Jednak nie zrobisz tego, dopóki pozostanie choćby jeden człowiek broniący tych murów. Masz wielką odwagę.

– Rek, za ciebie najtrudniej odpowiedzieć. Podobnie jak Bowman, jesteś romantykiem. Masz w sobie jednak głębię, której nie próbowałem badać. Posiadasz intuicję i inteligencję, ale tu intuicja kieruje twoim postępowaniem. Wiesz, że pozostawanie w tym miejscu jest właściwe –

a także bezsensowne. Inteligencja podpowiada ci, że to przegrana sprawa, lecz intuicja zmusza cię do odrzucenia intelektu. Jesteś rzadkim okazem – urodzonym przywódcą. I nie potrafisz odejść.

– A wszystkich was łączą więzy tysiąckroć silniejsze niż stal.

– I na koniec jest ktoś – kto właśnie się do nas zbliża – a którego dotyczy wszystko, co powiedziałem. Jest człowiekiem mniejszego kalibru, a jednak jest większy od każdego z was, ponieważ jego obawy są większe niż wasze, a jednak wytrwa i zginie.

Drzwi otworzyły się i wszedł Orrin w lśniącej i świeżo naoliwionej zbroi. W milczeniu usiadł wśród nich i przyjął kielich wina.

– Mam nadzieję, że zastaliście Ulryka w dobrym zdrowiu – powiedział.

Nigdy nie wyglądał lepiej, stary – odpowiedział A więc jutro rozkwasimy mu nochal – odparł generał, a jego ciemne oczy rozbłyły.

Niebo o świcie było jasne i przejrzyste, gdy drenajscy wojownicy jedli zimne śniadanie, składające się z chleba i sera, popijanych wodą z miodem. Każdy, kto mógł ustać na nogach, stawił się na murach z bronią w pogotowiu. Podczas gdy Nadirowie przygotowywali się do natarcia, Rek wskoczył na blanki i odwrócił twarzą do obrońców.

– Nie będzie dzisiaj długiej przemowy! – krzyknął. – Wszyscy znamy nasze położenie.

Jednak chcę powiedzieć, że jestem dumny, bardziej niż mogłem to sobie wyobrazić. Żałuję, że nie potrafię znaleźć słów... – Zająknął się, umilkł, a potem wyjął miecz z pochwy i podniósł go wysoko.

– Na wszystkich znanych mi bogów przysięgam, że jesteście najwspanialszymi ludźmi, jakich znam. I gdybym miał wybierać zakończenie tej opowieści i zaludnić ją bohaterami z minionych czasów, nie zmieniłbym w niej ani jednego słowa. Nikt bowiem nie mógł dać z siebie więcej niż wy.

– Dziękuję wam.

– Gdyby ktoś chciał teraz odejść, ma do tego prawo. Wielu z was ma żony, dzieci lub bliskich krewnych. W takim przypadku odejdźcie teraz z moim błogosławieństwem. Ponieważ to, co mamy dzisiaj do zrobienia, nie wpłynie na rezultat tej wojny.

Zeskoczył lekko na wały, wracając do Orrina i Hoguna. Jakiś młody szeregowiec zawołał

z szeregu: – A ty, Książę z Brązu? Zostaniesz? Rek jeszcze raz wszedł na blanki.

– Ja muszę zostać, ale wam pozwalam odejść. Nikt się nie ruszył, chociaż wielu myślało o tym. Usłyszeli bojowy okrzyk Nadirow i rozpoczęła się bitwa.

W ciągu tego długiego dnia Nadirowie nie zdobyli ani jednego przyczółka, a rzeź była straszna.

Wielki miecz Egela rozdawał pchnięcia i śmierć, rozrąbywał zbroje, ciała i kości, a Drenajowie walczyli jak demony. Ponieważ byli, jak wiele tygodni wcześniej przepowiedział

Serbitar, najświetniejszymi z wojowników, a myśli o śmierci i strach przed nią nie zagościły w ich umysłach. Wielokrotnie Nadirowie cofali się okrwawieni i zdumieni.

Jednak z nadejściem zmierzchu wzmógł się napór na bramy i wielkie wierzeje z dębu i brązu zaczęły ustępować. Serbitar poprowadził tam resztki Trzydziestu i stanął, jak wcześniej Druss, w cieniu

portalu. Rek skoczył do nich, lecz silny impuls wysłany przez Serbitara kazał mu wrócić na mur. Chciał mu się oprzeć, kiedy na wałach za nim zaroilo się od Nadirów. Błysnął miecz Egela, pozbawiając głowy pierwszego, i Rek znalazł się raz jeszcze w gąszczu bitwy.

W bramie do Serbitara dołączył Suboden, kapitan jego vagriańskiej obrony. Z jego oddziału pozostało już tylko około sześćdziesięciu ludzi.

– Wracaj na mury – rzekł Serbitar. Jasnowłosy Vagrianin przecząco potrząsnął głową.

– Nie mogę. Jesteśmy tutaj jako twoja ochrona i umrzemy z tobą.

– Nie darzysz mnie miłością, Suboden. Wyraziłeś to jasno.

– Miłość ma niewiele wspólnego z obowiązkiem, lordzie Serbitarze. Mimo to mam nadzieję, że mi wybaczysz. Uważałem, że twoja moc pochodzi od demonów, lecz opętany nie walczyłby tak jak ty.

– Nie ma nic do wybaczenia, ale masz moje błogosławieństwo – powiedział Serbitar jasnowłosemu kapitanowi straży.

Brama pękła nagle, a Nadirowie z triumfalnym wrzaskiem wpadli do środka i rzucili się na obrońców, na których czele stał templariusz o białych włosach.

Wyciągając smukły ventriański sztylet Serbitar walczył obiema rękami, blokując, dźgając, parując i tnąc. Ludzie nadali przed nim jak łan, ale wciąż nowi wypełniali powstającą wyrwę.

Przy nim smukły kapitan vagriańskiej gwardii rąbał i siekł nacierających barbarzyńców. Czyjś topór rozłupał mu tarczę. Odrzucił jej kawałki, chwycił oburącz miecz, krzyknął wyzywająco i skoczył naprzód. Cios topora zmiażdżył mu żebra, a włócznia przebiła udo. Runął w kipiącą tłuszczę, zadając ciosy na prawo i lewo. Kopniak odrzucił go w tył, a trzy włócznie wbiły się w pierś. Próbował po raz ostatni podnieść swój miecz, ale nabijany żelazem but przygniótł mu rękę, a cios drewnianej pałki zakończył jego życie. Vintar walczył rozważnie, dotrzymując kroku albinosowi i oczekując strzały, która, o czym wiedział, przeszyje go lada moment. Przykucnął

pod ciosem miecza, rozplatał przeciwnika i odwrócił się.

W cieniu rozbitej bramy łucznik napiął cięciwę, przyciskając palce do policzka. Grot śmignął

i trafił w prawe oko Vintara, a ten upadł na włócznie Nadirów.

Pozostali obrońcy walczyli w coraz ciasniejszym kręgu, a zmierzch pogłębiał się i przechodził w noc. Okrzyki Nadirów zamilkły; bitwa toczyła się w milczeniu i ciszy. Słyszać było tylko brzęk stali o stal i głuchy odgłos zadawanych ciosów.

Menahema uniosła w powietrze siła włóczni, która przeszyła mu płuca. Jego miecz opadł ze świstem, ku szyi klęczącego oszczepnika – i zatrzymał się. Klinga lekko dotknęła ramienia tamtego. Nie wierząc w swoje szczęście, wojownik wyszarpnął włócznię i ponownie wbił ją w pierś mnicha.

Teraz Serbitar został sam.

W tej chwili Nadirowie odstąpili, gapiąc się na zbrozonego krwią albinosa. Większość tej krwi płynęła z jego ran. Z płaszcza pozostały strzępy, zbroję miał pociętą i powyginaną, a hełm już dawno strącono mu z głowy.

Wziął trzy głębokie, nierówne oddechy, wejrzał w siebie i stwierdził, że umiera. Sięgnąwszy myślami w przestrzeń, poszukał Vintara i innych.

Cisza.

Straszna cisza A więc wszystko to na nic, pomyślał, gdy Nadirowie szykowali się do ataku.

Uśmiechnął się gorzko.

Nie było żadnego Źródła.

Nie było centrum wszechświata.

W ostatnich chwilach życia, jakie mu zostały, zastanawiał się, czy go nie zmarnował.

Wiedział, że nie. Bowiem nawet jeśli Źródło nie istniało, to powinno istnieć. Ponieważ było ono piękne.

Nadiryjski wojownik skoczył do przodu. Serbitar błyskawicznie odbił cios, wbijając sztylet w piersi tamtego, ale opadli go całą chmarą i w jego smukłym ciele spotkało się tuzin kling.

Krew trysnęła mu z ust i upadł.

Z wielkiej odległości usłyszał głos: – Weź moją rękę, bracie. Zaczynamy podróż. To był

Vintar!

Nadirowie rozproszyli się, ruszając w kierunku opuszczonych budynków i kilkunastu ulic, prowadzących do Geddonu i położonego za nim kasztelu. Idący w pierwszym szeregu Ogasi podniósł miecz i wydał nadiryjski okrzyk zwycięstwa. Zaczął biec, lecz nagle zatrzymał się.

Przed nim, na otwartym polu przed budynkami, stał wysoki mężczyzna z wyciętą w trójzab brodą, odziany w białe szaty Sathuli. W rękach trzymał dwie szable, zakrzywione i śmiercionośne. Ogasi podszedł powoli, zbity z tropu.

Sathuli w fortecy Drenajów?

– Co tu robisz? – zawołał Ogasi.

– Ja tylko pomagam przyjacielowi – odpowiedział tamten. – Wracaj! Nie pozwolę ci przejść.

Ogasi wyszczerzył zęby. A więc ten człowiek był szaleńcem. Unosząc miecz, rozkazał swym ludziom nacierać. Ubrana na białą postać ruszyła im na spotkanie.

– Sathuli! – krzyknął nieznajomy.

Odpowiedział mu gromki okrzyk bojowy Sathuli i trzy tysiące wojowników w białych szatach, które w gęstniejących ciemnościach nadawały im upiorny wygląd, jak rzeka wyroiło się spomiędzy budynków, uderzając na oniemiałych Nadirów.

Ogasi nie wierzył własnym oczom. Sathuli i Drenajowie byli odwiecznymi wrogami. Zdawał sobie sprawę z tego, że to się dzieje naprawdę, ale jego umysł nie przyjmował tego do wiadomości. Jak biała fala spadająca na ciemną plażę, Sathuli uderzyli w Nadirów.

Joachim szukał Ogasię, lecz krępy koczownik zniknął gdzieś w ciżbie.

Przedziwny obrót koła fortuny zmieniający pewne zwycięstwo w pewną śmierć, przeraził napastników. Wpadli w panikę i powolny odwrót przerodził się w pogrom. Tratując towarzyszy, Nadirowie zawrócili i uciekli przed białą armią, która ścigała ich, wznosząc tak przerażające okrzyki, jakich nie słyszeli na swoich stepach.

Na murach powyżej, Rek broczył z ran na ramionach, a rannemu w głowę Hogunowi krew lała się z czoła i zwisający płat skóry trzepotał przy każdym poruszeniu.

Sathuli pojawili się teraz na blankach i jeszcze raz Nadirowie uciekli przed ich straszliwymi szablami, wycofując się z murów i próbując zsunąć się w dół po linach.

W ciągu kilku minut było po wszystkim. Nieliczne grupki Nadirów zostały otoczone i wycięte.

Joachim Sathuli, w białej szacie splamionej posoką, w asyście swych siedmiu poruczników wolno wszedł schodami na mury. Podszedł do Reka i skłonił się. Odwrócił się i oddał swoje dwie szable czarnobrodemu wojownikowi. Inny Podał mu pachnący ręcznik. Powoli, dokładnie, wytarł nim, a potem ręce. Wreszcie przemówił.

– Gorące powitanie – powiedział bez uśmiechu na, choć jego oczy pełne były humoru.

– Rzeczywiście – odparł Rek. – Na szczęście po – zostali goście musieli odejść, bo inaczej nie byłoby dość miejsca.

– Zdziwił cię mój widok?

– Nie. Nie zdziwił. Zaskoczył jest lepszym słowem. Joachim roześmiał się.

– Czy masz tak krótką pamięć, Delnoch? Powiedziałaś, że rozstaniemy się jak przyjaciele i zgodziłem się na to. Gdzie indziej mógłbym więc być, kiedy przyjaciel jest w potrzebie?

– Sądzę, że piekielnie trudno było ci przekonać swoich ludzi, aby za tobą poszli.

– Wprost przeciwnie – odpowiedział Joachim, a w jego oczach błysnął diabelski ogień. –

Przez całe życie nie marzyli o niczym innym, jak walczyć wewnątrz tych murów.

Wysoki wojownik Sathuli stał na szczycie Geddonu, spoglądając w dół na obozowisko Nadirów za opuszczonymi blankami Valteri. Rek spał teraz, a brodaty książę samotnie spacerował wzdłuż murów. Wokół kręcili się wojownicy i straż obu ras, lecz on pozostał sam.

Od tygodni zwiadowcy Sathuli obserwowali ze szczytów gór Delnoch szalejącą poniżej bitwę. Często sam Joachim wspinał się na szczyty, aby zobaczyć walkę. Potem jeźdźcy nadiryjscy napadli na wioskę Sathuli i Joachim namówił swoich ludzi, żeby poszli do Delnoch.

Wiedział ponadto o zdrajcy, który zmawiał się z Nadirami, ponieważ był świadkiem jego spotkania na wąskiej przełęczy z kapitanem Nadirów, Ogasim.

Dwa dni później Nadirowie spróbowali przerzucić przez góry oddziały, które zostały rozbite przez Sathuli.

Joachim ze smutkiem przyjął wiadomość o stracie Ręka. Mimo iż był fatalistą, umiał znaleźć w sobie współczucie dla mężczyzny, któremu umarła żona. Dwa lata wcześniej jego żona zmarła, wydając na świat dziecko i ta rana wciąż była świeża.

Joachim potrząsnął głową. Wojna to okrutna, ale potężna pani. Potrafi uczynić w duszy człowieka większe spustoszenia niż czas.

Przybycie Sathuli było dobrze obliczone w czasie i nie odbyło się bez strat. Czterystu jego wojowników poniosło śmierć, dotkliwy cios dla tego górskiego plemienia, liczącego zaledwie trzydzieści tysięcy ludzi, z których wielu to niemowlęta i starcy.

Jednak dług był długiem.

Człowiek imieniem Hogun nienawidził go, Joachim wiedział o tym. Rozumiał to, bowiem Hogun należał do legionu, a Sathuli od lat przelewali krew legionistów. Pochwyconych jeźdźców poddawali najwymyślniejszym torturom. Traktowali to jako przywilej, ale Joachim wiedział, że Drenajowie nigdy tego nie rozumieją. Kiedy człowiek umiera, zostaje poddany próbie – im cięższą ma śmierć, tym większą nagrodę w raju. Tortury uszlachetniały ludzką duszę, a Sathuli nie znali większej nagrody, jaką mogliby zaoferować pochwyconemu wrogowi.

Usiadł na blankach i spojrzał na kasztel. Jak długo marzył o zdobyciu tej fortecy? W ilu snach widział ten kasztel stojący w płomieniach?

A teraz bronił go za cenę życia swoich ludzi.

Zadrżał. Człowiek patrzący w niebo nie dostrzega skorpiona pod stopami. Człowiek z oczami utkwionymi w ziemi nie zauważa smoka nad głową.

Przeszedł wzdłuż wałów i zatrzymał się przed wielką bramą z wykutym w kamieniu napisem: GEDDON.

Mur śmierci.

W powietrzu unosił się silny zapach śmierci, a poranek ujrzy kruki, zlatujące się na ucztę.

Powinien zabić Ręka, tam, w lesie. Obietnica dana niewiernemu nie znaczyła nic, więc dlaczego jej dotrzymał? Roześmiał się, nagle znajdując odpowiedź: ponieważ tamten nie dbał o to.

A Joachim lubił go.

Minął drenajskiego strażnika, który zsalutował i uśmiechnął się. Joachim skinął głową, zauważając niepewność w tym uśmiechu.

Powiedział Księciu z Brązu, że on i jego ludzie zostaną tu jeszcze jeden dzień, a potem powrócą w góry. Spodziewał się błagania o pomoc – propozycji, obietnic, traktatów. Jednak Rek uśmiechnął się tylko.

– To więcej, niż ośmieliłbym się prosić – rzekł. Joachim był zdumiony, ale nic nie odparł.

Opowiedział Reкови o zdrajcy i o próbie przekroczenia przez Nadirów gór.

– Czy nadal będziesz blokował przejście?

– Oczywiście. To ziemia Sathuli.

– Dobrze! Zjesz ze mną?

– Nie, ale dziękuję za zaproszenie.

Żaden Sathuli nie łamał się chlebem z niewiernym. Rek skinął głową.

– Myślę, że pójdę teraz odpocząć – zdecydował. Zobaczymy się o świcie.

W pokoju na szczycie wieży Rek spał śniąc o Virae, zawsze o Virae. Obudził się na długo przed świtem i sięgnął po nią ręką. Jednak posłanie obok niego było zimne i, jak zawsze, na nowo odczuł swoją stratę. Tej nocy płakał długo i bezgłośnie. Na koniec wstał, ubrał się i zszedł

do małej sali. Służący Arshin przyniósł mu śniadanie, składające się z zimnej szynki i sera oraz dzban wody wymieszanej z miodem. Jadł mechanicznie, kiedy nadszedł młody oficer z wiadomością, że Bricklyn powrócił z wieściami z Drenanu.

Mieszczanin wszedł i skłonił się lekko, po czym podszedł do stołu i położył na nim kilka pakunków i duży, zapieczętowany zwój. Usiadł naprzeciw Ręka i zapytał, czy mógłby sobie nalać miodu. Rek przytaknął i rozwinął zwój. Przeczytał go raz, uśmiechnął się, odłożył

pergaminy i spojrzął na mieszczanina. Ten był szczuplejszy i jeszcze bardziej posiwiał od czasu, gdy Rek zobaczył go po raz pierwszy. Wciąż miał na sobie swój podróżny strój, a jego zielona opończa pokryta była kurzem. Bricklyn dwoma łykami opróżnił kubek i ponownie go napełnił; wtedy dostrzegł uważne spojrzenie Ręka.

– Widziałeś wiadomość od Abalayna? – zapytał.

– Tak. Dziękuję za jej przywiezienie. Zostaniesz?

– Oczywiście. Należy przygotować twierdzę do poddania się i powitać Ulryka w kasztelu.

– Mówił, że nikogo nie oszczędzi – powiedział cicho Rek.

Bricklyn machnął ręką.

– Nonsens! To były tylko słowa. Okaze swą wielkoduszność.

– A co z Woundweaverem?

– Został wezwany do Drenanu, a armia rozpuszczona.

– Jesteś zadowolony?

– Z tego, że wojna skończona? Oczywiście. Chociaż jest mi naprawdę przykro, że tylu musiało zginąć. Słyszałem, że Druss padł pod Sumitos. To wielka strata. Był wspaniałym człowiekiem i doskonałym wojownikiem. Jednak zginął tak, jak tego pragnął, jestem tego pewien. Kiedy chcesz, abym się spotkał z lordem Ulrykiem?

– Tak szybko jak tego pragniesz.

– Czy będziesz mi towarzyszył?

– Nie.

– Zatem kto? – zapytał Bricklyn z zadowoleniem, widząc rezygnację na twarzy Ręka.

– Nikt.

– Nikt? Ależ to nie będzie uprzejme, panie. Powinna pójść delegacja.

– Pójdiesz sam.

– Bardzo dobrze. Jakie warunki mam negocjować?

– Nie będziesz niczego negocjował. Po prostu pójdziesz do Ulryka i powiesz mu, że ja cię przysyłam.

– Nie rozumiem, panie. Co mam mu od ciebie przekazać?

– Powiesz mu, że ci się nie powiodło.

– Nie powiodło? W czym? Mówisz zagadkami. Oszalałeś?

– Nie. Jestem tylko zmęczony. Zdradziłeś nas, Bricklyn, lecz niczego innego nie oczekiwałem od człowieka twojego pokroju. Dlatego też nie gniewam się. Nie mszczę. Wzięłeś zapłatę od Ulryka i teraz możesz iść do niego. List od Abalayna jest spreparowany, a Woundweaver będzie tutaj za pięć dni z pięćdziesięcioma tysiącami ludzi. Na zewnątrz jest trzy tysiące Sathuli i możemy utrzymać mur. A teraz odejdź! Hogun wie, że jesteś zdrajcą i powiedział, że zabije cię, jeśli wpadniesz mu w ręce. Idź już.

Przez kilka minut Bricklyn siedział jak ogłuszony, potem potrząsnął głową. – To szaleństwo!

Nie możecie się utrzymać! Ten dzień należy do Ulryka, nie widzisz tego? Drenajowie są skończeni, a gwiazda Ulryka świeci jasno. Co macie nadzieję osiągnąć?

Rek powoli wciągnął długi, wąski sztylet i położył go przed sobą, na stole.

– Idź już – powtórzył cicho.

Bricklyn podniósł się i rzucił do drzwi. Tam odwrócił się. – Ty głupcze! – wyrzucił z siebie.

– Wypróbuj ten sztylet na sobie, bo to co z tobą zrobią Nadirowie, kiedy cię dostaną, będzie wesołym widowiskiem dla widzów. Po tych słowach zniknął.

Hogun wyszedł zza zasłony oddzielającej alkowę i podszedł do stołu. Miał obandażowaną głowę i bladą twarz. W rękę ścisnął miecz.

– Dlaczego pozwoliłeś mu odejść, Rek? Dlaczego? Rek uśmiechnął się.

– Ponieważ nie chciało mi się go zabijać.

ROZDZIAŁ 30

Ostatnia świeca stopiła się i zgasła, gdy jesienny, lekki wietrzyk wydał zasłony. Rek spał

z głową opartą na rękach, na stole, przy którym przed godziną rozmawiał z Bricklynem, odsyłając go do Nadirów. Sen miał lekki, ale pozbawiony snów. Gdy w pokoju zrobiło się chłodniej zadrżał, a potem obudził się z niepokojem, zauważając panujące wokół ciemności.

Poczuł strach i sięgnął po sztylet. Znowu zadrżał. Było zimno... tak zimno. Spojrzał na kominek.

Płonął na nim ogień, jednak ciepło nie docierało do niego. Podniósł się i podszedł tam, przykucnął przed paleniskiem i wyciągnął dłonie do ognia. Nic. Wstał, strapiony, odwrócił się w stronę stołu i przeżył szok.

Z głową wspartą na rękach spał tam nadal książę Regnak. Stłumił, budzącą się na ten widok panikę i

patrzył na zmęczoną i wycieńczoną twarz, podkrążone oczy i bruzdy napięcia wokół ust.

Potem zdał sobie sprawę z panującej wokół ciszy. Nawet o tak późnej godzinie i w głębokich ciemnościach zwykle było słycać głosy wartowników, służących lub tych nielicznych, pozostających nadal kucharzy, którzy przygotowywali śniadanie na następny dzień. Tymczasem teraz niczego nie słyszał. Podeszedł do drzwi, przeszedł ciemnym korytarzem, a potem jeszcze dalej, w cień portalu. Był sam. Za bramą wznosiły się mury, lecz nie przemierzały ich żadne straże. Poszedł dalej w ciemność, a chmury rozstały się i księżyc zaświecił jasno.

Forteca była wyludniona.

Z wysokości Geddonu spojrział na północ. Równina była pusta. Nie dostrzegł żadnych nadiryskich namiotów. Był więc naprawdę sam. Opuścił go strach, a głęboki spokój okrył jego duszę, jak ciepły pled. Usiadł na wałach i spojrział na kasztel.

Czy to przedsmak śmierci? – zastanawiał się. – A może to tylko sen?

Nie dbał o to. Nie miało znaczenia, czy był to przedsmak jutrzejszej rzeczywistości, czy też rezultat jego sennego marzenia. Cieszył się tą chwilą.

I wtedy, wraz z głębokim uczuciem ciepła nadeszła świadomość czyjejs obecności. Serce podeszło mu do gardła, a łzy napłynęły do oczu. Odwrócił się i ujrzał ją: ubraną tak, jak zobaczył

ją po raz pierwszy, w zbyt dużym kaftanie z owczej skóry i wełnianych spodniach. Otworzyła ramiona i wpadła w jego objęcia. Przytulił ją mocno, skrywając twarz w jej włosach. Stali tak przez długi czas, a jego ciałem wstrząsały głębokie łkania. W końcu przestał płakać i łagodnie uwolnił ją z objęć. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Dobrze się spisałeś, Rek – powiedziała. – Jestem z ciebie taka dumna.

– Bez ciebie to nie ma znaczenia – odpowiedział.

– Ja nie zmieniałabym niczego, Rek. Gdyby pozwolono mi odzyskać życie, ale nie spotkać ciebie – odmówiłabym. Jakie to ma znaczenie, że znaliśmy się tylko przez kilka miesięcy? Cóż to były za miesiące!

– Nigdy nikogo tak bardzo nie kochałem jak ciebie – oświadczył.

– Wiem.

Spędzili na rozmowach długie godziny, a księżyc nie zmieniał położenia i gwiazdy tkwiły nieruchomo, noc wydawała się trwać wiecznie. W końcu zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Ktoś jeszcze czeka na spotkanie z tobą. Próbował protestować, lecz położyła mu palec na ustach i powiedziała: – Spotkamy się jeszcze, mój kochany. A teraz porozmawiaj z tamtymi.

Mury okryła teraz mgła, wirująca i gęsta. Powyżej księżyc świecił na bezchmurnym niebie.

Odeszła w mgłę i zniknęła. On czekał i wkrótce zbliżył się do niego rycerz w srebrnej zbroi. Jak zwykle wyglądał świeżo i rześko, jego zbroja odbijała światło księżyca, a biały płaszcz nie miał ani jednej plamki. Uśmiechnął się.

– Miło cię widzieć, Rek – powiedział Serbitar. Złączyli dłonie w wojskowym uścisku.

– Zjawili się Sathuli – odparł Rek. – Utrzymałeś bramę wystarczająco długo.

– Wiem. Jutro czeka cię ciężki dzień i nie będę cię okłamywał. Przejrzałem wszystkie przyszłości i tylko w jednej udaje się wam przeżyć. Jednak istnieją tutaj siły, których działania nie umiem ci wytłumaczyć, a które nawet w tej chwili działają na naszą korzyść. Walcz dobrze!

– Czy przybędzie Woundweaver? – zapytał Rek. Serbitar wzruszył ramionami.

– Nie jutro.

– Zatem przegramy?

– To jest możliwe. Jednak jeśli nie, chcę żebyś coś dla mnie zrobił.

– Powiedz tylko, co – wyrzekł Rek.

– Pójdź jeszcze raz do komnaty Egela, gdzie zostawiłem dla ciebie mój ostatni dar. Twój służący, Arshin, wyjaśni ci wszystko.

– Co to jest? Czy to broń? Mógłbym jej użyć jutro.

– To nie jest broń. Pójdź tam jutro.

– Serbitarze?

– Tak, przyjacielu?

– Czy wszystko było tak, jak sobie wymarzyłeś? Mówię o Źródle.

– Tak! A nawet lepiej. Jednak teraz nie mogę o tym mówić. Poczekaj tu jeszcze chwilę.

Jeszcze ktoś chce z tobą pomówić.

Mgła zgęstniała, a biała postać Serbitara cofała się, aż zniknęła, zlewając się z nią w jedno.

A wtedy pojawił się Druss. Potężny i silny, w lśniącym, czarnym kaftanie i z toporem u boku.

– Ładnie mnie pochował – odezwał się Druss. – Jak się masz, chłopcze? Wyglądasz na zmęczonego.

– Jestem zmęczony, ale widząc cię, czuję się o wiele lepiej.

Druss klepnął go po ramieniu i roześmiał się.

– Ten Nogusha potraktował mnie zatrutym ostrzem. Mówię ci, bolało jak diabli. Caessa ubrała mnie. Nie wiem, jak udało się jej postawić mnie na nogi. Jednak... zrobiła to.

– Widziałem – powiedział Rek.

– Tak, wspaniały koniec, czyż nie? Ten młody, Gilad, dobrze walczył. Nie widziałem go jeszcze, ale spodziewam się ujrzeć go niebawem. Jesteś dobrym chłopcem, Rek. Godnym! Miło było cię poznać.

– I ciebie, Druss. Nigdy nie spotkałem lepszego człowieka.

– Ależ oczywiście, że spotkałeś, chłopcze. Setki! Jednak miło z twojej strony, że tak mówisz.

Mimo to, nie przyszedłem tutaj po komplementy. Wiem, co cię czeka i wiem, że jutro będzie ciężko – cholernie ciężko. Nie wycofuj się do kasztelu. Cokolwiek by się działo, trwaj na murach. Wiele od tego zależy. Trzymaj przy sobie Joachima; jeśli on umrze, jesteś skończony.

Muszę iść. Zapamiętaj. Zostań na murach. Nie cofaj się do kasztelu.

– Będę pamiętał. Żegnaj, Druss.

– Nie żegnaj. Jeszcze nie – odparł Druss. – Do zobaczenia wkrótce.

Mgła opadła, ogarniając rębacza i przepływając nad Rekiem. Blask księżyca przygasł i ciemność spowiła Księcia z Brązu.

Rek obudził się w kasztelu. Ogień wciąż się palił, a on poczuł głód.

W kuchni Arshin przygotowywał śniadanie. Stary był zmęczony, ale rozjaśnił się na widok Ręka.

Lubił nowego księcia i pamiętał czasy, kiedy ojciec Virae, Delnar, był jeszcze młody, dumny i silny. Wydaje się, że istnieje między nimi jakieś dziwne podobieństwo, chyba że, pomyślał

Arshin, drugie lata osłabiły mi pamięć.

Podał księciu trochę grzanek z miodem, które ten pochłoniął z apetytem, popijając winem rozcieńczonym wodą.

Wróciwszy do swojej kwatery, Rek nałożył zbroję i udał się na blanki. Hogun i Orrin już tam byli, nadzorując budowę barykady w tunelu bramy.

– To nasz słaby punkt – powiedział Orrin. – Powinniśmy się cofnąć do kasztelu. Jego bramy wytrzymają przynajmniej kilka godzin.

Rek potrząsnął głową.

– Zostaniemy na Geddonie. Nie wolno nam się wycofać.

– A więc tutaj umrzemy – rzekł Hogun. – Ponieważ ta barykada nie powstrzyma Nadirów.

– Być może – odparł Rek. – Zobaczymy. Dzień dobry, Joachimie Sathuli.

Brodaty wojownik skinął głową i uśmiechnął się.

– Dobrze spałeś, Księżę z Brązu?

– Naprawdę dobrze. Dzięki, że poświęciłeś nam dzień twojego czasu.

– To nic wielkiego. Spłata drobnego długu.

– Nic mi nie jesteś winien. Jednak coś ci powiem; jeśli przeżyjemy ten dzień, nie będzie więcej wojny między nami. Prawa do przełęczu Delnoch należą do mnie, chociaż ty je kwestionujesz. Dlatego też, w obecności tych oto świadków zrzekam się ich na twoją korzyść.

– W kasztelu czeka przygotowany dokument z moją pieczęcią. Odchodząc dziś wieczorem, zabierzcie go. Kopia powędruje do Abalayna do Drenanu.

– Wiem, że gest ten nie będzie miał żadnego znaczenia, jeśli Nadirowie dziś zwyciężą, lecz tylko tyle mogłem zrobić. Joachim skłonił się.

– Liczy się sam gest.

Rozmowy ucichły, gdy rozległ się łomot nadiryjskich bębnow, a wojownicy Dros Delnoch rozbiegli się wzdłuż muru, przygotowując się na przyjęcie napastników. Rek opuścił przyłbicę i wyciągnął miecz Egela. Poniżej, w tunelu bramy stał Orrin z setką wojowników. Tunel miał

w środkowej części tylko dwadzieścia stóp szerokości i Orrin przewidywał, że utrzyma go przez większą część poranka. Potem, gdy horda zdobędzie barykadę, samą swoją masą zepchnie ich w tył, na otwarte pole za wałami.

I tak rozpoczął się ostatni krwawy dzień w Dros Delnoch.

ROZDZIAŁ 31

Fala za falą, wrzeszczący barbarzyńcy wspinali się przez cały ranek po linach i drabinach, odkrywając, że na górze czekała ich jedynie śmierć pod mieczami i szablami obrońców. Ginęli, spadając na skały pod murami lub umierali tratowani butami walczących. Ramię w ramię Sathuli i Drenajowie siali śmierć pośród Nadirów.

Rek oburącz rąbał i ciął, a miecz Egela kładł szeregi Nadirów jak kosa łąn pszenicy. Obok niego Joachim walczył za pomocą dwóch krótkich mieczy, zabijając równie bezbłędnie.

Pod nimi, ludzi Orrina spychano coraz bardziej w kierunku szerszej partii tunelu, choć Nadirowie

musieli słono płacić za każdy cal zdobytego tunelu.

Zablokowawszy pchnięcie włóczni Orrin ciął na odlew, prosto w twarz wojownika. Tamten zniknął w rojącej się masie, a jego miejsce zajął inny.

– Nie zdołamy się utrzymać! – krzyknął młody oficer po prawej ręce Orrina.

Orrin nie miał czasu odpowiedzieć.

Nagle prowadzący Nadir wrzasnął z przerażenia i cofnął się, zatrzymując towarzyszy. Inni również spojrzeli nad głowami Drenajów, na wylot tunelu.

Przestrzeń między szeregami Drenajów i Nadirów powiększyła się, gdyż ci ostatni uciekali co sił w nogach na otwarte pole między Valteri i Geddonem.

– O bogowie Missaela! – krzyknął oficer. – Co się dzieje? Orrin odwrócił się i ujrzał widok, który tak przeraził Nadirów.

Za nimi, w ciemnym tunelu, stał Druss-Legenda, Serbitar i Trzydziestu. Wraz z nimi wielu spośród tych, którzy odeszli. Druss miał w dłoniach swój topór, a w oczach radość walki. Orrin przełknął ślinę, a potem oblizał wargi. Za trzecim razem udało mu się włożyć miecz do pochwy.

– Myślę, że im pozostawimy obronę bramy – powie – dział. Ruszył w kierunku Drussa, a pozostali zbili się za jego plecami.

Upiorni obrońcy zdawali się ich nie zauważać, a ich oczy utkwione były w tunelu. Orrin próbował przemówić do Drussa, lecz starzec tylko patrzył przed siebie. Kiedy Orrin wyciągnął

przed siebie drżącą rękę i spróbował go dotknąć, nie napotkał niczego prócz zimnego powietrza.

– Wracajmy na mury – rozkazał. Z zamkniętymi oczami przemaszerował przez szeregi duchów. Zanim dotarł do końca tunelu trząsł się jak w febrze. Idący za nim ludzie nie odzywali się słowem.

Nikt nie spojrzał za siebie.

Przyłączył się do Ręka na murach i walka trwała nadal. Chwilę potem, podczas krótkiej przerwy, Rek krzyknął: – Co się dzieje w tunelu?

– Jest tam Druss – odpowiedział Orrin. Rek skinął tylko głową i odwrócił się, ponieważ nowi wojownicy nadiryjscy wspinali się na wały.

Bowman, z krótkim mieczem i tarczą w rękach, walczył u boku Hoguna. Choć nie tak dobry w szermierce jak w łucznictwie, był niepoślednim żołnierzem.

Hogun odparował cios topora i złamał miecz. Ostrze topora zmiażdżyło mu ramię i pogrzyżyło się w piersi. Legionista wepchnął resztę miecza w brzuch rębacza i wraz z nim upadł

na ziemię. Jakaś włócznia przygwoździła go, gdy próbował się podnieść. Bowman rozplątał oszczepnika, lecz kolejni Nadirowie rzucili się do przodu, zupełnie zakrywając ciało Hoguna.

Przy bastionie rzucona z daleka włócznia przeszła bok Joachima Sathuli. Rek zniósł go do podnóża muru, lecz musiał tam zostawić, ponieważ Nadirowie prawie przerwali linię obrony.

Joachim oburącz ujął włócznię i obejrzał ranę, choć na czole wykwitły mu krople potu. Grot przeszedł na wylot tuż powyżej biodra i przeciął skórę na plecach. Był opatrzony zadzioremami, o czym Joachim wiedział, więc nie można go było wyciągnąć. Uchwycił mocniej włócznię, przekręcił na bok i pchał głębiej, tak, że cały grot wyszedł na zewnątrz. Joachim na chwilę stracił

przytomność, lecz obudziło go delikatne dotknięcie ręki. Był to wojownik Sathuli o imieniu Andisim.

– Zdejmij grot z włóczni – syknął Joachim. – Szybko! Wojownik bez słowa wyjął sztylet, najdelikatniej jak umiał podważył metal i zsunął grot z drzewca. W końcu uporał się z tym.

– Teraz – szepnął Joachim – wyciągnij ją. Stojąc nad nim, mężczyzna powoli wyciągał

włócznię, a Joachim zgrzytał zębami z bólu. Wreszcie trysnęła krew. Wojownik oderwał kawałek swojej szaty i wcisnął go w ranę, polecając Andisimowi w podobny sposób zatamować otwór w plecach.

– Postaw mnie na nogi – rozkazał – i podaj mi szablę. Za Eldibarem, w swoim namiocie, Ulryk obserwował piasek przesypujący się w wielkiej szklanej klepsydrze. Obok niego leżał zwój pisma, które otrzymał tego ranka z północy.

Doniesiono w nim, że jego siostrzeniec, Jahingir ogłosił się chanem – władcą północy.

Zamordował brata Ulryka, Tsubodiego, a Ulrykową nałożnicę, Hasitę, wziął jako zakładniczkę.

Ulryk nie winił go za to i nie czuł gniewu. Jego rodzina to urodzeni przywódcy i temperament dawał znać o sobie.

Nie mógł jednak marudzić tutaj dłużej i dlatego ustawił klepsydrę. Jeśli mur nie padnie zanim przesypie się piasek, poprowadzi swą armię z powrotem na północ, odbierze swoje królestwo i wróci, aby zdobyć Dros Delnoch.

Już wcześniej otrzymał wiadomość o tym, że Druss broni tunelu i dreszcz przebiegł mu po plecach. Kiedy został znowu sam, uśmiechnął się.

A więc nawet raj nie utrzymał cię z dala od bitwy, stary!

Pod namiotem stało trzech ludzi, dzierżąc w dłoniach rogi i czekając na jego sygnał.

A piasku wciąż ubywało.

Na murze Geddon Nadirowie przełamali obronę na prawym skrzydle. Rek wrzasnął na Orrina, żeby podążył za nim i zaczął wyrąbywać sobie drogę wzdłuż muru. Z lewej Nadirowie zdobyli wały, a Drenajowie cofnęli się, zeskakując na trawę i przegrupowując siły. Nadirowie ruszyli do ataku.

Bitwa była przegrana.

Sathuli i Drenajowie czekali, z mieczami w pogotowiu, patrząc na gromadzących się przed nimi Nadirów. Przy Ręku zostali Bowman i Orrin, a Joachim, kuśtykając, wysunął się naprzód.

– Cieszę się, że ofiarowaliśmy wam tylko jeden dzień – powiedział przez zaciśnięte zęby, kurczowo przytrzymując bandaż wciśnięty w bok.

Nadirowie ruszyli ławą.

Rek wsparł się na mieczu, oddychając głęboko i zbierając resztki sił, jakie mu pozostały. Nie znalazłby już w sobie ani energii, ani ochoty, aby wpaść w szal berserkerka.

Całe życie bał się tej właśnie chwili, a teraz, kiedy wreszcie nadeszła, miała dla niego nie większe znaczenie niż pyłek na powierzchni oceanu. Ze znużeniem skupił wzrok na nacierających wojownikach.

– Coś ci powiem, stary – mruknął Bowman. – Uważasz, że jest już za późno, żeby się poddać?

Rek roześmiał się.

– Chyba troszeczkę – powiedział. Zaciśnął dłonie na rękojeści miecza, zgiął nadgarstek i klinga syknęła w powietrzu.

Przednie szeregi Nadirów znajdowały się ledwie dwadzieścia kroków od nich, gdy po dolinie rozszedł się echem dźwięk rogu w oddali.

Atakujący zwolnili...

I stanęli. Stojąc zaledwie dziesięć kroków od siebie, obie strony w bezruchu nasłuchiwały natarczywego zawodzenia.

Ogasi zaklął i splunął, chowając miecz do pochwy. Posępnie spojrział w zdumione oczy Księcia z Brązu. Rek zdjął hełm i wbił miecz w ziemię przed sobą, a Ogasi wysunął się krok do przodu.

– Skończone! – powiedział. Podniósł rękę dając znak Nadirom, aby wracali na mury. Potem odwrócił się. Wiedz jedno, ty okrągłooki draniu. To ja, Ogasi, zabiłem twoją żonę.

Potrwało dłuższą chwilę, zanim te słowa dotarły do księcia, a potem Rek wziął głęboki oddech i zdjął rękawice.

– Czy uważasz, że przy tym wszystkim ma jakiegokolwiek znaczenie to – odparł Rek – że wiem, kto wystrzelił jedną strzałę? Chcesz, żebym cię zapamiętał? Dobrze. Chcesz, żebym cię nienawidził? Nie

potrafię. Może jutro. Albo za rok. Może nigdy.

Przez moment Ogasi stał bez słowa, potem wzruszył ramionami.

– Ta strzała była przeznaczona dla ciebie – dodał, a zmęczenie opadło nań, jak ciemny płaszcz. Odwróciwszy się na pięcie, poszedł za odchodzącymi wojownikami. W ciszy zeszli w dół po drabinach i linach. Nikt nie wybrał drogi przez bramę.

Rek odpiął napierśnik i wolno podszedł do wylotu tunelu. Nadchodził stamtąd Druss wraz z Trzydziestoma. Rek podniósł rękę w geście pozdrowienia, lecz powiał wiatr i wojownicy zniknęli we mgle.

– Żegnaj, Druss – powiedział cicho.

Później tego wieczora Rek pożegnał się z Sathuli i przespał kilka godzin, mając nadzieję na kolejne spotkanie z Virae. Obudził się wypoczęty, lecz rozczarowany.

Arshin przyniósł mu posiłek, który spożył wraz z Bowmanem i Orrinem. Calvar Syn i jego sanitariusze znaleźli ciało Hoguna, a potem lekarz zajął się ratowaniem dziesiątków rannych znoszonych teraz do lazaretu Geddonu.

Około północy Rek udał się do swej sypialni i ściągnął zbroję; wtedy przypomniał sobie o darze Serbitara. Był zbyt zmęczony, aby zależało mu na prezentach, jednak wiedział, że nie zaśnie; tak więc ubrał się i powoli zszedł do podziemi kasztelu. Drzwi do komnaty Egela znów były zamknięte, ale dla niego otworzyły się, tak jak poprzednio.

Rek umocował pochodnię na ścianie i wszedł do środka; wewnątrz migotały światła.

Spojrząwszy na blok kryształu wstrzymał oddech. Wewnątrz leżała Virae! Na jej ciele nie było żadnego śladu walki, żadnej rany od strzały; leżała naga i spokojna, jakby spała, unosząc się we wnętrzu przezroczystego kryształu. Podszedł blisko, sięgnął do środka i dotknął jej. Nie poruszyła się, a jej ciało było zimne. Pochyliwszy się, wyjął ją stamtąd i położył obok na stole.

Potem zdjął płaszcz, owinał go wokół niej i znowu wziął na ręce. Zabierając po drodze pochodnię, wolniutko wrócił do swej komnaty nad główną salą kasztelu.

Wezwał Arshina, a stary sługa zbladł, gdy ujrzął nieruchomą postać żony księcia. Spojrzał na Ręka, a potem wbił oczy w podłogę.

– Przepraszam, panie. Nie wiem, dlaczego ten białowłosey umieścił jej ciało w magicznym kryształce.

– Jak to było? – zapytał Rek.

– Księżę Serbitar ze swoim przyjacielem opatem przyszli do mnie tego dnia, kiedy ona zginęła. Powiedzieli, że opat miał jakiś sen. Nie powiedzieli mi jaki, tylko zaznaczyli, iż jest niezwykle ważne, aby ciało milady zostało umieszczone w kryształce. Mówił coś o Źródle... nie rozumiałem tego. Nadal nie rozumiem, panie. Czy ona żyje, czy umarła? I jak ją znalazłeś?

Położyliśmy ją na bloku kryształu, a ona łagodnie się w nim zanurzyła. Jednak, kiedy go dotknąłem, był twardy. Nic już nie rozumiem.

W oczach starca zabłyśły łzy i Rek podszedł do niego, kładąc mu rękę na ramieniu.

– To bardzo trudno wytłumaczyć. Sprowadź Calvar Syna. Poczekam tutaj z Virae.

Sen Vintara – cóż mógł oznaczać? Albinos powiedział, że istniało wiele przyszłości i nikt nigdy nie mógł stwierdzić, która będzie miała miejsce. Z pewnością znalazł wśród nich taką, w której Virae żyła i rozkazał przechować jej ciało. A rana zagoiła się w jakiś sposób wewnątrz kryształu. Tylko czy to oznacza, że Virae będzie żyła?

Virae żywa!

Zakręciło mu się w głowie. Nie był w stanie myśleć ani czuć, tylko stał jak sparaliżowany.

Jej śmierć omal go nie złamała, a teraz, mając Virae znowu tutaj, bał się żywić nadzieję. Jeśli życie nauczyło go czegokolwiek, to tego, że każdy ma granicę wytrzymałości. Wiedział, że teraz właśnie może ją przekroczyć. Usiadł przy łóżku i podniósł jej zimną rękę, a jego własna drżała z napięcia. Poszukał pulsu. Nic. Przeszedł przez pokój, znalazł jeszcze jeden koc i przykrył ją, a następnie rozniecił większy ogień na kominku.

Upłynęła prawie godzina, nim usłyszał na schodach Calvar Syna. Lekarz przeklinał głośno Arshina. Ubrany w poplamioną, niebieską tunikę i pokryty krwią, skórzany fartuch, wkroczył do pokoju.

– Co to za idiotyzmy, książę? – zagrzemiał. – Mam ludzi, którzy umierają nie mogąc skorzystać z mojej zręczności. Co... – zająknął się i zamilkł zobaczywszy dziewczynę. – Więc stary nie kłamał. Po co, Rek? Po co przyniosłeś z powrotem jej ciało?

– Nie wiem. Naprawdę. Serbitar odwiedził mnie we śnie i powiedział, że zostawia mi dar.

Oto co znalazłem. Nie wiem, co się dzieje. Czy ona nie żyje?

– Oczywiście, że nie żyje. Strzała przebiła jej płuco.

– Spójrz na nią, proszę. Nie ma rany.

Lekarz odrzucił koce i podniósł do góry jej nadgarstek. Przez kilka chwil stał milcząc.

– Jest puls – szepnął – ale słaby i bardzo wolny. Nie mogę czekać razem z tobą. Ludzie umierają. Przyjdę jednak rano. Musi mieć ciepło; to wszystko, co możesz zrobić.

Rek siedział przy łóżku, trzymając ją za rękę. Po pewnym czasie, chociaż nie wiedział kiedy, zasnął u jej boku. Świt wstał jasny i przejrzysty, a światło wschodzącego słońca wdarło się przez wschodnie okno i skąpało łożo w złotym świetle. Pod wpływem jego promieni policzki Virae odzyskały kolor, a jej oddech pogłębił się. Cichy jęk wyrwał się z jej ust i Rek obudził się natychmiast.

– Virae? Virae, słyszysz mnie?

Otworzyła oczy i zamknęła je znowu, poruszając rzęsami.

– Virae! – Jeszcze raz otworzyła oczy i uśmiechnęła się. – Serbitar sprowadził mnie z powrotem – powiedziała. – Jestem taka zmęczona... Muszę spać. – Odwróciła się, objęła poduszkę i zasnęła w momencie, gdy drzwi otworzyły się i Bowman wszedł do środka.

– O nieba, więc to prawda – odezwał się. Rek wyprowadził go na korytarz.

– Tak. Serbitar zdołał ją uratować. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie dbam nawet o to, jak to się stało. Co się dzieje na zewnątrz?

– Odeszli! Wszyscy – wszyscy co do jednego, stary. Obóz jest opuszczony; byliśmy tam z Orrinem. Wszystko, co pozostało, to sztandar plemienia Wolfshead i ciało tego mieszczanina, Bricklyna. Czy widzisz w tym jakiś sens?

– Nie – odparł Rek. – Ten sztandar oznacza, że Ulryk powróci. A ciało? Nie mam pojęcia.

Odesłałem go im. Był zdrajcą i widocznie był już dla nich bezużyteczny.

Młody oficer wbiegł na górę po spiralnych schodach.

– Panie! Pod Eldibarem czeka na ciebie nadiryjski oficer. Rek i Bowman poszli razem na pierwszy mur. Poniżej, na stepowym koniku siedział Ulryk, władca Nadirów, ubrany w lamowany futrem hełm, wełniany kaftan i buty z koziej skóry. Spojrzał w górę, gdy Rek wychylił się z wałów.

– Dobrze walczyłeś, Książę z Brązu! – krzyknął. Przyjechałem pożegnać się z tobą. W moim królestwie rozgorzała wojna domowa i muszę cię opuścić na chwilę. Chcę, żebyś wiedział, że wrócę.

– Znajdziesz mnie tutaj – powiedział Rek. – A następnym razem zgotujemy ci jeszcze gorętsze powitanie. Powiedz mi, dlaczego twoi ludzie cofnęli się, kiedy byliśmy pobici?

– Czy wierzysz w przeznaczenie? – zapytał Ulryk.

– Wierzę.

– Nazwijmy to więc zrządzeniem losu. A może był to kosmiczny żart, figiel spleatany przez bogów. Nieważne. Jesteś dzielnym człowiekiem. I zwyciężyłeś. Mogę z tym żyć, Książę z Brązu.

Byłbym słabym człowiekiem, gdybym nie potrafił z tym żyć. A teraz żegnaj! Zobaczymy się na wiosnę.

Ulryk uniósł dłoń na pożegnanie, zawrócił konia i pogalopował na północ.

– Wiesz – odezwał się Bowman – chociaż może to zabrzmieć dziwnie, myślę, że polubiłem go.

– Dzisiaj mógłbym polubić każdego – odpowiedział Rek, uśmiechając się. – Niebo jest czyste, wiatr rzeński, a życie ma wspaniały smak. Co będziesz teraz robił?

– Myślę, że zostanę mnichem i poświęcę resztę życia modlitwie i dobrym uczynom.

– Nie – powiedział Rek. – Chodzi mi o to, co będziesz robił dzisiaj?

– Ach! Dzisiaj upiję się i pójdę na dziwki – odparł Bowman.

W ciągu długiego dnia Rek co jakiś czas zaglądał do śpiącej Virae. Jej skóra odzyskała zdrowy kolor, oddech był głęboki i równomierny. Późnym wieczorem, kiedy samotnie siedział

w małej sali przed dogasającym paleniskiem, przyszła do niego, ubrana w lekką tunikę z zielonej wełny. Wstał i wziął ją w ramiona, ucałował, a potem usiadł w skórzanym fotelu i posadził ją sobie na kolanach.

– Czy Nadirowie naprawdę odeszli? – zapytała.

– Naprawdę.

– Rek, czyja rzeczywiście umarłam? Teraz wydaje się to snem. Mglistym. Wydaje mi się, że pamiętam jak Serbitar przyniósł mnie z powrotem i moje ciało umieszczono w szklanym bloku pod kasztelek.

– To nie był sen – powiedział Rek. – Czy pamiętasz, jak przyszedł do mnie, gdy walczyłem z gigantycznym robakiem i ogromnym pajakiem?

– Słabo. Jednak nawet teraz, gdy o tym myślę, to wspomnienie rozwiewa się jeszcze bardziej.

– Nie martw się. Opowiem ci wszystko przez najbliższe pięćdziesiąt lat.

– Tylko pięćdziesiąt lat? – odrzekła. – To znaczy, że masz zamiar mnie porzucić, kiedy będę stara i siwa?

Śmiech rozszedł się dźwięcznym echem po całym kasztelu.

EPILOG

Ulryk nigdy nie powrócił do Dros Delnoch. Pokonał Jahingira w walnej bitwie na równinie Gulgothir, a potem poprowadził swą armię na podbój Ventrii. W trakcie tej kampanii zachorował

i zmarł. Jego plemiona uciekły z powrotem na północ i bez silnej ręki wodza przymierze Nadirów rozpadło się. Jeszcze raz na północy rozgorzała wojna domowa, a bogate południe znów odetchnęło.

Reka powitano w Drenanie jak bohatera, jednak niebawem zmęczony miejskim życiem wrócił wraz z Virae do Delnoch. Z biegiem lat jego rodzina rozrosła się do trzech synów i dwóch córek. Synowie nosili imiona Hogun, Orrin i Horeb. Córkę miały na imię Susay i Besa. Dziadek Horeb przeniósł swą

rodzinę z Drenanu do Delnoch, przejmując gospodę zdrajcy Musara.

Orrin powrócił do Drenanu i opuścił szeregi armii. Jego wuj, Abalayn wycofał się z życia publicznego, a Magnus Woundweaver został wybrany przewodniczącym rady. Swoim zastępcą mianował Orrina.

Bowman pozostał w Delnoch przez rok, a później wyruszył do Ventrii, aby jeszcze raz stanąć przeciw Nadirom. Nie wrócił.

Table of Contents

